

P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/352-2/353

1977



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

B. SULIK : **OBLĘŻENI**

W. GOMBROWICZ : **WSPOMNIENIA POLSKIE (I)**

J. CZAPSKI : **MALRAUX**

Zb. BYRSKI : **O NIEKTÓRYCH PROBLEMACH
CZARNEJ AFRYKI**

RAPORT O STANIE POLSKIEJ GOSPODARKI

SPIS RZECZY

Bolesław Sulik	<i>Obłączeni</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Wspomnienia polskie (1)</i>	13
Józef Czapski:	<i>Malraux</i>	30
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	36
Adam Nasielski:	<i>Podróż do Japonii</i>	47
Jan Pawlak:	<i>Instytut Herzena w Holandii</i>	69
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Byrski:	<i>O niektórych problemach czarnej Afryki</i>	81
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	109
K R A J		
—	<i>Raport o stanie polskiej gospodarki</i> ..	119
Ludwik Frencl:	<i>Kodeks Pracy w Polsce</i>	129
Kisiel:	<i>Wołanie na puszczy: Pochwała kłamstwa</i> ..	136
—	<i>Oświadczenie</i>	139
SĄSIEDZI		
George Gömöri:	<i>Węgry po dwudziestu latach</i>	140
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	144
(av):	<i>Ukraiński Wolny Uniwersytet</i>	150
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	154
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i>	157
Stefan Michnik:	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	160
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Komitet Międzynarodowy w Londynie</i> ..	162
—	<i>Zbiórka w New Yorku</i>	163
—	<i>Francuski Komitet Solidarności</i>	163
—	<i>Fundusz „Kultury” na sprawy krajowe</i> ..	163
—	<i>Konferencja prasowa w Londynie</i>	163
CI CO ODESZLI		
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>„Pułkownik Zamoyski”</i>	166
Władysław Zeleniński:	<i>Jean-Paul Palewski</i>	172
KRONIKA KULTURALNA		
Redakcja:	<i>Pięćdziesięciolecie</i>	174
POLEMIKI		
Józef Mackiewicz:	<i>O pewnym „rozdwojeniu jaźni”</i>	176
KSIĄŻKI		
Janina Katz-Hewetson:	<i>Od „Rzeźni” do „Garbusa”</i>	184
M. Broński:	<i>Leśmian, antysemitów i cyklistów</i>	197
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Literatura polska w pomniejszeniu</i> ..	200
Juliusz Stroynowski:	<i>„L 76”</i>	202
Tadeusz Sulimirski:	<i>Niepotrzebna książka</i>	205
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	206
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	208
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	210
Ks. Wojciech Sojka:	<i>Polskie słowo na falach radiowych</i> ..	215
◆		
A. Gelbert, J. G. Görlich, H. Grynberg, I. Henner, A. Moskal, J. A. Szponder, M. Tarnawska, T. Wyrwa, H. Czajkowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	217
T. Okoszko, E. Mieroszewska, A. Traubich, J. Narolewski, J. B.:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	225
—	<i>Zapowiedzi wydawnicze</i>	226
◆		
—	<i>Indeks autorów i tematów „Kultury” za rok 1976</i>	227

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1977

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Piotr Abraszewski, San Francisco, Cal.	F. 35,00
Bohdan K. Boczkaj, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz drugi	F. 35,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz dziewiąty	F. 60,00
Helena Buś, Milwaukee, Wis. (USA), po raz drugi	F. 10,00
E. R., Francja, po raz drugi	F. 500,00
T. Farbisz, Hindas (Szwecja), po raz szósty	F. 135,00
F. H., Ohio (USA)	F. 49,75
Ryszard Głodkowski, Saint-Max (Francja), po raz trzynasty ..	F. 170,00
Stanisław Gombiński, Paryż — doroczna „gwiazdka” po raz 13-ty	F. 100,00
Stanisław Gombiński, Paryż — zamiast życzeń świątecznych ..	F. 50,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz dziewiąty	F. 100,00
Ing. Zbigniew Hornung, Vlissingen (Holandia), po raz trzeci	F. 60,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA), po raz ósmy	F. 250,00
Irena Kanfer, Vincennes — zamiast kwiatów na grób mego kochanego profesora i przyjaciela, pisarza Leona Przemys- kiego, zmarłego ostatnio w Warszawie	F. 100,00
Józef Kleszczyński, West Hartford, Conn. (USA), po raz czwarty	F. 12,00
W. Kociejowski, Oxford Mills, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 35,00
A. Kowarska, Milford-Auckland (Nowa Zelandia) — pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 17,00
Dr Michał Laskowski, Buffalo, N.Y. (USA), po raz trzeci ..	F. 500,00
Andrzej Ludwicki, Oslo	F. 100,00
M. A., Perth (Australia), po raz trzeci — dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 120,00
Dr T. Maciejczyk, Milledgeville, Ill., po raz drugi	F. 500,00
Ilsa Maybach, Heilbronn/N (Niemcy Zach.), po raz trzynasty	F. 260,00
Ted Mączyński, Chicago, Ill. (USA), po raz trzeci	F. 160,00
Dr Stefan Nędzyński, Genewa, po raz szósty	F. 200,00
Jan Pawłowski, Bois-Colombes (Francja), po raz piąty	F. 100,00
Ryszard Piątkowski, Mississauga, Ont. (Kanada), po raz czwarty	F. 200,00
François Prause, Karachi, po raz czternasty	F. 100,00
Romuald Quas de Penno, New York, po raz drugi — zamiast kwiatów na grób Wiesławy Magdaleny Wilkoszewskiej ..	F. 50,00
Dr Stanisław Radwański, Paryż	F. 100,00
Włodzimierz i Rita Rozenbaum, Cicero, Ind. (USA) — zamiast kwiatów na grób mgr. ing. Walerego Samsonowicza, zmarłe- go w Lundzie (Szwecja)	F. 50,00
Tadeusz Rudnicki, Paryż — dla uczczenia pamięci Stefana Za- moyckiego	F. 200,00
Wiktor Skiba, Meksyk, po raz dziewiętnasty	F. 60,00
Z. Strożanowski, Brighton (Wielka Brytania)	F. 6,50
Jan Świtalski, Berkeley, Cal. (USA)	F. 50,00
Prof. Alfred Tarski, Berkeley, Cal. (USA), po raz piąty	F. 500,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzynasty	F. 67,50
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz dwudziesty szósty	F. 100,00
Bezimiennie z Amsterdamu	F. 200,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria), po raz czwarty	F. 110,00
Bezimiennie z Kopenhagi	F. 60,00
Bezimiennie z Los Angeles, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci Juliusza Mieroszewskiego	F. 10,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz czternasty	F. 60,00
Bezimiennie z Winterthur (Szwajcaria), po raz trzeci	F. 100,00

Dalszy ciąg wpłat na str. 239.

Obleżeni

Koniec roku 1971, pierwszego roku rządów Edwarda Gierka, zastał mnie w Warszawie. Decyzję dla każdego Polaka nie błahą — gdzie, z kim i jak spotkać Nowy Rok, miałem „z głowy”: zaproszono mnie na Sylwestrowy bal „opozycji”. Odbywało się to na Żoliborzu, w sporym jak na polskie warunki mieszkaniu tuż przy Placu Wilsona — oficjalnie, przy placu Komuny Paryskiej. Minimalnym wkładem do wspólnej zabawy była butelka mocnego alkoholu na każdą wchodzącą parę, a kartą wstępu — przynależność do środowiska w którym krytyczny stosunek do „władzy ludowej” pozbawiony był zwykłej w innych środowiskach dwuznaczności. Zresztą w tym okresie i przy takich rytualnie towarzyskich okazjach, stosunek do władzy stawał się kategorią czysto towarzyską, dominującym składnikiem klimatu który się lubiło, bo odświeżało, bo był nieskażony.

W roku 1971 znaczne posiłki wzmocniły „opozycję”. Wyszli właśnie z więzienia Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, a nieco wcześniej Jakub Karpiński i Bogusława Seweryn-Blajfer. Dla nich bal sylwestrowy był celebracją wolności. Naturalnie obecni też byli młodzi weterani procesów marcowych, Jan Lityński i Seweryn Blumsztajn, a o północy, na uderzenie zegara, pojawił się Adam Michnik z Barbarą Toruńczyk. „Opozycyjnych” pisarzy reprezentował Wiktor Woroszyński z żoną. W dwóch średniej wielkości pokojach i na korytarzu zebrało się około 70 osób, o rozpiętości pokoleniowej od lat dwudziestu do czterdziestu kilku. W pierwszym pokoju, jasno oświetlonym, na stole pod oknem było jedzenie i szkło. Za ścianą, drżącą rytmem *rock music* — w Polsce nazywanej „z angielska” muzyką *big beat*’ową — panował półmrok, i w tańcu odbijały się od siebie rozpedzone pary. Miejsca było w sam raz. Zderzenia stawały się formą

1977 W 7610



9.9786

Chm



podnieconej zabawy. Tylko pot kapał i powietrze robiło się gęste. Ktoś uchylił podwójne zimowe okna, wyglądając na białą ulicę czy policja nie stoi. Nie było nikogo.

Bal był jak dobry bal, z ostrym pićciem i przeogromną, wszystkich ogarniającą uciechą. O północy padliśmy sobie w ramiona — przyjaciele, bliżsi i dalsi znajomi — wymieniając życzenia tak tęsknie i wzajemnie życzliwie, że obowiązkowy sylwestrowy optymizm przez chwilę stawał się szczery. Po trzeciej nad ranem z kuchni rozdano gorący barszcz. Siedliśmy na podłodze podwójnym kołem. Ktoś wyciągnął gitarę. Okna zamknięto — choć na śniegu wciąż nie było widać nikogo. Nadeszła pora muzycznej, czyli politycznej części balu. Słył piosenki „marcowe”, marsz „taterników”, pieśni rosyjskiego „podziemia” — Wysokiego, Galicza, Okudżawy. Na zakończenie przed rozejściem się na noworoczne śniadania, odśpiewano chórem, po angielsku, „We Shall Overcome”: pełny tekst, zwrotka po zwrotce (choć chyba mało kto w tym towarzystwie znał angielski), jak rozmodleni Murzyni złączeni solidarną tęsknotą do luksusu wolności.

Środowisko warszawskiej „opozycji” jest jawne, stosunkowo otwarte, kontakt z nim nie jest trudny, a jednocześnie panuje w nim atmosfera podziemnej ekskluzywności. Dominującymi postaciami i animatorami towarzyskimi tego środowiska są ludzie ze stażem więziennym, weterani gomułkowskich procesów politycznych. Wyrok skazujący lub co najmniej areszt, wspomnienia z piwnic Pałacu Mostowskich i cel więzienia na Rakowieckiej, są, jak wdzięk, zaletą towarzyską. Grupą wciąż największą są „marcowcy”. Z setek aresztowanych po rozruchach studenckich w marcu 1968 roku część odpadła od środowiska, straciwszy ochotę nie tylko na wszelką działalność polityczną, ale nawet na towarzyskie gesty solidarności ludzi skrzywdzonych. Część wyemigrowała z Polski. Ale wokół skazanych w procesie „komandosów”, jak Michnik, Lityński, Toruńczyk i Blumsztajn, pozostaje duża ilość osób utrzymujących ze sobą choćby luźne stosunki, spotykających się na tłumnych przyjęciach imienninowych i innych towarzyskich okazjach. Przeszłość „marcową” mieli także „taternicy”, skazani w lutym 1970 roku za przemyt książek do Polski i za kontakty z paryską *Kulturą*. Najbardziej znaną wśród nich postacią jest Jakub Karpiński, który pojawia się czasem na spotkaniach towarzyskich „opozycji”, ale na ogół chadza własnymi drogami i kulturuje odrębny sposób bycia. Osobną drogą dołączył też do środowiska Janusz Szpotański, „tekściarz” opozycyjnego „podziemia”, autor „Cichych i gęgaczy”, za co Polska Ludowa zapłaciła mu więzieniem. Później, już za Gierka, dołączyło do „opozycji” trochę młodych ludzi z kręgów „Ruchu”, chociaż głównych podsądnych tego procesu z 1971 roku, Stefana Niesio-

łowskiego i braci Czumów, po wypuszczeniu ich z więzienia jesienią 1974 roku nie spotkałem na żadnym z towarzyskich zebrań. Pojawili się natomiast ludzie całkiem młodzi, bez więziennej przeszłości, często z kręgów warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Są i starsi, to znaczy trzydziesto-, czy trzydziestoparoletni katolicy różnej maści, od lewicowych „personalistów”, po ludzi o światopoglądzie bardziej zachowawczym. Zdarzają się wreszcie ludzie pojedynczy bez politycznej przeszłości, których do środowiska doprowadziły dramaty osobiste. Na przykład: chłopiec zakochany w zachodniej kulturze młodzieżowej nie może otrzymać paszportu i wpada w obsesyjną klaustrofobię. Schwyty przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy czesko-austriackiej idzie do więzienia i traci szansę ukończenia studiów. Po wyjściu na wolność trafia do „opozycji”, której sposób bycia pasuje do jego subiektywnie podziemnej egzystencji.

Nie jest to więc wcale środowisko homogeniczne, ani pod względem dróg życiowych, ani postaw światopoglądowych. Jego aktywność polityczna rośnie lub opada zależnie od sytuacji w Kraju, ale normalnie jest raczej niska. Tylko nieliczni interesują się polityką na bieżąco, zachowując ciągłość pracy nad kształtowaniem swojej orientacji. Natomiast poczytność książek „zakazanych”, wydanych po polsku na emigracji, jest zawsze wysoka.

Nie zamierzam tutaj dyskutować postaw politycznych „opozycjonistów”, ani form działalności w jakich te postawy są manifestowane. Najogólniej biorąc, wspólnym mianownikiem jest imponderabilium Polski suwerennej i demokratycznej, odmowa ułożenia się z systemem totalitarnym, importowanym ze Związku Sowieckiego. Oznacza to, że środowisko żyć musi w sytuacji ciągłego obłężenia policyjnego, chociaż środki nacisku są zwykle pośrednie i stosunkowo łagodne. Za rządów Gierka nie używa się nagiego terroru przeciwko niezadowolonym z systemu inteligentom. Policja prowadzi wojnę psychologiczną, w formach bynajmniej nie rycerskich, obliczoną na dezintegrację środowiska i odizolowanie osób najbardziej aktywnych. Towarzyska zażyłość „opozycji” ma więc swój bezpośrednio polityczny wymiar, bo stanowi o jego spoiwości i zdolności oporu na policyjne naciski.

W systemie, który ma ambicję kształtować i kontrolować wszelkie formy życia społecznego, każde środowisko schodzące się i wiążące dobrowolnie, lub z konieczności innych niż oficjalne, spychane jest do egzystencji podziemnej. Cóż dopiero, kiedy jest to środowisko, którego spoiwość ma genezę czysto polityczną, wspólnota oparta o solidarnie krytyczny stosunek do systemu. Dla innych grup, schodzących się prywatnie dla nielegalnego handlu, hazardu, narkotyzowania się lub zabaw erotycznych, egzystencja podziemna może być stanem naturalnym. W wy-

padku towarzystwa „opozycyjnego”, cała jego dynamika dąży do jawności, szuka form publicznych, a policyjne ramię systemu uparcie spycha je w podziemia. Środowisko, o którym tutaj mówię, wcale nie jest „spiskiem”, nie wierzy w sens działania konspiracyjnego, i tylko z łaski policji panuje w nim klimat poufnej wspólnoty. Jest więc jawne, i jednak podziemne. Samo jego istnienie jest demonstracją, a więc pisać o nim należy ostrożnie. Kiedy ktoś z tych ludzi podejmuje ryzyko publicznej wypowiedzi, należy ją tu rozgłaszać, lecz nie wolno mówić w ich imieniu, by nie wróciło to echem jako nieumyślny „donos”.

Natomiast nie wierzę w obowiązek przemilczania faktu, że ich znam, że bywając w Kraju spotykałem ich, bawiłem się razem i piłem wódkę, że czuję do nich sympatię najgłębszą i szacunek, że ich postacie wracają do mnie we wspomnieniach, w trosce o to jak teraz żyją, przychodzą nawet we śnie.

Na przykład Jacek Kuroń, Jacek — święty Apostoł. Poznałem go, kiedy był jeszcze połową zespołu Kuroń - Modzelewski. Razem z Karolem Modzelewskim napisali w 1965 roku „List otwarty do Partii” — marksistowską krytykę systemu. Za poważny stosunek do marksizmu posiedzieli w więzieniu, i wyszli na wolność kiedy rosła fala przedmarcowego studenckiego nonkonformizmu. Po marcu 1968 wrócili do więzienia, w gruncie rzeczy za to, że dla studentów stali się autorytetem i wzorem. Zamknięci byli do września 1971 roku. Wolność zobaczyli znowu w Polsce Gierka. Karol Modzelewski miał tego dosyć. Ten skupiony i racjonalny, precyzyjnie myślący człowiek nie znalazł już w sobie dozy optymizmu usprawiedliwiającego dalszą działalność. Wycofał się pomiędzy ludzi, zajął się pracą ściśle zawodową, pisaniem doktoratu, życiem domowym. Ze społecznego odosobnienia wychynął dopiero niedawno, swoim listem otwartym do Gierka. Jacek Kuroń wycofać się nie potrafił, wcale nie z nadmiaru optymizmu, ale dlatego że sam jest czystym ruchem, energią, niepokojem moralnym, że trawi go gorączka działania. We wspomnieniu jawi mi się jako postać fizycznie ogromna, a przecież wiem, że to nieprawda. W gruncie rzeczy jest średni, niższy ode mnie, choć zwałistej postawy. Po prostu jest narzmiął treścią. Rozsadza go energia moralna, energia uczuć i energia intelektu, zbełtana razem w przedziwnie nerwową, wybuchową mieszaninę. Jacek nie ma w niczym umiaru, pochłania wszystko. Nie jest żarłokiem, ale cokolwiek znajdzie na półmisku, zmiata do ostatniej kruszyny. Nie jest pijakiem, ale każdą nalaną mu szklankę wypije do dna. Z taką samą zachłannością atakuje napotkane problemy, przeżywa sprawy publiczne i rozlicza się z samym sobą. Kontakt z ludźmi jest mu potrzebny chociażby po to, by wylewać wszystko co w nim wzbiera. Dyskutuje ze

znajomymi, spiera się, opowiada o swej niewczesnej karierze partyjnej, o służbie wojskowej — prześmiesznie — i o wygranych manewrach, o kolegach z kryminału, śpiewa — z dramatyczną ekspresją chociaż nieco fałszywie — piosenki ZMP, rządziej własne piosenki — bo jest także tekściarzem, dużo i głośno się śmieje, czasem się zaperzy, czasem wybuchnie, gwałtownie, ale na bardzo krótko, by za chwilę przeprosić ze szczerą skruchą. Jacek każdym swoim nerwem zaangażowany jest w swój los i w los Polski. Może dlatego w sprawach publicznych wykazuje nieraz tak wspólną intuicję, i odbiera wrażliwie rodzaję się w społeczeństwie ukryte napięcia. Ale chociaż Jacek nie jest samotny — ma dobre życie rodzinne, przyjaciół, własną wrażliwość społeczną — choć obdarzony jest tak dynamiczną uczuciowością i tak agresywną inteligencją, nosi w sobie stale pewien cień. Kilkanaście lat na nitce, jak yoyo, pomiędzy wolnością i murami celi, wolność której najbardziej upajającym momentom towarzyszy obecność policji, świadomość podsłuchu, przesłuchania, możliwość prowokacji, zostawiły swój ślad. Jacek żyje i działa z nutą desperacji, samopoświęcenia. Jest jakby obłął się benzyną i przyłożył zapalnik, a teraz chodzi ulicami i świeci ludziom w oczy płomieniem, który go trawi.

Jacek Kuroń ma lat czterdzieści cztery, Adam Michnik skończył właśnie trzydzieści. Różnica wieku podkreśla pewne różnice pomiędzy nimi, bo Adam Michnik jest wulkanem jaśniejszym, bardziej optymistycznym. Jako para przyjaciół są połączeniem osobliwym, bo o podobnie żywiołowym usposobieniu, niezgodnym ze sobą. Ale Jackowi rozpacz zagłądała już w oczy, a Adama cechuje niepohamowany, nienasycony apetyt na życie, działanie, na coraz to nowe doznania. Adam także przesiedział się w więzieniu, za kluczową i poniekąd symboliczną rolę w studenckich rozruchach marcowych 1968 roku. Podobnie jak i Kuroń jest przedmiotem ciągłych policyjnych manewrów. Uczucie strachu na pewno nie jest mu obce, ale mija nie pozostawiając widocznych śladów. Bo Adam, to ekstrowertyk do kwadratu. Wszystko, co konsumuje łączywie — książki, „sprawy”, spotkania z ludźmi — wydała potem jako promienie energii. Ważna jest dla niego samo działanie się życia, zawartość chwili, i prawie ze wszystkiego czerpie jakieś impulsy, jakieś osobiste satysfakcje. Jedną z zalet Adama jest rys próżności — mówię to całkiem serio, bo w trybie życia jaki mu narzucono, próżność jest cechą użyteczną, elementem siły. Do tego Adam Michnik okrasza swoją próżność autoironią, nie opuszczającym go nigdy poczuciem humoru na własny temat. Bawi się swoimi sukcesami i bawi się tym, że go to bawi. W jakimś stopniu zabawą jest dla niego nawet gra z policją, ponawiane zgłoszenia o paszport na czasowy wyjazd za granicę,

odwołania po odmowie, zażalenia, kwitowanie w czytelny sposób faktów policyjnego nadzoru, obelżywych policyjnych anonimów itp. Jego rozbiegane, gorączkowe, superaktywne towarzystwo i społecznie życie, nie jest przy tym na pewno życiem lekkoducha. Jest w nim i upór straszliwy, chłonność intelektu i napięcia woli, które pozwoliły mu w rok i trochę zrobić zaocznie na piątkę cztery lata studiów historycznych, bezkompromisowa śmiałość poglądów, murowana lojalność koleżeńska. Jest bezpośredni, swobodny i szczery. Nic dziwnego, że przy takim naporze zalet, i takiej gotowości by wszystkim razem dać ujście, Adam Michnik się jąka, choć, ma się rozumieć, nie robi sobie z tego wiele.

„Taternik” Jakub Karpiński jest człowiekiem całkiem innej formacji. Nawet w więzieniu Kuba zdobył opinię osoby o nienagannych manierach. Jest z ducha arystokratą, i bez widocznego trudu znajduje właściwy dystans do otoczenia, nawet za kratami celi. Wyszedł z więzienia jakby nietknięty tym przeżyciem. Poznałem go wkrótce potem. Zdarzyło się, żeśmy szli w dół Rakowiecką pod murem więzienia, gdzie przesłuchuje się „politycznych”. Kuba Karpiński, chudy, długonogi, sadził wielkimi krokami z chrapliwym chichotem. Zdawało mu się niewymownie śmieszne, że spaceruje po zewnętrznej stronie tego muru. Wielkopańska swoboda opuszcza go tylko czasami kiedy chodzi o innych, bo Kuba jest człowiekiem pryncypialnym. W jego staranie, z dobrym gustem urządzonym wewnątrz, poczesne miejsce zajmuje ołtarzyk spraw świętych. Na przykład, Kuba brzydzi się antysemityzmu, i kiedy Adaś Michnik, Polak żydowskiego pochodzenia, żartuje sobie z Żydów i ze swojej krwi, w Kubie sztywniej szlachetna słowiańska dusza. Jest to człowiek niezłomny, w dosłownym tego słowa znaczeniu, dla którego konsekwentna postawa jest sama w sobie ostoją.

Bogusława Blajfer, młoda, bardzo ładna, odrobinę staromodna, matronowata w swojej urodzie, także jest osobą pryncypialną. Ją też poznałem wkrótce po jej wyjściu z więzienia. Była wtedy spięta, nieufna, nie radowała się wolnością, zdawało się że z trudem i stopniowo wracała do życia między ludźmi. Nie słyszałem by mówiła coś o przeżyciach więziennych, ale jej sposób bycia sugerował jak były dotkliwie. Spotkałem ją później, kiedy odzyskała już naturalność kontaktu z otoczeniem. Jej kobiecy wdzięk i uroda nadają jej pryncypialnym osądom piorunującą siłę. Bo Bogusia wie czego od ludzi oczekiwać, a próbuje ich postępowanie lub nie, potrafi się gorszyć, potrafi potępiać, i nie waha się swoich sądów uzewnętrzniać. Bogusia wymaga od ludzi co najmniej przyzwoitości.

Jan Lityński, „marcowy komandos” i przyjaciel Michnika, jest dla kontrastu z nim oddany introspekcji. Wszystko, co się

mu zdarzy wsiąka w niego, w pokłady jego wrażliwości, staje się osobistym problemem. Janek ma też dar współczucia, identyfikacji z sytuacją innych. Nowe ludzkie spotkania łatwo mu obrastają uczuciową tkanką. Janek zbiera wciąż bagaż życiowy, i zapewne wolności nie definiuje w kategoriach czysto politycznych. Ten drobny i szczupły, wąty, cichy i wrażliwy młody człowiek, sam znalazł sobie „terapię” w formie wspinaczki wysokogórskiej. Czas wolny spędza w Tatrach i wspina się po prostopadłych turniach trasami o coraz wyższym stopniu trudności. Zwinnością i odwagą nadrabia brak stałowych mięśni. Uprawia sport ludzi wolnych, sport ludzi wiernych i ufnych, gdzie koledze na drugim końcu liny powierza się własne życie i przyjmuje się odpowiedzialność za życie jego.

Jacek Bierezin, poeta z Łodzi, jest też prawdziwym taternikiem, takim co wspina się na górskie szczyty. Ale Jacek jest wysoki, zgrabny, silny jak niedźwiedź i zwinny jak wąż. Jacek wszystko robi najlepiej, i nie wstydi się swych umiejętności demonstrować. Jako junior boksował w łódzkim Widzewie, obiecując biegał średnie dystanse. Rozpala ognisko z mokrych patyków, w menażce zaparza wyborną herbatę. W warszawskim środowisku jest uczestnikiem czasowym, dochodzącym. Mieszka z żoną w Łodzi, gdzie na przełomie 1970/71 roku był aresztowany w związku ze sprawą „Ruchu”. Łódź, choć to wielkie miasto przemysłowe w samym sercu Polski, jest rozlazłą prowincją, gdzie garstka inteligenckich „dysydentów” jest mała i społecznie odizolowana. Z łódzkiej perspektywy Warszawa, ze swą stosunkowo dużą i luźną, rozgałęzioną „opozycją”, jest oazą życia. Jacek jeździ tam prawie jak w Tatry, by w płuca nabrać powietrza.

Janusz Szpotański, czyli „Szpot”, jest poetą z Warszawy. Ten niepozorny, zniszczony inteligent robi wrażenie niedobitka cywilizacji, którą jakiś kataklizm zmiotł z powierzchni ziemi. Sam przeszedł przez walce młyńskie, i zostało go tyle, że ledwie zipie. Na towarzyskich spotkaniach siedzi potulnie, tylko w pół obecny. Nagabnięty, odpowiada nieśmiało i cicho. Jest tak do momentu, kiedy „Szpot” wyzwoli diabła który gdzieś w nim mieszka. Bo „Szpot” — nie ma co ukrywać — jest pijakiem. Kiedy dorwie się do wódki, atakuje. Najpierw natarczywie domaga się odpowiedzi na pytania, na które zwykle odpowiedzi nie ma, potem lży nieobecnych, jeszcze później — obecnych. I na ogół uchodzi mu to na sucho, albo małym kosztem, bo „Szpot” jest maskotką warszawskiej „opozycji”. Naprawdę tylko wśród nich, serdecznych i wiernych przyjaciół, wypuścić może bezpiecznie swego odrażającego diabła, i dać mu pohasać.

Janusz Szpotański, literat w niełasce obrażonego za złośliwości dworu Polski Ludowej, zniszczony więzieniem, samotnością i alkoholizmem, jest przypadkiem krańcowym. Ogólnie biorąc, środowisko „opozycyjne” jest przy całej swej różnorodności temperamentów i typów ludzkich, supernormalne. Na pewno pojedynczy ludzie, którzy to środowisko tworzą i którzy do niego przylgnęli, pod względem wrodzonych zdolności, inteligencji, wydolności w pracy, energii, „siły przebicia”, są znacznie powyżej krajowej przeciętnej. Jest zwykłym policyjnym kłamstwem, że większość wśród nich stanowią niedobitki życiowe, ludzie niezdolni do organizowania sobie bytu, do kariery. A jednak w kraju gdzie zdawałoby się wszyscy przepychają się łokciami, gdzie gorączka urzędowania się jest plagą nie oszczędzającą prawie nikogo, ci zdolni, a nawet wybitni ludzie rezygnują z kariery, z możliwości awansu zawodowego, godzą się na minimum zarobków konieczne do egzystowania z dnia na dzień. Wyjaśnienie tego przedziwnego fenomenu nie jest, jak sądzę, możliwe bez rzetelnego poznania szeregu przypadków indywidualnych, historii osobistych, aż po moment decydującego wyboru, jego okoliczności i przesłanki. Taki moment świadomego wyboru, decyzji obrony przed zagrożeniem własnej autonomii wewnętrznej, dałoby się chyba znaleźć w przeszłości każdego z tych ludzi. Reszta jest ciągiem konsekwencji. Z drugiej strony, istnienie i klimat środowiska „opozycyjnego” mówi sporo o centralnych mechanizmach systemu. Z chwilą przystania do tej Polski nieoficjalnej i nie-dozwolonej, włącza się bieg odwrotny w stosunku do panujących w społeczeństwie konformizmów. Wygasają normalne impulsy oportunistyczne, nawet łącznie z ich społecznie konstruktywną, motoryczną rolą. Rodzą się impulsy nowe, których uogólniać tu nie sposób. Pozostaje też u wielu nieużyty potencjał energii. Spychanie „opozycjonistów” do egzystencji półpodziemnej, jest marnotrawieniem sił społecznych na ogromną skalę.

„Opozycjoniści” to ludzie normalni w całkiem anormalnej sytuacji. Określenie „życie podziemne” stwarza obraz właściwie fałszywy, bo jest to raczej życie na policyjnej patelni, na podłuchu i na widoku policji. Bezpośredni nadzór dotyczy głównie pojedynczych ludzi, jego intensywność i formy są zmienne, zależne od sytuacji, ale w jakimś stopniu dotyka to wszystkich, nawet ludzi którzy przypadkowo wchodzą w kontakt ze śledzonymi. Zdarza się, że ktoś kto rano przejdzie się ruchliwą ulicą z Jackiem Kuroniem, wieczorem w innym punkcie miasta zostaje zatrzymany i wylegitymowany przez umundurowanego milicjanta. Uzasadnienie zależy od humoru i weny przedstawiciela władzy. Na przykład (tak mnie się kiedyś trafiło): „Jest pan chyba uczciwym człowiekiem, więc panu poradzę. Niech pan obetnie te pióra

(włosy), bo zupełnie jest pan podobny do jednego marynarza, mordercy, którego szuka milicja w całej Polsce”. Naprawdę chodziło o to, że pan z którym Kuronia widziano nie został od razu zidentyfikowany. Na wszelki wypadek chodzono za nim dyskretnie dzień cały, a wieczorem wylegitymowano, by wiadomo było kto zacz.

Jest to oczywiście najbardziej niewinna i cywilizowana forma nadzoru. Nieraz policja chce by śledzony wiedział, że za nim chodzą. Jej obecność staje się wtedy nachalna. Młodzieńcy z teczkami-aktówkami pod pachą, dziewczyny z torebkami, we wdziankach lub kożuszkach z przydziału, wyglądają zza budek „Ruchu”, wskakują i wyskakują za śledzonym z tramwaju, wchodzą za nim do kamienicy. Zimą 1975/76 roku za Adamem Michnikiem, krok w krok, gdziekolwiek się ruszył, jeździły dwa czarne Mercedesy. Podobne Mercedesy — czy może Wołgi — stały pod parterowymi oknami mieszkania Kuroniów na Żoliborzu. Każdy kto tam wchodził odprowadzany był demonstracyjnie przez marsowego pana przez drzwi klatki schodowej aż pod same mieszkanie. W nocy Mercedesy — czy też Wołgi — co pół godziny trąbiły klaksonami, by Kuroniowie i ich sąsiedzi nie zapadli w sen zbyt ciężki.

W zabawie z „opozycją” policja wykazuje wprost niezmiordowane, choć nieco jednostajne poczucie humoru. Ich specjalnością są anonimowe listy, czasem telefony. W zasadzie tylko dwa tematy zaprzatają autorów. Schematem pierwszym jest „Twoja żona śpi z twoim najlepszym przyjacielem”, podpisane — „życzliwy”. Schemat jest dosyć chłonny. Można rozszerzyć ilość partnerów, tworzyć różne permutacje, włączyć jakieś dewiacje seksualne. Schematem drugim jest „was władze dyskryminują, cierpicie za swoje poglądy, a wasz kolega X żyje sobie nieźle z donosów na was”. Rozwinięciem tematu są „poszlaki”. Jeżeli kolega X właśnie studiuje zaocznie i zdaje egzaminy (na macierzysty uniwersytet wracać po odsiedzeniu wyroku nie wolno), można to przytoczyć jako dowód, że władze są dla niego łaskawe. Jeżeli ktoś z rodziny — żona, brat lub ciotka — dostał paszport na czasowy wyjazd za granicę, wkładkę do Jugosławii lub choćby pieczętkę w dowodzie uprawniającą do odwiedzania NRD, dowcipna policja cytuje to w anonimie jako dowód łaski policji. I odwrotnie, jeżeli kolega X znajduje się właśnie pod ostrym nadzorem, autor anonimu wskazuje na demonstracyjną oczywistość tego nadzoru jako na okoliczność wysoce podejrzaną. Nierzadkie są mariaże schematu „sypialnianego” z „kolaboracyjnym”.

W polskim państwie robotniczym minęły, jak się zdaje, czasy łamania kości niesformnym inteligentom. Te proste stare metody aplikuje się już tylko robotnikom. „Wyrafinowana” gra policji

ma teraz głównie na celu — poza gromadzeniem informacji — rozbijanie i dezorientowanie środowiska. Oczywiście, możliwość terroru, a w każdym razie prowokacji, procesu i więzienia, w dalszym ciągu istnieje, a więc jest psychologicznym punktem odniesienia, metodą postrachu. Policja przypomina o tym od czasu do czasu wezwaniami na przesłuchania czy nawet krótkotrwałym aresztem. Na ogół środowisko opiera się tym naciskom znakomicie. Głupim, a jadowitym anonimom prawie nikt nie daje posłuchu. Ale świadomość życia w obłęzieniu ma swoje efekty. Spazmy panicznego strachu są rzadkie, szyderstwo jest powszechną, znakomitą bronią, lecz rozpylony strach nigdy całkiem z atmosfery nie znika, wchodzi gorączką w żyły, jest elementem wszelkich poczynań. Żyjąc gorączkowo i — za sprawą władzy — w hermetycznym zamknięciu, „opozycjoniści” bardziej niż inni ludzie mają prawo do życiowych kompensacji, do chwilowych nieodpowiedzialności, wybryków spalającego się temperamentu. Nie zasługują by im to wypominać, lub by nieuchronnie towarzyskie kwasy, ploty, osobiste pretensje, wynosić i przedstawiać jako polityczne fakty. Piszę to by uchylić zarzut, że ich idealizuję. Z różnych oczywistych politycznych racji opisuję ich w wąskiej, wycinkowej perspektywie, czerpiąc z subiektywnych obserwacji i wrażeń. Opisuję szczerze jak mi wolno i jak potrafię. Mają nie takie portrety i nie takiego portrecistę na jakiego zasługują, ale takiego, jaki im się zdarzył.

Bolesław SULIK

Wspomnienia polskie (I)

W bieżącym numerze rozpoczynamy druk tekstów Witolda Gombrowicza, napisanych dla Radia Wolna Europa i niespodziewanie odnalezionych w jego papierach dopiero przed miesiącem. W nocy biograficznej jaką napisał do poświęconego mu numeru *L'Herne* wspomina Gombrowicz, że kiedy opuścił Banco Polaco w Buenos Aires egzystencję umożliwiło mu skromne stypendium przyznane mu przez Radio Wolna Europa.

Pretekstem do tego stypendium było zamówienie stałej serii pogadank radiowych, które Gombrowicz przysyłał do radia regularnie w latach 1959-1961. Trudno dziś ustalić ile z nich zostało istotnie nadanych. Po śmierci Gombrowicza *Kultura* starała się uzyskać rękopisy tych tekstów, ale niestety nie pozostał po nich żaden ślad. Stąd nasze radosne zdziwienie, gdy okazało się, że odkryty wreszcie rękopis, liczący niemal 300 stron maszynopisu, zawiera teksty całkowicie oryginalne, rzucające często nowe światło na życie i twórczość pisarza.

Składają się nań dwie serie radiowych pogadank, pisanych mniej więcej co dwa tygodnie (niektóre z nich są datowane), z których każda liczy 4-5 stron maszynopisu.

Pierwsza seria złożona z 24 tekstów, zatytułowana jest „Wąłem się po Argentynie”. Żaden z nich nie jest powtórzeniem równoległych notatek argentyńskich z „Dziennika”. Z właściwą sobie zawodową sumiennością teksty te pisał Gombrowicz z pełną świadomością, że zwraca się do publiczności masowej. Być może bawiło go to i interesowało znalezienie odpowiedniego tonu pozornie lekkiej gawędy, która jednak żadnego z poruszonych aspektów nie upraszcza.

Jeszcze ciekawsza jest druga seria, licząca 48 tekstów, której początek publikujemy w tym numerze, zatytułowana „Trochę wspomnień polskich”; składa się ona z migawek autobiograficznych i z kilku błyskotliwych analiz socjologicznych, również opar-



tych na osobistym doświadczeniu, dotyczących takich aspektów polskiego życia jak literatura, awangarda, polityka, kobiety, inteligencja, antysemityzm...

„Wspomnienia polskie” są zatem pasjonującym uzupełnieniem „Rozmów” z Dominikiem de Roux. W „Rozmowach” traktuje Gombrowicz swą polską przeszłość powierzchownie, ograniczając się celowo do elementów niezbędnie potrzebnych obcemu czytelnikowi do pełniejszego zrozumienia jego twórczości. Ileż natomiast w tych tekstach radiowych szczegółów, anegdot, świetnie nakreślonych sylwetek. Wczesne wspomnienia pozwalają lepiej ocenić książkę Tadeusza Kępińskiego „Witold Gombrowicz i świat jego młodości”. W późniejszych pisze Gombrowicz obszernie o Witkacym i Schulzu, Andrzejewskim i Rudnickim, Ważyku i Uniłowskim, Iwaszkiewicz i Lechoni. Aż trzy teksty poświęca Gombrowicz Marszałkowi Piłsudskiemu.

„Piłsudski (pisze Gombrowicz wspominając rozterkę Polski po jego zgonie) robił co się dało — a jego realizm, odwaga i męskość jakże świetniały na tle tchórzliwych pacyfizmów przemądrałego burżuazji francuskiego czy angielskiego z jego Briandem, Ligą Narodów i Lokarnem. Mnie, artystę, zachwycał i bawił styl Marszałka, cały ten jego tak własny, pyszny, soczysty, barwny sposób bycia, i ta wielkość jego tak swoista i soczysta. Było to zarazem doskonale polskie i niestychanie jego własne, osobiste...

My literaci, nieraz godzinami rozmawialiśmy o tej zdumiewającej figurze, ciesząc się nią i usiłując rozgryźć jej sekrety”.

„Urodziłem się i wychowałem w domu pełnym zacności” — to ironiczne zdanie, rozpoczynające jedno z moich opowiadań, mianowicie „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego”, może też stanowić początek niniejszych wspomnień. Rzeczywiście byłem maminsynkiem tak zwanej „zacnej” rodziny — ale tutaj słowo „zacna” należy użyć bez ironii, gdyż był to dom ludzi raczej dobrotliwych i mających swoje pryncypia.

Ojciec mój był właścicielem niewielkiego majątku w Sandomierskim oraz pracował w przemyśle, za czasów mego dorastania był prezesem Centrali Złomu i członkiem kilku rad nadzorczych i zarządów, co zapewniało mu dochód znacznie większy niż z owych maleńkich Małoszyc. Moja matka była córką Ignacego Kotkowskiego, obywatela ziemskiego w Sandomierskim. Ojciec mój pochodził z Litwy — dziadkowi memu, Onufremu, rząd rosyjski skonfiskował dobra w 1863-im i to skłoniło dziadka do przeniesienia się do Królestwa, gdzie za resztkę uratowanych pieniędzy kupił wieś Jakubowice, a potem drugą, Małoszycę — gdzie ja się urodziłem.

My, Gombrowicze, uważaliśmy się zawsze jako „nieco lepiej”

w proporcji do ziemiaństwa sandomierskiego, a to z powodu zwłaszcza rozmaitych pokrewieństw, które nam pozostały z litewskich czasów, a także dlatego, że litewska szlachta, bogatsza i od wieków osiadła na swoich majątkach, mogła poszczycić się lepszą tradycją, ściślejszą historią i znaczniejszymi urzędami. Nie jestem jednak pewny, czy sandomierska szlachta podzielała ten punkt widzenia. Ja byłem najmłodszy. Najstarszy był Janusz, potem szedł Jerzy, moja siostra Irena starsza ode mnie o dwa lata.

Moje życie w Polsce było spokojne i mierne; mało ludzi wybitnych znałem i mało doświadczyłem przygód. Ale chciałbym pokazać — choć nie wiem, czy to komu na co się przyda — w jaki sposób to życie mnie urobiło, mnie i moją literaturę. Naturalnie będą to zeznania bardzo niepełne, nieraz zatrzymujące się na samej powierzchni zdarzeń, bo nie tu miejsce na bardziej wyczerpujące analizy i brutalniejsze wywnętrzenia; ale przecież myślę, że i ta złagodzona biografia zdoła rzucić promyczek światła na rzeczywistość polską z tego okresu. Byłoby też niezłe gdybym przy sposobności mógł przekazać słuchaczowi, jak dziś widzę tamtą Polskę — z perspektywy dwudziestoletniego pobytu zagranicą, z perspektywy Zachodu, z perspektywy amerykańskiej.

Chyba tylko niewielu ludziom w kraju jestem znany z gruntownej lektury moich — trudnych dosyć i ekscentrycznych — utworów. Więcej jest takich co o mnie zasłyszeli i dla tych jestem przede wszystkim autorem „gęby” i „pupy” — pod znakiem tych dwóch potężnych mitów wszedłem do piśmiennictwa polskiego. Ale cóż to znaczy „zrobić komuś gębę” lub „przyprawić pupę”? „Zrobić gębę” to — opatrzyć człowieka inną twarzą niż jego własna, zniekształcić go... gdy, na przykład, człowieka niegłupiego traktuję jak głupca, a dobremu podsuwam intencje zbrodnicze, wówczas robię im gębę. A przyprawienie pupy jest właściwie identyczną operacją, z tą tylko różnicą, że tu idzie o traktowanie dorosłego, jak dziecka, o udziennienie. Otóż jak widzicie, obie te metafory są związane z aktem deformacji, której człowiek dopuszcza się na człowieku. I jeśli w naszej literaturze zająłem pewne odrębne miejsce to chyba przede wszystkim dlatego, że uwydatniłem niesłychane znaczenie formy w życiu, tyleż społecznym, co osobistym człowieka. „Człowiek człowieka stwarza” — to był mój punkt wyjściowy w psychologii. Sądzę też, że ta moja wrażliwość na formę od najwcześniejszego dzieciństwa pozwoliła mi osiągnąć potem własny styl pisarski i stworzyć gatunek, który dziś powoli zdobywa sobie obywatelstwo na szerokim świecie.

Skąd jednak wzięła mi się ta wrażliwość na formę ludzką, to jest na sposób bycia człowieka? Kiedyś, przed wojną, zna-

komity artysta polski, Bruno Schulz, w odczycie o mojej powieści *Ferdydurke* powiedział, że taka książka nie została wymyślona, że musiała ona być owocem wielu i ciężkich osobistych przeżyć. Schulz się nie mylił. Na swój sposób sporo się wycierpiałem, już w samym zaraniu mojej egzystencji, i o tych to mękach formowania się polskiego na razie pomówimy, aby potem zatracić o inne tematy.

Zacznę od tego, że mój dom rodzinny był — wbrew pozorom — jednym wielkim dysonansem, rozdzierającym stale moje dziecięce uszy. Wiele na to składało się przyczyn, a jedną z główniejszych była niezgodność temperamentu i charakteru pomiędzy moją matką a moim ojcem.

Ojciec — piękny mężczyzna, elegancki, „rasowy” jak to się wówczas podkreślało — miał opinię człowieka poważnego, odpowiedzialnego i uczciwego. Kontrast pomiędzy jego poprawnym i godnym zachowaniem a pewnymi dziwactwami nas, synów, niejednemu nasuwał refleksje w rodzaju: „co by na to powiedział ojciec pański” albo „jaka szkoda że nie wdali się w starego Gombrowicza”. Doskonały wygląd w połączeniu z umysłem ani specjalnie głębokim, ani o zbyt rozległych zainteresowaniach, ale sprawnie działającym, zapewniały ojcu te stanowiska raczej reprezentacyjne w rozmaitych radach i zarządach.

Moja matka natomiast, odznaczała się niezwykle żywym usposobieniem i bujną wyobraźnią. Nerwowa. Egzaltowana. Niekonsekwentna. Nie umiejąca się kontrolować. Naiwna i, co gorzej, mająca o sobie jak najbardziej pomyłone wyobrażenie. Ojciec nieraz ulegał jej bystrości i inteligencji, ale częściej znosił w milczeniu jej egzaltację, z którymi rzeczywiście trudno było dać sobie rady.

Nie chciałym za długo rozwodzić się o najbliższej rodzinie. Powiem, że — moim zdaniem — to matka wniosła w nasz dom tę głęboką rozterkę formalną, na której wyrosłem. Nie winię jej o to, gdyż miała naturę szlachetną i najlepsze intencje, a też niezmiernie była do nas przywiązana — ale mówiąc doskonale po francusku, posiadając rozmaite wiadomości, które stanowiły edukację panny ze sfery ziemiańskiej, posiadając też niewzruszone zasady moralne, pozbawiona była tego co tyle pewności siebie, naturalności i prostoty przysparza zwykłej dziewczce od krów — była niesprawdzona przez życie. Nigdy naprawdę nie zetknęła się z życiem. Oto co odbierało jej autorytet w naszych oczach i co sprawiło, że poruszała się w próżni.

W tej próżni nie wiedziała już kim jest właściwie, i zbudowała sobie osobowość zgoła fantastyczną. — Ileż pracy włożyłam w ten ogród! — mówiła oprowadzając gości po ogrodzie małozwyckim, ale my wiedzieliśmy, że to dzieło ogrodnika — Trochę

to dziwne, przyznaję, ale mam słabość do filozofii, do ścisłego myślenia, lubię poczytać sobie Spencera — mówiła w najlepszej wierze, ale my wiedzieliśmy, że tomy Spencera pozostały nierozcięte. — Napracowałam się ciężko wychowując dzieci — ale nam było wiadomo, że główny ciężar tej pracy spadł na guwernantki.

Tak to widziała siebie jako „kobietę pracy i zasad”, „spełniającą obowiązki”, „systematyczną, ścisłą, umiejącą zarządzać i organizować” gdy w rzeczywistości była przeciwieństwem tego wszystkiego — fantastyczna, niezaradna, niezdolna do systematycznego wysiłku i przyzwyczajona do rozmaitych ułatwień, których dostarcza pieniądze. Bynajmniej nie robię mojej matce zarzutu, że była taka jaka była. Miała też świetne zalety, choć w innym gatunku — dobroć, szlachetność, prawość, inteligencję — a jej słabości były trochę następstwem jej nerwów, a trochę wynikiem sztucznego życia i niemniej sztucznego wychowania.

Ale to, że nie chciała być tym czym była, przyznać się do siebie, zemściło się na niej — gdyż my, synowie, rozpoczęliśmy z nią wojnę. Drażniła nas. Prowokowała. I od tego chyba zaczęły się moje bolesne przygody z rozmaitymi spaczeniami polskiej formy, które działały na mnie jak łechtanie: człowiek śmieje się do rozpuku, ale przyjemne to nie jest.



Wojna, jaką ja i moi starsi bracia toczyliśmy z moją matką, polegała przede wszystkim na systematycznym przeczeniu — cokolwiek by powiedziała. Wystarczyło aby matka zauważyła mimochodem, że deszcz pada, a mnie siła przemożna zmuszała natychmiast do stwierdzenia z wystudowanym zdziwieniem, jakbym usłyszał największy absurd: — Jakżeż! Przecież słońce świeci!

Myślę, że to wczesne ćwiczenie się w oczywistym kłamstwie i w jawnej niedorzeczności znakomicie przydało mi się w późniejszych latach, gdy przystąpiłem do pisania mych tworów.

Ale, zważywszy że było nas trzech — moja siostra nie brała udziału w tym sporcie — dom nasz zaczął powoli przypominać dom wariatów i tylko surowość i powaga ojca chroniła od zupełnej katastrofy. Nieustanna, oszałała polemika z matką dotyczyła wszystkich możliwych spraw: filozoficznych, moralnych, religijnych, społecznych, rodzinnych, towarzyskich. Jeśli matka kogoś pochwaliła, to my musieliśmy ganić. Jeśli coś jej się spodobało, my nie spoczęliśmy póki nie znaleźliśmy dziur w całym. Jej niesłychana naiwność sprawiała, iż zawsze na nowo dawała się wciągać w te niesamowite dyskusje — co nas, oczywiście, za każdym razem bardziej radowało. Zabawa! Te igraszki pozwalały nam zapomnieć o głębszych, bardziej dramatycznych zadrażnie-

niach, kryjących się na spodzie, i bardzo ułatwiały obcowanie z matką. Stąd zapewne wziął mi się, w późniejszej mojej twórczości kult zabawy i zrozumienie dla jej ogromnego znaczenia w kulturze.

Wówczas tej zabawie przewodził mój brat, Jerzy, — natura artystyczna, urodzony komik i kpiarz, obdarzony dużym poczuciem efektu i z ogromną inwencją w zakresie rozmaitych powiedzonek — niektórymi z nich do dziś się posługuję popełniając nędzny plagiat. Byłem wtedy całkowicie pod jego wpływem. Polemika z matką wymagała także wysuwania problemów specjalnie prowokujących, celem wywołania dyskusji — w szczególności temat rozwodów nadawał się do tego, gdyż matka była gorliwą katoliczką i osobą tak zwanych „zasad”.

— Nowy rozwód w rodzinie! — anonsował rozgłosnie Jerzy już z przedpokoju, na co ja odpowiadałem z głębi domu:

— Co?! Nowy rozwód w rodzinie! Nie może być!

— Wyobraź sobie — krzyczał Jerzy przez cztery pokoje — spotkałem w tramwaju ciotkę Różę, która przysięgała że Ela rozchodzi się ze swoim trzecim mężem!

— Nie, nie wierzę! — krzyczałem patetycznie aby wywabić matkę z sypialnego. I rozpoczęła się dyskusja, w której podtrzymaliśmy tezę, że rozwody są doskonałym wynalazkiem, gdyż „dzieci uzyskują podwójną ilość rodziców” oraz „doskonale się czują mając do wyboru dwa domy, zamiast jednego”.

Przypominam sobie też dyskusję na temat, czy pewna nasza kuzynka dobrze robi zasiadając do brydża ze swoimi trzema eks-mężami. My twierdziłszy że to dowód wysokiej kultury.

Jak widzicie była to wcale niezła szkoła dialektyki, która w podziw wprawiała naszą służącą, Anielę. — Co też ci panowie z naszą panią wyprawiają! Nie będę naturalnie bronił słuszności naszych poglądów, ale takie kpinki z zasad, może zanedo sztywnych, też nie były całkiem niezdrowe. Matka brała udział w życiu społecznym, była czas jakiś przewodniczącą Stowarzyszenia Ziemiaków, instytucji nader świętobliwej, ale nacechowanej nieuleczalną górnolotnością stylu. My, naturalnie z dziką rozkoszą sprowadzaliśmy te wloty z nieba na ziemię, a ja nawet podśmuchiwałem za drzwiami te sesje aby zdobyć materiał do satyry. Ale to wszystko nie ograniczało się do zabawy. W głębi coraz silniej gryzło nas podejrzenie, że i my nie jesteśmy wolni od tej choroby „nierzeczywistości”, którą zwalczyliśmy w matce — tak, albowiem zaczęliśmy wyczuwać, jeśli nie rozumieć, że i my, podobnie jak ona, jesteśmy niesprawdzeni przez życie i bez istotniejszego z nim kontaktu.

Dotykam tutaj jednej z najdotkliwszych moich bolączek, która bardzo duży wywarła wpływ na mój rozwój. I nie wątpię, że

na tę chorobę cierpiała w Polsce cała tak zwana klasa wyższa, z wyjątkiem tylko ostro pracujących zawodowców, jak lekarze, czy inżynierowie, których codzienny wysiłek stykał z rzeczywistością. Ale ziemiaństwo, ale zamożna burżuazja, ale spora część intelektualistów to były osoby egzystujące życiem ułatwionym, nie znające istotnej walki ani o byt, ani o jego wartości. Jakże charakterystyczne, że mój ojciec, na przykład, tylko bardzo z rzadka i jakby przypadkiem zdawał sobie sprawę z anormalności swojej sytuacji społecznej, podczas gdy my, następnego pokolenie, widzieliśmy to już o ileż wyraźniej... o ileż wyraźniej... Dla mojego ojca lokaj to była rzecz jak najbardziej naturalna i rozumiejąca się sama przez się, a nawet potem gdy, demokratyzując się, zjechaliśmy z lokaja na służącą, pozwalał się obsługiwać jak gdyby to leżało w przyrodzonym porządku świata. Ojciec był jeszcze panem w sposób naturalny, z całą swobodą, i muszę przyznać, że prości ludzie chwyтали tę jego naturalność instynktem i o wiele chętniej krzatali się wokół niego niż wokół nas — panów już kurczowych, usiłujących nadrabiać miną.

Matka także przyjmowała pańskość jako coś doskonale naturalnego. Moi rodzice należeli do pokolenia, które prawie nie doświadczało, w sensie społecznym, tego co Hegel nazywał „złą świadomością”. Uważali, że każdy powinien żyć na tym szczeblu na jakim los go usadowił, wypełniając obowiązki które na niego spadały z tytułu przynależności do danego środowiska. Panowie powinni być dobrymi panami, a służba dobrą służbą — oto cała filozofia. Reszta to były mrzonki, wymyślone przez teoretyków.

Za to nam, młodemu pokoleniu, sprawy te wcześniej poczęły dawać się we znaki. Ale w owej wczesnej młodości mojej — od jakichś 14 do 18 lat — mniej byłem wrażliwy na aspekt moralny zagadnienia, a więcej odczuwałem związane z tą nierównością osobiste upokorzenia. Póki siedziałem w Warszawie wszystko było mniej więcej znośne. Ale gdy na wakacje wyruszałem na wieś, rozpoczynał się dramat.

Byłem w przyjaźni z rozmaitymi mymi rówieśnikami, synami chłopów i fernali. To stąd się wzięło, że kiedy jeszcze byłem dziesięcioletnim brzdącem Janusz zorganizował mi „gwardię” to jest oddział wiejskich chłopaków, którym komenderowałem. Naturalnie już wtedy przechodziłem okropne męki, gdy podczas odbywania musztry matka czy też guwernantka krzyczały z dala abym nie przemoczył sobie nóg i „czy ci nie chłodno?”. W bezsilnej wściekłości, niemej i udęconej, przyjmowałem ten bezwstyd babski, tak cyniczny, tak nie zdający sobie sprawy ze szkody jaką mi wyrządza. Sytuacja moja była przedziwna. Teoretycznie byłem wodzem, paniczem, istotą wyższą, powołaną do rozkazywania — w praktyce wszystkie atrybuty mej pańskości, jak buty, kurtka,

szalik, guwernantka i, o zgrozo, kalosze, strącały mnie na dno upokorzenia i z ukradkowym, skrzętnie zamaskowanym, podziwem spoglądałem na bose nogi i grzebne koszuliny mych podwładnych. To niezmiernie silne przeżycie pozostało mi na zawsze i w późniejszym wieku wypowiedziało się w sztuce — jako satyra na pańskość, na wyższość, na dojrzałość.

Oto już wtedy, w wieku lat dziesięciu mniej więcej, odkryłem coś ohydneho: mianowicie, że my „państwo” jesteśmy zjawiskiem zupełnie groteskowym i niedorzecznym, głupim, boleśnie komicznym i nawet wstrętnym... Tak właśnie! Niewiele mnie obchodziło, czy jesteśmy wyzyskiwaczami ludu i jaka jest nasza moralność, natomiast przerażało mnie, że tak idiotycznie wyglądamy na na tle prostych ludzi. Z tego kompleksu wyleczyła mnie dopiero Ameryka.



Kiedy miałem lat jedenaście — było to w roku 1915-tym — nastąpiła wielka zmiana w moim życiu, rodzice oddali mnie do szkoły. Ta szkoła — gimnazjum filologiczne im. św. Stanisława Kostki — mieściło się wówczas dość obskurnie na którymś tam piętrze któregoś tam podwórka kamienicy przy ul. Brackiej, ale wkrótce miało przenieść się do przestronnego budynku na rogu Traugutta i Krakowskiego Przedmieścia.

Byłem przerażony. Grała we mnie nie tylko moja wrażliwość, ale i wiejska nieśmiałość, nieotrząskanie się z ludźmi, właściwe synom domów ziemiańskich. I pierwsze lata były bolesne — wstąpiłem do drugiej klasy, więc byłem jednym z najmłodszych, a że temperament miałem niespokojny i przekorny więc wprędce stałem się ofiarą wszystkich korkociągów, nożyc pojedynczych i podwójnych, nelsonów oraz zwykłych kuksów i kopniaków. Przypominam sobie ze specjalnym rozrzewnieniem dwie tortury — jedna polegała na przesuwaniu grzbietu ręki po włosach jakimś diabelskim sposobem wydzierającym, zdawało się, uwłosienie — druga nie była tak bolesna, ale za to nie można było od niej się opędzić zasadała się na podbijaniu nogi „bocznym, na płask”.

Mnie zaraz dopadło kilku okropnych drabów, którzy stali się moimi dręczycielami. I co rano, idąc do szkoły z pracowicie wypchaną teczką, wiedziałem że zanim ją rozpakuję doskoczy do mnie Braksal żeby mi założyć wierzciela, a Wasiński zada mi „pod pomadę”.

Mimo to nie stoczyłem się do rzędu oferm — zacząłem szukać sprzymierzeńców i zabrałem się do organizowania zaczepno-odpornego bloku, co tym łatwiej mi przyszło, że w następnym roku wstąpił do szkoły Kazio Baliński, mój serdeczny przyjaciel, syn

Ignacego Balińskiego, senatora i prezesa Rady Miejskiej, a brat młodszy poety Stanisława. Z Kaziem i Zazą Balińskimi, a też z Antosiem Wasiutyńskim pobieraliśmy poprzednio lekcje prywatne od nauczycielki, pani Kiersnowskiej. Gdy więc odnaleźliśmy się w szkole z Kaziem i Antosiem, od razu uformowaliśmy przymierze, do którego przystąpił potem Tazio Kępiński, najbardziej zaprzyjaźniony z Balińskim. Ale zanim to się stało, zanim nieco zadomowiłem się w tej nieszczęsnej budzie i poznałem jej sposoby i sposobiki, przeszedłem przez wielkie męczarnie którym towarzyszył dziki chichot oprawców.

W tych pierwszych latach marzyłem, żeby podrosnąć, żeby dostać się do klas wyższych, które wydawały się niebiańską oazą cywilizacji w porównaniu z piekłem rozwrzeszczanym, rozbieganym, doskakującym, odskakującym, w stanie nieustannego wrzenia, bez jednej chwili spokoju — a do tego brud, brzydota tych miniatywnych szczeniaków. *Age ingrat* — wiek niewdzięczny — tak to nazywa się po francusku. Jednym z najdziwniejszych odkryć, jakich dokonałem w moich późniejszych podróżach na Zachód, było iż ów wiek niewdzięczny przejawiał się w Niemczech, czy na przykład we Włoszech, o wiele słabiej, tamci chłopcy byli o ileż mniej pokraczni... a kiedy znalazłem się w Argentynie okazało się, że tu prawie nie ma wieku niewdzięcznego. Elegancja, wdzięk, poprawność takiego brzdąca argentyńskiego, życzliwie uśmiechniętego i ładnego, jego wycucie formy jest naprawdę godne zazdrości.

Gdybym zajął do Polski na parę miesięcy, jak miałem zamiar jeszcze w roku zeszłym, to przede wszystkim dokonałbym inspekcji brzdąców aby stwierdzić, czy nastąpiła poprawa od czasów mojego dzieciństwa i byłoby to dla mnie bardziej miarodajne w ocenie postępów kultury polskiej niż cała produkcja literacka i naukowa w ciągu czterdziestu lat. Naturalnie nie należy sądzić, że ja, gorsząc się już wtedy mymi pokracznymi koleżkami, sam byłem rodzajem małego Petroniusza, nie znającego co to krosty, brudne uszy i brudne paznokcie. Na odwrót raczej, niezależnie od tych przypadłości, byłem dodatkowo dotknięty rozmaitymi innymi... były to na ogół pozy, maniery, przemądrzałości, zblazowania, pretensjonalny estetyzm, owoc, słowem, nadmiaru wyobraźni a po trosze i atmosfery domowej. Dziś łatwo mi się o tym mówi, ale wtedy było to naprawdę straszne i ja naprawdę cierpiełem — w tym otoczeniu, zapamiętałem w brzydocie, i sam będąc nielepszy!

To gimnazjum imienia św. Stanisława Kostki było bardzo arystokratyczne. Roilo się od Radziwiłłów, Potockich, Tyszkiewiczów, Platerów, ale nie brakowało też chłopców z niższych klas społecznych. Lepszy wygląd tych „karmazynów”, jak ich nazywał

kolega Adamski, oraz ich pewna elegancja od razu wpadły mi w oko — nawet wśród nas, szczeniaków, wyróżniali się czymś bardziej europejskim a nawet nie byli pozbawieni wykwintu. Arystokracja trzymała się na ogół razem i dopuszczała do swego grona co najwyżej niektórych szczęśliwców, spowinowaconych lub nie, ale w każdym razie z rodzin należących do tak zwanego towarzystwa. Odbywało się to z zadziwiającą w tak młodym wieku precyzją, drogą jakiejś selekcji naturalnej, chyba nieświadomie — ale niezłomność, nieustępliwość owego tabu arystokratycznego na tle rozwydrzonej i wrzaskliwej naszej anarchii stała się dla mnie objawieniem niepisanego prawa — z tych co tym bardziej dają się we znaki im mniej się je proklamuje. Kazio Baliński, który miał babkę hrabiankę (nie z najlepszych) a prababkę księżniczkę, poza tym ojca senatora, należał do wybrańców, którzy ewentualnie mogli być dopuszczeni; ja, mając kilka ciotek hrabin, też od biedy mógłbym „zadawać się” z Bisiem Tyszkiewiczem czy też Władkiem Potockim i towarzyszyć im, gdyśmy wracali ze szkoły do domu. Ale ani Kazio, ani ja, nie zrobiliśmy w tym kierunku żadnego wysiłku. We mnie chyba już wtedy zaznaczyła się niemożność — która tyle szkody wyrządziła mi w późniejszym życiu — obcowania z osobami wyżej postawionymi. Nie było to następstwem kompleksu niższości — pochodziło raczej z tego, że już wtedy miałem pewien własny sposób bycia i dobrze się czułem tylko z tymi, którym mogłem tę formę narzucić. A arystokracja miała własny *genre*, tak określony a zarazem banalny i nieosobisty, że nie dawałem rady — tutaj musiałem się podporządkować.

Przypomnę teraz poprzednie moje zwierzenia — czy pamiętacie? — o chłopakach wiejskich, o tej mojej gwardii przybocznej, której przewodziłem, podziwiając ją skrycie za to, że chodziła boso i nie używała kaloszy. Już w owym czasie zarysowały się przede mną dwa rodzaje piękności, mnie dostępnej, to jest mego chłopięcego dotychczas wieku. Jedna — ta prosta, bosa, naturalna, druga — tych chłopców z najlepszych rodzin w kraju, niewątpliwie rasowych, już w zaraniu lat obdarzonych elegancją i nawet dystynkcją, stanowiących zamknięty klan. Co wybrać? Nie było to łatwa sprawa, gdyż natura moja, natura artysty, była jednak gdzieś na dnie instynktownie arystokratyczna — nie zapominajcie, że artysta ma instynktowne wyczucie hierarchii, wyższości, wykwintu, że sztuka polega na bezwzględnym segregowaniu wartości i wybieraniu tego, co wyższe i lepsze, a odrzucaniu i to pogardliwym tego co pospolite i byle jakie.

Nie byłoby więc dziwne gdybym wybrał Potockich i Radziwiłłów, tak jak wybrał ich Szopen, albo Proust, albo Balzac. Ale, z drugiej strony, już wtedy dostrzegałem pewne drobne

obrzydliwości... tak, pewne drobne obrzydliwości... tej arystokracji, które mnie, w moich latach czternastu, dawały do myślenia...

Na przykład... dłubanie w nosie. Tak, dłubanie w nosie. Zauważyłem, że arystokracja chętnie ten sport uprawia. Zauważyłem też, że dłubanie w nosie moich chłopaków wiejskich było jakieś niewinne i nie rażące — podczas gdy ta sama funkcja dokonywana ręką Potockich czy Wielopolskich stawała się okropnie nieprzyjemna i odstręczająca.

To potężne odkrycie jeło skłaniać mnie ku lewicy. Ale jednocześnie fala snobizmu owładnęła mną i zakłóciła na długi czas mój rozwój.



W tych latach wojna światowa wzbudziła we mnie nieuleczalną tęsknotę do Zachodu.

Wspominam o tym, gdyż to chyba bardzo polskie — i dziś tak żywe, jak wtedy... Jedną z najbliższych przyjaciółek mojej matki była profesorowa Mikułowska-Pomorska, której mąż był zwolennikiem państw centralnych i zajmował stanowisko ministra w rządzie Rady Regencyjnej. Pod ich wpływem, moja matka też przejawiała lekkie skłonności pro-niemieckie, co oczywiście wystarczyło abyśmy — moi bracia i ja — zadeklarowali się z pasją po stronie koalicji.

Studiowałem z napięciem zmiany frontu i zaznaczałem na mapie ołówkiem każdą zdobytą wioskę gdzieś tam, w pobliżu Reims czy Amiens, z uroczystą miną — jak gdyby od tego miało zależeć wygranie wojny. Za tym frontem zaczynała się dla mnie Europa, Rosjanie i Niemcy to było jakieś drugorzędne istnienie, śmieszne, barbarzyńskie, oddzielające od tamtego — od cywilizacji. Przeczynałem, wiedziałem, że tam jest mój świat, moja ojczyzna, moje przeznaczenie. Kiedy w roku 1918 pękła ta zaporą i Zachód zaczął przeciekać, z początku kroplami, było to dla mnie równie ważne co odzyskanie niepodległości. Byłem w tłumie, witającym Paderewskiego, jadłem czekoladę „zachodnią” przywiezioną przez Amerykan, przyjaciół Janka Balińskiego, oglądałem mundury Hallerczyków, widziałem z daleka samochód ambasady francuskiej...

W owym czasie miałem z moim bratem starszym następujący dialog, na wsi, w Małoszycach.

— Dobrze byłoby zrobić jaki chodnik, żeby nie topić się w błocie idąc na gumno albo do stajni.

— Zawracanie głowy!

— Dlaczego?

— A bo błoto jest błoto! Zrobię chodnik, to za trzy dni rozwałą. A błota nie rozwalisz. Błoto jest błoto!

— Błoto jest błoto u nas! Gdzie indziej nie! Dają sobie z nim radę. Tylko u nas błoto to takie błoto że już z tego błota...

— Głupis! Mrzonki! Trzeba myśleć realnie. U nas są inne warunki.

Inne warunki! Europa to dla mnie przede wszystkim były *inne warunki*. Tam nie obowiązywał ten okropny realizm, charakterystyczny dla całego Wschodu, którego tyle się nasłuchiwałem od rozmaitych wujów i nie wujów, realizm straszliwie uległy wobec natury, wypełniony przekonaniem, że *naprawdę* świństwo jest obowiązujące i nie dasz rady, musisz się w nim topić. Ja Francję i Anglię wyobrażałem sobie właśnie jakoś tak: jakby tam wyłaziło się z błota i odnajdywało twardy grunt pod stopami, wracała pewność i swoboda ruchów.

Później, w Ameryce, spotkałem się z taką samą dręczącą nostalgia za Europą — ludzie, którzy, wiedząc że nigdy nie będzie ich stać na przeskokowanie Atlantyku, kupowali sobie coś europejskiego... porcelanę, mapkę Paryża lub Rzymu... i przechowywali to jak świętość. Znałem i takich co lepiej z tych mapek posiadli topografię Paryża niż rodowity paryżanin.

Jakież wspaniały był ten rok 1918-ty! Byłem jeszcze za młody aby pojąć całą piękność finału pierwszej wojny światowej — o ileż bardziej napiętego poezją od zakończenia drugiej wojny. Było to jakieś wzruszające budzenie się do nowego życia, pełne obietnic, druzgotanie tronów monarszych i sztywnych kołnierzyków, wąsów i przesądów „honorowych”, wolność ciała mieszająca się z wolnością ducha, pogrom tużurków, lakierek, wielkie rozprężanie się młodzieży witającej swój czas, wielki wiatr swobody gdy kolana kobiece ukazywały się spod spódnic... Nie upijałem się tym jak starsi ode mnie o kilka lat poeci z grupy Picadora, późniejsi Skamandryci, którzy już przygotowywali swój start, ale przecież czułem elektryczność w powietrzu. Europa! To słowo podniecało niemniej niż słowo Polska. Europa skrwawiona ale już błyszcząca, wschodząca jak księżyc nad do niedawna „prywisłanskim” krajem, nad naszą gubernią.

Nie sformułowałem tego jasno, ale czułem, że zarysowuje się w dali jakaś możliwość wyzwolenia się z brzydot polskich, które mnie męczyły.

Popołudnia spędzałem wówczas u Balińskich — których dom był, jak to się mówiło, „światły”, „kulturalny”, obfitujący w liczne kontakty z Paryżem, Londynem, nie obcy też literaturze i sztuce. Nie miałem naturalnie dostępu do uroczystych śniadań, jakimi prezes Ignacy podejmował nuncjusza i inne osoby z korpusu dyplomatycznego, ale Staś Baliński raczył od czasu do czasu

wtajemniczać nas, Kazia, Zazę i mnie, smarkaczy, w poczynania poetów Pikadora i Skamandra, którzy rozpoczynali swoją poetycką ofensywę. To było pierwsze moje zetknięcie z literaturą. Wystuchiwałem z podziwem owych uroczystych plotek, dotyczących rozmaitych szaleństw, ekscentryczności, prowokacji Tuwima, Lechonia, Słonimskiego i wsłuchiwałem się w pierwsze ich wiersze nic prawie nie rozumiejąc. Przy tym wszystkim, pozostałem prowincjonalny do szpiku kości, nieśmiały, wiejski, dziki, trochę maminsynek i choć duchowo przeżywałem z wielką intensywnością budzącą się nowość polskiego życia, w praktyce nie umialem nawiązać z nią styczności.

Myślę, że Stasiowi ani do głowy nie przyszło, iż ten nieśmiały i niewypierzony Ita (to przydomek przywiózł mi z Japonii mój ojciec chrzestny, generał Dowbór-Muśnicki i tak mnie wówczas nazywano) przemieni się kiedyś we wroga numer jeden Skamandra i wielu innych rzeczy, które on, Staś, ceniał — nie wiedział, że żmiję hoduje na łonie. Myślę, że do dziś trudno mu uwierzyć, iż ten Gombrowicz z *Ferdydurke* i *Dziennika* jest tym samym potulnym Itą sprzed lat, nabożnie przyjmującym jego poetyckie objawienie.

Ale bo też ja wtedy nie umialem się wypowiedzieć! Prawie z nikim! Ze starszymi, z rodzicami, z rodziną, z obcymi byłem jak sparaliżowany, jedynie z kilkoma najbliższymi towarzyszami odyskiwałem zdolność — wcale niezłego — mówienia. I dojrzywały we mnie bunt, których nie umialem zrozumieć ani okiełznać. Przypominam sobie pogrzeb, w którym brałem udział, pogrzeb pewnego krewnego — szli za trumną Balińscy, bardzo poprawni i wiele innych osób — a mnie wtedy napadł demon i zacząłem zachowywać się prowokacyjnie, wsadziłem ręce w kieszenie, kopałem wszystko co mi się po drodze nasunęło, oglądałem się za kobietami, w końcu ku przerażeniu moich rodziców zacząłem głośno gawędzić z innymi nie mniej przerażonymi uczestnikami pogrzebu — w końcu, już na cmentarzu, napadł mnie śmiech niezwalczony i dusiłem się nad trumną z nieprzytomnego chichotu...

Innym razem poszedłem do naszego profesora rysunków, którym był malarz... już nie pamiętam nazwiska.

— Byłem na wystawie pana profesora — powiedziałem ni stąd ni zowąd — ale obrazy zupełnie mi się nie podobały. Do niczego! Aż wstyd! Dziwię się panu!

Malarz ten miał nade mną przewagę, której nie mają dzisiejsi malarze. Złapał mnie za ucho i postawił pod ścianą w kancelarii, gdzie przez godzinę całą przetykałem łzy oburzenia i upokorzenia.

W miarę dojrzewania stawałem się coraz bardziej niebezpieczny. Moje wypracowania z polskiego były najlepsze i to mnie

ratowało, bo w innych materiach byłem nieuk i leń. Pewnego razu nasz profesor, Ciepliński, zadał nam wypracowanie klasowe o Słowackim. Znudzony wiecznym kadzeniem wieszczowi, postanowiłem dla odmiany dać mu bobu. Początek, o ile pamiętam, brzmiał jak następuje: „Juliusz Słowacki, ten złodziej, który okradł Byrona i Szekspira i nic własnego nie potrafił wymyślić”. Dalszy ciąg nie ustępował początkowi. Profesor Cepliński postawił pałkę i zagroził, że prześle wypracowanie do Ministerstwa, na co ja zapytałem dlaczego zmusza uczniów do hipokryzji. I, aby go zniszczyć, zadeklamowałem na całą klasę ustęp z tomiku jego, Cieplińskiego, wierszy: KSIĘŻYC LEJE NA SOSNY I WYSMUKŁE ŚWIERKI.



Miałem lat szesnaście i ukończyłem szóstą klasę, gdy nadciągnęło dramatyczne lato 1920 roku. Te wakacje spędzałem na wsi, w Małoszycach. Stopniowo komunikaty wojenne stawały się coraz groźniejsze i w końcu zaczęły docierać nawet do mojej młodzieńczej świadomości. Bolszewicy zbliżali się. Pewnego dnia, już nie pamiętam z jakich względów, wróciliśmy do Warszawy i tam przeżyłem decydujące dni sierpniowe.

Były to ciężkie przeżycia. Z wojny światowej niewiele wspomnień wyniosłem, gdyż byłem jeszcze dzieckiem, wojnę poczułem dopiero teraz, wojnę z dodatkiem strachu przed rewolucją, i z czymś jeszcze dla mnie dotkliwszym... strachem przed służbą wojskową.

Cała młodzież zgłaszała się wówczas na ochotnika, wszyscy prawie moi koledzy chodzili już w mundurach, na ulicach pełno było afiszów z palcem wskazującym i z napisami w rodzaju „Ojczyzna cię wzywa”, a młode panienki zapytywały młodzieńców na ulicach: — Dlaczego pan jeszcze nie w wojsku?... Przypominam sobie, że to bardzo oburzało moją babkę. — Wyobraź sobie, Tosiu — mówiła do mojej matki — co za czasy, co za bezwstyd tych pannic, zaczepiać bez żenady młodych ludzi, przecież taki może jej odpowiedzieć: pani mi się nie podoba! Ale wrpedce i babka przestała się przejmować tym co wypada i co nie wypada, zaczynało robić się gorąco.

Dla mnie wojsko to była zhora. Nie wojna, nie bitwa, a właśnie koszary, mundur, sierżant, musztra, cały tryb wojskowy, który był mi nienawistny i nie do zniesienia. W moich szesnastu latach zdarzało mi się myśleć z niepokojem o czekającym mnie wojsku za lat pięć — aż tu tymczasem psi figiel Historii sprawił, że panienki na ulicach nagabywały mnie już teraz: — Dlaczego kawaler nie w mundurze? Co prawda byłem najmłodszy w klasie — ale sam rozumiałem, że to wykręt. Co prawda

moja matka, przerażona, potępiała rząd za „werbowanie dzieci” — ale nie łudziłem się, że to był wyraz jej egoistycznego strachu o własne dziecko. Pod jednym względem przynajmniej byłem na wysokości sytuacji: nie oszukiwałem się, nie ukrywałem przed sobą, że się boję wojska i jestem do niczego.

Cóż za upokorzenie! Tym bardziej, że nie byłem dotknięty chorobą, czy ułomnością — na pozór nic mi nie brakowało. A więc byłem tchórzem? Dzisiaj z większym spokojem odnoszę się do tego mego tchórzostwa, wiem, że natura moja powołała mnie do pewnych specjalnych zadań i rozwinęła we mnie inne cechy, nie mające z wojskiem nic wspólnego. Ale chłopak szesnastoletni nic jeszcze nie wie o sobie i nie ma dla niego zbawienia, jeśli nie jest jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Ten rok 1920-ty uczynił ze mnie istotę „nie taką jak wszyscy”, wyodrębnioną, żyjącą na marginesie społeczeństwa. Takim życiem marginesowym żyję do dzisiaj — w dalszym ciągu moich wspomnień może wyjaśnię, jak takie wyobcowanie ze społeczeństwa można pogodzić z pracą z istoty swojej społecznej, jaką jest literatura. Ten rozbrat z gromadą, z narodem, zmuszający do szukania własnych dróg i życia na własną rękę, począł się dla mnie w owym pamiętnym roku bitwy warszawskiej.

Stanowcza opozycja mojej matki przemogła wolę ojca, który domagał się abym „spełnił swój obowiązek”. Zostałem przydzielony do jakiejś cywilnej instytucji — nie pamiętam, jak się nazywała — trudniącej się przesyłaniem paczek żołnierzom na froncie. Mieściła się ona w gmachu uniwersytetu i zatrudniała kilka panienek, oraz kilku chłopców, którym rodzice „nie pozwolili iść do wojska”, jak mnie.

Trudno by mi było opisać ówczesny mój stan psychiczny, tak ważny przecież dla całego późniejszego rozwoju. Byłem upokorzony — byłem też zbuntowany — te przygody pchnęły mnie w anarchię, w cynizm i po raz pierwszy zwróciłem się przeciw ojczyźnie, państwu i innym instrumentom zbiorowego nacisku na jednostkę. Byłem dość uczciwy aby nie wykpiwać się frazesami z sytuacji, której niedwuznaczność nie pozostawiała nic do życzenia. Nie miałem prawa być patriotą, skoro uchylałem się od wojska w takiej chwili. Co prawda nie mnie jednego nie puścili rodzice do wojska, sporo było szesnastolatków po rozmaitych cywilnych urzędach, ale tego rodzaju argumenty to była blaga i wolałem spojrzeć prawdzie w oczy. Ale wówczas nie umiałem jeszcze przeciwstawić gromadzie jakiejś filozofii broniącej jednostki, mogłem jedynie odpowiedzieć buntem — miałem uczucie, że jestem sam, sam, przeciwko wszystkim, że trzeba mi się zamknąć w sobie i nikomu nie dawać dostępu.

To, że młodzieńca bierze się siłą do wojska — że go się

zmusza do przysięgi i że taka przymusowa przysięga jest traktowana jak dobrowolne zobowiązanie — zostaje się on na rok lub dwa niewolnikiem sierżantów i oficerów — że wymaga się od niego ślepego posłuszeństwa i ofiary z własnego życia — to wszystko może być do przełknięcia tylko dla osób, które służbę wojskową już mają poza sobą, lub dla takich, którym rutyna i zwyczaj zastąpiły bezpośrednio wycucie rzeczywistości.

Mój kuzyn, Bebuś Rosset, wpadał do nas od czasu do czasu — był oficerem 1-go pułku ułanów, wsławionym rozmaitymi przygodami, i wnosił ze sobą atmosferę frontu i walki. Kiedyś go zapytałem:

— Jakże ty możesz narażać własne życie, dlatego tylko, że jakiś inny facet ci każe?

— Ten co mnie każe — odpowiedział swoją kresową wymową Bebuś — nie jest żaden facet, a wyższy oficer, władza.

— Jaka tam władza — powiedziałem. — Jak go rozebrać do goła taki jak ty, albo gorszy. No, i dlaczego on ma ciebie wysyłać na śmierć?

Nie wyjaśnił mi tego, tylko zaśpiewał:

*„Patrz w lufę tego manlichera
Z tej lufy czarna śmierć spojiera
Może wróćę zdrów
To zobaczę znów
Moje miasto Lwów”.*

Tak na ogół mi odpowiadano. Piosenkami, albo dowcipami, lub — w najlepszym razie — zdawkowymi wywodami na temat obowiązków itd. Ja byłem jeszcze o sto mil od opanowania intelektualnego tych trudnych zagadnień, ale już zaczynałem rozumieć, że życie ludzkie w Polsce jest tanie. W literaturze zachodniej, przede wszystkim francuskiej, którą zaczynałem studiować, jednostka miała większą wagę. Człowiek i jego egzystencja były tam sprawą poważną, ważniejszą bodaj od losów państw i narodów. Próbowałem też zrozumieć coś niecoś z „Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki” Kanta — i tu także objawiało mi się fundamentalne znaczenie tego „ja”, tak postponowanego w moim kraju rodzinnym.

Myślę, że to rok 1920-ty uczynił ze mnie to, czym pozostałem do dzisiaj — indywidualistą. A stało się tak dlatego, że nie potrafiłem sprostać moim obowiązkom względem narodu w momencie szczególnego zagrożenia świeżej naszej niepodległości. To postawiło mnie w sytuacji przymusowej — nie miałem wyboru. Patriotyzm bez gotowości poświęcenia życia za ojczyznę był dla

mnie pustym słowem. Ponieważ we mnie tej gotowości nie było, musiałem wyciągnąć konsekwencje.

Naturalnie w późniejszym rozwoju wszystkie te fermenty młodości ucywilizowały się i uładziły. Ale nie zniknęły. Niedawno pewien znakomity uczony, odznaczony nagrodą Nobla, dziwił się po przeczytaniu jednej mojej książki, że tak mało jestem Polakiem — bo dla niego Polacy to była śmierć bohaterska na polu walki, Szopen, powstania i ruina Warszawy. Odpowiedziałem:

— Jestem Polakiem, doprowadzonym do ostateczności przez Historię.

Witold GOMBROWICZ

(c.d.n.)



Teksty radiowe Gombrowicza zostaną wydane przez Instytut Literacki w ramach „Dzień zebranych” Witolda Gombrowicza, jako tom XI-ty. (Redakcja).

Uwaga! Uwaga! NOWY ADRES :

Polska Księgarnia Wysyłkowa — Polish Book Store

**FRANCISZEK ORZECZOWSKI
Slavonic BOOKS**

2036 Chestnut Street
(Śródmieście — 5 bloków od Ratusza)
Philadelphia, Pa. 19103. USA.
Telefon: (215) 963-0120.

Posiada na składzie wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, *Wiadomości* londyńskich, *Aneksu* i *Krzyżówki*. Rozszerza usługi na języki słowiańskie i bałtyckie (wydawcy proszeni są o oferty i katalogi).

ANTYKWARIAT kupuje używane książki w językach słowiańskich, bałtyckich, rumuńskim i węgierskim.

Katalogi na żądanie.

Malraux

Umarł Malraux. Czy można pisać o nim dziś, kiedy wszystkie pisma, radia telewizje są pełne wspomnień o nim, dytyrambów o nim, czy tekstów wyrwanych z jego dzieł.

Czy można to zrobić bez dłuższego namyslenia, odczytania jego książek, które naznaczyły nie tylko moje pokolenie, nie wpadając w już stokrotnie wypisane o nim ogólniki. Trzeba by przemyśleć nie tylko jego książki i jego czyny (*L'homme est ce qu'il fait* — to jego powiedzenie), ale i jego głębokie pobudki, sprzeczności i rozdarcia — od obsesji śmierci, samobójstwa, od zawsze podkreślanego agnostycyzmu i nieustannego przy tym powracania do problemów metafizycznych. Coraz to wracał Malraux do tego, co nazywał *le sacré* i napisał kiedyś, z irytacją, „Czyn nie zastępuje absolutu, ale pozwala o nim zapomnieć”. Związane z tym było nadużywanie słownictwa religijnego, gdy mówił o sztuce, tworząc przez to zamęt i konfuzję między sztuką, estetyką i religią, a jednocześnie właśnie o religii ileż można znaleźć u Malraux celnych błysków myśli.

Człowiek chińskiej rewolucji — nie zapomnę pierwszego z nim spotkania w zacisznym salonie Daniela Halévy, zaraz po jego powrocie z Chin i po napisaniu „*Condition humaine*”, tego anioła rewolucji z mieczem ognistym, z piękną twarzą pociętą nieustannymi drgawkami — był on wtedy jeszcze miłym gościem Kremla (właśnie przez Moskwę wracał z Chin), potem był bohaterem Czerwonej Hiszpanii, autorem może najpiękniejszej swojej powieści „*Espoir*”, bogiem francuskiej lewicy, zaangażowanym całkowicie w walkę „czasów pogardy” z Hitlerem. Wojna, *Résistance*, a następnie nagłe, całkowite oddanie się de Gaulle'owi — chciałbym prawie powiedzieć akt wiary w de Gaulle'a — i słowa Malraux „wybrałem Francję” — ten punkt wyjścia całej

późniejszej jego działalności. Nie pamięta się już dziś jakie to wywołało wówczas zgorznienie w pewnych, najbardziej mu oddanych, kołach rewolucyjnej lewicy.

Co było dominantą pobudek wszelkich podejmowanych przez niego akcji, wszelkich zaangażowań — od Chin rewolucyjnych aż po Bangla Desh — czy nie w pierwszym rządzie obrona człowieka uciśnionego, zniewolonego, zdeptanego — gdzie by ten człowiek nie był — i właśnie to zyskało mu przyjaciół, towarzyszy, wyznawców na całej kuli ziemskiej; ten bojownik Malraux był nasiąknięty mitami wszystkich czasów i cywilizacji, które znał i nieustannie do nich powracał, które przeżył poprzez swą wieloramienną kulturę i niebywałe wszędobylstwo. („Prawda, że gdy wspominał Prometeusza, nigdy nie było wiadomo czy nie szuka najprościej — zapalek” — napisał jeden z jego przyjaciół). Był w nim także teatr, teatr czasami nie do zniesienia patetyczny. Ta patetyczność (jego mowa pogrzebowa na cześć Jean Moulin, jego mowa na Akropolu, etc.), wypowiedana z emfazą Sary Bernhard, ale cóż! te mowy właśnie, jak się teraz dowiaduję, wywoływały i dziś jeszcze wywołują wśród młodych entuzjazm, poczucie że poprzez nie odkrywali nieznane im horyzonty duchowe! Był to nie tylko „teatr”, było febrylne, pospieszne tworzenie mitu, przetwarzanie rzeczywistości, błyskawiczne i tak silne, że dla ludzi, którzy byli świadkami pewnych wypadków i sami jemu te wypadki opowiadali stawały się w tekstach Malraux zupełnie nie do poznania!

A jednak ten poryw, ten żywioł i patos świadczyły o jego niegasnącej, przetwarzającej wszystko imaginacji.

Wspominając tego współuczestnika tyłu walk, gdzie zawsze płacił sobą, chciałbym powiedzieć jedno —

nigdy mi ten co szlachetny nie był obojętny

— te słowa miałyby prawo powiedzieć i on, bo takim był Malraux.

Wśród pisarzy francuskich tamtej epoki znajduję tylko dwóch, którzy natychmiast, bez zastrzeżeń, nie tylko uwierzyli w sens powstania *Kultury*, ale bez żadnych obstrukcji i niedomówień gotowi byli *Kulturze* pomóc. Pierwszym był Bernanos. Jak do niego wówczas trafiłem? Chyba pod wrażeniem jego tekstu o Powstaniu Warszawskim, jedynym tej miary i tej siły, przez Francuza napisanym. Posłałem mu wówczas mój list otwarty do Mauriaca i Maritaina, napisany w okresie dogasającego Powstania. Na ten list nie miałem żadnej francuskiej reakcji, poza odpowiedzią Bernanosa. Później, w okresie zakładania *Kultury*, zwróciłem

się do niego z prośbą by zechciał do *Kultury* coś napisać. Odpisał mi natychmiast nie tylko obiecując przesłać nam tekst, ale zaznaczając jednocześnie, że o żadnych honorariach mowy być nie może. Nasza współpraca nie doszła do skutku, bo kilka tygodni, czy może kilka miesięcy potem Bernanos już nie żył.

Co się zaś tyczy Mauriaca i Maritaina, do których mój list otwarty był zaadresowany, nie dostałem żadnej odpowiedzi. Maritain był wtedy ambasadorem de Gaulle'a przy Watykanie, a mój list musiał na pewno uważać za nietakt, milczeć trzeba było wtedy o Polsce — chodziło o Rosję! Mauriac, gdy potem go w Paryżu odwiedziłem i przypomniałem, że na list mój nie zareagował — odpowiedział mi wzruszeniem ramion, z miną trochę zawstydzoną (a może mi się to tylko zdawało), ale był to okres gdy de Gaulle politykował i grał z Sowietami, potrzebne mu to było w rozgrywce z Ameryką i Anglią. Powstanie Warszawskie trzeba było przemilczeć. Ci Polacy wciąż robią coś nie w czas!

Dziś już nie pamiętam jaki był wówczas we Francji stosunek do Polski i do Rosji Stalina — wystarczy mi jednak jeden jakże charakterystyczny przykład — doświadczenie z „Nieludzką ziemią”, którą wtedy zamierzałem wydać. Chyba Malraux przesłał mój rękopis do Calmann-Lévy i po dziesięciu dniach dostałem wiadomość od osoby kierującej kolekcją tego typu książek, że książka jest przyjęta. Tą osobą był Raymond Aron. Radził mi jedynie jeden, czy dwa rozdziały trochę skrócić ze względów czysto literackich. Nie przeszedł jednak tydzień, jak zostałem wezwany do samego p. Calmann-Lévy: „Moja ocena pańskiej książki jest zupełnie inna niż p. Arona. Nie będzie ona mogła ukazać się w moim wydawnictwie. Píše pan za dużo o Polakach, którzy Francuzów nie interesują. Trzeba by bardzo wiele z tego wyciąć, ale — co jeszcze ważniejsze — jest pan zanadto antystalinowski, *to nie przejdzie*. Musi pan książkę przerobić: być prostalinowski na początku, a pod koniec książki wolno panu będzie wyrazić pewne oceny krytyczne”.

Magia Stalina, strach przed Stalinem trwały tu w Paryżu. Szeptem mówiono o porwaniu emigrantów, czekano, zdawałoby się czy bolszewicy i Francji również nie zaleją, potężna wówczas komunistyczna partia francuska wierzyła w Stalina jak w boga i Jean Kanapa przemawiał innym tonem, niż dzisiaj, wymyślając przeciwnikom Stalina od *vipères lubriques*. W tym samym okresie, u tegoż Calmann-Lévy chyba, ukazała się „Ciemność w południe” Koestlera. Sukces był ogromny i pono jego wydawca tak się tego przestraszył, że nie chciał zrobić II-go wydania (takie chodziły wówczas pogłoski).

Siedząc rano w pokoju hotelowym Koestlera opowiadałem mu, pewnie zbyt głośno, o Stalinie i zauważyliśmy nagle, że

pod drzwi, które prowadziły do sąsiedniego pokoju, ktoś wsunął biały papier: „Ostrożnie, nie tak głośno, w hotelu mieszkają członkowie delegacji sowieckiej!”. „Więc i tu — wybuchnął Koestler — wolno mówić o Stalinie tylko po cichu!”.

W 45-tym roku odwiedziłem Malraux pierwszy raz po wielu latach, zaraz po przyjeździe z 2-go Korpusu z Włoch i doznałem natychmiast uczucia, którego inaczej nazwać nie umiem jak uczuciem braterstwa. Znał przecie mnie zaledwie przed laty, nie o mnie tu chodziło, ale Polska w jego wyobraźni *istniała*, nie było mowy tu o ulubionej kliszy francuskiej: *La Pologne digne et malheureuse*, ani wówczas nawianej przez komunistów karykatury Polski faszystowskiej, zdawało się jakby czuł ukryty nerw i sens naszej historii i jej tragedię ostatnią, pasjonowało go przy tym wszystko, co mogłem mu o Rosji sowieckiej opowiedzieć (inna sprawa, że spamiętał i po latach powtórzył w „Antimémoires” fakt, przeze mnie opowiedziany, tak go patetycznie przeinaczając, że z trudem rozpoznać mogłem jego ślad).

W tych pierwszych spotkaniach w 45-tym mówił mi m.in., że de Gaulle posiada wszystkie teksty i książki Piłsudskiego tłumaczone na francuski.

Już wtedy powiedział mi: „Jestem bardzo zajęty (o ile pamiętam, pracował właśnie nad „Les voix de silence”), ale kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebowali, zwracajcie się do mnie — co mogę, to zrobię”. Nie nadużywaliśmy tej gotowości pomocy, ale parę razy, gdyśmy się do niego zwrócili — pomógł nam, jak mógł. I jeszcze w 1954 roku, kiedy nas wyrzucono z domu w Maisons-Laffitte i *Kultura* nie miała się gdzie podziąć, groziło nam wówczas przerwanie naszej pracy, napisał dla nas tekst, który się w prasie ukazał i był nam pomocnym. Tekst ten tutaj podaję w tłumaczeniu na polski:

Do Redakcji „Kultury”

Drodzy przyjaciele,

Doświadczenie któregośmy nie zapomnieli, pozwala nam od razu i po bratersku rozpoznać w „Kulturze” pismo „okupowanego kraju”.

Macie słuszność mówiąc, że w boju, jaki prowadzicie jesteście grupą tak samotną, jak samotny jest każdy kto mówi „Nie” zwycięskiej przemocy; ta względna samotność stanowi cenę tego co uzasadniona wasza duma ma prawo uznać za waszą niezależność moralną, polityczną i materialną. Ze „Kultura” musiała opuścić dom, w którym na przeciąg siedmiu lat znalazła schronienie — wydaje się być tego gwarancją; pomoc, z jaką się spotykacie, od Szwecji po Amerykę Łacińską — wydaje się nią być

również, właśnie dlatego, że pomoc ta nie wystarcza. Mniejsza o to: gwarancją „Kultury” jest każdy jej numer.

Jeżeli świat niedostatecznie rozumie wasz dramat, dzieje się to, wydaje mi się, przede wszystkim dlatego, że uważa on kulturę polską, za kulturę słowiańską, pokrewną kulturze rosyjskiej. Zapominając, że choć istnieje geniusz rosyjski, nie istnieje kultura rosyjska w tym sensie w jakim mówi się o kulturze narodów zachodnich; raczej więź, skomplikowana i dwuznaczna, z Bizancjum; i że kultura polska, związana ze światem łacińskim jest jedną z kultur Zachodu. Stąd okupacja kulturalna (a nie więź kulturalna!) która ciąży wam na równi z dosłowną okupacją. Stąd sens historyczny waszej akcji intelektualnej.

Nie broniąc Polski ani w imię traktatu wersalskiego, ani w imię kapitalizmu, bo odrzucacie i jedno i drugie, wskazując na głęboką niesprawiedliwość społeczną, której wasz kraj w imię sprawiedliwości społecznej stał się ofiarą, broniąc wolności twórczenia przeciwko okupacji, jaką wam narzucono, tak jak my jej broniliśmy zarówno przeciwko nazizmowi jak przeciwko Niemcom, jesteście razem z tymi, którzy, pomiędzy 1940 i 1944, bronili wszelkiej wolności, podobnie jak tyłu innych bronili jej dawniej. Wysyłacie potajemnie do Polski książkę Orwella, a nie książkę doktrynera, podobnie jak nasi republikanie wysyłali do Francji „Châtiments” w wydrążonych popiersiach Napoleona III-go. I bez wątpienia czas aby Zachód zrozumiał, że jest z wami złączony, ponieważ wszelki opór jest kwestią wytrwania a pogotowie bojowe wymaga siły ducha.

André MALRAUX

Malraux odszedł, ale jeszcze nie przestał do nas mówić. W początku przyszłego roku ukazać się ma jego książka „La pérennité de l'homme et la littérature”; książkę tę już był oddał do Gallimarda w zeszłym roku, znów ją odebrał, by ją całą przepracować: godzinami w ostatnich miesiącach życia czernił papier.

Wbrew temu wszystkiemu, czego w tym człowieku przyjąć nie umiałem: tej gorączkowej, jakby coraz mniej opanowanej wielosłowności, tej nieustannej mitologizacji wszystkiego, o czym pisał i mówił, wciąż zastanawiam się jeszcze kim był ten człowiek o błyskach myśli genialnych, człowiek wielkiej hojności, który brał czynny udział we wszystkich wstrząsach dziejowych naszej epoki, który tyle myślał, tyle napisał o tym, co się w świecie działo, tyle pisał o sztuce wszystkich czasów i kultur i tak je do nas zbliżył.

Może jednak to było w tym człowieku najważniejsze, że umiał być przyjacielem.

Malraux, który napisał: „Czyn nie zastępuje absolutu, ale pozwala o nim zapomnieć”, ten człowiek gorączkowego czynu, żyjący nieustannie w tłumie ludzi bliskich, towarzyszy i przyjaciół, umierając sam w szpitalu, bez kobiety, bez przyjaciela, bez kapłana, w tej *chambre stérile*, do której nikt poza lekarzem nie miał prawa wstępu może przeżył tam nagle łaskę ciszy i wyzwolenia — człowiek spragniony absolutu został może tą ciszą nawiedzony i może wtedy mógł nagle wypowiedzieć słowa, które znał na pewno, bo znał wszystko — „Panie nie jestem godzien, abys wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij słowo, a będzie zbawiona dusza moja”.

Józef CZAPSKI

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 listopada 1976

Bardzo już późno, miasto nareszcie ucichło, za oknem połykają po deszczu listki krzaków i drzew, niebo otrząsa się ze złachmanionych chmur.

Czytam w odnalezionych niedawno fragmentach dziennika Szeszowa: „Albo doświadczenia wewnętrzne, nawet najprostsze, tak są święte że sama natura stoi zazdrośnie na ich straży; albo tak nędzne, że nie warto odsłaniać ich przed innymi”. Święte czy nędzne, w obu wypadkach alergiczne wobec kartki papieru. Ale posiadają własną formę, jest nią rodzaj szeptanej w myślach, bezładnej, urywanej spowiedzi. Takie wyznania, jak strzępy snu po przebudzeniu, nie mieszczą się w mowie artykułowanej. Czym więc są? Półmodlitewnym bełkotem skierowanym w ciemność, do jedyne go, niewidzialnego i milczącego słuchacza. W okresach jego nasilenia dziennik leży nietknięty.

4 listopada

Hedrick Smith opisuje w *The Russians* spotkanie z czterdziestoletnią uczoną moskiewską, specjalistką od komputerów. Zaskakuje go krzyżyk na jej szyi. Jest wierząca? Nie chodzi o cerkwi, nie lubi ludzkiego tłumy, wierzy jednak w Coś (tu znacząco oczy do góry); ma w domu Ewangelię, czyta ją często sama a czasem i swoim dzieciom, ta lektura przynosi dziwną ulgę. W środowisku jej kolegów dużo jest podobnych wierzących? Dużo; też nie chodzą do cerkwi i też w Coś wierzą. Do wiary popycha ich pustka sowieckiego życia, religia daje jakieś oparcie.

Zapisałem kiedyś w dzienniku westchnienie Labrioli, pioniera marksizmu włoskiego, z roku 1887: „Problem polega na tym — posiadać religię bez Boga; co, jeśli graniczy z absurdem, nie jest przez to mniej prawdziwe”. Problem próbował rozwiązać Łunaczarskij w *Religii i socjalizmie*, krzyżując „duszę uniwersalną” z „ideą rewolucyjnego postępu”. Przed rokiem 1917 w kołach rewolucjonistów rosyjskich budziła wesołość anegdota o autorze *Religii i socjalizmu*; po jednym z jego kazań na temat rewolucyjnego *bogostroicielstwa* i *bogoiskatelstwa* Lenin splótł pobożnie ręce, pochylił lekko głowę i wymamrotał ze złośliwym ognikiem w oczach: „Racz pobłogosławić grzesznego, Ojciec Anatolij”. Tkwi może swoisty bilans duchowy rewolucji w tym zestawieniu: z jednej strony, u progu stulecia, złośliwy błysk w oczach bogobójcy; z drugiej, dzisiaj, oczy młodej uczonej moskiewskiej zwrócone ku górze z wiarą w Coś, w nieokreśloną siłę zdolną wesprzeć człowieka w pustce sowieckiego życia.

6 listopada

W *brzuchu wieloryba*, esej Orwella z roku 1940 o *Zwrotniku raka*. Przeczytawszy go na nowo, nabrałem również ochoty do przeczytania na nowo powieści Henry Millera. Jest wciąż (po czterdziestu latach) wybitna, miejscami nawet więcej niż wybitna. Ale Orwell, bardzo słusznie, nie poprzestaje na jej obronie przed cenzurą „obyczajową”. Miller — „pisarz całkowicie negatywny, niekonstruktywny, amoralny, Jonasz w brzuchu wieloryba, widz pasywnie akceptujący zło, Whitman wśród trupów” — jest dla niego przede wszystkim symptomem. Czego? „Prawie na pewno zmierzamy do wieku totalitarnych dyktatur, do wieku w którym wolność myśli będzie najpierw grzechem śmiertelnym a później abstrakcją bez znaczenia. Autonomiczna jednostka ludzka jest skazana na zagładę. Znaczy to że literatura umrze, taka przynajmniej literatura jaką znamy... Pisarz staje się anachronizmem. Miller zrozumiał to i powiedział na długo przed swymi współczesnymi, gdy wielu z nich blaboliło jeszcze o renesansie literatury”.

W *Zwrotniku raka* odzywa się niekiedy ton, którego Orwell zdaje się nie dosłyszał, mimo że byłby mu pomocny w pokazaniu Millera jako zwiastuna „śmierci literatury”. Tom podświadomego albo tłumionego siłą gniewu moralnego u pisarza całkowicie i świadomie amoralnego. „Jeśli jestem nieludzki, to dlatego że mój świat wrzucił do kloaki wszelkie związki ludzkie, dlatego że być ludzkim jest rzeczą ubogą, smutną, godną politowania... Kocham wszystko co płynie”. Wszystko co płynie, obojętne do kąd. Epitafium dla autonomicznej jednostki ludzkiej między

dobrem i złem, a wraz z nią dla literatury niewyobrażalnej bez podskórnego nurtu moralistycznego w takiej czy innej postaci, wykrzyczał Miller z pianą na ustach i głęboką zadrą w sercu. W *Zwrotniku raka* odprawił — widać to lepiej dopiero dziś — czarną mszę żałobną.

7 listopada

Literatura niewyobrażalna bez podskórnego nurtu moralistycznego... Dogorywa (twierdził Gombrowicz na marginesie *Człowieka zbuntowanego*) „zawieszona w próżni rasa moralistów: wymyka im się człowiek”. Bo „nie w sumieniu jednostki kryje się sprężyna działania, lecz w tym stosunku, który wytwarza się między nią a innymi ludźmi; nie dlatego popełniamy zło, że zniweczyliśmy w sobie Boga, lecz ponieważ Bóg a nawet Szatan są nieważni, gdy sankcją czynu staje się drugi człowiek”.

Do sprawy sumienia indywidualnego wrócił później Gombrowicz w analizie *Zbrodni i kary*. Postawił Raskolnikowa na głowie, uznał go za ofiarę „sztucznego, międzyludzkiego, zwierciadlanego sumienia”, za wykonawcę „nakazu poczętego z obcowania ludzkiego”. Był to nonsens, wystarczyło przypomnieć uwagę Dostojewskiego: „Istnieją doznania i występki, nie podlegające sądom ziemskim; jedynym sądem może być własne sumienie, czyli Bóg mieszkający we mnie”. Bóg we mnie? Inni ludzie we mnie? Albo (śladami Millera) nic we mnie? Nie ma ucieczki od tych pytań. Gombrowicza przerażał „suchy kolektywizm”, chociaż nie tak znowu doń daleko od „drugiego człowieka jako sankcji mojego czynu”. Odpychała go „samoistna dusza w kosmosie”, laicka samotność Camusa. „Nieważnymi” nazywał Boga i Szatana. Wyjście znalazł w „międzyludzkim kościele”, sakralizacji wzajemnego oddziaływania „ja” i „innych”. Ale człowiek wymyka się również z „międzyludzkiego kościoła”, aby samotnie indagować swoje sumienie indywidualne, jak samotnie staje w obliczu własnej śmierci. Jest w nim tajemniczy obszar wyłączony, który nie poddaje się żadnemu „między”. Gdyby rzeczywiście zginąć miała „rasa moralistów”, opukiwałby ten obszar białą laską ślepcą.

13 listopada

„Chciałbym żyć dostatecznie długo, by zobaczyć triumf ogromnego przedsięwzięcia sowieckiego. By zobaczyć co potrafi osiągnąć państwo bez religii, społeczeństwo bez rodziny. Religia

i rodzina są dwoma najgorszymi wrogami postępu”. Tako rzecze André Gide, rok jest 1931. Zobaczył w roku 1936, podczas podróży do ZSSR. Zanim jednak do owej konfrontacji marzenia z rzeczywistością doszło, zawałał się po napisaniu tych kilku zdań i zaopatrzył je w odsyłacz: „Państwo bez religii? Może nie. Lecz religia bez mitologii”. Jak u rewolucyjnego Ojca Anatola Łunaczarskiego, religię bez mitologii miała zastąpić religia postępu. Skończyło się na mitologii postępu.

W naszej epoce „logokratycznej” mało jest chyba słów tak chwytliwych i nadużywanych, i tak równocześnie okradanych dzień w dzień z dawnej treści, jak postęp. Kto nie bije pokornie czołem przed bożkim postępu, kto upiera się przy skromnych choćby obawach czy rezerwach, temu droga otwarta w „otchłań reakcji”. Nic to że pękają z trzaskiem hamulce moralne, że do życia wdzierają się prawa dżungli, że potomkowie biesów wrzeszczą „wszystko wolno!”, że po cichu pomstuje się na „spirale agresji” i po cichu też upatruje obronę przed nią w osobie przywróconego bądź wzywanego częściej kata — postęp nie zwalnia ani na chwilę swego zawrotnie szybkiego kroku. Zatrzyma się, gdy pokonani zostaną jego dwaj najgorsi wrogowie, religia i rodzina. Odsapnie, zaśmieje się szyderczo i zwycięskim wzrokiem ogarnie księżycowy, pustynny krajobraz.

15 listopada

— Starość pełna jest snów i wizji. I prawdziwej, czystej poezji, nie nostalgicznej, nie utkanej z pragnień i tęsknot, immunizowanej wiarą przeciw powierzchownym cierpieniom, nasyconej czasem już dokonanych, kontemplacyjnej.

Mówiący, przeszło osiemdziesięcioletni antykwariusz i erudyta V., dotknięty paralizem nóg, zaniedbany, w brudnym szlafroku, siedzi przy oknie swego pokoju na ostatnim piętrze zrujnowanego *palazzo* w starej części miasta. Siedzi tak ponoć od świtu do północy, po północy odnosi go do łóżka, o świcie przynoszą znowu pod okno. Pytany przez rzadkich gości co robi, odpowiada niezmiennie: *sto morendo e guardando*. Umieranie i patrzenie urozmaica sobie niekiedy kartkowaniem książek, wycinaniem dziwnych figur z papieru. Zapada w krótkie drzemki, budzi się z nich pokrzepiony. Przywiązany jest tylko do grubego i starego kota, towarzyszącego mu na parapecie okna. W kącie pokoju na sztalugach zasłonięty płachtą obraz, którego nigdy nikomu nie pokazuje. Podobno widok z okna malowany przez jedyne go syna, zmarłego młodo na nieuleczalną chorobę.

Ujawszy w obie dłonie moją, nieruchomym spojrzeniem przy-

wiera do roztaczającego się stąd widoku, który ulewa zaćmiła do granic półmroku, mimo wczesnej popołudniowej godziny. A widać stąd dzwonnice Świętej Klary i skrawek najeżonej ostrymi głazami fasady *Chiesa Gesù*, po przeciwnej stronie kolumny na *San Domenico Maggiore* i balkon-kazalnicę Świętego Tomasza z Akwinu.

Nieruchomość jego spojrzenia, napięta przezroczyta nieruchomość, z której nagle zaczynają wyciekać łzy.

— Napisał to głupstwo pewien filozof katolicki, stojący nad grobem. Starość pełna jest zatechłych kłaków i połamanych sprężyn, jak bezużyteczny grat na strychu. Żadnych snów i wizji, żadnej poezji. Czas już dokonany przesypuje się niczym piasek w klepsydrze, wciąż ten sam i tak samo. Kontemplacja jest obmacywaniem sztywnymi, zimnymi palcami wciąż tych samych, od dawna zaskorupiłych ran. Umiera się, dziękując Bogu za to przynajmniej że stworzył nas śmiertelnymi. I patrzy się, patrzy, nie pojmując skąd jeszcze ten straszny ból. Chyba nie tylko jest w starości czysty i prawdziwy, ból starych oczu utkwionych w resztkę gasnącego świata, przymywanych łzami których nie można powstrzymać.

16 listopada

W *Ecrits de Londres* Simone Weil uderzający fragment. Ludzie często marzyli o „zniesieniu problemu religijnego”. Nie potrafią tego zrobić, gdyż ugniata ich nieznośne brzemienie: przeciwstawienia dobra i zła. Według tradycji albigensów Diabeł uwiódł ludzi tymi słowy: „Wobec Boga nie jesteście wolni, bo możecie czynić jedynie dobro. Chodźcie za mną, dana wam będzie władza czynienia dobra lub zła, zależnie od waszego wyboru”. Właśnie ta władza jest nieznośnym brzemieniem, Simone Weil podaje trzy sposoby zrzucenia go. Programowo niejako areligijny: neguje się w ogóle realność przeciwstawienia dobra i zła, zrównuje się wszystkie przejawy życia bez względu na ich dotychczasowy znak („kocham wszystko co płynię” Millera). Oparty na idolatrii „wielkich bestii” (naród, państwo, partia): umożliwia się człowiekowi rezygnację z własnego wyboru na rzecz wyboru zbiorowego. Skrajnie religijny, mistyczny, równoznaczny z wyjściem ze świata: dusza ludzka przewycięża konieczność ciągłego wyboru, szukając bezpośredniej łączności z dobrem absolutnym.

Dodałbym czwarty sposób, bardziej rozpowszechniony obecnie od trzech wymienionych przez Simone Weil: idolatrię postępu. Wszystkie przejawy życia są nie tylko równe lecz z natury dobre,

skoro stanowią część składową (ewentualnie: nieunikniony i przelotny koszt) postępu; zło jest wyłącznie urojeniem optyki konserwatywnej, reakcyjnej. Idolatria postępu niszczy najskuteczniejszą wrażliwość religijną, zagłuszając w człowieku główną strunę jego egzystencji, zdolność do odczuwania bólu niewytłumaczalnego.

18 listopada

W *La Repubblica*, dzienniku niezależnej lewicy, rozmowa z Adamem Michnikiem. Powiedział w skrócie to, co znałem już z jego doskonałego wystąpienia na paryskim kolokwium „1956”. W Polsce opozycja przybrała ostatnio formy, jakich nie spotyka się jeszcze w innych krajach „bloku”. Jest opozycją społeczną, zwraca się do całego społeczeństwa, a nie w roli „interlokutora specjalnego” do monopartyjnej władzy, jak bywało w okresach „rewizjonistycznych” czy „neopozytywistycznych” złudzeń; jest zróżnicowana społecznie, politycznie i ideologicznie (inteligencja, robotnicy, studenci, przy wyraźnym poparciu kościoła), a mimo to jednolita w swojej woli walki. Udało jej się w pewnej mierze przywrócić elementarne więzi społeczne, zerwane przez ustrój korporacyjny. Stawiając sobie za cel utworzenie drogi pluralizmowi politycznemu i samorządowi robotniczemu, posługuje się już teraz środkami które są współdziałaniem pluralistycznym z naciskiem na interesy robotnicze.

Zwróciłem w swoim czasie uwagę na proces „rozdymania się społeczeństwa” w Polsce, któremu towarzyszy prawie całkowita i być może definitywna izolacja władzy. Kto wie, czy nie więcej: rządzący zdają się być w defensywie, rządzeni w powolnym, upartym i cierpliwym natarciu; w ciągu roku przebyliśmy etap od Memoriału Pięćdziesięciu Dziewięciu (i jego pochodnych) do Komitetu Obrony Robotników. Niezależnie od dalszego biegu wypadków, nowa opozycja społeczna nie zmieni swego charakteru. Wydobyła się z ram zakreślonych przez system, nie zrywając formalnie z legalnością. Domaga się praw i swobód demokratycznych, których wywalczenie uderzałoby w najczulsze punkty sowiezizmu.

23 listopada

„W nocy spadł ulewny deszcz. Ciężkie jak grad krople biły po dachówkach, okiennice trzeszczały w zawiasach, ściany domu drżały od gwałtownych uderzeń strug wody. Na zewnątrz słychać

było to bulgotanie, to szum rwących ulicą potoków. Leżałem na niskim łóżku burmeńskim, przyglądając się w żółtawym świetle jedynej lampki, jak dwa oszalałe ze strachu szczury pędzą w kółko tą samą ciągle drogą po belkach stropu. Trzeba było Burmy i tego — niedosłyszalnego w Londynie — dudnienia kropel deszczu o drewniane dachówki, abym poczuł nagle pierwszy od tylu lat przyływ nostalgii”.

Urywek mojego dziennika podróży do Burmy z roku 1952. Mógłbym się powołać na rozdział Prousta o magdalence, na zdanie w którym mowa porównawczo o „kroplach dźwigających budowlę wspomnienia”, tyle że w moim wypadku nie o porównanie chodzi. Wczoraj, uwięziony przez burzę w chałupie znajomego chłopca, przeżyłem znowu narodziny ewokacji dzięki deszczowej muzyce na dachówkach. Ale z upływem czasu „budowla wspomnienia” niszczy stopniowo: była niegdyś kompozycją obrazów i scen w ruchu, ostro zarysowanych twarzy, dalekich lecz żywych głosów; jest jakby zlepkiem martwych i zastygłych fotografii, wypłowiałych, niemych, pokrytych plamami. Czyja to twarz? Kto wyciąga ramiona i co mówi? Dokąd prowadzi ta ścieżka? Dlaczego milczy rzeka i wsiąka w ciemność? Gdzie zaczynają się szuwary? Z kogo składa się ta grupa na grobli? Tam, za smugą dymu, był lasek pierwszej miłości?

Nie czułem ognia prążącego z paleniska, tylko klucie pod przymkniętymi powiekami. Burza przeminęła, gospodarz pchnął drzwi, wyszliśmy na pole w przejaskrawionym nawet jesienią słońcu południa.

25 listopada

George Kennan nie jest w stanie zrozumieć, czemu Rosjanom zależało tak bardzo na zbiegowisku w Helsinkach. Przecież, począwszy od lat czterdziestych, nikt z możliwych tego świata w Zachodniej Europie nie pragnął usunięcia podziału kontynentu. Przeciwnie, sama myśl o czymś podobnym wywołuje przerażenie. Mówić więc, że nie ma się zamiaru usunąć podziału Europy siłą, jest bardzo łagodnym twierdzeniem. Nie tylko nie zamierzamy osiągnąć tego siłą, ale w żaden inny sposób. Nic nie mogłoby wprawić ministrów NATO w większe zakłopotanie, niż oderwanie się jednego z krajów Wschodniej Europy od ZSSR i nagłe zapukanie do bram Zachodu. Przykładem Czechosłowacja w roku 1968; osławiona „doktryna” Sonnenfeldta oparta jest na analogicznym strachu. Kennan wybucha „zdumiony”. Jakaż jest potęga „małego europeizmu” w Zachodniej Europie! Europejczycy są przywiązani do myśli, że Europa kończy się na Łabie! Kochają

tę myśl! Freud bodaj powiedział, że Niemcy na wschód od Łaby zostali ochrzczeni późno i bardzo źle. Tego samego zdania był Adenauer i nie chciał słyszeć o Wschodzie. „Wszystko to dobre na dziś, ale któregoś dnia kraje Wschodniej Europy dadzą o sobie znać, będziemy mieli z nimi znowu do czynienia”.

Rosjanom zależało na zbiegowisku w Helsinkach z dwóch względów. Po pierwsze, lubią pokwitowania na to co wzięli. Po drugie, pieczęć Helseinek służy im do „pomachiwania” na Wschodzie (z podtekstem: „porzućcie wszelką nadzieję”). Nie to jednak jest najistotniejsze. Kennan ma stuprocentową rację, mówiąc o potędze „małego europeizmu”. Jest ogromna, obserwuje się ją na każdym kroku: w polityce rządów, w prasie, w rozmowach z przeciętnymi obywatelami, w relacjach podróżujących na Wschód. Istnieje zachodnia, polityczna i psychologiczna podpora „murów” i „żelaznych kurtyn”, na przekór rozmaitym „krażeniom idej i ludzi” oraz „wymianom kulturalnym”. Biec na pomoc, łątać, zatykać, ilekroć we Wschodniej Europie pęka coś w szwach i zagraża spoistości „bloku”. Nie dopuścić, Boże broń, by drgnęła linia podziału kontynentu. Ambicję odegrania ograniczonej choćby roli na skalę całej Europy wyparła obsesja ocalenia i zakonserwowania własnego, zachodnioeuropejskiego rezerwatu. Również „eurokomunizm” jest kwiatem wyhodowanym w tym rezerwacie, on sam i rosnący kredyt zaufania do niego (przywódcy „eurokomunistyczni” są niezmordowani w podkreślanu „historycznej odmienności Europy Wschodniej”, co ma być gwarancją ich przekonania o nieodwracalności podziału kontynentu).

Słusznie też Kennan nie wierzy w trwałość „małego europeizmu”. Jałowe byłyby spekulacje na temat okoliczności, w jakich nastąpi jego kryzys. W każdym razie będzie to kryzys, w którym albo europeizm przestanie być mały, albo mało co zostanie z jego zachodnio-europejskiego rezerwatu.

28 listopada

Najwnikliwszy szkic o Malraux napisał Nicola Chiaromonte: *Malraux i demony działania*. Jest tam passus o „ostatnim marzeniu” Malraux, które wyłania się z jego rozmowy z Burnhamem w roku 1946: „bohater liberalny”, łączący w sobie siłę woli i stanowczość z poczuciem szlachetności człowieka i respektem dla walorów kultury. Wcieleniem „bohatera liberalnego” był, w oczach Malraux, pułkownik T. E. Lawrence, żołnierz, asceta działania i intelektualista. Ale podziwiając Lawrence’a, Malraux widział za nim De Gaulle’a. Należy zaufać woli libe-

ralnej „męza przeznaczenia”, któż bowiem może pokonać dystans między Historią i człowiekiem, między bezkształtnością człowieka współczesnego i zadaniem „odnowienia struktury i wigoru” cywilizacji zachodniej? Człowiek nie potrafi zbawić samego siebie, potrzebuje odkupienia lub odkupiciela. „W ostatecznym rozrachunku (zauważa Chiaromonte) Malraux opowiadał się po stronie gaullizmu tym samym argumentem, którego użył był dawniej w obronie komunizmu: nie ma innej siły zdolnej do spełnienia tego, co winno być spełnione; *il faut parler*”.

Dwa czy trzy lata temu widziałem wywiad z Malraux w telewizji francuskiej. Szedł z dziennikarzem aleją parku w rozpiętej jesionce, zatrzymywał się co parę chwil dla nabrania tchu, wyrzucał z siebie wielopiętrowe frazy, zmęczonym i jednostajnym ruchem unosił i natychmiast opuszczał ręce. Wyglądał jak raniony ptak, usiłujący daremnie wzbic się jeszcze do lotu, zamiatający skrzydłami ziemię. Jego zadyszany monolog był popisem wielkiej retoryki, tak zarazem zimnej i pustej, jak gdyby dochodziła z cmentarza nawiedzanego przez upiory działania.

1 grudnia

Korespondent *La Repubblica* spędził dziesięć dni w Warszawie. Przed odlotem do Włoch rozebrano go do naga, drobiazgowo zrewidowano i ogołocoło ze wszystkiego co było zaczernionym papierem, nie wyłączając materiału PAP i wycinków z *Trybuny Ludu*. Odebrano mu książeczkę adresową i notes, zwrócono jedynie paszport i (po namyśle) rachunek hotelowy.

Jego pierwszy artykuł jest krótkim sprawozdaniem z wizyty u Kuronia. Czytam w nim o „próbach wykorzystania częściowej próżni władzy, jaka wytworzyła się po wypadkach czerwcowych”. Kuroń dodaje: „Nie można już wrócić do terroru”. Korespondent włoski nazywa to twierdzenie „optymistycznym”, zaszokowany przypuszczalnie polską „wykładnią” Helsinga na Okęciu. Ale tak jest naprawdę, nie można. I „częściowa próżnia władzy” polega na tym: także władza wie, że nie można.

Nie ma nic gorszego niż zły rząd, który stara się poprawić; w rządzonych małe wolności podsycają pragnienie większych wolności; w rządzących rośnie poczucie chwiejności. To Tocqueville z pamięci, nie dosłownie. Pasuje dość dobrze do obecnej sytuacji w PRL. Odzycie terroru prowadziłoby do zderzenia frontального, z trudnymi do przewidzenia (lecz na pewno dramatycznymi) konsekwencjami. Alternatywą jest starać się poprawić, z konsekwencjami sformułowanymi przez Tocqueville'a.

3 grudnia

Sporo czytelników robi mi wymówki (dziś znowu dwa listy), że jestem niesprawiedliwy wobec „eurokomunizmu”, zwłaszcza w jego odmianie włoskiej. A może rzeczywiście komuniści włoscy przekonali się, bez żadnego ukrytego wyrachowania taktycznego, do demokracji parlamentarnej i pluralizmu politycznego? Czemu nie dopuszczać możliwości ich nawrócenia?

Nie widzę sposobu przekonania się o autentyczności cudownego nawrócenia, dopóki „eurokomuniści” znajdują się poza rządem, czyli z dobrodziejstw demokracji i pluralizmu korzystają sami. Prawdziwa weryfikacja mogłaby się odbyć tylko po ich dojściu do władzy, gdyby dane nam było zobaczyć czy z owych dobrodziejstw pozwolą korzystać innym. Ale byłaby to weryfikacja, mówiąc ogólnie, ryzykowna. To prawda, że bezsporna; możliwe jednak, wciąż mówiąc ogólnie, że i bezpowrotna. Natomiast tak jak się rzeczy mają bez niej, to co zwiększa zaufanie do komunistów włoskich na Zachodzie (a interesuje mnie tu wyłącznie Zachód, sympatie do „eurokomunizmu” wśród dysydentów na Wschodzie są bardziej skomplikowane i w sumie zrozumiałe) jest dla mnie źródłem coraz większego sceptycyzmu. Wydają mi się nadgorliwi w nieustannej gotowości do „rewizji korzeni” na benefis niedowiarków, skłonni do gestów zanadto pokazowych. Świeża ilustracja, Gramsci: do niedawna jeszcze przedmiot obowiązującego kultu, jedyny nietykalny posąg po obaleniu posągu Stalina i nadłuczeniu posągów Lenina i Togliattiego. Okazuje się, że i w stosunku do niego dozwolone są uderzenia młotkiem. Jego teoria „hegemonii klasy (i partii)” zbyt przypomina leninowską „dyktaturę proletariatu”. Jego postulat „rad fabrycznych” byłby tytułem do dumy, gdyby nie to że wyobrażał je sobie jako podporządkowane ściśle „nadrzędnej hierarchii partii” i „świadomie zaakceptowanej dyktaturze”. Ofiarą świętokradczego młotka ma też paść jego „totalitaryzm lewicy” (pojęcie totalitaryzmu wymyślił filozof faszystowski Gentile, Gramsci rozbił je na negatywny „totalitaryzm prawicy” i pozytywny „totalitaryzm lewicy”). Więc cóż zostaje z komunizmu włoskiego po „rewizji” Gramsciego? Socjaldemokratyczna kaszka manna, której przełknięcie wymaga nadmiernej zaiste łatwowierności. Jeśli zaś komuniści włoscy stali się istotnie socjaldemokratami, to istnieje jeden wiarygodny sprawdzian ich nawrócenia: gruntowna i odważna analiza sowietyzmu, bez niedomówień i „historycznych usprawiedliwień”, prowadząca niedwuznacznie do wniosku że odmawiają mu miana socjalizmu. Taki akt byłby poza wszelkimi podejrzeniami o taktykę, skoro oznaczałby przecięcie

pępowiny z „macierzą”. Lecz nic chwilowo nie wskazuje, mimo doraźnego i powierzchownego wytykania błędów „socjalizmowi na Wschodzie” przez „socjalizm na Zachodzie” w wersji „eurokomunistycznej”, by zanosilo się na podobną operację.

5 grudnia

W ostatnich dniach deszcze, szczególnie nocą, nie mogą już nawet być nazywane ulewami. Mówi się o nich „potop na raty”. Z górnego Neapolu płyną do morza, ulicami i zaułkami, wezbrane rzeki. W dziennych antraktach tego „ratalnego potopu”, gdy wychyla się przelotnie słońce, na panoramicznych promenadach górnego miasta otwierają się raz tu raz tam głębokie paszcje, połykając co popadnie; czasem przechodnia, czasem przejeżdżający samochód. Neapol powstał w znacznej mierze z budulca branego na miejscu. Większość domów w wyższych rejonach miasta opiera się na fundamentach, pod którymi ciągną się wydrążone w tufie otchłanie. Mieszkamy na ogromnej tufowej gąbce, nie znając dziurawej i przepaścistej mapy pod naszymi stopami. Żyjemy w bliskim sąsiedztwie przeszło dziesięciu milionów szcurów, rozmnażających się nieprzerwanie w kanałach i lochach podziemnego miasta. I codziennie zerkamy spodełba ku Wulkanowi, który co trzydzieści (plus minus) lat odzyskuje ognisty Język w dymiącej Gębie.

Normalnie, za dnia, prócz huku autobusów i ryku klaksonów dobiegają do mojego pokoju te same ciągle dźwięki piosenki na nutę *Katiuszy*: śpiewa ją młodzież w pochodach demonstracyjnych z czerwonymi sztandarami i transparentami. Od kilku dni, w antraktach „ratalnego potopu”, przyłącza się do niej nieśmiało dźwięk kobzy z towarzyszeniem fujarki. Przyjechali już z Abruzów, jak co roku przed Bożym Narodzeniem, wędrowni *zampognari* i *pifferari*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Podróż do Japonii

Miałem zamiar pojechać do Europy na sześć do ośmiu tygodni. Bo ciągnie wilka do lasu. Już wysłałem wstępne listy, aby umówić spotkania w Londynie, w Paryżu, w Zurychu i nawet w Carcassonne — gdy, w trakcie przygotowania dalszej korespondencji i po otrzymaniu pierwszych odpowiedzi, zorientowałem się że krąg skurczył się: bo jedni już nie żyją, inni, jak się okazuje są poważnie chorzy lub „niedomagają”; niektórzy nie odpowiedzieli, może ich też już nie ma. Wtedy przyszło mi na myśl że i ci dostępni są już dobrze postarziali i rozmowy z nimi nie będą takie jak przed dziesięciu laty. I poza tym — o czym my właściwie będziemy mówili? O tym czy X jeszcze żyje, lub że Y ma zadyszkę i już kiepsko słyszy, a Z wrócił na stałe do Polski bo umarł w kilka tygodni po przyjeździe. Przecież nie będziemy znów wałkowali polityki, lub wydarzeń sprzed trzydziestu lat. To jest bardzo ciekawe w opracowaniu fachowców w *Zeszytach Historycznych*, ale może być grubo nudne przy stoliku w „Ognisku”.

Wtedy to, choć miałem już zafiksowane niektóre daty spotkań — zdecydowałem że tam nie pojedę.

Pomyślałem natomiast o Japonii, którą miałem zwiedzić w 1939 roku. Miałem już wizę, lecz wojna wybuchła za wcześnie. Teraz nawet język nie powinien być przeszkodą, bo nauka angielskiego jest obowiązkowa w gimnazjach japońskich. Zresztą, mogę sobie przygotować taki prywatny słownik, jak przed wyjazdem do Brazylii. I nie pojedę na krótko.

Nie wszyscy podróżujący są tacy skrupulatni. Znam w Australii tuziny inteligentnych osób, które potrafią przejrzeć w biurze podróży kilka pięknych broszur, i na tej podstawie dać zadatek na bilet do Indonezji, do Kuala Lumpur czy do innego egzotycznie nazwanego magnesu turystycznego. Takie podróże, aby

nie były prohibicyjnie drogie, obliczane bywają na bardzo krótki pobyt, bardziej na tani snobizm i nalepkę na walizce niż na uczciwe zwiedzanie. Czasem taka „eksploracja” ogranicza się do kilkugodzinnego postoju w porcie, gdy podróż odbywa się okrętem. Ale i godzina może wystarczyć na skok do poczty i wrzucenie kartki z pozdrowieniami z Port Vila czy z Makasar, aby potem móc zapewnić, że się było na Nowych Hebrydach czy na wyspie Celebes. Bo kto dziś pamięta ostrzeżenie Johna Ruskina, że „*all travelling becomes dull in exact proportion to its rapidity*”. Tej maksymy nie umieszcza się na barwnych broszurach zachwalających „cały dzień na egzotycznej Bali”, gdzie autentyczne tańce indonezyjskie wykonywane bywają przez importowane Polinezyjki z Pitcairn Island lub z Wysp Salomona i gdzie można bardzo łatwo natknąć się na hebanowe posążki „Szczęśliwego Buddy” wykonane ze specjalnego plastyku w Niemczech Zachodnich.

Nie dziwota. Heban jest drogi, a turystyka współczesna — jeżeli ma być masowa — musi być sproletaryzowana. Staranne zwiedzanie dużo kosztuje, dłużej trwa. Jednak mniej męczy i nie jest samozłudą pozwalającą naiwnemu uwierzyć, że można, podróżując autobusem, „zwiedzić osiem krajów europejskich w ciągu szesnastu dni”. Widziałem takie reklamy biur turystycznych.

Sydney

Mieszkam w górach, gdzie zimą temperatura dochodzi do 12 stopni Celsjusza poniżej zera. Teraz jest zima — więc gdybym poleciał wprost do Japonii, znalazłbym się w ciągu niecałej doby w klimacie letnim i subtropikalnym. Zatem zastosuję stopniową aklimatyzację. Przedtem na dzień lub dwa do Sydney, gdzie jest o dziesięć stopni cieplej. Potem na krótko do Hong Kongu, stamtąd na kilka dni do Taiwanu i stąd dopiero do Tokio.

W Sydney, w redakcji *Wiadomości Polskich*, Edmund Jakubowski pokazuje mi otrzymaną z Paryża odbitkę z nekrologiem Juliusza Mieroszewskiego. Dowiaduję się też o śmierci Antoniego Słonimskiego. Jeszcze dwaj, których nie mógłbym zobaczyć, gdybym pojechał do Europy.

Hong Kong

Mijamy Filipiny od wschodu i wylatujemy na morze Połud-

niowo-Chińskie. Wkrótce zaczniemy schodzić na Hong Kong. Przed jakimś kwadransem przeskoczyliśmy równik. Jeszcze pięć lat temu byłoby to okazją do symbolicznego oznajmienia przez kapitana statku, a na niektórych liniach do wydania pasażerom specjalnych zaświadczeń z wizerunkiem Neptuna. Dziś, w dobie lądowania na Marsie, taki ceremoniał już rzadko kogo interesuje.

Hong Kong wita nas szokiem uderzenia gorącej wilgoci, po wyjściu z chłodu klimatyzowanej kabiny.

Profil miasta na tle góry Wiktorii nie zmienił się od mego ostatniego pobytu. Szare, z daleka czysto wyglądające, mieszkalne drapacze chmur. Niektóre bardzo wysokie, bo Hong Kong musi budować się w górę. O rozbudowie wszedź już dawno nie ma mowy, z braku przestrzeni.

Ta wyspa (i ten cypel chińskiego lądu) jeszcze nie otrząsnęła się z kryzysu spowodowanego wydalaniem Amerykanów z Wietnamu. Bo przez dziesięć lat ta brytyjska kolonia była bodaj jedynym miejscem odpoczynku i rozrywki — *R(elief) and R(e-creation)* — dla wojsk amerykańskich walczących z nudą i z nieprzyjacielem na półwyspie Indochińskim. Tu, do Hong Kongu, przybywali żołnierze aby w ciągu tygodnia przehulać nagromadzoną przez miesiące gaź czy żołąd. I wydawane przez nich dolary były mile widziane, bo światowa inflacja uderzyła mocno także w *prosperity* kolonii, która przecież jest tylko jednym wielkim magazynem wolnocłowym dla turystów. W Hong Kong nie ma ani muzeów, ani godnych uwagi obiektów architektury urbanistycznej. Tu — przynajmniej dotychczas — zatrzymują się turyści li-tylko dla tanich zakupów. *The Stop & Shop town*, jak określa je oficjalny katalog wydany przez Izbę Handlową i Związek Biur Turystycznych. Zatrzymaj się i Kupuj. Ceny niektórych produktów są naprawdę zachęcające — jak np. nie podlegające akcyzie trunki, jak perfumy i lepsze zegarki. Ale nie wszystko jest takie tanie, choć wybór bywa urozmaicony. Np. szanowna Izba Handlowa wcale nie żenuje się gdy drukuje w oficjalnym katalogu następujący inerat: „*Girls for your personal inspection — Oriental, American and European*”. Ogłoszenie w *Tourist Association Official Guide Book* nie używa określenia *call-girls* tylko wymowny eufemizm *escort unlimited* ze wskazówką: *Make a call — 24 hours service*. Chyba wyraźniej nie trzeba. Podobnych ogłoszeń naliczyłem dziewięć.

Istnieje też inny Hong Kong, tylko o nim nie ma ani słowa w publikacjach turystycznych. Obok Nathan Road i kilku innych ulic — gdzie można nabyć wszystko od zegarka Patek Philippe do Filipinki z Mindanao — istnieją też inne dzielnice. Tam nie ma neonowych świateł, ani ulicznych naganiaczy do domów rozrywki. Tam jest smród — dosłownie i w przenośni. Tam

żyją cztery miliony Chińczyków — wszyscy w warunkach ciasnoty i gorąca, niektórzy w nędzy jaką trudno sobie wyobrazić, jeżeli się jej nie widziało na własne oczy.

Bo Hong Kong dusi się z braku przestrzeni życiowej. Kolonia składa się z małej skalistej wyspy, z półwyspu-cypla Kowloon oraz z tzw. Nowych Terytoriów wydzierzawionych od Chin w 1897. Wieczysta dzierżawa (99 lat) upływa w 1996 i wśród miejscowych „poinformowanych” Chińczyków panuje chyba na czymś oparte przekonanie że władze w Pekinie nie zgodzą się na odnowienie umowy. Tereny te są dziesięć razy większe od wyspy i cypla, ale inwestycje prywatne na nich są bardzo ostrożne. W pierwszym rządzie chodzi tu o budownictwo mieszkalne czyli wartości, których nie można by było odzyskać w wypadku powrotu tych terenów do Chin. Rezultatem jest wprost niewiarygodne zagęszczenie mieszkaniowe na pozostałej przestrzeni, stale zastrzane przez regularnie uciekające z Chin osoby, dla których rząd kolonii przyznaje pewną kwotę zezwoleń na pozostanie. Inni ukrywają się nielegalnie, albo uciekają na Taiwan, który przyjmuje każdego Chińczyka po deklaracji i identyfikacji, lecz nie bez dokładnej inwigilacji.

Mieszkanie rządowe — tzw. *resettlement housing* — to 150 stóp kwadratowych na cztery osoby. Obejrzałem sobie kilka takich klitek, a raczej nór: Izba — trzy metry na półtora, niski sufit, jedno okno z kratą ochronną aby dzieci nie wypadły (lecz potęgujące wrazenie pobytu w klatce). Toaleta, umywalnia i pralnia — wspólne. Bieliznę suszy się na żerdzi wystającej z okna. Zaduch, krzyk dzieci, ponure twarze matek i smród taki, że byłbym natychmiast uciekł, gdybym nie chciał pomówić z jednym młodym człowiekiem.

Lat na oko dwadzieścia kilka. Żywe, nieco kpiące spojrzenie i już głębokie zmarszczki rozczarowania, niby chińskie wąsy, po obu stronach ust. Nie podoba mi się, bo zaraz na wstępie, widząc że robię notatki, oświadczył że będę mu musiał zapłacić za rozmowę, albo nic z tego.

Wolałbym innego informatora, jednak nie mam wyboru. Już trzy godziny włóczę się po tej dzielnicy i on jest pierwszym, który mówi niezłe po angielsku. Twierdzi że jest z *mainland*; że już rozmawiał z dziennikarzami.

Ale mam płacić, więc wymagam i przede wszystkim proszę o pokazanie dowodu, że ta ucieczka to nie bajka. I widzę że istotnie ma on kartę rejestracyjną z której wynika, że jest zalegalizowanym uciekinierem. Pokazał mi też kartę bezrobotnego, potem jak schował wręczone mu dwa australijskie dolary.

Zapytałem wprost czy u komunistów miał gorsze warunki mieszkaniowe niż w tej ponurej norze i czy też był bez pracy.

Spojrzał na mnie podejrzliwie i oczekiwałem że oskarży mnie o sympatie dla Chin Ludowych. Ale uśmiechnął się niespodziewanie i zaczął mi objaśniać jak dziecku, że my tu na Zachodzie nie wiemy jak nam dobrze. Kwintesencją pół-relacji i pół-głędzenia było: że gdyby nie uciekł, to by go zapracowali na śmierć w tej północnej komunie, gdzie żył wśród obcych i dostawał najgorsze prace. A tu nie musi brać byle jakiego zajęcia. Uczy się angielskiego i czeka na posadę w biurze turystycznym. Wtedy będzie mógł swobodnie wydać to, co zarobi.

Mówił chaotycznie lecz z przekonaniem i jakoś mu wierzyłem, choć nie zapytałem czemu wysłali go na północ i nie pozwolili mu zostać z rodzicami w prowincji Kantońskiej. Czułem, że na takie pytanie nie otrzymałbym odpowiedzi.

Może powinienem był zostać dłużej, zabrać się do niego po adwokacku i wydobyć coś bardziej konkretnego o życiu w Chinach komunistycznych. Ale jest już ciemno i ten zaduch z korytarza jest nieznośny — wilgoć, zgnilizna i uryna. I nie podoba mi się nagle jego chytre spojrzenie. Więc wychodzę szybko, po angielsku. Strach? Nie wykluczone.

Wracam do hotelu przez nadmorską ulicę wzdłuż której wznoszą się wysokie i eleganckie bloki. Nie wszyscy obywatele kolonii żyją w ciasnych koszarach mieszkaniowych. Są też tacy — dochodzą do 25 % — którzy mogą sobie pozwolić na wygodniejsze warunki. Do nich można także zaliczyć tych których stać na kupno dżonki lub sampana i mieszkanie na wodzie, pomimo że tam grozi tajfun.

Skracam na Waterloo Road i oglądam wille na prawie dwukrotkach gruntach, za wysokimi murami lub pięknie ostrzyżonymi żywopłotami. Tu mieszkają milionerzy. Ciekawe czy oni też — jak część byłych uciekinierów z Chin Ludowych — żyją w strachu przed komunistami odległymi stąd o niecałe dziesięć kilometrów, mogącymi w każdej chwili odciąć dostawę wody i żywności, zadusić Hong Kong w ciągu tygodni czy miesięcy, bez konieczności oddania jednego wystrzału.

— Czy wam to życie na politycznym wulkanie nie spędza czasem snu z powiek?

Nie wiem czemu tego wieczora, na tarasie baru Bauhinia, zadałem to pytanie inspektorowi policji wodnej, z którym poznałem mnie mój znajomy duński dziennikarz.

Anglik uśmiechnął się pod starannie przyszyżonym wąsem i rzekł spokojnie:

— Jesteśmy na wyspie i na półwyspie ponad sto lat, a umowa o Nowe Terytoria ma wygasnąć dopiero za dwadzieścia lat. Ja nie widzę powodu do denerwowania się na zapas. *It is non-constructive.*

Spojrzał na mnie wymownie i zmienił temat. Może miał rację i moje pytanie było nie na miejscu. Jeżeli to nie była poza — bo chyba on też wiedział co się dzieje: że przestępczość w kolonii wzrosła czterokrotnie w ciągu ostatniej dekady; że wraz z bezrobociem mnożą się wypadki kradzieży i rabunków, co zaczyna odbijać się na turystyce i na opartych na niej obrotach handlowych; że wolność atrakcyjność Hong Kongu osłabła ostatnio z powodu erozji inflacyjnej i konkurencji Singapuru czy nawet australijskiej Norfolk Island.

Jednak nie będę kontynuował rozmowy z tym Anglikiem. Jasne jest, że nic ciekawego z niego nie wydobę. Pójdę raczej spać; jutro, przed odlotem, chciałbym jeszcze raz obejrzeć jeden z dziwołagów hongkongskich. Jest nim granica z Chinami komunistycznymi w Lok Ma Chau.

Dojazd trwa dość długo, bo trzeba okrążyć. Wysokie wzgórza. Teren aż się roi od policjantów. A wokoło setki osób które w pocie czoła wspięły się na stromą drogę tylko po to aby stojąc przy barierze zobaczyć zwykłą farmę: dwie stodoły, kilka kaczek w kałuży, jakiś zamulony rów irygacyjny, to wszystko.

Ani słupów granicznych, ni wież wartowniczych z karabinami — tylko spokojny napis orientacyjny: że dalej chodzić nie wolno. Pod tą tablicą fotografują się dziennie setki spoconych turystów, którzy potem stoją i gapią się na kawałek ziemi niczym nie różniący się od otoczenia poza tym, że jest „po tamtej stronie”.

Taiwan

W Hong Kongu żyje blisko cztery i pół miliona Chińczyków. W Taipei niecałe dwa miliony. Ilość turystów w obu miastach jest o tej porze roku mniej więcej jednakowa. A jednak, już po kilku dniach pobytu można uświadomić sobie że tu są Chiny a tam jest brytyjska kolonia — choć w Tajwanie łatwiej jest porozumieć się po angielsku.

Z zasięgniętych przed wyjazdem informacji wiem, że przebywam w stolicy państwa rządzonego silną ręką; że to życzliwa, czy dobrotliwa — lecz przecież dyktatura.

Widać, że ludzie nie są tacy zamożni — po ubraniach, po wystawach sklepowych, po małej ilości samochodów prywatnych, wreszcie po odrapanym tynku domów w peryferyjnych dzielnicach miasta. Bo gmachy reprezentacyjne, przeważnie państwowe, w centrum, są bez zarzutu. Gdy obejrzałem budowlę Ministerstwa Spraw Zagranicznych tej szesnastomilionowej wyspy i porównałem ją w myśli z naszym przedwojennym Em-es-zetem w

Warszawie, zadałem sobie pytanie: Czy my byliśmy za skromni, czy też oni są tu zbyt wystawni?

Pomimo rządów silnej ręki nie wygląda na to, że żyjący pod nimi obywatele są przygnębieni, czy nerwowi. Bez wahania — i sędzę że bez strachu — odpowiadali na bezpośrednie pytania, jakie im zadawałem na temat ustroju. Wielu przyznało, że rządy na wyspie są autokratyczne. Gdy mówili o niedawno zmarłym Czang Kai-szeku, ich słowa uznania nie były udawane. Biorąc pod uwagę że spory odsetek obecnych obywateli to ludzie, lub córki i synowie osób, które uciekły na tę wyspę, aby nie zostać pod administracją komunistyczną — skłonny jestem uwierzyć że ich szacunek dla zmarłego Generalissima jest szczery, nie na pokaz czy ze strachu.

Tak jak nie udawany jest ich spokój i brak obawy przed inwazją. Albo już się przyzwyczaili, albo mają zaufanie do swojej półmilionowej armii i do sytuacji międzynarodowej która umożliwiła im życie w atmosferze niepodległości pomimo bardzo niebezpiecznej pozycji geograficznej, w odległości „rzutu kamieniem” od ładu chińskiego, skąd — jak twierdzą — uciekło do nich dalsze trzy miliony przeciwników komunizmu.

Urzędowa nazwa Tajwanu to „wyspa-prowincja Republiki Chińskiej”. Albowiem według oficjalnej wersji tutejszej Tajwan nie jest oderwany od Chin, tylko Chiny od Tajwanu, co szczególnie jaskrawo wygląda na specjalnie wydanej mapie. „*We should get the communists out of the mainland*”, głosi po chińsku i po angielsku ośmiometrowy napis na górskiej szosie. Siedzący obok mnie w samochodzie nowozelandzki *businessman* mówi z przekąsem, że to bźmi jak ogon machający psem.

Może. Lecz mieszkańcy tego „ogona” cieszą się najwyższym po Japonii standartem życiowym w Azji; prawie nie znają inflacji; potrafilo, dzięki pomysłowej irygacji, doprowadzić do dwóch zbiorów ryżu na rok, co ma znaczenie przy wysokiej gęstości zaludnienia; produkują dla Amerykanów ultradźwiękowe samoloty myśliwskie F5Es, szybsze od sowieckich Mig 21; oficjalnie przyznają się, że mogliby produkować broń nuklearną; mają najliczniejszą w tym rejonie strategicznym, doskonale wyszkoloną i wykwapowaną armię z której są nie bez powodu dumni. Mają też milion rezerwistów. A rząd ich wykazuje pewność siebie, śmiałość i brak służalczości wobec Amerykanów; a wobec Chin komunistycznych odwagę którą można podziwiać. Jednym z jej objawów jest wojna głośnikowa prowadzona z wyspy Kinmen (Quemoy).

Na samą wyspę mnie nie puścili, bo jest *off-limits for non-military personnel* — lecz opisali mi dokładnie co się tam dzieje: W podziemnym schronie panna Wang Fu nagrywa tego wieczoru

płyty z informacją (oraz, nie wątpliwe, z propagandą) kierowana do Chin komunistycznych przez specjalne gigantofony. Oczywiście strona przeciwna nie przyjmuje tego biernie i albo zagłusza, lub też odpowiada pięknem na nadobne. Oprócz głośnikowej prowadzona jest walka ulotkowa. Teksty zrucane są przez rozsypujące się w powietrzu pociski z kartkami.

W Taipei dotychczas stacjonują wojska amerykańskie, zupełnie otwarcie, we własnych koszarach i z własną radiostacją, co umożliwi mi kontakt ze światem w kraju którego język jest dla mnie chińszczyzną. Na Tajwanie wychodzą też trzy codzienne gazety chińskie w języku angielskim. Prawdopodobnie dla urozmaicenia jedna z nich, *China Post* podkreśla w swoim maszynie redakcyjnym że jest „*An independent newspaper*”, czego jednak nikt w branży nie bierze dosłownie. Zarówno dziennikarze jak i ich czytelnicy wiedzą, że prasa na wyspie jest ściśle kontrolowana.

Wczoraj byłem na wystawie w centrum sztuki ludowej gdzie stosunkowo niedrogo można nabyć piękne i wartościowe ekspozyty miejscowych artystów tkackich i snycerskich. Tanie, bo nowy dolar taiwański jest mocną walutą. Dlatego też inwestycje zagraniczne na wyspie są poważne. Około 240 wielkich fabryk należy do przedsiębiorstw zamorskich, którym rząd przyznaje duże ulgi podatkowe i gwarantuje, że nie będą wywłaszczone albo zarekwirowane przez następne dwadzieścia lat. Oczywiście, gdybym powiedział memu rozmówcy że jest to rachunek zrobiony bez politbiura w Pekinie, to może spotkałaby mnie jakaś przykrość.

Pomimo takich ulg i gwarancji wkłady międzynarodowe spadły poważnie od czasu ping-pongowego *rapprochement* chińsko-amerykańskiego i po tym jak waszyngtoński Departament Stanu zaczął stawiać na *détente*, którą w Taipei określają po prostu jako tymczasowe uznanie obecnego układu sił i nic więcej. Udział kapitału zagranicznego w *Republic of China* zmniejszył się z 249 milionów w roku 1973 do obecnych 190 milionów dolarów. Tu można sobie dopowiedzieć, że utrzymanie armii wciąż kosztuje — więc nie dziwi się narzekaniom na wysokie podatki. Mówi mi o nich absolwent uniwersytetu w Taipei, który po uzyskaniu dyplomu magistra ekonomii musi pracować jako urzędnik w fabryce papieru. Twierdzi, że jego pracę mógłby z łatwością wykonywać uczeń szkoły powszechnej. Lecz nic lepszego nie znalazł, „bo mamy nadprodukcję inteligencji”.

Magister ekonomii przerywa swój monolog gdy widzi jak mój wzrok zatrzymuje się na żółtym kartonie z fotografią i pieczęcią pod celofanową szybką w aluminiowej ramce, przymocowanej agrafką po lewej stronie marynarki. Takie same dowody identyfikacyjne nosi prawie każdy pracujący — od tragarza na

lotnisku do panienki, która udziela wyjaśnień zwiedzającym w pałacu Muzeum Narodowego. Jak mi powiedziano, takie zewnętrzne legitymacje wydawane są przez ministerstwo spraw wewnętrznych. Nie udało mi się dowiedzieć dlaczego niektórzy są zwolnieni z obowiązku noszenia ich na widocznym miejscu, lecz zapewniono mnie, że posiada je każdy pracujący. Widzę je nawet na skórzanych fartuchach sprzedawców jarzyn w halach targowych. Patrząc na nie myślę o *Nineteen Eighty-four* Orwella.

We wspomnianym muzeum spędziłem trzy najciekawsze godziny na wyspie. Chińczycy są mistrzami rzeźbienia: w drzewie, w bambusie, w nefrycie i wszelkiego rodzaju kości, od rybnej do słoniowej. Niektóre miniatury są tak precyzyjne, że można je ocenić dopiero po zbadaniu przez silne szkła powiększające umieszczone przed takimi eksponatami. Ciekawe obrazy malowane na jedwabiu, niektóre wykonane więcej niż dwa tysiące lat temu. Każdy zaopatrzone w pieczęć panującego wówczas cesarza którego *placet* było konieczne przed wystawieniem obrazu dla publiczności. Spora ilość obrazów ma wypisaną na nich opinię przyjaciół i krytyków. Większość tych napisów to arcydzieła mistrzów starochińskiej kaligrafii; niektóre podobały mi się więcej niż obrazy jakie wychwalali, czy ganili.

Po wyjściu z muzeum widzę na jednej z bocznych uliczek coś co przychodzi mi na myśl ostatnią wojnę w Europie: szary betonowy wąż do schronu przeciwlotniczego. Napis po chińsku i po angielsku: *Active air-raid shelter*. A przed jednym z tunelów kolejowych, prawie w centrum miasta, stoi żołnierz pod bronią. Nie jestem zdziwiony, przypominam sobie odmowę wpuszczenia na wyspę Quemoy: „*this is war zone*”.

Oni tu są przygotowani na najgorsze, i nie ukrywają tego. Chyba dlatego pałac prezydenta w pięknym parku jest tak zamulowany, że nawet z powietrza nie jest widoczny — jak wyjaśniła z jakąś naiwną dumą przewodniczka. Może dlatego od ponad ćwierćwiecza ludzie żyją na tej wyspie w wyzywającym pogotowiu, pod nosem osiemsetmilionowego kolosa na kontynencie. Czuję małe ukłucie zazdrości gdy zadaję sobie pytanie: Czemu oni, tylko szesnaście milionów i w położeniu geograficznym może nawet gorszym, mogą od dwudziestu siedmiu lat żyć we względnej suwerenności, a tam, nad Wisłą, trzydzieści kilka milionów nie ma tego szczęścia. Wprawdzie, jak głoszą kawiarzani strategowie, komuniści mogliby ich w każdej chwili czapkami nakryć, gdyby chcieli. Ale jakoś nie chcą, lub nie śmia. Nie wiem. Może zadaję sobie głupie pytania.

Męczy mnie ten problem jeszcze na dworcu lotniczym, jednym z najpiękniejszych jakie widziałem. Ładniejszy od Orly — czy dlatego, że nowszy, czy też z premedytacją reprezentacyjny

na wyrost. Tak jak te ministerstwa, jak ta gwardia w Świątyni Męczenników poległych w walce z komunizmem. W ogóle, odniosłem wrażenie że rząd Taiwanu przywiązuje dużą wagę do tego co Anglosasi określają jako *image* a co my raczej obcesowo nazywamy „zastaw się a postaw się”.

Tokio

Gdy lądujemy, dochodzi północ. Ale po czterogodzinnym locie nie jestem zmęczony, więc tylko szybkie odświeżenie i wychodzę na miasto. Hotel mieści się w samym centrum dzielnicy Ginza, która szczyci się tym że nigdy nie śpi.

Okazuje się, że to nie pusta przechwałka. Ulica oświetlona jest jak w dzień, tłok i gwar. Wszystkie bary są otwarte, restauracje pełne. Przed każdą pomysłowe menu: W szklanych gablotkach ustawione rzędem talerze, a na nich wykonane z plastyku, czy z gipsu potrawy z numerami i ceną w dolarach i yenach. Można podziwiać zręczność i staranność artysty, który to odtworzył. Potrawy wyglądają „jak żywe” i każdy szczegół jest „smacznie” wykonany w tak naturalnych kolorach, że aż ślinka idzie. Gdy gość siada przy stole, podaje numer lub, jeżeli to cudzoziemiec, pisze go na podanej kartce. Ciekaw jestem czy jest to początek nowego rodzaju sztuki: kulinarnego malarstwa na rzeźbie.

Niektóre z restauracji to wielopiętrowe domy, istne świątynie kulinarne. Zwróciła moją uwagę jedna, z tablicą informującą że na każdym piętrze jest inna kuchnia. Zapamiętałem sobie: francuska, kantońska, japońska, mongolska. I inne. Zajrzałem i stwierdziłem że większość gości to zwykli, swobodnie ubrani ludzie tutejsi. Tylko gdzieniegdzie stolik z głośnymi amerykańskimi turystami. Jeżeli zainteresowanie sztuką kulinarną świadczy o kulturze, to Japończycy są narodem wysoce kulturalnym. O czym przekonałem się w najbliższych tygodniach.

Nazajutrz wybrałem się na zwiedzenie miasta. Raczej na usiłowanie zwiedzenia, gdy dowiedziałem się że Tokio — największe po Szanghaju miasto na świecie — rozciąga się na przestrzeni ponad dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych. W metropolii mieszka jedenaście i pół miliona ludzi. A na powierzchni 250 akrów w centrum stoi pałac, w którym żyją dwie osoby. Plus służba i imperialna gwardia przyboczna.

Tuż po wejściu witają nas głośne okrzyki. Dochodzą z pobliskiej hali gimnastycznej gdzie jedna zmiana gwardii odbywa codzienne obowiązkowe, trzygodzinne ćwiczenia judo, karate i jujitsu. Po co im to, nie wiem, skoro każdy jest uzbrojony po

zęby. I na każdej głowie słuchawka umocowanego na piersi aparatu radiowego.

Oficer straży wręcza mi numerowany żeton i poucza abym tego krążka nie zgubił, bo bez niego tak łatwo nie opuszczę terenów pałacu. Najlepiej to umocować — wręcza mi agrafkę. Przechodzę przez drugą bramkę i nie wątpię że znów zostałem prześwietlony przez elektroniczny detektor metalu. Jak wczoraj na lotnisku, gdy przyuważali mój szczyryk.

Pałac i dodatkowe budynki, między nimi piękne konserwatorium muzyczne ufundowane przez cesarzową z okazji pełnoletniości następcy tronu — to zresztą jedyne tradycyjnie japońskie okazy architektury w centrum miasta. Prawie wszystkie inne, za tą szeroką fosą, to funkcjonalne bloki handlowe i biurowe tym tylko różniące się od swoich siostrzyc w Los Angeles czy w Buenos Aires, że w japońską urbanistykę biurowo-handlową już na rajbrecie architekta wkonstruowana jest reklama. Na każdym dachu jest z góry planowana bryła reklamowa: sześcian, stożek, walec lub piramida spojona estetycznie z całością budowli. Te dachowe nadbudówki okazałych rozmiarów nadają miastom japońskim specyficzny wygląd i rzucają się w oczy tym bardziej że wysokość budynków jest ograniczona do zdaje się kilkunastopiętrowej przeciętnej, ze względu na niebezpieczeństwo częstych tu wstrząsów sejsmicznych. Wyjątkowo pozwala się na postawienie wyższych bloków, które w Tokio można policzyć na palcach obu rąk.

Imperialni towarzysze partyjni

Drugim obok pałacu cesarskiego kompleksem budynków różniących się od żelbetonowych sześcianów z chromoniklowanymi oknami i romboidami reklamowymi na dachach — jest Zgromadzenie Narodowe. Jedną z jego cech charakterystycznych — w insularnym imperium japońskim — jest fakt zasiadania w nim 39 posłów (na 491) i dwudziestu senatorów (na 252) Japońskiej Partii Komunistycznej, drugiego co do wielkości, po socjalistach, zgrupowania opozycyjnego w kraju, którego więcej niż połowa mieszkańców wciąż przypisuje swemu cesarzowi boskie pochodzenie.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat komuniści w Japonii rozrosli się do rozmiaru jednostki politycznej z którą trzeba się liczyć. W 1958 roku mieli tylko trzydzieści tysięcy członków. Obecnie 370 tysięcy Japończyków ma legitymacje partyjne. Ponadto 3.200 komunistów zasiada w zgromadzeniach samorządowych, a nakład

dziennika *Akabata* (Czerwony Sztandar) wzrósł z 50 tysięcy przed dwiema dekadami do trzech milionów w chwili obecnej.

W czerwcu tego roku prezes partii, Kenji Miyamoto zwołał specjalną konferencję prasową na której ogłosił oficjalnie, że komuniści japońscy nie poczuwają się do obowiązku stosowania się do doktryn Mao Tse-tunga czy Leonida Breżniewa i mają zamiar nawiązać bliższe kontakty z bratnimi partiami we Francji i we Włoszech.

Konsekwencją tego było niedawno ogłoszone skreślenie z programu partyjnego dogmatu o dyktaturze proletariatu i zastąpienie go słowami „władza dla klas pracujących”; a określenie Marksizm-Leninizm przemianowano na „naukowy socjalizm”.

Reakcja prasy demokratycznej nie dała na siebie długo czekać. Prawie wszystkie poważne dzienniki określiły posunięcie towarzysza Miyamoto jako „semantyczny manewr” i „werbalny kamuflaż”, szczególnie że po drętwej ekwilibryście słownej zostawiono jednak w programie partyjnym dogmat „pluralizmu partyjnego tylko pod warunkiem priorytetu socjalizmu”. Z czego wyciągnięto wniosek, że Miyamoto jest może mniej niezależny od Moskwy niż chciałby przyznać.

Sendai — Hakone — Kyoto

Stoję w klimatyzowanej kolejce podziemnej w drodze z centrum miasta do dworca Asakusa skąd mam wsiąść w ekspres do Kyoto. Wagony tokijskiego metra są przestronne i czyste, choć o tej porze przepełnione. Trochę mnie razi fakt, że tuż obok mnie siedzą wygodnie rozparci dwaj młodzieńcy w szkolnych mundurkach i rozmawiają swobodnie podczas gdy przed ich ławką stoi niemłoda już kobieta, wyraźnie zmęczona. Jednak tylko ja — cudzoziemiec — jestem zdziwiony. Inni najwyraźniej uważają takie zachowanie za naturalne. Nie mogę pojąć, że ci sami Japończycy, którzy przy powitaniu i pożegnaniu kłaniają się sobie w pas i przy każdej okazji sypią swoim *arigato* i *dozo* (dziękuję i proszę) — jednak potrafią być tak nieczuli i niedelikatni wobec kobiety. O niegrzeczności nie można tu mówić, bo taki jest obyczaj, o czym przekonałem się potem niejednokrotnie.

Po przybyciu na dworzec okazuje się że ekspres do Kyoto to słynny *Shinkansen*, najszybszy pociąg świata. Jakiś francuski dziennikarz nazwał go *Balle de Fusil* i to miano już do niego przyłgnęło. Robi 210 km./godz., jest całkowicie skomputeryzowany i zdalnie kontrolowany z centrali w Tokio; ma własne perony i pędzi na swoim torze. W wagonie restauracyjnym

jednak lekko trzęsie, chyba z tej szybkości; osobiście wolę coś wolniejszego, z mniej rozskakaną kawą.

Fotele są wygodne i mam miejsce przy oknie, więc obserwuję. Wjeżdżamy w zewnętrzne dzielnice metropolii i już zaczynają się kamienice z wąskimi blokami mieszkań o małych oknach i wąskich izbach. Jedno pomieszczenie oddzielone jest od sąsiedniego cienką ścianą, z miniaturowego balkonu można zaglądać do sąsiada. Nie można tu mówić o prawdziwym odosobnieniu; ani o zacisku domowym, jeżeli wziąć pod uwagę las anten telewizyjnych na dachach. A prawie na wszystkich balkonach wietrzy się pościel lub suszy się bielizna. Bardzo higieniczne, ale mało estetyczne. Tak obwieszono są wszystkie domy, nawet te zamożniej wyglądające. I nie tylko w tym mieście; we wszystkich.

Gdy po pół godzinie najszybszej jazdy te domy i wąskie uliczki nie urywają się, biorę na odwagę i pytam przechodzącego konduktora, aby dowiedzieć się że już mineliśmy Tokio i teraz wyjeżdżamy z Yokohamy. Jedno miasto przechodzi w drugie. To jest moje pierwsze zetknięcie się z japońskim *Problemem Narodowym Nr Jeden* — z ciasnotą, z brakiem dostatecznej przestrzeni życiowej. Dlatego te domki są takie małe, te kamienice takie wąskie i stojące jedna przy drugiej. Garażu nie ma na lekarstwo a rowery, motocykle i samochody trzeba zostawiać na ulicy. Dlatego każdy skrawek uprawnej ziemi jest tak starannie obsiany, aż do krawężnika szosy, aż do nasypu kolejowego. Wszędzie ryż i warzywa: między budynkami fabrycznymi, także na tyłach stacji benzynowych, nawet w donicach. Zielony o tej porze roku — jest sierpień — ryż wygląda jak trawa do której gatunku zresztą botanicznie należy.

Jest podstawą żywnościową Japonii, która — ze względów klimatycznych i topograficznych — nie może hodować pszenicy i innych zbóż w dostatecznych ilościach. Japonia, tzn. jej wszystkie mieszkalne wyspy, jest trochę mniejsza od Szwecji. Cztery piąte powierzchni to góry i jeziora oraz nie nadające się do żeglugi rzeczki. Pozostałe 20 % muszą starczyć na zasiewy i na osiedlenie dla 110 milionów ludzi i ich warsztatów pracy. I rocznie, przy całej ostrożności, przybywa co najmniej milion. Nic dziwnego, że ten naród, jedna z potęg światowych, po prostu wolno dusi się na swoich wyspach. Ludność potroiła się w ciągu stulecia. Powinno być zrozumiałe, że próbują wyrwać się na kontynent. Usiłowali dostać się do Chin w końcu dziewiętnastego wieku, próbowali w Mandżurii w 1932 i w południowo-wschodniej Azji podczas drugiej wojny światowej. Osobiście nie byłbym zdziwiony gdyby znów musieli spróbować, w jakiś sposób. Bo te cztery wyspy są dla nich za małe.

Na razie dają sobie radę. Są pomysłowi i zawzięci i praco-

wici. Potrafią zacisnąć zęby. Budują ogromne kompleksy podziemne — niemal miasto pod miastem — z arkadami, sklepami, restauracjami i warsztatami produkcyjnymi. Gdzie się da, jak swego czasu Holendrzy, wydzierają przestrzeń morzu, budują tamy i sztuczne baseny portowe. Wykorzystują niektóre skalne wysypki jako prześła mostów przrzutowych. Prowadzą agresywne leśnictwo, gdy obsiewają nawet stoki górskie lasami na budulec i wkopują się terasowo w zbocza aby i tam siać swój ryż. Wykorzystują długie nadbrzeża i tworzą osady rybackie. Nauczyci się jeść surową rybę aby wydostać z niej jak największą wartość proteinową.

Świątynie, kaplice, mauzolea

Jest jeszcze wcześniej gdy przyjeżdżam do hotelu. Zatem po rozpakowaniu postanowiłem wyjść na miasto. Ale półtoramilionowe Kyoto o ósmej już śpi. Wielkie sklepy zamknięte, światła wystawowe przygaszone, mało przechodniów. Tu i ówdzie jakaś mała kawiarenka, jeszcze otwarta. Wracam do mego pokoju, do klimatyzacji, do whisky z lodem. Na telewizji jakaś amerykańska komedia z japońskim dubbingiem. Oczywiście nic nie rozumiem, może tak lepiej. Wyłączam. Raczej poczytam *Asahi Evening News*. Kupuję też, codziennie: *The Daily Yomiuri*, *Mainichi Daily News* i *The Japan Times*.

Na biurku znajduję broszurę turystyczną, z której dowiaduję się, że Kyoto było przez tysiąc lat stolicą Japonii. Że tu też jest pałac cesarski zajmujący jedną trzydziestą powierzchni miasta; że nikt w nim nie mieszka i wolno go zwiedzać tylko za specjalnym podaniem do kustosa. Że Kyoto jest jedynym z większych miast, które nie było bombardowane w czasie ostatniej wojny. Że warto zwiedzić jego wspaniałe świątynie. Więc zarezerwałem sobie jutrzejszy dzień na te wspaniałości. I rozczarowałem się.

Dopiero później zrozumiałem dlaczego. Na razie stwierdziłem że w Japonii, kraju bezwzględnie aż do przesady czystym, natknąłem się na siedziby kultu religijnego wyglądające jak coś pośredniego między jarmarkiem a lunaparkiem, więcej niż lekko zaśmiecone, i zaniedbane.

Wywiedziałem się jednak, że rząd japoński nie daje zbyt wiele na utrzymanie tych miejsc „świętych”. Pozostawia to kongregacjom wiernych. Stawia to licznych mnichów i kapłanów w pozycji nie bardzo zabezpieczonej. Muszą zebrać lub wyłudzać: opłaty za używanie brudnych pantofli, i osobno za przechowanie butów w szatni; za „przywilej” wrzucenia monety do „zaczarowanego”

źródła życzeń; za kartkę z „murowaną” wróżbą. Za „honor” pociągnięcia za sznur „magicznego” dzwonu. Srebrna moneta daje prawo wejścia do marnej herbaciarni, którą szumnie nazwano kaplicą. Potem możesz wybulić dodatkową zapłatę za filiżankę kiepskiego wywaru „o cudownych własnościach leczniczych”. Za dwa dolary dadzą amulet gwarantujący automobilistom ochronę przed zderzeniem. I tak dalej. Ale nie wolno zapomnieć, że Japończycy to inteligentni ludzie. Więc dochody mnichów i kapłanów nie są takie kokosowe.

Ponieważ wiele świątyń stoi na obszernych terenach, utrzymanie wymagałoby licznej presonelu, na co same datki oraz amuletowe dochody, nie wystarczają. Faktem jest, że przeciętny Japończyk obecnego pokolenia nie jest zbyt religijny. Budyzm i shintoizm to właściwie kierunki etyki; niektóre odłamy tych religii to raczej zlepek wierzeń i praktyk, *way of life*. Zapewniano mnie, że wielu żeni się w ceremonii *shinto*, bo jest weselsza; a urządzają pogrzeby według obrządku buddyjskiego bo tu obiecują reinkarnację, w którą większość ponad stu odłamów *shinto* nie wierzy. Wspólną cechą obu religii jest nakaz czczenia pamięci przodków i opiekowania się nimi za życia. Dlatego szanujący się Japończyk tylko w ostateczności pozwoli umieścić rodziców w domu starców.

Tymczasem największy na świecie, 48-metrowy posąg Buddy w Nara stoi w prawie-stodole, której podłoga to ubita ziemia pokryta torebkami po orzeszkach, patykami po lodach ryżowych (zresztą jedno i drugie sprzedawane przez mnichów); dalej stosy opakowań od filmów marki Agfa, Kodak i Fuji — a nad tym wszystkim dominuje ten mosiężny olbrzym, którego nikt nie bierze poważnie i od którego aż załatuje grubą warstwę kurzu.

Nie. To nie wygląda jak poświęcone miejsce. A wokoło kręcą się „święte” łanie i jelenie, bezczelnie obwąchujące każdego w poszukiwaniu pokarmu. Niektóre, z głodu (?) żują papierowe torebki. I wszystkie, bez wyjątku, załatwiają się gdzie popadnie. Taki nie-burboński *parc de cerfs*.

Z przyjemnością wychodzę za bramę i znów jestem w czystej, przyjemnej Japonii.

Toba — Kobe — Yashima

Po raz pierwszy byłem w skomputeryzowanej restauracji. Zamiast rachunku kelner wręczył mi namagnetyzowany żeton metalowy, który kasjerka włożyła do szpary w maszynie Hitachi i wyskoczył szczegółowy rachunek. Tylko zapłacić, i gotowe.

Lecz ku mojemu zdumieniu czarnowłosa panna jeszcze raz sprawdziła elektroniczne podsumowanie — na abakusie.

Taka jest Japonia. Z jednej strony mechanizacja i elektrografia — z drugiej, kontrola komputera z dwudziestego wieku przez archaiczne liczydło, istniejące od nie wiem ilu tysięcy lat. Wysoki postęp i poszanowanie dla tradycji. Mikrotranzystory — i kolorowe paciorki na drutach.

Japończycy liczą swoją historię od szóstego wieku przed Chrystusem. Są dumnym, gospodarczo agresywnym, homogenicznym narodem, mówiącym jednym językiem i nie znającym najeźdźcy od piętnastu wieków. Czy jest prawdopodobne że taki naród zmienił się diametralnie po krótkiej okupacji przez dwóch-setletnią Amerykę? Wątpię. Myślę że wciąż są tymi samymi, jakimi byli w 1945 roku. Że pod doskonale skrojonymi garniturami ich delegacji handlowych i przemysłowych, rozjeżdżających po całym globie dla podpisywania miliardowych kontraktów, wciąż kryją się synowie lotników *kami kaze*, którzy na ochotnika jako żywe bomby atakowali jednostki floty amerykańskiej.

Oczywiście, po przegranej wojnie sytuacja jest delikatna i wymaga subtelnego manewrowania i zmiany taktyki, ale strategia polityczna wciąż jest uwarunkowana przez niezmiennione położenie geograficzne między Rosją i Chinami, i przez geniusz narodu, który po przegranej wojnie, po okupacji i po spłaceniu ogromnych odszkodowań, potrafił zająć jedno z czołowych miejsc wśród potęg gospodarczych świata.

Naturalnie nie o tym rozmawiałem z Japończykiem, który zaprosił mnie do siebie do domu aby, jak wyznał z rozbrajającą szczerością, popraktykować angielską konwersację.

Mój gospodarz jest dobrze sytuowanym urzędnikiem, a jednak mieszkanie jest bardzo małe. Na podłodze słomiane maty, krzesła nie ma i siedzimy w kucki na poduszkach, co nie jest bardzo wygodne, przynajmniej nie dla mnie. Jedzenie podają na niskim stole (pani domu kłeka przy podawaniu) a oni jedzą zupę chłapiąc aż miło. Inteligentny pan domu już przedtem wyjaśnił że jedzenie zupy lub klusek bez hałasu wydawałoby się w Japonii niezwykle i sztuczne. Może on ma rację, ale ja proszę o widelec do makaronu.

Pokazali mi też łaźienkę i nawet zaproponowali żebym się zanurzył — po umyciu się. Okazuje się że wanna w Japonii jest dla relaksu a nie dla mycia. Woda nie jest zmieniana po każdym. Dlatego wypada umyć się starannie przed zanurzeniem. Nawet przynieśli mi magazyn do czytania w wodzie. Bardzo gościnni ludzie.

Jakoś się z tego wykręciłem.

Takamatsu, na wyspie Shikoku

Gazety japońskie mają podwójną sensację w sezonie ogórkowym: aresztowanie byłego premiera Tanaka pod zarzutem brania łapówek, oraz tzw. *intentional leak*, niedyskrecja z premedytacją ministerstwa spraw zagranicznych w Tokio, na temat stosunków japońsko-chińskich. To ostatnie jest niespodziewaną gratką dla mnie, albowiem od dwóch tygodni próbuję zdobyć poważne informacje o tym zagadnieniu. A tu mi to podają na tacy.

A zatem: Zaczęło się od tego że minister spraw zagranicznych Miyazawa w rozmowie z amerykańskim senatorem Mansfieldem oświadczył, że wolałby aby Ameryka nie śpieszyła się ze zmianą polityki w kierunku zbliżenia do Chin i zerwania stosunków z Tajwanem, z którym USA ma umowę obronną. Mało tego: Japońska rządowa agencja telegraficzna ogłosiła ponadto dalszą wypowiedź Miyazawy: że Japonia nie życzy sobie aby Chińczycy wspierali ją w sporze z Rosją o suwerenność i zwrot czterech wysepek na północ od Hokkaido.

Prasa tutejsza przyjmuje, że te dwa zsynchronizowane komunikaty oficjalne wpłyną na ochłodzenie stosunków chińsko-japońskich i na odwleczenie na dłuższy czas negocjacji o traktat przyjaźni i pokoju między obydwoma narodami.

Minister Kiichi Miyazawa oświadczył ponadto w parlamencie, że jednostronna abrogacja przez Amerykę jej traktatu obronnego z Tajwanem musiałoby spowodować zachwianie zaufania Korei Południowej i Japonii do ich amerykańskiego partnera wojskowego i doprowadzić do zakłócenia równowagi sił w tym rejonie strategicznym. Japoński minister nie gada na wiatr. Z Japonią trzeba się liczyć. Choć jej siły zbrojne noszą nazwę Obronnych, ich jednostki dysponują w sumie większą potęgą ogniową niż Imperium w okresie ataku na Pearl Harbor. A wojskowy budżet cesarstwa jest szósty na liście światowej.

Wystąpienie Miyazawy wywołało oczywiście reakcję Chin, ale łagodniejszą niż się spodziewano. Chen Ping, szef sekcji azjatyckiej w MSZ-cie Chin Ludowych wezwał do siebie ambasadora japońskiego i powiedział mu, że deklaracja jego szefa, Miyazawy, jest „godna ubolewania w najwyższym stopniu”, szczególnie wobec faktu że w 1972 roku Japonia podpisała inną deklarację w której oświadczyła, że „rozumie iż Tajwan jest integralną częścią Chin”. (Nie mogę tu powstrzymać się od uwagi, że dokładnie to samo głoszą władze na Formozie, jeno w innym sensie).

Tyle komunikaty oficjalne, które mogę podać z czystym sumieniem, czyli bez aspiracji do roli komentatora politycznego.

Dodam, że wszystkie poważne pisma tutejsze w związku z tym podkreślają niewątpliwie oficjalnie inspirowaną wersję: że podstawą polityki zagranicznej Japonii są przyjazne stosunki zarówno z Chinami jak i ze Związkiem Sowieckim, oraz uniknięcie wciągnięcia w spór Sino-Sowiecki. A także uznanie, że istnienie Tajwanu jest faktem, którego nie można ignorować w żadnej realistycznej analizie sytuacji w Azji. (I znów wspominam z szacunkiem ten wielki gmach MSZ-tu w Taipei).

Skoro już o realizmie mowa — warto zanotować że pomimo sporów o wyspy, Rosja, po szesnastomiesięcznej umowie o dostarczenie jej 500 tysięcy ton płyt stalowych, znów prowadzi z Japonią pertraktacje o dostawę 300 tysięcy ton rocznie przez następne pięć lat; oraz o kontrakt na konstrukcję i zmontowanie fabryki skraplania gazu, za 250 milionów dolarów. Tak więc niezadowolone zatargi terytorialne oraz nieuniknione, sporadyczne incydenty, nie przeszkadzają uaktywnieniu stosunków handlowych. Japonii potrzebne są kontrakty dla swoich hut i walcowni, a Rosja musi mieć stal i maszyny dla swoich pięciolatek.

Co nie przeszkadza czerwonej flocie dalekowschodniej regularnie demonstrować swoją potęgę wzdłuż brzegów Nipponu. Chociaż, biorąc pod uwagę że od Wakkanai, na położonej nad morzem Ochockim wyspie Hokkaido, do Korsakowa na Sachalinie jest mniej niż dwieście kilometrów; wobec nowej teorii o suwerenności morskiej, nie jest pewne czy Rosjanie urządzają ten pokaz sił na wodach międzynarodowych, czy już na własnych.

Ale eksporty japońskie do ZSSR wzrosły w ostatnim półroczu o 16,9%. Rosyjskie importy do Japonii też podskoczyły o 6,3% w tym samym okresie. A kanał NHK telewizji państwowej Cesarstwa Nipponu regularnie nadaje lekcje języka rosyjskiego i pieśni rosyjskiej. Sam słyszałem i widziałem.

Ritsurin — Uno — Kurashiki

Wczoraj zwiedziłem wyspę Mikimoto, miejsce hodowli i fabrykacji „sztucznych” pereł, które w końcu swoją planowaną perfekcją pobiją produkt naturalny. Nie tu miejsce na opisanie procesu badań laboratoryjnych, implantacji jądra w muszli, gestacji i selekcji. Ani na życiorys Mikimoty, który osiągnął cel określony przez uczonych biologów jako niemożliwy do zrealizowania. Ten „marzyciel” należy do grupy wybranych, którym postawiono pomnik jeszcze za życia — inaczej niż pewnym dyktatorom: na rozkaz. Ale ze szczerego uznania.

Po Wyspie Pereł, inne curiosum. Niewielkie, spokojne miasto Kurashiki: petrochemia, cementownie, huty, o wiele mniej inte-

ligentów niż robocizny — lecz cztery imponujące muzea i galeria obrazów, wśród których szkoła francuska jest szczególnie licznie reprezentowana. Od Pavis de Chavannes do Chagalla. Jest Toulouse-Lautrec, Degas, Gauguin, Renoir, Guillaumin i wielu innych. Jest też Enrico Castellani z jednym obrazem wyglądającym jak glazurowana żółta kafla na metr kwadratowy. Ale to jest moja osobista dyletancka ocena, może różna od opinii tłumów zwiedzających, zjeżdżających tu z całej Japonii, ponieważ jest okres wakacyjny. Z przeważnie młodych twarzy można wyczytać że traktują sztukę z należącej jej powagą.

Nazajutrz. Samochodem przez wyspę Shikoku. Wszędzie ten starannie opracowany krajobraz: Lasy obsadzone aż po wierzchołki gór, ani skrawka nie wykorzystanej ziemi; w dolinach i na płaskowzgórzach już rozbudowane lub dopiero zakładane osiedla — fabryki i dokoła nich domki robotnicze. Czysto, schludnie, lecz uliczki wciąż wąskie, domy mieszkalne małe, bez ogródków z frontu, bez garażu, jedne obok drugich. Takie są warunki, nie pozwalające na ekstrawagancję pomieszczenia jednej rodziny tam gdzie można — bo trzeba — zrobić miejsce dla większej ilości mieszkań, domów, pól ryżowych i szkół. Istnieją też wyjątki, ludzie mieszkający w prywatnych pałacach i willach — ale nie ma ich tak wiele, i ja ich nie widziałem.

Hiroshima

Znów na wyspie Honshu.

W Japonii jest ciasno, lecz nie żyje się biednie. Siedemdziesiąt procent mieszkańców to robotnicy. Ich zarobki są wystarczające dla dobrego wyżywienia, takiegoż odzienia i regularnych urlopów. Ubezpieczenie zdrowia jest powszechne i gwarantujące zwrot prawie wszystkich kosztów leczenia. Piśmienność jest prawie powszechna i przestępczość w normalnych granicach. Ludzie są dobrze ubrani i na ogół zadowoleni z życia. W żadnym innym mieście nie widziałem tego tak wyraźnie jak w słonecznej, nowej jak z igły Hiroshimie. Jest ona najbardziej modernistycznym miastem kraju wschodzącego słońca i urbanistycznie jednym z pięknych miast świata. Wszystko tu jest „naj”, poczynając od wielkiego dworca i kończąc na szerokich torach rowerowych na ulicach. Nic dziwnego. Miasto zaczęto budować dwadzieścia lat temu. A jednak już teraz liczy ono trzy czwarte miliona mieszkańców. Niewiele jest narodów zdolnych do takiego wyczynu, szczególnie tuż po przegranej wojnie.

Unikatem światowym jest muzeum atomowe, ukazujące plastycznie i fotograficznie historię tych kilku minut w sierpniu

1945 roku, po zrzućeniu kuli zniszczenia przez samolot o raczej makabrycznej nazwie „Enola Gay”.

W muzeum panuje cisza jak podczas pogrzebu. Ludzie oglądają eksponaty nagłej śmierci i widać że są wzruszeni, może nawet przestraszeni.

Wielki plan-płaskorzeźba pokazuje, że tylko trzydzieści domów ocalało po uderzeniu Bomby. Reszta to pusta płaszczyzna, szaro brunatna i ponura. Fotografie kobiet jeszcze płonących, biegnących ze spalonymi twarzami i rękami. Nawet granit nagrobków cementarnych stopiony, zamieniony w inny minerał, miękki — można weń wsadzić ołówek. Oglądam spaloną kasę ogniotrwałą znaną w ruinach banku. Ogniotrwałą? Stopniały mosiądz i brąz. Sproszkowane dachówki.

Dwieście tysięcy zginęło w pierwszej sekundzie. 92 % powierzchni miasta zostało wypalone do cna. Temperatura tuż po wybuchu: 300 tysięcy Celsjusza. Sprawdzam ilość zer i wciąż nie chce mi się wierzyć. Fotografie ludzi, którzy pękli z gorąca, z wyrzucenymi wnętrznościami. Dowiadujemy się z wykresów i tablic informacyjnych, że osoby porażone w odległości kilometrów od centrum całopalenia jeszcze dziś umierają na leukemię, dostają nietypowe katarakty w oczach, nagle tracą wszystkie włosy, i wpadają w niezrozumiałe rakowate choroby. W roku 1958 — trzynaście lat później — trzymany pod obserwacją koń nagle stracił część nogi, jak trędowaty. A specjalny szpital atomowy wciąż prowadzi badania i studia nad skutkami porażenia w wyniku przebywania w promieniu błysku po uderzeniu bomby.

Napisy w muzeum są także w językach angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim i hiszpańskim. Jednak większość zwiedzających to młodzi Japończycy.

Na Placu Pokoju, przed muzeum, płonie znicz na symbolicznym grobowcu poległych. A dalej, nieco na lewo Monument Bomby, którym jest pogięta stalowa struktura jedyne go gmachu, który uniknął całkowitego zniszczenia choć znalazł się w samym epicentrum wybuchu. Tu stała kiedyś Izba Przemysłowa starej Hiroshimy. Widać częściowy szkielet konstrukcji kopulastego dachu, szczątki ścian i spalone kikuty granitowych kolumn frontonowych. Tę ruinę zostawiono jako pomnik i dokoła niej zbudowano najnowsze miasto świata.

M i g a w k i

Wyspa Miyajima. Z pagodami postawionymi na palach, na wodzie. Bo na świętym gruncie nie wolno było budować, ani

mieszkać, ani rodzić, ni umierać. Teraz tu jest centrum fabrykacji pamiątek dla turystów.

Beppu, na wyspie Kyushu. Miejscowość letniskowa w górach. Teatr w którym mężczyźni grają role kobiece. Japońska muzyka symfoniczna, typowo azjatycka, tylko rytm, ani śladu melodii. Chociaż nie taka hałaśliwa jak chińskie opery dla turystów w Singapurze.

Góra Aso. Największy na świecie wciąż czynny wulkan, z kraterem rozciągającym się na kilkanaście kilometrów. Dymiący, brzydki, groźny, o czym świadczą liczne schrony betonowe i obserwatorzy przy aparatach alarmowych.

Zamek Kumamoto. Jeszcze jedna twierdza, z fosą, z lochami i z kamiennymi narzędziami tortury. Między nimi granitowy kołnierz, który nakładano więźniowi na kark przed zaprowadzeniem do ciężkich robót. W trzech nie mogliśmy go ruszyć z miejsca. Jacy olbrzymi zamieszkiwali ten kraj zaledwie pięćset lat temu. A może tak ludzi wykańczano.

Tomiai. Trzysta lat temu na tym polu zginęło 30 tysięcy chrześcijan w desperackiej bitwie przeciwko 150 tysiącom shintoistów. Ani jeden się nie poddał — tak głosi legenda. *Nota-bene:* liczba chrześcijan w Japonii dochodzi do miliona.

Nagasaki. Druga ofiara nuklearna. Dzięki częściowej zasłonie gór nie zostało całkowicie zniszczone. I tu jest szpital atomowy. I wielka Statua Pokoju. Jednak, po Hiroshimie to *anticlimax*, przeskok z nastroju podniosłego do przyziemnego, do tego-co-się-już-widziało.

Mógłbym mnożyć te migawki, bo materiału mam sporo. Ogółem zwiedziłem w Japonii dwadzieścia osiem większych miast i przejechałem blisko 2.500 kilometrów koleją, samochodem, statkami i okrętami — gdy miałem dodatkową możliwość obejrzenia, lub chwilowego zatrzymania się w kilku tuzinach innych miejscowości, osiedli, wysepek rybackich i parków narodowych. Miałem okazje rozmawiania, niekiedy niezgrabnego, ze znaczną ilością ciekawych ludzi, prostych i inteligentów; zaobserwowania osobliwych obyczajów i reakcji. Uzyskałem pewien wgląd, w sposób myślenia narodu, który słusznie szczydzi się wysokim poziomem życia, starą kulturą i imponującym przemysłem. Narodu pracowitego, zdyscyplinowanego i cierpliwego, kierowanego przez ludzi rozumnych, choć może już trochę za starych.

Siłą rzeczy, przy tak obfitym materiale obserwacyjnym, musiałem w ograniczonych ramach reportażu zastosować selekcję i samocenzurę, co nie jest dla autora przyjemne, jednak niekiedy

jest konieczne. Mam nadzieję że nie zostawiłem zbyt wielu ciekawostek mniej istotnych kosztem pominięcia szczegółów bardziej ważnych. Lecz wiem z doświadczenia, że ryzyko tego rodzaju usterek czy nawet wad konstrukcyjnych jest w takich razach nieuniknione.

Adam NASIELSKI

Wrzesień 1976

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKA ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

TOM 263 — TOMASZ STALIŃSKI

LUDZIE W AKWARIUM

Nowa powieść autora wydanych już przez Instytut Literacki powieści „Widziane z góry”, „Cienie w pieczarze”, „Romans zimowy” i „Śledztwo”.

Powieść, rozgrywająca się we współczesnej Warszawie, daje przekrój rozmaitych środowisk społeczno-politycznych poruszając również problemy emigracyjne w sposób kontrowersyjny lecz nowy i interesujący.

Str. 148.

Cena F. 25,00.

Instytut Herzena w Holandii

WYWIAD Z PROF. VAN HET REVE
Z FUNDACJI HERZENA

„Fundacja Aleksandra Herzena została założona 19 maja 1969 roku w Amsterdamie. Jej celem jest wydawanie prac napisanych w ZSSR, które nie mogą tam być opublikowane na skutek zakazu cenzury.

Fundacja wydaje manuskrypty i zbiory dokumentów o wartości literackiej lub dokumentalnej, niezależnie od ich politycznych, filozoficznych czy religijnych tendencji. Fundacja jest niezawisła i nie posiada żadnych związków z innymi organizacjami.

Zarząd Fundacji stanowią: Jan Willem Bezemer, profesor historii Rosji na Uniwersytecie w Amsterdamie (Prezydent); Karel van het Reve, profesor literatury rosyjskiej na Uniwersytecie w Leyden (Sekretarz); Peter Brian Reddaway, starszy wykładowca współczesnej historii Rosji i rosyjskiej historii politycznej w Londyńskiej Szkole Ekonomii i Nauk Społecznych — Uniwersytet Londyński”.

Tyle notka na okładce. Fundacja Herzena jest organizacją jedyną w swoim rodzaju. Trzech renomowanych profesorów i dwie panie zdołali nie tylko wydać kilka świetnych książek. W ciągu ośmiu lat swej działalności Fundacja stała się w Holandii autorytetem w sprawach sowieckiej i dysydenckiej literatury. Jej członkowie bywają stale na różnych zebraniach, zjazdach, występują w telewizji, piszą artykuły. Nieustannie tłumaczą, dyskutują, przekonują... Są jedynym wydawnictwem w Holandii, które wydaje po rosyjsku książki napisane przez „inaczej myślących” w Rosji.

Trudno jest powiedzieć w jakim stopniu zasługą „Herzena” jest wciąż wzrastające zainteresowanie holenderskiego społeczeństwa sowieckimi sprawami. Dosłownie każdego dnia można znaleźć kilka notatek, artykułów czy programów radiowych o Sowietach i Europie Wschodniej. Szereg organizacji zaangażowało

się w sprawy Wschodu, od klubów politycznych po chrześcijan i związki zawodowe. Oficjalna delegacja posłów holenderskich, z Przewodniczącym Parlamentu na czele, w czasie wizyty w Moskwie odwiedziła prof. Sacharowa i matkę Bukowskiego i w dość ostry sposób zażądała zwolnienia Bukowskiego.

Siedziba wydawnictwa i Fundacji mieści się w domu profesora van het Reve. Jest to jedno z bardziej popularnych miejsc w amsterdamskim świecie rusycystów i sowietologów. Van het Reve jest jednym z lepszych holenderskich eseistów. Choć jego wypowiedzi są kontrowersyjne i wywołują burzliwe dyskusje, tym niemniej jest zapraszany na każde ważniejsze spotkanie poświęcone Sowietaom czy sprawom dysydenckim. Jest zniechęcony i jednocześnie szanowany przez większość „postępowej lewicy”. Mile uśmiechnięty, swobodnie, z pewną arogancją i uprzejmą gestykulacją wygłasza „herezje”, które wstrząsają dobrze ułożonym i przyzwyczajonym do lewicowego światła intelektualno-universityteckim.

Z uporem np., prawie w każdym wystąpieniu, powtarza, że jeśli liberalizacja w Sowietach będzie się posuwała w dotychczasowym tempie, to może za trzydzieści lat Związek Sowiecki osiągnie poziom swobody Hiszpanii z ostatnich lat Franco.

Tego rodzaju stwierdzenia są „płachtą na byka”, ale jednocześnie zmuszają do myślenia.

Karel van het Reve jest jednym z pierwszych zachodnich intelektualistów, którzy uwierzyli w „nieoficjalną Rosję” i dowiedli jej istnienia.

Aby wymienić tylko kilka bardziej znanych tytułów, w Fundacji Herzena ukazały się: Amalrika: „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?”, „Sztuki” i „Artykuły i listy”; Daniela — „Wiersze z niewoli”; „Program Ruchu Demokratycznego w ZSSR”; Miedwiediewa — „Książka o socjalistycznej demokracji”; dwa tomy „Dziennika politycznego” oraz Tatiany Chodorowicz „Historia choroby Leonida Pliuszczyna”.



Pytanie: — O ile wiem, jesteście jedynym wydawnictwem wydającym książki rosyjskie i w którym pracują wyłącznie ludzie z Zachodniej Europy?

Odpowiedź: — Chyba tak jest. Inne wydawnictwa mają skład mieszany. O ile wiem, *Chronica Press* w Stanach ma większość Rosjan. Naszą zasadą jest, że jako wydawnictwo nigdy nie będziemy mieli współpracowników-Rosjan.

P.: — Czy sądzi Pan, że bez Rosjan ma Pan wystarczające kontakty z autorami w Sowietach?

O.: — Tak. Zależy nam na tym, żeby Rosjanie nie wtrącali się do wydawnictwa. Nasze wydawnictwo właśnie po to zostało założone, żeby Rosjanie w Rosji mieli trochę więcej swobody wypowiedzi, żeby im stworzyć ochronę nie tylko przed cenzurą

w kraju, ale też przed emigracją za granicą. Takie podejście jest chyba jedyne w swoim rodzaju.

P.: — *Chciałbym zapytać Pana o jeden z najbardziej interesujących problemów w emigracyjno-dysydenckim ruchu wydawniczym. Mianowicie wydawca, z racji swego zawodu, zmuszony jest do większego dystansu do wydarzeń politycznych, niż jego autorzy. Pańskie wydawnictwo posiada podwójny dystans choćby dlatego, że świadomie odmawia uczestnictwa Rosjan. W jaki sposób dochodzą Panowie do zachowania równowagi, co decyduje o dystansie?*

O.: — Oczywiście ogół powinien być jak najlepiej poinformowany i to nieprawda, że rezygnujemy z kontaktów z emigrantami, czy nie chcemy nic o nich wiedzieć... Staramy się wiedzieć wszystko o rosyjskim świecie. Nigdy nie wydałbym słowa po polsku czy po czesku, bo nie mam o tym zielonego pojęcia. Ale w rosyjskim mamy już pewne doświadczenie i potrafimy jako tako odróżnić, co się nadaje do wydania, a co nie.

Nie chcę tu bynajmniej nic złego powiedzieć o rosyjskich wydawnictwach emigracyjnych — wydają one wspaniałe rzeczy i robią świetną robotę.

P.: — *Dostajecie zapewne więcej prac ze Związku Sowieckiego, niż wydajecie?*

O.: — To prawda. Niestety, wielu Rosjan uważa że tu, na Zachodzie, ludzie czekają w napięciu na grube manuskrypty prze-mycone z Sowietaów i że wszystkie natychmiast będą wydane. Mało tego — dostajemy grube manuskrypty nie tylko z Sowietaów, ale także prace odrzucone przez innych wydawców. W jakiejś tam kolejności trafiają one do nas, ale najczęściej nie są to utwory zbyt interesujące. W dodatku Rosjanie o wszystkim piszą zbyt obszernie i potrzeba im zawsze co najmniej 800 stron. A wydanie takiej pracy jest niesłychanie kosztowne. Gdy książka ma 100 czy 200 stron, możemy powiedzieć, że co prawda nie jest to najwspanialszy materiał, ale wystarczająco ciekawy żeby go wydać. Ale jeśli książka jest na granicy tego, co uważamy za interesujące i ma 800 czy 900 stron, to po prostu wydać nie możemy. Druk 800 stron kosztuje przecież tysiące guldenów, z perspektywą sprzedania 200 czy 500 egzemplarzy! Trzeba się więc porządnie poskrobać w głowę i ostatecznie — najczęściej — odrzucić. Na szczęście od samego początku powiedzieliśmy, że wydajemy tylko książki napisane w Sowietach. Wydawanie rzeczy napisanych na Zachodzie jest przeciwne naszej zasadzie choć w ten sposób straciliśmy naszego najlepszego autora — Amalrika.

P.: — *Jaka część otrzymywanych manuskryptów ukazuje się w druku?*

O.: — Dużo odsyłamy do innych wydawnictw. Jak dotąd, licząc wszystkie nasze wydawnictwa, byłoby to *fifty-fifty*.

P.: — *Czy przede wszystkim wydajecie literaturę polityczną?*

O.: — Tak, ale to przypadek. Chętniej wydawalibyśmy powieści. Literatura piękna jest łatwiejsza do sprzedania zachodnim wydawcom, a tłumaczenia dają nam zwrot kosztów druku. Zachodnie wydania powinny opłacić druk wersji rosyjskiej. Choćby już z tego powodu zawsze próbujemy znaleźć zachodniego wydawcę.

P.: — *Rozumiem, że druk oryginału nie opłaca się?*

O.: — Nie... Chociaż czasami idzie to najdziwniejszymi drogami. Pierwszy tom „Dziennika politycznego” zapłacił sam za siebie, chyba nawet zarobiliśmy na nim około tysiąca guldenów, za to drugi tom stał się olbrzymim finansowym fiaskiem. Książki wydawane w tłumaczeniach przez innych wydawców mają najczęściej powodzenie, co stymuluje sprzedaż oryginału. Np. tak było z książkami Amalrika, z nim nigdy nie było kłopotu.

P.: — *Oczywiście wasze książki idą do ZSSR?*

O.: — To zależy od przypadkowych turystów — nie prowadzimy w tym celu jakiejś specjalnej działalności. Naturalnie, jak ktoś się zgłasza z prośbą o kilka książek, bo jedzie do Sowietów, to dajemy. Nie jest to jednak — powtarzam — celem naszej działalności.

P.: — *Czy spotkał się Pan z opinią, że książki przesyłane do ZSSR czy Europy Wschodniej trafiają raczej do wąskiego kręgu intelektualistów i w związku z tym większego wpływu nie mają?*

O.: — Tak źle nie jest. Zresztą nasze nakłady są niewielkie — nie więcej niż 2000 egzemplarzy — z czego może najwyżej 200 trafia do Rosji. Ale trzeba pamiętać, że każda książka jest wielokrotnie czytana, każda książka krąży wśród ludzi, osiągając na czarnym rynku jakieś niesamowite ceny. Z drugiej strony zdarza się także, że egzemplarz autorski trafia do autora po roku.

P.: — *Czy dostajecie recenzje, opinie, listy od czytelników w Sowietach?*

O.: — Nie, jak dotąd jeszcze się to nigdy nie zdarzyło. Nasz adres jest w każdej książce, teoretycznie więc nic by nie stało na przeszkodzie. Okazuje się jednak, że tylko większe organizacje, czy radiostacje dostają listy. Tak np. do BBC codziennie przychodzi coś ze Związku Sowieckiego, do Radio Liberty prawdopodobnie także... Ale nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś dostali list z Rosji.

P.: — *Jak ocenia Pan liberalizację, „mięknienie” systemu w Sowietach?*

O.: — Naszym zdaniem o złagodzeniu systemu świadczy to, że autorzy książek wydawanych na Zachodzie ciągle jednak są na wolności, a to dziesięć lat temu było nie do pomysłenia. Jest to liberalizacja bardzo powolna. Jeśli w tym tempie będzie się dalej rozwijać, to za trzydzieści lat także niewiele się zmieni,

niemniej jest to jakaś liberalizacja. Coraz więcej i więcej książek wydaje się na Zachodzie i w końcu powinny przychodzić książki o większej wadze. Oczywiście, wydano już masę dobrych książek, ale ja czekam na historyka, historyka literatury, socjologa czy ekonomistę, który wydałby na Zachodzie coś naprawdę znaczącego. Jak dotąd były to tylko wspomnienia, artykuły, sprawozdania z procesów, powieści i poezja. Cieszyłbym się, na przykład, gdyby w końcu nadeszła książka o Mikołaju I. Należy jednak pamiętać, że pisarz jest względnie niezależny. Może sobie powiedzieć — no dobrze, nie mam żadnych szans na druk w Rosji, wysłałam więc na Zachód, niech się dzieje, co chce. Natomiast historyk pracujący w jakimś instytucie ma tam dostęp do wszystkich archiwów. I kiedy siedzi właśnie w połowie jakiejś pracy, nie jest mu łatwo zrezygnować ze wszystkiego w imię jednej publikacji.

P.: — *Jak ścisłe są wasze kontakty z wydawnictwami emigracyjnymi?*

O.: — Znamy ludzi z *Chronica Press*, czasami mamy kontakty z *YMCA Press*, ale niewiele, niewiele. Każdy ma swoje małe przedsiębiorstwo i — jak dotąd — nie było jeszcze Targów Emigracyjnej Rosyjskiej Książki.

P.: — *Czy można mówić o podziale ról, czy tylko o podziale na wydawnictwa?*

O.: — Nie, nie każdy wydaje mniej więcej to samo, pracujemy przecież wszyscy na tym samym polu.

P.: — *Konkurencja?*

O.: — Do pewnego stopnia, oczywiście, ale nie jesteśmy znów tak straszliwie konkurencyjni. Nie jesteśmy przecież wydawnictwem emigracyjnym i jeśli ktoś inny wyda jakąś książkę, to też dobrze. Możemy przez jakiś czas nic nie wydawać. Kiedy dostaliśmy z Rosji wspomnienia Nadieżdy Mandelsztam, to było nam naturalnie żal, że ktoś inny był szybszy od nas. Byłoby nam przyjemnie być wydawcą wspomnień pani Mandelsztam. Jeśli jednakże ktoś inny je wydał, to ostatecznie nasz cel został także osiągnięty — możemy się więc z tym łatwo pogodzić.

P.: — *Co sądzi Pan o „trzeciej emigracji” z Sowietów?*

O.: — Ta nowa emigracja, jak zresztą każda emigracja, jest rodzajem gniazda os, gdzie każdy sukces jest tragedią dla reszty, gdzie panuje zazdrość, brak zrozumienia... Przecież nie jest bez znaczenia że Rosjanie przeżyli sześćdziesiąt lat pod najbardziej koszmarną dyktaturą. Takie rzeczy wyciskają na ludziach piętno i nie przechodzą w pięć minut. Na przykład na Zachodzie można jeszcze gdzieś spotkać się ze stanowiskiem, które zakłada uczciwość oponenta mimo kompletnej różnicy poglądów. Wśród Rosjan to raczej nie istnieje. Wyobrażam sobie, że między Polakami jest lepiej, ale wśród Rosjan nie ma mowy o parlamentarnym załatwianiu sporów. To coś okropnego!

P.: — *A co, jako puszkinista, sądzi Pan o „Spacerach z Puszkiniem” Siniawskiego?*

O.: — Siniawski jest zupełnie nowym głosem w puszkinologii. W Rosji wokół Puszkina panuje atmosfera religijna. Gdyby ktoś odważył się tam wstać i powiedzieć, że „Połtawa” to ostatecznie straszliwie nudny poemat, albo że Puszkini był kolaborantem — zlinczowano by go tam, i tu też go linczują. A przecież wszystkie możliwe interpretacje i zdania powinny być dopuszczalne, w każdym razie w przyzwoitej polemice. Ponadto Siniawski popełnił grzech śmiertelny zabierając się do Puszkina w obozie, jako zwyczajny czytelnik; mówi o Puszkini różne rzeczy bez konsultacji i pozwolenia wszelakich mandarynów, nie sprawdzając czy to albo tamto zgadza się z klasyczną literaturą puszkinologiczną. Siniawski napisał co sądzi o Puszkini, i to jest o wiele bardziej interesujące niż większość książek na ten temat. Niekoniecznie trzeba się z Siniawskim zgadzać, ale gdyby każdy postępował jak Siniawski, to przynajmniej byłaby interesująca literatura o Puszkini. A w Rosji taka literatura nie istnieje poza opracowaniami na temat czy Puszkini był zakochany w tej czy w innej pani, czy ten albo inny poemat napisany został w marcu czy w styczniu.

P.: — *Kto, Pana zdaniem, jest najciekawszym pisarzem nowej emigracji?*

O.: — Poza Sołżenicynem, który jest ponad zwykłymi ocenami, interesujący jest Siniawski, Niekrasow, który niestety niewiele pisze, a mógłby chyba napisać ciekawe rzeczy, nie wiadomo także nad czym pracuje Galicz.

Największy, jeśli mogę użyć tego słowa, jest chyba Brodzki. Uważam go za najlepszego rosyjskiego poetę. Rosja jest w tej smutnej sytuacji, że najlepszy pisarz — Sołżenicyn i najlepszy poeta — Brodzki są za granicą. Wierzę, że za sto lat tacy jak Brodzki ciągle jeszcze będą drukowani, czego nie można powiedzieć o całej masie sowieckich poetów... Albo Siniawski — to bardzo ciekawy eseista, warto czytać, to jest osobowość.

Widzi Pan, gdyby ta cała emigracja nie była tak zajęta wzajemnym mordowaniem się, powstałby kulturalny klimat, w którym wszelkie możliwe rzeczy byłyby napisane i ludzie mogliby przyzwoicie debatować. Klimat, w którym nie byłoby tyłu kłótni, w którym kultura rosyjska rozwijałaby się po troszeczkę. Żeby to nie wyglądało tak, jak Amalrik ocenia *Kontynent*. Właśnie taki *Kontynent* powinien być miejscem, gdzie rosyjska myśl i kultura mogą swobodnie łapać oddech, bardziej rzeczowo i — powiedziałbym — zachodnio. Często czyta się w *Kontynencie* coś dobrego, ciekawego, ale i w *Nowym Mirze* też można czasami znaleźć niezłą rzecz. Smutnie więc to wszystko wygląda, smutnie.

Przyjeżdża do mnie wielu emigrantów... Proszę, niedawno był tu Galicz, pokazał mi „Polityczny dziennik”, a Galicz powiada: No, wiadomo, to „falszówka”. Absolutnie nie „falszówka” — mówię — to prawdziwa rzecz, mam tu rękopis autorski, napisali to razem bracia Miedwiediew, to autentyk. A z kolei Żores Mied-

wiedew powiedział mi, że „Program ruchu demokratycznego”, który wydaliśmy kiedyś, to też „falszówka”. Ależ jak to! Myśmy to dostali z Moskwy, oponowałem, nie można tak od razu...

A wszystko to dlatego, że się z czymś nie zgadzają. Ja się też nie zgadzam, ale to nie znaczy, że od razu to jest „falszówka”! Co za bzdura, proszę Pana, oskarżanie o fałsz gdy się ktoś z czymś nie zgadza. Jaką to stwarza koszmarną atmosferę!

Dlatego też dziękujemy Bogu, że jako wydawnictwo nie mamy do czynienia z emigrantami; że nasz komitet redakcyjny nie składa się z emigrantów, którzy mieliby decydować o książkach do druku.

P.: — *Porozmawiajmy o reakcjach Zachodu.*

O.: — To naturalne, że ludzie są rozczarowani, gdy przekonają się, że osoby wysoko przez nich cenione, które popierali i którym pomagali w miarę sił, po przyjeździe na Zachód są zupełnie inne, niż sobie wyobrażali. Że Rosjanie nie mają np. najmniejszej sympatii dla myśli socjalistycznej. Tego publiczność zachodnia nie może zrozumieć, choć jest to tak oczywiste. Ci ludzie siedzieli w systemie socjalistycznym przez sześćdziesiąt lat i nie mają najmniejszego powodu, żeby odnosić się do niego z sympatią. To zupełnie tak, jakby powiedzieć komuś kto wraca z Oświęcimia: „Jakie to dziwne, że ty jesteś anty-narodowy socjalista. Ostatecznie narodowy socjalizm to coś ładnego, tylko ci paskudni naziści wszystko zepsuli, ale w zasadzie to piękna idea i powinniśmy mieć sympatię dla partii o tym imieniu...”. Tak samo jest z Rosjaninem, który po prostu nie chce mieć więcej nic wspólnego z socjalizmem, nie chce zrozumieć zachodnich socjalistów i po prostu dziwi się, że dotąd nie wyrzucono tej idei na śmietnik. Bierze się to także stąd, że Rosjanie w najmniejszym stopniu nie interesują się marksizmem, podczas gdy na Zachodzie marksizm dla wielu jest ciekawy. Należy stwierdzić, że między rosyjską emigracją i zachodnią publicznością (w każdym razie tą postępowo-lewicową) panuje brak zrozumienia. Szkoda, ale niewiele można na to poradzić.

P.: — *A jaka jest wasza pozycja w zachodnim świecie intelektualnym?*

O.: — Jako wydawnictwo jesteśmy neutralni. Wydajemy marksistów — jak Miedwiediew, gotowi jesteśmy zawsze wydać antymarksistów — jak Amalrik. Czyli nie mamy jakiegoś określonego politycznego stanowiska. Naturalnie każdy z nas ma swoje poglądy polityczne, ale nie wiem na przykład na jaką partię głosuje Peter Reddaway, nigdy go o to nie pytałem. Tak się składa, że zawsze rozmawiamy o rosyjskich sprawach, nigdy o sytuacji w Anglii czy innych... Nie mamy więc aż tak dużych kłopotów z brakiem zrozumienia ze strony zachodniej publiczności, niemniej jednak należy te sprawy wielokrotnie wyjaśniać, pisać o tym.

P.: — *Jest Pan uważany w Holandii za jednego z najbardziej*

kontrowersyjnych autorów. Pańskie artykuły i eseje wywołują gorące dyskusje.

O.: — Wie Pan, moim zwyczajem jest mówienie ludziom dla których piszę rzeczy nieprzyjemnych, do których oni nie są przyzwyczajeni. Nie ma bowiem większego sensu mówienie rzeczy, których wszyscy chętnie by słuchali. Piszę najczęściej dla publiczności liberalno-lewicowej, gdzie czuję się swobodnie; próbuję powiedzieć tym ludziom kilka prawd. Bardzo to lubię, robi się żywiej, ciekawiej. Gdybym kiedyś pisał dla prawicowej publiczności, też bym wymyślił coś prowokacyjnego, żeby ją trochę poruszyć.

P.: — *Co powie Pan o klimacie intelektualnym w Holandii w stosunku do Wschodu?*

O.: — Klimat jest świetny. Można powiedzieć co się chce i nikt nikomu natychmiast nie skacze do gardła. Istnieje oczywiście cały radykalno-lewicowy świat, studenci i najrozmaitsze organizacje, wiele najdziwniejszych osób i gazet, ale nie mam z nimi nic wspólnego.

P.: — *A jeśli zapytam o postępców, niekoniecznie prosovietkich, ale o tych zwyczajnych co dostrzegają wiele dobrego na przykład w Chinach?*

O.: — Ach, te chińskie rzeczy też nie sprawiają mi kłopotu. Widzi Pan, wiara w coś i zainteresowanie czymś są najczęściej wyłączone, wykluczają się nawzajem. Ktoś naprawdę zainteresowany marksizmem, kto to wszystko studiuje i czyta, najczęściej już od dawna nie jest marksistą. Ludzie zainteresowani Sowietami też są niewierzący. Wszyscy, którzy wierzą w Chiny, nie mają o Chinach zielonego pojęcia. Natomiast wśród sinologów nie znajdzie Pan ani jednego wierzącego maoisty. Tak to już jest, tak jest zawsze.

Wśród pięciuset mniej więcej osób studiujących slawistykę w Holandii nie ma ani jednego zwolennika Breżniewa, a jeśli nawet jest gdzieś jakiś, to go jeszcze nie spotkałem. Byłoby przyjemnie mieć kilku nastawionych pro-sowiecko — dyskusje stałyby się żywsze, ale niestety... Tak już jest, porządne studia to nieustanna konfrontacja z faktami. Nie można jednocześnie wierzyć w Sowiety i regularnie czytać *Litieraturną Gazietę*. Przy tym czytaniu ogarnia człowieka taki smutek, że to łatwo doprowadza do utraty wiary. Ludzie abonują więc *Russką Mysl*, choć to wcale nie najlepsza gazeta. W każdym jednak razie jest bardziej ludzka niż sowieckie. Te są po prostu nie do czytania.

P.: — *Czy podziela Pan popularne zdanie, że Rosjanie w pierwszym rzędzie powodują się emocją?*

O.: — To zależy. Amalrik jest rzeczowy i trzeźwy. Sacharow jest trzeźwo myślący. Bracia Miedwiediew, spokojni i rzeczowi, są marksistami i można się z nimi nie zgadzać, ale też nie krzyczą, starają się spokojnie myśleć. Sołżenicyn to co innego.

Jest to postać ogromnie romantyczna, pozwala sobie czasem nawet na niesłuszne sądy.

P.: — *W jednym z ostatnich Newsweek'ów burmistrz miasteczka w Stanach dziwił się, że nowy mieszkaniec, Sołżenicyn, otacza swą rozległą posiadłość wysokim ogrodzeniem.*

O.: — Mój Boże, ileż ten człowiek wycierpiał od dziennikarzy i ciekawskich — wcale mu się nie dziwię.

P.: — *Które książki Sołżenicyna uważa Pan za najlepsze?*

O.: — Chyba wszystkie. Nawet taki niewypał jak „Lenin w Zurichu” czytałem z zapartym tchem. Sołżenicyn jest bardzo ciekawym człowiekiem, czytam więc wszystko, co wychodzi spod jego pióra. I w tym jego „Leninie” siedzi bardzo dużo z Sołżenicyna. Jak się to czyta równoległe z „Bodło cieleń dąb”, uderzające są wprost podobieństwa między „nielegalnym” Leninem i „nielegalnym” Sołżenicynem; Lenin także miał skłonność do romantyzmu, do jeszcze większego komplikowania spraw niż w rzeczywistości. W Rosji nazywają Sołżenicyna „Tom Sawyer”: w powieści Twaina „Huckleberry Finn” mamy historię Murzyna Jima, który siedzi zamknięty w kurniku i którego uwolnić można przez zwykłe otwarcie drzwiczek, ale Tomowi Sawyerowi to się nie podobało i zorganizował romantyczną ucieczkę z podkopem itd. Tak samo Sołżenicyn, który organizował ogromnie skomplikowane drogi przemytu manuskryptów, czy sposoby ich przechowywania. Pisanie maczkiem, potem jeszcze robienie fotokopii, lutowanie pudełek itd. A przecież można było te rzeczy robić o wiele prościej. Można przecież znaleźć kogoś poza podejrzeniem policji, kto zgodziłby się przechować manuskrypt. Niekoniecznie też trzeba się umawiać w środku nocy na cichej ulicy z tajemniczymi osobami, żeby po długim kluczeniu przekazać manuskrypt. Ale Sołżenicynowi to się widocznie podoba, to romantyk.

A GUŁag... Cóż to za książka! Zrobiła na mnie olbrzymie wrażenie. Choć ostatecznie wiedziałem prawie wszystko już od dawna. To są rzeczy dość znane. Niewątpliwie, że Sołżenicyn wszystko znakomicie udokumentował dając wiele przykładów i szczegółów, ale poczynając od lat dwudziestych istnieje już cała biblioteka na ten temat: książki, broszury, wspomnienia Polaków, Amerykanów, Niemców. Tym niemniej Sołżenicyn pisze to tak, że człowiek czyta i myśli: — Tak, dopiero teraz widzę wszystko dokładnie, widzę wszystko! Cóż to za wspaniały pisarz!

P.: — *Jakie są wasze plany wydawnicze na najbliższą przyszłość?*

O.: — Naszą najbliższą książką są wspomnienia osoby, która towarzyszyła Litwinowowi w jego służbie dyplomatycznej, była z Litwinowem w czasie jego upadku. Ale to znowu ogromny rękopis, więc chyba wydamy najpierw prawie już gotową dokumentację procesów Tatarów Krymskich. Stan naszych finansów zadecyduje, czy będziemy mogli wydać tego ex-dyplomata w całości, czy też trzeba to będzie skrócić. Druk jest coraz droższy, dochody natomiast takie same, więc jest coraz trudniej — to

znany problem. Tym bardziej, że rynek na rosyjskie książki nie jest zbyt chłonny. Emigranci nie mają pieniędzy, po prostu pożyczają książki. W Izraelu siedzi pewnie ze sto tysięcy ludzi z Rosji, ale ci są biedni jak mysz kościelna. Trudno jest im kupować książki, które są drogie z powodu małych nakładów.

Niemniej ilość rosyjskich książek rośnie. Sytuacja zmienia się powolutku. Pod koniec lat sześćdziesiątych każda książka napisana w Rosji i wydana na Zachodzie była sensacją. Teraz gdy zdarza się to nieporównanie częściej, element sensacji prawie zanikł i zainteresowanie szerokiej publiczności spadło.

P.: — *Ile książek wydajecie rocznie?*

O.: — O ile pamiętam przez osiem lat wydaliśmy wszystkiego jakieś piętnaście pozycji. Ale należy pamiętać, że wszystko musimy robić sami — korekty itd. Oprócz tego każdy z nas ma swoją pracę. Jesteśmy naprawdę niewielkim amatorskim wydawnictwem, pracujemy powoli.

P.: — *Czy jesteście jedynym wydawnictwem holenderskim wydającym rosyjskie książki?*

O.: — Tak, w Holandii na pewno, w Belgii nie jestem pewien.

P.: — *Jak duży jest w Holandii krąg osób czytających książki rosyjskie?*

O.: — Krąg ludzi interesujących się rosyjską literaturą dysydencką w Holandii jest chyba największy na świecie. Zainteresowanie rosyjskimi dysydentami jest także większe, niż gdzie indziej. Proszę spojrzeć na gazety, czasopisma, radio, telewizję... Nie ma porównania z Francją, Niemcami czy Stanami. Dlaczego tak jest, tego nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Zdziwiałem. Amalrik jest tu o wiele bardziej znany, niż w innych krajach; książka Marczenki miała ogromne powodzenie; Sołżenicyn ma tu kosmiczne nakłady. Gdzie indziej pewnie też, ale w stosunku do tak małego państewka trzeba przyznać, że zainteresowanie jest niezwykle duże. Ale skąd się to bierze? Częściowo można to wytłumaczyć faktem, że wielu popularnych publicystów pisze często o wschodnich sprawach. To pomaga.

P.: — *Przypominam sobie Pana artykuł w Encounter'ze, chyba z 1974 roku, gdzie ostro krytykował Pan zachodnich intelektualistów za ich stosunek do Sowietów i do dysydentów. Czy coś się zmieniło?*

O.: — Tak, widoczna jest pewna poprawa. Przedtem, ktoś oficjalnie jadący do Związku Sowieckiego, z delegacją czy na jakiś kongres, był śmiertelnie wystraszony i nie powiedziałyby w Rosji ani słowa, nie mówiąc już o nawiązaniu kontaktu z dysydem. Wyraźną zmianę widać w Holandii i w Stanach. To zaskakujące, że jedynie holenderscy i amerykańscy parlamentarzyści składają wizyty dysydemtom. Tak było w wypadku kilku kongresmenów, a także w wypadku holenderskiej delegacji z Przewodniczącym Parlamentu na czele.

Ostatnio o wiele łatwiej jest znaleźć kogoś jadącego do Sowietów, kto zgodziłby się pójść tam do kilku osób i porozmawiać z nimi. Ludzie po prostu przestali się bać. Ludzie zaczęli rozumieć, że Rosjan należy traktować tak samo jak kogoś z Zachodu. Strach, że jak tam będę i coś powiem, to mnie od razu zamkną, albo wybuchnie nowa wojna, albo holenderska ambasada wyleci w powietrze — prawie już zanikł. Jest to oczywiście pewna poprawa, ale proces posuwa się bardzo powoli. Na przykład Rosjanie mają zamiar zorganizować wielkie targi książki w Moskwie — chyba w 1978 roku. Bardzo wielu wydawców chce w nich wziąć udział. Wydawcy ci powinni stworzyć wspólny front i powiedzieć: Pięknie, pięknie, ale jeśli organizujecie targi, to tak jak we Frankfurcie — wszystkie książki muszą być dozwolone! Fundacja Herzena też musi być reprezentowana. I książki Sołżenicyna, i Nadzieży Mandelsztam, i Pasternaka! Wszystkie muszą być obecne i osiągalne na targach w Moskwie. Jeśli jednej książce odmówicie wjazdu, to wszyscy zrezygnujemy z uczestnictwa.

Ale już teraz widać, że wydawcy zgodzą się zrezygnować z kilku „trefnych” książek, żeby tylko cała reszta trafiła na targi.

P.: — *Był Pan korespondentem w Moskwie w 1967-68 roku.*

O.: — O, tam się też wiele zmieniło od tego czasu. Przede wszystkim zaś to, że zachodni dziennikarze w Rosji już się tak nie boją. Za moich czasów było ich w Moskwie około 300, z czego może trzech-czterech miało odwagę by pójść, porozmawiać z dysydentami i napisać artykuł, albo wydrukować jakiś dokument. Ale to wszystko. *Washington Post*, *New York Times* i moja gazeta — *Het Parool* to były prawie jedyne. Wiele niemieckich gazet nie pisało ani słowa: bali się wyrzucenia korespondenta. Teraz jest inaczej. Sacharow daje konferencję prasową i zjawiają się wszyscy. Stało się to czymś normalnym i zwyczajnym. A jeszcze kilka lat temu byłem traktowany przez moich kolegów jak bohater; jak ktoś nadzwyczajny, kto się na to wszystko odważył, kiedy nie było na co się odważać. Trzeba było po prostu pójść do człowieka, porozmawiać i przekazać informację do gazety. Najgorsze co mogło kogoś spotkać, to to że go stamtąd wyrzucili. Ale w międzyczasie zainteresowanie sprawami dysydenckimi na Zachodzie wzrosło i żadna gazeta nie może sobie pozwolić na przemilczanie. Nawet ci, którzy nie mają odwagi czy ochoty, muszą teraz maszerować na konferencję prasową Sacharowa.

P.: — *Ukazało się ostatnio kilka niezłych książek, napisanych przez zachodnich korespondentów.*

O.: — Te książki też są inne. Np. książka Keisera... Nie można już po prostu pisać o Sowietach bez wspomnienia o dysydemtom, o intelektualnej opozycji czy pisarzach. Pisanie książek, utrzymanych w sowieckim klimacie, stało się prawie niemożliwe.

P.: — *No tak, ale przecież istnieje w Rosji nie tylko samizdatow-*

ska literatura. Dlaczego nikt tego nie tłumaczy w Holandii? Dlaczego tak mało jest o oficjalnej kulturze sowieckiej?

O.: — Dlatego, że to po prostu nie do wytrzymania jest nudne. Nikt tego nie chce drukować. A poza tym Sowiety nie mają już odwagi wysłać kogoś do Holandii. Nie wysyłają poetów ani intelektualistów, pojawiają się czasami jedynie tancerze i szachiści. (Choć i z tymi szachistami też im się ostatnio nie powiodło: Korcznoj poprosił o azyl).

P.: — Czy można mówić, o dwu rosyjskich kulturach: tej nowej — tu i starej — tam?

O.: — Ostatecznie jest tylko jedna kultura rosyjska. W wielu dziedzinach ta kultura jest prawie zlikwidowana — eseistyka, malarstwo, historia literatury. Jedynie w beletrystyce i poezji można znaleźć coś wartościowego. Ale wierzę, że za jakiś czas i pozostałe dziedziny rozwiną się na nowo. Przecież inaczej być nie może. Ludzie w Rosji są przecież tacy sami, jak tutaj. Nie wierzę w „rosyjską duszę” i tym podobne rzeczy. Prawda, w Rosji jest koszmarnie, ale też kultura jest zawsze sprawą kilku wyjątkowych ludzi, którzy robią coś dobrego. Może jest ich po kilkuset w każdym kraju, może kilku, którzy piszą interesujące książki, malują nowe obrazy itd. — innymi słowy produkują kulturę. Tacy sami ludzie muszą być i w Rosji. System bowiem nie może zlikwidować wszystkich talentów i wciąż nowi ludzie się rodzą, którzy będą pisarzami czy malarzami. Co prawda warunki ich rozwoju są tam bardzo niesprzyjające.

P.: — Czy zna Pan polskie lub czeskie wydawnictwa emigracyjne?

O.: — Nie, nie znam. Wiem tylko, że istnieją. Jestem już takim „wąskim” człowiekiem, interesującym się tylko Rosją. Świadomie nie zajmuję się Polską, Czechami, czy Węgrami — wiem o tych krajach mniej od przeciętnego czytelnika gazet. Tak już jest, że jak ktoś zajmuje się Sowietami, to dostaje stamtąd taką porcję smutku i nieszczęść, że w wolnym czasie woli pozostać z daleka od polskich nieszczęść. To jest — powiedziałbym — samoobrona organizmu. Wolę już wtedy poczytać coś z Ameryki czy z Holandii. Leży chyba w naturze ludzkiej, że tylko część siebie można oddać ludzkiemu nieszczęściu. Tak więc nie mam żadnej skali porównania między — powiedzmy — polską i sowiecką sytuacją. Mam wrażenie, że polska sytuacja jest bardziej obiecująca; że polska emigracja nie jest aż tak skłócona; że ludzie dość swobodnie podróżują z Ameryki do Polski i z Polski do Ameryki, że publikowanie za granicą jest łatwiejsze, że niektórzy mieszkający za granicą są wydawani w Polsce. Robi to bardziej ludzkie wrażenie. Można mieć tylko nadzieję, że po pewnym czasie coś podobnego będzie istnieć w Sowietach. Mam nadzieję...

Wywiad przeprowadził Jan PAWLAK

Archiwum polityczne

O niektórych problemach Czarnej Afryki

I

Czy lepiej być eksploatowanym i zarabiać „X” dolarów lub złotych miesięcznie czy też lepiej żyć w systemie wolnym od eksploatacji i zarabiać 5 lub 10 razy mniej? Nie wykluczam wcale, że w krajach kapitalistycznych znajdują się tacy, którzy, w zamian za wymarzoną sprawiedliwość społeczną, zgodzą się na obniżenie stopy. Natomiast wiem jaką odpowiedź da na to pytanie obywatel PRL. Odpowie, że woli być *eksploatowany* i zarabiać więcej niż być *eksploatowany* i zarabiać mniej. Nie będzie to odpowiedź na przedstawienie dwóch alternatyw, bo on w te alternatywy nie wierzy. Wie, że w coraz niesprawnej funkcjonującym kapitalizmie, ludziom się wciąż wiedzie lepiej, zarówno w przeliczeniu na materialne jak i niematerialne wartości, niż w systemie socjalistycznym, którego jedyną dotychczasową wersją jest komunizm. Dość trafnie, i chyba już dawno, rozszyfrowano różnice między eksploatującym ludzi kapitalizmem i eksploatującym swych obywateli komunizmem. Ten pierwszy — przez ostatnie 50 lat — w przytłaczającej większości — eksploatuje ludzi z pożytkiem dla eksploatowanych, ten drugi — z coraz większą ich szkodą. To, że Rockefeller ma miliardy, a jego robotnicy tylko tysiące i że Breżniew, choć bez porównania potężniejszy w swym kraju od Rockefellera — w materialnych kategoriach jest w porównaniu z nim — biedakiem, do nikogo już jakoś nie przemawia. Trudno też powiedzieć ilu mieszkańców Wschodniej Europy wierzy w inny, nie eksploatujący ludzi, socjalizm. W każdym razie problem ten jest w najlepszym razie dla znacznej większości tak długo czystą abstrakcją póki ustroju takiego nie zobaczą i nie przekonają się jak funkcjonuje. I pewno zawsze pozostanie abstrakcją, ponieważ nie może on jakoś dojść

do skutku. Myślę, że w ów wyśniony system wierzą tylko lewicowy politolodzy na Zachodzie, ale wierzą tylko teoretycznie, bo też pewno w głębi ducha boją się zobaczyć, co by z tego naprawdę wyszło. Polacy, Czesi czy Węgrzy czasami udają, że wierzą, bo im to potrzebne jako „alibi”, żeby nie być oskarżonym o zdradę ideałów — mocno już zwietrzałych, ale wciąż pieczołowicie wyznawanych. Niewiarę w socjalizm można by w niektórych krajach i środowiskach przyrównać do zadeklarowanego ateizmu w średniowieczu i trochę później, kiedy mnóstwo było heretyków, krytykujących takie czy inne kościoły, ale z których żaden nie odważył się negować istnienia Boga. Nie ze strachu, bo za rozmaite mniejsze herezje groził stos. Chodziło po prostu o czystą nieskażoną żadnym przymusem lub strachem wiarę w Boga, która była fundamentem zarówno herezji jak i prawowiernej dogmatyki. No bo jakże tu krytykować Kościoły w oparciu o Pismo Święte, jeśli się nawet w Pana Boga nie wierzy? Rozumie się, że kary za odstępstwa były wówczas okrutniejsze niż obecnie, za to odrobinę mniej masowe. Może dlatego, że w ogóle ludzi było mniej, a może dlatego, że szwankowała technologia i organizacja masowej śmierci.

Pozornie nie ma to głębszego związku z problemem Czarnej Afryki — ale tylko pozornie. To bowiem o co czarne militanckie organizacje afrykańskie walczą — o rządy czarnej większości — jest ostatnio zawsze skrzyżowane ze zlikwidowaniem kapitalizmu i imperializmu. Nacjonalizm, który dawniej był śmiertelnym wrogiem marksizmu w wykładni zarówno II-giej jak i III-ciej Międzynarodówki, jest obecnie hasłem, mobilizującym i niezwykle postępowym. Ale i tu również stosować go należy wybiórczo. Albowiem nacjonalizm narodów gospodarczo zaawansowanych jest nadal hańbą i groźbą dla pokoju świata, podczas gdy nacjonalizm narodów — które wcale nie są narodami tylko administracyjnie skleconymi pod władzą państwa afrykańskimi wspólnotami plemiennymi, jest zjawiskiem ze wszech miar godnym pochwały, jak również militarnego i ekonomicznego poparcia. Przed nim padają plackiem zmęczeni, upokorzeni ustawicznie bijący się w piersi przedstawiciele mocarstw kapitalistycznych, a jeśli któryś z nich nie chce się pokajać i zniecierpliwiony zbiorowym masochizmem, staje okoniem, wylatuje z posady. Ostatnio okazało się, że siłą napędową rewolucji może być również i Islam, ale nie taki zwykły jakim go Mahomet stworzył, ale „naukowy”, czego zresztą bliżej nie sprecyzował jego główny promotor, pułkownik Kadaffi. Nie dyskutuję tego wszystkiego z akcentem ironii i dwuznaczności. Po prostu o inne teraz rewolucje chodzi w Ameryce, inne w Czarnej Afryce, inne w krajach arabskich, a jeszcze inne — w imperium sowieckim.

Czarni mieszkańcy Republiki Południowo-Afrykańskiej i Rodezji walczą o rządy większości czyli czarnoskórych Afrykanów. Celem tej walki jest nie tylko przywrócenie godności ludzi z dawna poniżanych przez swych białych panów. Chodzi oczywiście o coś więcej — o to, że władza Czarnych zapewnić ma sprawiedliwy podział dochodu narodowego, przy którym rdzenni mieszkańcy Afryki byli niewątpliwie przez wiele dziesiątków lat — a ściśle od momentu przybycia białych — dyskryminowani. Ogólnie, żeby nie wchodzić w szczegóły, byli pariasami w kraju, który, jeśli chodzi o Południową Afrykę, trudno byłoby zresztą nazwać ich własnym krajem. Południowa Afryka została zasiedlona stopniowo, 400 lat temu, przez Holendrów i nie łatwo obecnie ustalić jakie plemiona znajdowały się tam w czasie instalowania się Holendrów, ale w którym Czarni stanowią i stanowili zawsze większość.

Jeśli się uwzględni zasobność Rodezji, a przede wszystkim Republiki Południowo-Afrykańskiej — bo ona jest centralnym zagadnieniem — to po pierwsze należy postawić pytanie, czy ludność rdzenna, pochodzenia nie-europejskiego, mogłaby bez pomocy białych osiedleńców te kraje doprowadzić do obecnego awansu cywilizacyjnego — czy innymi słowy, Biali zahamowali inicjatywę Czarnych, którzy w przeciwnym wypadku doprowadziliby te państwa do wysokiego poziomu cywilizacyjnego, z którego obecnie w pierwszym rzędzie korzysta biała mniejszość.

Drugim zagadnieniem jest pytanie, czy Biali, którzy owe kraje zagospodarowali, potrafiliby to uczynić bez pracy nisko opłacanej ludności kolorowej. Trzecim — jest odpowiedź na pytanie czyją własnością są te kraje. Czy tych, którzy je zbudowali — czy tych, którzy stanowią w nich większość? Jeśli zaś stanowią mają wspólne dobro — to jak nimi rządzić, skoro uczucia wzajemnego antagonizmu osiągnęły już taką temperaturę, że coraz trudniej ów problem rozwikłać przy pomocy środków pokojowych.

Problemy te będę się starał rozpatrzyć nie w ich kolejności, ale w formie przeglądu spraw, które w sumie powinny nas nakierować na jakieś rozwiązania realne, racjonalne, a zarazem nie uchybiające naszym elementarnym zasadom poczucia sprawiedliwości.

Jak wiadomo Kanał Sueski zbudowali Francuzi i Anglicy przy użyciu miejscowej siły roboczej. Szyby naftowe odkryli i rozwinęli na Bliskim Wschodzie Amerykanie i Anglicy. Z kanałem Panamskim — było podobnie. Rodezja i Południowa Afryka pozostają w tej samej klasyfikacji i stanowią zatem analogiczny problem — trudniejszy do rozstrzygnięcia tylko dlatego, że w dwóch ostatnich wypadkach nie chodzi o obiekty użytkowe, ale o kraje zasiedlone przez miliony ludzi.

Na drugiej z kolei sesji Konferencji w Genewie, w końcu października 1976 roku, na której miano dyskutować pokojowe przejęcie władzy w Rodezji przez czarną większość, rzecznik ruchu Afrykanów, Muzorewa, powiedział: „Nie przybyliśmy tu, aby cokolwiek ofiarowywać, by w zamian za to otrzymać prawa. Żądamy tylko zwrotu naszej ziemi”. Innymi słowy: koniec, kropka. Nie ma dyskusji. Ziemia jest nasza wraz z masą nie tyle upadłości, ile z nabytkiem. W interpretacji Muzorewy wyglądało to tak jakby ktoś na cudzej działce zbudował dom, nie pytając prawowitego właściciela o zgodę. Na przykład według prawa w Nowym Jorku taki dom stanowi własność właściciela. Na nieszczęście problem Płd. Rodezji i Republiki Płd. Afrykańskiej tak nie wygląda i nie da się go tak załatwić. Poza tym, że kolidowałoby to z naszym poczuciem sprawiedliwości (ponieważ kraj — to nie cudzy plac pod budowę), wynikałyby z tego bardzo niebezpieczne wnioski. Oznaczałyby, że te ludy europejskie, które 400, 300 czy 200 lat temu osiedlały się na nowych terytoriach, nie pytając o zgodę tubylców, ale po prostu fizycznie ich likwidując — jak to miało miejsce w wypadku Australii i Ameryki — postąpiły najpraktyczniej i najrozsądniej, bo wytrzebiwszy tubylców, wykluczyły ewentualne przyszłe pretensje wcześniej osiedlonych mieszkańców.

Urządzenia naftowe czy przemysłowe zbudowane przez Europejczyków czy Amerykanów mogą przejmować lokalne rządy za odszkodowaniem, choć czasem przejmują bez odszkodowania, wychodząc z założenia owego radykalnego przedstawiciela Zimbabw (Rodezji), że jest to ich własność, bo zbudowana została na ich terytorium. Nawet gdyby Muzorewa czy inni jego koledzy byli mniej „radykalni”, to i tak za przejęty na „ich ziemi” dobytek nie mogliby ofiarować europejskim intruzom odszkodowania, bo z czego? Chyba musieliby wyłożyć za wszystko Amerykanie, którzy ostatnio dla „ratowania pokoju” płacą wszystkie możliwe rachunki. Płacą Arabom, żeby nie bili się z Izraelczykami, płacą Izraelczykom za zwrócone szyby naftowe Egipcjanom. Gotowi są płacić Rodezjczykom za ich ewentualną przeprowadzkę i straty z niej wynikłe, że nie wspomnę Sowieców, którym gotowi byliby chyba oddać ostatnią parę spodni (których tak bardzo nie potrzebują) jak również ostatni samochód (który bardziej jest im potrzebny od spodni) w zamian za jeszcze jedną uroczystą deklarację o poszanowaniu pokoju. Ale Czarni Rodezjczycy nie chcą płacić ani z własnej ani z cudzej kieszeni, bo ta ziemia jest ich „własna” — „ukradziona” przez Białych.

Co to jest „własna” ziemia rozumie doskonale Europejczyk. Ten na Zachodzie i ten w Rosji. Ten pierwszy, bo ją ma —

ten drugi — bo mu ją zabrano i zamieniono w kołchoz, zostawiając tylko działkę przyzagrodową, z którą obchodzi się odwrotnie niż z ziemią kołchozową — czyli jak z kura z jajkiem. Trochę inaczej na te sprawy patrzy Amerykanin, a już zupełnie inaczej czarny rolnik, obywatel niepodległych krajów afrykańskich, stanowiący najliczniejszą, bo ponad 85-cioprocentową warstwę ludności. Amerykanina wspominam tylko dlatego, że choć tutejsi farmerzy, liczący około 6 % ludności Stanów, dożywają sporą część świata, istnieją w Ameryce rozległe obszary niezagospodarowane, na sprzedaży których spekulują tutejsi *land developers*. Ponieważ dla Amerykanów europejskiego pochodzenia, a zwłaszcza tych o progeniturze chłopskiej, „ziemia” — to ten sam grunt, który wyrwali sobie pazurami chłopci z Reymonta, mit „ziemi” jako najtrwalszej wartości, bez względu na to czy jest zagospodarowana czy nie — przetrwał. W rezultacie wielu tutejszych ludzi kupuje działki w Arizonie i New Mexico, które, żeby nabrały wartości, wymagają nakładów: karczowania, doprowadzenia ścieków, elektryczności, dróg, studni i wielu innych inwestycji. Ponieważ po kupnie okazuje się, że ziemia ta nie ma żadnej wartości rynkowej, narzekają na spekulantów, od których nabyli działki, często ich nawet nie oglądając. A nie oglądali dlatego, ponieważ uważali, że „ziemia”, w odróżnieniu od przedmiotu nabytego w sklepie, posiada pewną i absolutną wartość. Tu przy okazji warto przypomnieć marksistowską definicję towaru. Wprawdzie ziemia nie jest „towarem”, ale wartość jej jest również określana sumą pracy ludzkiej. W przeciwnym razie warta jest tyle, co leżące głęboko pod skałami złoża węgla, których nie warto eksploatować ze względu na wysokie koszty inwestycji.

To, że ziemia nie ma żadnej wartości tak długo, póki się jej nie zagospodaruje, rozumie każdy mieszkaniec afrykańskiej wioski, któremu nie wtłoczono do głowy, że jest „panem” w swoim kraju, nie dojadającym tylko dlatego, że eksploatowali go dawniej kolonialiści. 90 % ziemi Czarnej Afryki leży odłogiem. Pokrywa ją busz lub dżungla, dostarczając zresztą w niektórych okolicach naturalnych darów jak np. roślin, które zdobywa się bez wysiłku. — Rolnik afrykański — powiedział mi w roku 1967 minister rolnictwa Tanzanii, Mohammed Babu — pracuje 6-7 godzin tygodniowo i nie ma żadnej siły, aby go zmusić do intensywniejszej pracy, np. do produkcji zboża na sprzedaż. Nad tym samym zagadnieniem zastanawiał się w swych publikacjach znawca problemów rolniczych Czarnej Afryki, René Dummond¹.

1. Dummond który stwierdził, że gleba afrykańska, w odróżnieniu od gleby Ameryki Łacińskiej, jest mało wydajna, nie doszedł do żadnych praktycznych wniosków, z wyjątkiem dobrych rad, mianowicie żeby więcej

Jak skłonić czarnego Afrykanina do produkcji zboża na sprzedaż? Kiedyś, w odległych czasach, niemieccy kolonizatorzy nakładali na rolników w Tanganice wysokie podatki; za niepłacenie ich groziły surowe represje. Nie pomogło. Doprowadziło tylko do barbarzyńskich ekspedycji, rozlewu krwi, a w wypadku Afryki Południowo-Wschodniej — do potwornych rzezi wśród Hotentotów. Te czasy mamy szczęśliwie poza sobą.

Przez wieki rolnicy w Afryce przyrównikowej żyli w świecie, w którym ich skromne potrzeby, w warunkach łagodnego klimatu, były zaspakajane przy minimalnym z ich strony wysiłku. Wystarczało to do biologicznego przetrwania. Ten afrykański błogostan, uplasowany na bardzo niskim standardzie potrzeb, pozostałby przez wieki niezakłócony, gdyby do Czarnej Afryki nie wtargnęli początkowo arabscy, a później — biali kolonizatorzy, co pociągnęło za sobą tworzenie się miast i rynku towarowego². Jeśli chodzi o penetrację białych, to należy tu wyodrębnić dwa jej rodzaje: kraje jak Republika Południowo Afrykańska, Rodezja, Kenia i Mozambik, w których warunki klimatyczne i glebowe zachęcały Białych do tworzenia siedzib i pozostałe — które były w XIX-tym i w pierwszej połowie XX-go wieku jedynie źródłem surowca i taniej siły roboczej. W tych pierwszych biali osadnicy żyli i prosperowali; w tych drugich — sprawowali jedynie rządy, a jeśli się osiedlali, to na krótko, po to by wrócić do metropolii. Biali kolonizatorzy, gdziekolwiek i w jakim charakterze przebywali w Afryce, chętnie sprawowali rządy za pośrednictwem miejscowych notablów. W ten sposób uformowali lokalną inteligencję, która, przez umożliwienie jej studiów na francuskich lub angielskich uczelniach, stała się elitą rządzącą w momencie, gdy państwa te uzyskały polityczną niepodległość. Była to elita intelektualnie młoda, kształcona głównie jako kadra administracyjna, z dużą przewagą prawników i wojskowych. Ich wiedza historyczna równała się zeru. Mechanizm przekształcania kolonii w państwa niepodległe nie implikował wprawdzie, że kraje te

hodować orzeszków ziemnych ze względu na wysoką zawartość białka. Emocjonalnie związany z europejską lewicą, uznał ostatecznie — zgodnie z obowiązującą modą — że wszystkiemu winna jest Ameryka, która spożywa za dużo darów bożych. Pozostawało to w zgodzie z opiniami wielu mówców na konferencji FAO w Rzymie — sprzed dwu laty. Krytkowano wówczas Stany Zjednoczone za to, że nie dostarczają w dostatecznej ilości zboża krajom niedożywionym lub głodującym, co przyrównywano do zbrodni „ludobójstwa”, przy czym krytkowano je również i za to, że zboże dostarczają, bo przez to pozbawiają narody bodźców ekonomicznych i hamują rozwój rolnictwa.

2. Por. „Powstanie afrykańskiego chłopstwa” prof. Szymon Chodak — Canadian Journal of African Studies, V. 1971.

z dnia na dzień osiągną poziom cywilizacyjny Zachodu, ale, że jest to sprawa co najwyżej ćwierćwiecza.

— Japończycy w XIX-tym wieku dokonali bezprecedensowej rewolucji przemysłowej, która w ciągu 25 lat uczyniła to państwo potęgą równą europejskiej, dlategoż więc nie moglibyśmy dokonać tego my — Czarni Afrykanie? — zapytał w przyjaznej rozmowie ze mną pewien znajomy Tanzanijczyk. Sytuacja była kłopotliwa, bo skoro Stwórca stworzył wszystkich ludzi równymi to dlaczego Afrykanie mieliby w czymkolwiek ustępować Japończykom?

Przywódcy afrykańscy po objęciu władzy w niepodległych krajach, choć twierdzili że zamierzają tworzyć państwa nowoczesne z zachowaniem afrykańskich tradycji, czynili właściwie wszystko na opak, przejmując od swych dawnych kolonialnych panów najgorsze zwyczaje. Zaczęli od tworzenia partii politycznych i biurokratycznych molochów, pod których ciężarem uginałyby się budżety państw nawet zamożnych, a cóż dopiero będących na dorobku. Dróg do rozwoju ekonomicznego próbowali rozmaitych — na początku tych starych, z zachowaniem prywatnej inicjatywy w handlu i przemyśle, a gdy to zawodziło zaczęli coraz głośniejszemu deklarować „afrykański socjalizm”. Zbiegło się to z przesunięciem sił na świecie, gdy dawne państwa kolonialne słabły, a o rangę pierwszej potęgi świata zaczęły ubiegać się Sowiety.

W tej drugiej fazie — „socjalistycznej” — Juliusz Nyerere, prezydent Tanzanii, oświadczył, że Czarna Afryka jest szczególnie predystynowana do agrarnej gospodarki socjalistycznej, ponieważ tkwi to w klanowych tradycjach wspólnego gospodarowania ziemią. Ponieważ rolnik afrykański ma ziemi pod dostatkiem, a nawet w nadmiarze, nie wytworzyło to w nim poczucia indywidualnej własności ziemskiej — tak mocno ugruntowanej u chłopca europejskiego. Rolnik afrykański zasiewał co chciał i gdzie chciał, jeśli tylko znalazł wolny kawałek pola. Dżungli nie karczował, ale ją przeważnie podpalał, co fatalnie wpływało na wydajność gleby, ale to był najłatwiejszy, a może nawet jedyny sposób, bo co innego jest ścinać sosny, a nawet dęby a co innego trzebić nieprzeniknioną gestwinę w zachodniej, tropikalnej i równikowej Afryce. Warunki więc pod ów „afrykański socjalizm”, który Nyerere określił zwrotem ze Swahili — „Ujama”, były, jak się zdawało, wypisz-wymaluj jakby stworzone dla Afrykanów. I na pewno funkcjonowałyby on ani gorzej ani lepiej, bo przecież nikomu nie szkodziłoby czy się taką gospodarkę rolną nazwie socjalizmem czy jakoś inaczej. Na nieszczęście, Nyereremu, który w opinii zachodnich dziennikarzy uchodzi za jednego z najrozsądniejszych afrykańskich przywódców, zachciało się nowoczesnej

gospodarki kolektywnej. Zaczęło się więc przesiedlanie ludności pod kątem lepszego wykorzystania gruntów i właściwego rozmieszczenia siły roboczej. W rezultacie, we wczesnych latach siedemdziesiątych nastąpiło załamanie się „Ujamy” i ostry kryzys żywnościowy, który jest nieporównywalny z kryzysami żywocciowymi w jakimkolwiek kraju bloku komunistycznego w Europie. Dopóki prezydenci afrykańscy używają „socjalizmu” jako szyldu, nic się nie zmienia ani na gorsze, ani na lepsze. Nieszczęście rozpoczyna się dopiero wówczas gdy, jak np. Nyerere — człowiek niewątpliwie dobrej woli, ale mający po piętnastu latach prezydentury głowę skołataną piętzącymi się problemami — zaczyna się ów afrykański socjalizm traktować serio. Wydaje się, że nie obeszło się przy tym bez fachowych doradców, wskazujących na „sukcesy” produkcyjne kołchozów.

Tragedia Czarnej Afryki nie polega jednak na tym, że nie udaje się jej rozwinąć socjalizmu — nawet w ograniczonym zakresie produkcji rolnej — ale na czymś znacznie głębszym: na tym, że dla skierowania jakiegokolwiek społeczności na drogę wspólnego państwa — zarówno socjalistycznego jak i kapitalistycznego — warunkiem koniecznym jest akumulacja ekonomiczna czyli odkładanie produktu dodatkowego na nakłady, gdziekolwiek by one nie były, w przemyśle czy rolnictwie. Bez tego nie da się zbudować niczego i tego właśnie brak jest mieszkańcom niepodległej Afryki³. Przez tysiące lat wilgotny i łagodny klimat nie zachęcał do gromadzenia zapasów, ponieważ żywność psuła się znacznie szybciej niż w innych strefach klimatycznych. Ale nie sam klimat determinował taką postawę. Wiemy przecież, że wiele ludów żyje w podobnych warunkach klimatycznych, prosperując lepiej, choć oczywiście nie osiągnęły one europejskich standartów. Drugim powodem produkcyjnego застоju Afryki był właśnie brak zagęszczenia ludnościowego — obfitość ziemi, nad

3. Jednym z problemów wintegrowania czarnej ludności Stanów Zjednoczonych w kapitalistyczny system od lat pięćdziesiątych, gdy przestano ją dyskryminować, jest sprawa wytworzenia warstwy średniej kupców i drobnych przemysłowców. Mimo, że społeczność murzyńska żyje w Ameryce od 200 lat z górą i nawet w okresie niewolnictwa pozostawała w zasięgu procesów rozwojowych tego kraju, coś z owego niefrasobliwego światopoglądu, który cechuje Czarnych Afrykanów, niechętnie myślących o jutrze — pozostał. Oczywiście doszukiwanie się jakichś dalszych analogii zawodzi. „Nie mamy nic wspólnego z naszymi amerykańskimi kuzynami prócz koloru skóry” — powiedział Tom Mboya, minister w rządzie Kenyatty, zamordowany w roku 1969. Podobnie wyraził się ostatnio Eldridge Cleaver, nawrócony na amerykański *establishment* b. rewolucyjny działacz „Czarnych Panter”, który po latach wędrówki po krajach afrykańskich wrócił do Stanów, gdzie z miejsca jego dawni komiltoni oskarżyli go o to, że był agentem FBI i CIA.

którą niekoniecznie trzeba było ciężko się napracować, żeby zdobyć, co prawda kiepskie, ale pożywienie dające szanse przeżycia⁴.

Oczywiście gdy w wieku XIX-tym powstał rynek towarów przemysłowych, Czarny Afrykanin nie pozostał obojętny na jego ponęty, ale nie do tego stopnia, by pragnienie posiadania produktów współczesnej cywilizacji skłoniło go do ciężkiej pracy — trzebień dzungli i zakładania wzorowych gospodarstw rolnych. W ten sposób problem Czarnej Afryki, w kontekście pracy i konsumpcji jest odwróceniem problematyki krajów rozwiniętych. W tych ostatnich trudno jest czasem zaspokoić potrzeby mieszkańców, podczas gdy przywódcy Czarnej Afryki niczego bardziej nie życzą sobie jak tego, by czarny rolnik tak gwałtownie zapragnął towarów przemysłowych, by pragnienie to skłoniło go do ciężkiej pracy. Nie ma w tym twierdzeniu żadnych aluzji, które by uchybiały Aszanti, Samburu, Tutsi, Yoruba i setkom innym plemion afrykańskich jako rzekomo „gorszych” przedstawicieli rasy ludzkiej. Istota zagadnienia tkwi tylko w tym, że ich psychika, którą kształtowały tysiące lat bytowania w odmiennych od innych okolic świata warunkach, jest gorzej przystosowana do tworzenia współczesnych, cywilizacyjnie zaawansowanych państw przemysłowych⁵.

Że tak jest naprawdę, że nie chodzi tu o niemożliwe do przełamania różnice rasowe, dowodzi postawa czarnej ludności właśnie w tych krajach, które Biali starali się uczynić lub uczynili swoimi siedzibami, a w których — jak w Rodezji i Republice Południowo-Afrykańskiej — Czarni pozostają nadal dyskryminowani. W ścisłym związku z żądaniami praw politycznych pozostają postulaty sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. O ile rolnik afrykański w krajach niepodległych, żyjący z dala od ośrodków miejskich, nie reaguje dostatecznie na bodźce rynkowe, czarni mieszkańcy krajów, którymi rządzi biała mniejszość, stykając się na co dzień ze współczesną cywilizacją, są bardziej, w kategoriach tradycyjnego rozwoju historycznego, dojrzałi i dlatego domagają się równego miejsca przy południowo-afrykańskim stole, przy którym na razie bankietują biali panowie. Ci ostatni

4. Jak twierdzą fachowcy, podobno niska zawartość protein w afrykańskiej diecie (poza główną kłeską wysokiej śmiertelności wśród noworodków) wywołuje wśród dorosłych pewien stan apatii, co z kolei hamuje wszelkie bodźce do nadmiernych wysiłków. Jeśli opinia ta jest trafna — czego bynajmniej nie jestem pewien — wytwarza się coś w rodzaju błędnego koła.

5. Żeby nie powtarzać pewnych argumentów, zainteresowanych nieporozumieniami semantycznymi, które powstały w wyniku nadużywania słów „równość”, odsyłam do mojego artykułu o „Neoamerykańskim egalitaryzmie” w styczniowo-lutowym numerze *Kultury* z 1976 r., str. 42-46.

tn. Czarni Rodezyjczycy bardziej już przypominają „swych amerykańskich kuzynów” niż rolnicy z Czadu, Burundi, Ugandy, Tanzanii i kilkunastu innych niepodległych krajów Afryki.

Prezydent Tanzanii, Juliusz Nyerere, był jedynym afrykańskim przywódcą, któremu z okazji kolejnego Święta Niepodległości wyrwały się w 1967 roku gorzkie słowa, gdy wypominał własnym ludom, że nie posiadają w sobie zaciętości i uporu tych narodów, które borykając się z surowością przyrody, potrafiły nie tylko biologicznie przetrwać, ale w toku pomnażania swych wysiłków, zdobyć wielokrotnie więcej niż potrzeba do życia, tworząc współczesne cywilizacje. Oczywiście żale Nyererego, aczkolwiek emocjonalnie zrozumiałe (albowiem jak najbardziej pragnął być prezydentem zaawansowanego współczesnego państwa), o tyle były nie na miejscu, że nie można przy pomocy z głębi serca płynących apelów przebudować psychiki ludów. Ponadto jego przemówienie, obciążające własny lud „winą” za słabe tempo rozwoju, w pewnej mierze „rozgrzeszało” kolonialistów, co było już absolutnie nie do zaakceptowania. Nyerere już nigdy owych żalów nie powtórzył, ewoluując coraz bardziej w kierunku tych afrykańskich przywódców, którzy za wszystkie absolutnie braki Czarnej Afryki obciążają byłych i obecnych imperialistów, oczywiście z wyłączeniem ZSSR.

W niezaspokojonych pragnieniach tych afrykańskich przywódców kierowania krajami na kształt i podobieństwo Włoch, Francji czy Czechosłowacji lub choćby nawet Rumunii tkwi absolutny kult współczesnej cywilizacji i to kult znacznie głębszy od mieszkańca rozwiniętych krajów Europy czy Ameryki. Bo przecież właśnie współczesna cywilizacja staje się zwolna coraz groźniejszą zmorą i coraz większa liczba myślących ludzi zastanawia się czy jej dobrodziejstwa równoważą szkody i czy, być może, owego błogostanu afrykańskiego, który europejscy barbarzyńcy wraz z ambitnymi przywódcami afrykańskimi nazywają „stanem zacofania”, nie należałoby zachować? Ale na takie rozmyślanie jest już za późno. Wyzwolonym od kolonializmu ludom Czarnej Afryki narzucono instytucję państwa, urągającą plemiennym obyczajom i tradycjom. Zaczęto ich „uszcześliwiać” przeważnie wbrew ich woli, przy czym lista przykładów „cywilizowania” czarnych przez ich własnych przywódców nie zmieściłaby się w ramach niniejszego eseju ⁶.

6. Warto zacytować tylko dwa najbardziej groteskowe. W późnych latach sześćdziesiątych odbywała się we Wschodniej Afryce akcja, mająca na celu zmuszenie do noszenia spodni resztek licznych niegdyś plemienia Massajów, którzy okrywali się przewiewnymi płachtami, niezbyt dokładnie okrywającymi ich tylne części ciała. W tanzanijskim piśmie *Nationalist* sprawa spod-

Sprawa przyszłości Czarnej Niepodległej Afryki jest problemem wynikającym z pra-błędu skierowania jej na niewłaściwą drogę z fałszywymi nadziejami przyspieszenia tempa rozwoju poprzez rozbudzenie aspiracji ludów, rzekomo hamowanych i paraliżowanych przez wieki czy dziesiątki lat panowania mocarstw kolonialnych. Niestety prognozy te okazały się złudne i nieoparte na żadnym realnym gruncie. Były jedynie pobożnymi życzeniami, o czym każdego powinien przekonać przykład czarnej niepodległej od wieków Etiopii, w której — nim pogrążyła się w rewolucyjnym chaosie — panował do połowy XX-go wieku feudalizm i zacofanie, dawno minionych w Europie epok. Okazało się (choć nie jest to wciąż oczywiste dla większości), że nie można budować państwa z plemion, póki owe plemiona nie poczują między sobą trwalszej więzi od czarnych urzędników podatkowych, czarnych policjantów i czarnych, rezydujących w pałacach prezydentów, którzy obszar owych „narodów” określili granicami dawnych kolonii. Nie można od transportu pieszego przeskakiwać do linii lotniczych, co jest — niestety — typowe dla wielu krajów Afryki przyrównikowej, w których sieć kolejowa i autobusowa jest niezmiernie uboga, a drogi zbudowane przez Anglików, Włochów czy Portugalczków są haniebnie zaniedbane⁷. Jest w tym zjawisku wyraźna pogarda biurokratów

ni nabrała wagi prestiżowej. Ponieważ prezydent państwa Nyerere jest chrześcijaninem, ten i ów przypomniał, że przecież nawet Chrystus nie chodził w spodniach. Nic nie pomogło. Massajów starano się zmusić środkami administracyjnymi do noszenia spodni, ale oczywiście bezskutecznie. W tym samym mniej więcej czasie żandarmeria Wybrzeża Kości Słoniowej urządziła formalne polowania na golasów, buszujących w dżunglach zachodniego wybrzeża. Złapanym naciągano majtki, kobiety ubierano w bluzki. Wszystko to na zarządzenie nowo-kreowanych wysokich dygnitarzy w Abidżanie, którzy urzędując za biurkami w marynarkach i krawatach, korzystali z dobrodziejstw klimatyzacji.

7. Jednym z wyjątków jest Tanzania, która przy kolidującej nieraz ze sobą pomocy dwóch grup amerykańskiej i chińskiej, rozwinęła i wydłużyła wielką arterię łączącą stolicę Tanzanii, Dar-es-Salaam z zagłębiem kopalnianym (głównie miedzi) w Zambii. Potwierdzeniem natomiast tezy kompletnego zaniedbania jest Gwinea, która od czasu uzyskania niepodległości, pod względem rozwoju cywilizacyjnego odbywa stopniowo drogę wstecz. Kraj, ten niezmiernie zasobny w minerały (ruda żelazna i boksyty), jest prawie zupełnie pozbawiony infrastruktury, która umożliwiłaby pełną eksploatację jego bogactw. Oczywiście boksyty są wydobywane ale przy minimalnym nakładzie kosztów, głównie przez międzynarodową firmę FRIA. Ruda żelazna dowożona jest do statków tylko z terenów w promieniu kilkunastu kilometrów, mimo jej nieprzebranych zasobów znajdujących się z dala od wybrzeża. Pozostaje to w idealnej zgodzie z założeniami ideologicznymi prezydenta Secou Touré który, nie życząc sobie obcych inwestycji, nie jest w stanie uczynić niczego własnymi środkami. Zrywając z Francją, uzyskał całkowitą niezależność polityczną i ekonomiczną. Z owoców jej korzysta tylko rządzące plemię Malinka, a raczej jego elita, na co wystarczają dochody płacone przez eksporterów gwinejskich surowców i tropikalnych owoców.

wysokiej rangi, którzy po miastach jeżdżą Mercedasami, a dla komunikacji międzymiastowej używają samolotów. Nie można plemionom afrykańskim, które poza folklorem — tj. muzyką, rzeźbami i tańcami — nie stworzyły żadnej kultury, oferować surogatów w postaci sloganów politycznych, zapożyczonych żywcem z makulatury propagandowej państw komunistycznych. Czarna Afryka nie musiała pójść drogą cywilizacyjną, którą przebyły kraje europejskie. Mogła szukać własnych modeli ekonomicznych i społecznych, dostosowanych do potencjalnych możliwości swej ludności. Nie twierdzę, że wypracowanie takich modeli byłoby łatwe. Niemniej faktem jest, że nikt nigdy nie próbował takich rozwiązań podejmować. Uznano, że szlaki rozwoju gospodarczego (nie kulturowego) mogą być oparte tylko i wyłącznie na wzorach europejskich i amerykańskich i tezę tę przyjęto automatycznie jako zrozumiałą samą przez się.

W artykule „Ameryka we wrogim świecie” (*Foreign Policy* Nr 23, 1976 — polski przekład — *Kultura* z października 1976) prof. Zbigniew Brzeziński formułuje następującą tezę:

„Zasadniczym posłannictwem doświadczenia amerykańskiego jest prymat wolności. Ale zawarta w nim była także zasada pluralizmu. Wolność jednostki była gwarantowana najpewniej przez pluralizm. W skali globalnej pluralizm oznacza zróżnicowanie, a nie marsz w kierunku ujednoczenia świata opartego na jednym modelu ideologicznym. To posłannictwo zachowuje swą aktualność szczególnie dziś wobec pojawienia się około 150 nowych niezależnych państw”.

Sformułowanie prof. Brzezińskiego nasuwa pewne refleksje. Rozszerzenie znaczenia „pluralizmu politycznego” jako formy stosunków międzyludzkich w jednym kraju na stosunki międzynarodowe jest pewnego rodzaju wolną semantyczną, z której autor zdaje sobie zapewne sprawę. Semantyka nie jest tu zresztą najważniejsza. Istotne jest, że przyjęcia „pluralizmu politycznego” w skali międzynarodowej nie trzeba bynajmniej postulować, ponieważ jest on rzeczywistością, której Ameryka nie jest w stanie i nie próbuje zmienić. Jeśli próbowała narzucać obcym krajom swój „model polityczny” innymi sposobami niż ukazywaniem pewnych zalet własnego systemu, to czasy te chyba minęły od prezydentury Eisenhowera, bo nieszczęsną wojnę wietnamską trudno uważać za próbę narzucenia „własnego modelu ideologicznego”. „Pluralizm międzynarodowy” postulowany przez prof. Brzezińskiego jest oczywiście doktryną, co do której projekto-

Reszta ludności, jeśli chodzi o stopę życiową, żyje znacznie gorzej niż za panowania Francuzów. Jedynym darem cywilizacji, poza bawełnianymi spodniami, są tranzystorowe odbiorniki, przy pomocy których mieszkańcy nawet odległych wiosek mogą na ultrakrótkich falach zbiorowo słuchać przemówień wodza i prezydenta, płynących z Conakry.

dawca nie ma chyba złudzeń, że będzie ona przyjęta na zasadach wzajemności. Przypomina to nieco *détente* w wydaniu Kissingera-Forda-Nixona. Uwzględniając jednak tolerancję amerykańską wobec nietolerancyjnych kontrahentów, można uznać odwrót od kissingerowskiego pragmatyzmu do demokratycznego pryncypializmu za wysoce chwalebny. Czy jednak odmieni on pozycję Ameryki we wrogim świecie? Czy nie jest ona, broń Boże, produktem amerykańskiej słabości, a w mniejszym stopniu — nietolerancji. Nad tym wszystkim warto się zastanowić, jeśli pragniemy żyć na tej steranej ziemi a nie w obłokach. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze dawniejsza teza prof. Brzezińskiego o „wzmózonej polityzacji świata”, która wymaga zrewidowania dotychczasowego, zbyt konserwatywnego, stosunku Ameryki do Trzeciego Świata. Przewertowanie starych dogmatów w polityce zagranicznej na pewno jest wskazane, ale twierdzenie o „wzmózonej polityzacji świata” budzi sprzeciw i podejrzenie, że prof. Brzeziński pada ofiarą mistyfikacji. Bo gdzie i w jakich sferach społecznych Trzeciego Świata wzmogło się owo „upolitycznienie”? Czy w Chinach obserwujemy rozwój myśli politycznej w masach, czy w rządzącej elicie? Nie wiem czy to wszystko można w ogóle nazwać rozwojem czy uwiadem. W każdym razie nie mamy chyba wątpliwości, że milionowe pochody w Pekinie, denuncjujące wdowę po zmarłym Przewodniczącym nie są dowodem wzmózonej „polityzacji Trzeciego Świata”, ale czegoś wręcz odwrotnego. To samo dotyczy Niepodległej Czarnej Afryki, w której miliony ludzi pozostają w politycznym letargu, podczas gdy myślą za nich przywódcy i to w dodatku myślą niemądrze i schematycznie. W tym momencie można już rozważać tezę „o międzynarodowym pluralizmie” w kontekście Czarnej Afryki. To bowiem co zastanowiło mnie w tezie prof. Brzezińskiego, to fakt, że jego postulat „międzynarodowego pluralizmu” ograniczył się wyłącznie do struktur politycznych. Sądzę, że autor również nie dopuszcza myśli o potrzebie pluralizmu *nie tylko* w obrębie polityki i ideologii, których różnorodność potrzebna jest 150-ciu krajom, ale przede wszystkim w sferze modeli gospodarczych, które na tle moich rozważań tak bardzo potrzebne byłyby Czarnej Afryce. Nie uczyniono i nie próbowano tego uczynić, dlatego na inne rozwiązania jest już być może za późno i jedynym środkiem jest „World Bank” — z którego pompuje się w Trzeci Świat pieniądze metodą napełniania beczki bez dna. Winę za taki stan rzeczy ponoszą po społu były mocarstwa kolonialne i wychowane przez nie afrykańskie elity, rządzące państwami Niepodległej Afryki. Rezultatem tego jest chroniczny kryzys krajów „rozwijających się”, które usiłują dopędzić swe dawne metropolie poprzez przeskakiwanie faz histo-

rycznego rozwoju. Te, które zachowują w swych ambicjach umiar, jak np. Senegal i Wybrzeże Kości Słoniowej, są w istocie niczym innym jak francuskimi pół-koloniami, w których wiele tysięcy Francuzów żyje dostatnio w zgodzie i harmonii z czarną rządzącą biurokracją. Jeśli chodzi o resztę ludności, to los jej uległ minimalnej zmianie na lepsze. W każdym razie sytuacja ich jest znacznie pomyślniejsza od cytowanej przeze mnie poprzednio Gwinei, która zerwała wszelkie więzy z Francuską Wspólnotą ku oburzeniu ówczesnego prezydenta Francji de Gaulle'a i rozwścieczonych francuskich urzędników, którzy opuszczając Gwineę nie omyślali poniszczyć wszystkiego, co pozostawało w ich zasięgu.

Sytuacja podobna do Wybrzeża Kości Słoniowej istnieje na przeciwnym skraju Afryki — w Kenii. Mają tu jednak miejsce pewne różnice, wynikające z tego, że Kenia była nie tylko kolonią, eksploatowaną i administrowaną przez Wielką Brytanię, ale przede wszystkim siedzibą dla co najmniej kilkuset tysięcy Anglików, którzy osiedlili się na urodzajnym płaskowyżu w centrum kraju, zajmując najlepsze grunta.

Kenia, w odróżnieniu od innych krajów Czarnego Łądu, nie otrzymała niepodległości politycznej „na srebrnym półmisku”, gdy władza przy odegraniu hymnów narodowych i opuszczaniu flag przechodziła z rąk gubernatora w ręce prezydenta lub afrykańskiego premiera. Może zresztą taka ceremonia również miała miejsce w Nairobi, ale poprzedzona była kilkuletnią walką partyzantów Mau-Mau, rekrutujących się głównie z plemienia Kikuyu. Byłoby jednak dużą naiwnością sądzić, że celem tej zbrojnej i nieprawdopodobnie barbarzyńskiej wojny było powołanie do życia niepodległego państwa. Celem partyzantów było po prostu wypędzenie Anglików, a nie tworzenie nowego państwa, które pod nazwą Kenii miało zjednoczyć liczne plemiona wzajemnie się nienawidzące. Utworzenie Kenii nie było zwycięstwem partyzantów Mau-Mau, ale kompromisem osiągniętym pomiędzy czarną inteligentką elitą a rządem brytyjskim. W rezultacie tego powstało coś w rodzaju afrykańsko-angielskiego kondominium, gdzie podobnie jak na Wybrzeżu Kości Słoniowej żyje sobie całkiem nie najgorzej, a nawet bogato kilkadziesiąt tysięcy Brytyjczyków i tyłuż Czarnych — głównie z plemienia Kikuyu. Reszta tzn. ok. 10 milionów czarnych obywateli Kenii bytuje w warunkach niewiele różniących się od czasów kolonialnych⁸.

8. Przy okazji należy nadmienić, że Yomo Kenyatta — obecny prezydent Kenii, który w okresie walk partyzanckich był uwięziony przez Anglików — choć uznany za symbol dążeń niepodległościowych Kenii, bynajmniej nie był przywódcą ruchu Mau-Mau. Przeciwnie, potępiał walkę zbrojną, choć powstańcy koniecznie chcieli widzieć w nim swego przywódcę. Faktycznym przywódcą był Kimathi, powieszony w czasie powstania przez Anglików.

W rezultacie naszych rozważań jedynym wnioskiem jaki się nasuwa w odpowiedzi na pierwsze postawione w tym artykule pytanie, jest konkluzja że ludy Czarnej Afryki nie były, nie są i nie staną się zdolne jeszcze przez następnych kilkadziesiąt lat do stworzenia zaawansowanych społeczeństw przemysłowych lub przemysłowo-rolnych typu europejskiego i że błędem — obecnie już nie do odrobienia — było skierowanie ich na tę fałszywą i pełną zawiedzionych nadziei drogę.

Z konkluzji takiej nie wynika jednak w najmniejszym stopniu propozycja rozgrzeszenia państw rasistowskich — Republiki Południowo-Afrykańskiej i Rodezji. Przeciwnie, choć sytuacja tych krajów jest niezmiernie trudna, i choć często stają się przedmiotem demagogicznych i nieusprawiedliwionych zarzutów, wiekowa polityka dyskryminowania i poniżania czarnej i kolorowej ludności jest faktem bezspornym. Za tę politykę biała mniejszość tych krajów będzie zmuszona zapłacić wysoką cenę.

II

Gdybyśmy próbowali ocenić pewne wydarzenia z odległej przeszłości w kategoriach etycznych przyjętych obecnie w krajach Zachodu, postawilibyśmy się sami w sytuacji wręcz absurdalnej. Wynikałoby bowiem z tego, że świat uległ niebywałemu uszlachetnieniu, a nasi praojcowie byli (w zależności od pochodzenia społecznego i etnicznego) albo ofiarami potwornego ucisku i poniżenia albo wyzutymi z sumienia potworami. Oczywiście byłoby w tym jakieś nieporozumienie, ponieważ świat żadnej rewolucji uszlachetniającej nie przeżył. Zmieniały się natomiast stopniowo od początku XIX-go stulecia poglądy na kwestie społeczne oraz rasowo-etniczne, przy występujących od czasu do czasu regresach (typu np. rewolucji nazistowskiej). Wszystko to było następstwem procesów cywilizacyjnych, pociągających za sobą przemiany społeczne i demograficzne. Jeślibyśmy wszelako dokonali przeglądu wydarzeń na świecie w roku 1976, z pewnością odnaleźlibyśmy w naszej współczesności taką samą dozę podłości, a na pewno znacznie więcej hipokryzji i kłamstwa niż u progu naszego stulecia. Dlatego przekonanie, że ludzkość przeszła procesy uszlachetniające — jeśli ktoś rzeczywiście w to wierzy — byłoby wielkim złudzeniem.

Czy odkrycie Ameryki przez Kolumba wraz ze wszystkimi dalszymi następstwami — a więc kolonizacją tego lądu i wydzielaniem ziemi Indianom było czynem moralnym? Czy zasiedlanie

Australii przez angielskich kryminalistów, którą obecnie zamieszkuje naród aż do znużenia spokojny i bogobojny, było etyczne?

Gdyby sto lat temu, wśród ówczesnych oświeconych warstw Zachodu, ktoś podniósł ów problem, postawienie tego rodzaju pytania zakrawałoby na nonsens. Obecnie tego typu kwestie roztrząsa się często w niektórych środowiskach USA. Wyraża się przy tym potępienie nie samego izolowanego faktu odkrycia Nowego Świata, ale jego następstw w postaci pozbawienia Indian ziemi i ich stopniowego wyniszczenia. Uznaje się za haniebną postępowanie XVII-stowiecznych i późniejszych osiedleńców, którzy, nie mogąc użyć Indian jako siły roboczej, czuli się uprawnieni do wydzierania im ziemi i do stopniowej eksterminacji broniących się tubylców. Jakież są tego dalsze konsekwencje? Poza wybudowaniem pomników kilku wodzom indiańskim i zaprzestaniem produkowania westernów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych według zasady *Good Red is a dead Red* — praktycznie żadne.

Chociaż sto lat temu handel niewolnikami jak również posiadanie niewolników ludy Europy i Ameryki uznały za rzecz haniebną i w konsekwencji karaną z całą surowością prawa, nie oznaczało to bynajmniej zrównania Czarnych z Białymi. Po prostu uznano ich tylko za istoty ludzkie, a niewolnictwo za uwłaczające zasadom chrześcijaństwa. Jeszcze 76 lat temu opinia świata oburzała się na brutalne tłumienie powstania Burów przez Anglików, nie dostrzegając zupełnie tamtejszej czarnej ludności, która w proporcji stanowiła prawie taką samą większość jak obecnie.

Jeśli zmieniają się nasze kryteria na rozmaite sprawy tego świata — jest to rzecz naturalna i najwyklesza w historii, ponieważ w pewnych dziedzinach (Broń Boże nie we wszystkich!) nie ma rzeczy wieszycie złych i wieszycie dobrych. Wynikają z tego dwa poważne kłopoty: pierwszy, gdy szermierze nowych norm etycznych nie rozumiejąc ich społeczno-cywilizacyjnej genealogii uznają je za prawdy absolutne. Drugi kłopot — to grzech opieszałości konserwatystów. Ci ostatni nie chcą pojąć, że sytuacja, w której żyją, nie jest do utrzymania, nie na skutek komunistycznego spisku lub rozprężenia obyczajów, ale — przemian w świecie, których oni sami byli i są współtwórcami. W obronie owych opieszałych konserwatystów można wysunąć wiele ważkich argumentów ze Związkiem Sowieckim na czele, które przytoczę później, co jednak w żadnym razie nie może być uważane za próbę ich ekspiacji przed konsekwencjami ich własnych przewinień i tępoty.

Związek Sowiecki bowiem jest w kontekście naszych rozważań niespotykanym fenomenem historycznym, w którym rządząca elita kieruje się wybiórczo zarówno kryteriami etycznymi z epo-

ki Carycy Katarzyny albo nawet Iwana Groźnego jak również szczytnymi hasłami, głoszonymi przez takich luminarzy humanitaryzmu jak Sartre lub zmarły Bertrand Russell. Wszystko to w zależności od sytuacji, a więc zgodnie z zasadami dialektyki, ulepszonej przez Breźniewa i jego poprzedników. Ta umiejętność stosowania praktyk z dziejów zamierzchłej Rosji wobec jednych i ukazywania słodkiego oblicza wyzwolicielei wobec drugih nasuwa pytanie: Co by uczynił Iwan Groźny, gdyby zaproponowano mu podpisanie Deklaracji w Helsinkach? Na pewno nie wzdragałby się, a jedyną przeszkodą byłaby chyba nieumiejętność władania piórem tego popularnego monarchy.

Skądinąd gdy wspominam o zmianach kryteriów w wyniku przemian na świecie, to świadomie odnajduję je tylko wśród społeczeństw Zachodu — czyli właśnie wśród tych, którzy stają w obliczu konfrontacji z ludami, będącymi obiektem ich dawnej eksploatacji i ponizenia. Ani Daleki Wschód Świata (z wyjątkiem Japonii) ani jego rejony południowe, zasiedlone przez ludność, nie noszącą na swych barkach kłopotliwego dziedzictwa grecko-łacińskiej cywilizacji, nie przechodzą żadnych moralnych frustracji. Myślę też, że nie dlatego, że to one były ofiarami owych obłudnych anglo-sasko-holenderskich purytanów, głoszących słowo Boże i okładających kijem Czarnych czy innych kolorowych. Nie. Po prostu dlatego, że „choć równi w obliczu Stwórcy”, są tak dalece różni od swych dawnych białych panów, że w głowach im się po prostu nie mieści, że owa przemiana kryteriów ludów Zachodu, każąca im inaczej patrzeć na Czarnego niż dawniej, może wynikać z czegokolwiek innego jak tylko z poczucia słabości, a ich ustępliwość — ze strachu wobec Czarnych i kolorowych ludów Afryki i Azji.

Jeśli w tej chwili występują objawy usztywnienia ze strony Zachodu i powolnego otrząsania się z frustracji, wynikającej z tego że jest się Białym, a co gorsza, pochodzenia anglo-saskiego lub innego, niemniej kolonialnego, to jest to po części owocem już nadmiernej bezczelności przedstawicieli Trzeciego Świata i rosnących z każdym rokiem wygórowanych apetytów, domagających się podziału dóbr świata według prostej zasady statystycznej: ta sama porcja odzieży, żywności i wszelkich dóbr cywilizacyjnych na każdego mieszkańca świata. Żądanie to wysuwają jak najbardziej zżarci i bezkompromisowo ci wątpliwi przyjaciele czarnych ludów, których gospodarka w porównaniu z Zachodem jest chronicznie niewydajna. I (w świetle przedstawionych przeze mnie poprzednio racji o niezdolności pewnych ludów do akumulacji ekonomicznej) nie należy się zbytnio dziwić tym żądaniom do równego podziału dóbr świata dla wszystkich, ponieważ projektory czarnej i poniżanej większości pod rządami Vorstera lub

Iana Smitha wiedzą o tym znacznie lepiej niż autor niniejszej pracy. Wiedzą, że rządy czarnej większości przywrócą tym ludom godność (bo lepiej być bitym przez swojego niż przez obcego), ale że jednocześnie ich sytuacja ekonomiczna znacznie się pogorszy w wyniku postępującej ruiny tych krajów. Tak więc swym czarnym militanckim przyjaciółom w osobach Muzorewy Nkomo i im podobnych gotowi są oferować słodki owoc władzy i pałace, opróżnione przez rasistów, a prosty lud włączyć do ogólnoświatowego systemu *welfare*, którego skromną miniaturą jest żywot dość poważnego odsetka Czarnych i Portorykańców — mieszkańców Nowego Jorku, miasta będącego ciągle u progu bankructwa i ratowanego niechętnie, ale z konieczności, przez rząd federalny. Jeśli jednak taki wszechświatowy system opieki społecznej kiedykolwiek by się zrodził, to powstaje pytanie kto będzie do niego dokładał?

Rozwijający się w XIX-tym i XX-tym wieku kapitalizm, który tak gruntownie przemodelował oblicze świata, nie był zjawiskiem ogólnoświatowym. Z wyjątkiem Japonii był on specjalnością białej rasy, ale też nie całej. W ten sposób powiedzenie, że „natura nie znosi próżni”, można by przenieść na stosunki ekonomiczne. Podczas gdy uprzemysławiające się szybko kraje Europy Zachodniej i Ameryki Północnej potrzebowały surowców, rynków zbytu i taniej siły roboczej, pewne połacie naszego globu trwały w bezruchu, mając pod dostatkiem, a nawet w nadmiarze surowca i siły roboczej, którą czasem można było wykorzystać, a czasem — nie. To co Lenin nazwał „epoką imperializmu” możemy nazwać prościej wypełnianiem ekonomicznej próżni krajów, wówczas i obecnie wciąż jeszcze cywilizacyjnie zacofanych. Użycie tego określenia nie odciedza naszych myśli z wniosków politycznych, relatywizuje natomiast pojęcie „winy” w historii. Nie ma bowiem, a przynajmniej nie musimy operować pojęciem „winy” w sytuacjach, gdy w wyniku nierównomiernych praw rozwoju powstaje zdywersyfikowany świat, w którym jedne ludy cieszą się dobrobytem, a inne — żyją w niedostatku. Zanim ktokolwiek podejmie się znalezienia odpowiedniej recepty, która by niezadawalający w tej materii stan wyrównała, wypadłoby mu gruntownie zbadać przyczyny owych dysproporcji. Nie dlatego bynajmniej, że lekarstwo może okazać się gorsze od choroby z tej racji trzeba zbalansować szkody i korzyści. Przeciwnie, wiadomo prawie na pewno, iż w kontekście Republiki Południowo-Afrykańskiej i Rodezji, jeśli ulegnie się żądaniom radykalnych rzeczników praw „czarnej większości”, owa kuracja przyniesie na pewno nieobliczalne cierpienia i klęski obydwu stronom. Niemniej ową terapię, która wydaje się coraz bardziej nieuchronna, zastosować należy z taką czy inną korekturą.

Rasizm ze wszystkimi barbarzyńskimi skutkami przyniósł ludzkości takie szkody, że w przekonaniu wielu milionów, patrzących, niestety, ze swego ciasnego podwórka, jest nie tylko największym złem na świecie, ale jedynym źródłem wszelkiego upokorzenia i nędzy. „Usuńmy go — powiadają — a świat zmieni się w ogród Allaha”⁹. Nie tylko więc dlatego należy go wyplenić, bo jest on rzeczywiście złem ale i po to, by okazać ludziom, że nie jest on bynajmniej najgorszą chorobą ludzkości i że likwidacja rasistowskich instytucji (bo z serc ludzkich środkami administracyjnymi wyplenić go się nie da) nie zabezpieczy świata od biedy, której przyczyną są różnorakie, a w wielu wypadkach tkwią w organicznych wadach systemów gospodarczych, uwielokrotnionych nieudolnością biurokratów.

Przybywszy angielscy, którzy zasiedlili Rodezję — i ci dawniejsi holenderscy z Republiki Południowo-Afrykańskiej — rozwijali swe kraje ekonomicznie w tempie zbliżonym do krajów Zachodu. Były jednak dwie różnice: Pierwsza — zajęte przez nich terytoria były ich siedzibami. Druga — biali osiedleńcy pozostali w nich po rozpadzie imperiów kolonialnych. To ostatnie było dla nich okolicznością wysoce niepomyślną. Dla Francuzów i Anglików, wyrzekających się kolonii, postulat „równości rasowej” był całkowicie do przyjęcia i nie napotykał na żadne przeszkody jego zastosowaniu, bez względu na to co ustępujący gubernatorzy i wysocy urzędnicy kolonialnych imperiów myśleli sobie prywatnie o „czarnuchach”. Przeciwnie — owo zrównanie dawnych podwładnych było nawet dość wygodne dla zachowania wpływów ekonomicznych w dawnych koloniach. Wśród wielu biznesmenów francuskich i angielskich — zwłaszcza tych, którzy żyją sobie dostatnio w Kenii, wytworzyło się coś w rodzaju „kadzimurzyństwa”

9. Jak ogromna część ludzkości znalazła się w potrzasku głupoty dowodzi słynna uchwała ONZ, określająca syjonizm mianem rasizmu. Nawet średnio inteligentny uczeń szkoły średniej w Polsce, któremu przedstawi się definicje „rasizmu”, którego cechą jest wiara w „gorsze” i „lepsze” rasy ludzkie, pojmie, że Izrael identyfikujący „narodowość” z „religią” i udzielający przywilejów swym mieszkańcom, wyznającym judaizm (bez względu na ich pochodzenie) nie jest państwem rasistowskim a teokratycznym. W prawdziwie rasistowskim państwie Hitlera Żyd mógł zmieniać wyznanie 20 razy pozostając w oczach nazistów zawsze Żydem, tymczasem Żyd, który porzuci wiara przodków, nie korzysta w Izraelu z tych samych praw jak wyznający judaizm. Państwo teokratyczne jest sprzeczne z zasadami humanizmu, choć oczywiście nie tak okrutne jak państwo rasistowskie. To była jedna przyczyna, dla której ONZ przyjęła ową kompromitującą głupią uchwałę (w obronie której wystąpił, zapominając o rzetelności semantycznej, wybitny językoznawca amerykański, prof. Noah Chomski). Drugą przyczyną tkwiła w tym, że nie można było napiętnować „teokratycznego” charakteru Izraela, ponieważ system prawny kilku państw arabskich, w tej liczbie „rewolucyjnej” Libii, oparty jest również na zasadach teokratycznych.

(odpowiednik polskiego „kadzichłopotwa” czyli czegoś z gatunku: „Czarny potęgą jest i basta”)¹⁰. Taka postawa sprzyjała zbrataniu czarnej elity owych post-kolonialnych krajów z białymi doradcami i inwestorami z Londynu i Paryża stwarzając pozór harmonijnej integracji i dając fałszywą legitymację niepodległości szczególnie tym krajom, które pozostają we francuskiej sferze interesów. Tymczasem wychwalani trzy czwarte wieku temu Burowie, których już nikt tak nie nazywa, nie mogli sobie pozwolić na żadne „zbratanie”, jeśli chcieli utrzymać swój dobrobyt.

Czy biali mieszkańcy Południowej Afryki mogli stworzyć owe prosperujące rolniczo i przemysłowo kraje bez podziału rasowego i bez eksploatacji kolorowych? Prawdopodobnie mogli, ponieważ podobne społeczeństwo stworzyli Australijczycy po wytepieniu tubylców. Ale oczywiście ktoś przy zdrowych zmysłach, żyjący 150 lub 200 lat temu, tępiłby tanią siłę roboczą, którą mógł łatwo zużytkować? Czyż w ogóle mógł sięgać myślą w odległą przyszłość i przewidzieć w jak trudnej sytuacji znajdują się jego prawnuki? Tak więc osadnicy holenderscy poszli po najłatwiejszej drodze. Gdy imperia kolonialne zaczęły się rozpaść a konfiguracja stosunków między Czarnymi a Białymi gruntownie zmieniać, tkwili dalej w swoim zajadłym konserwatyzmie, chociaż już wówczas — w przeciwieństwie do swych ojców i dziadków — byli bogatsi o liczne doświadczenia historii, a zwłaszcza świadomości potężniejszych z każdym rokiem Sowietów i słabości Zachodu. Wówczas już powinni byli zrzucić swoje „końskie okulary” i zdać sobie jasno sprawę, że kapitulanko nastrojony Zachód, który ze strachu przed Kremlen nie zamierza bronić czystych jak łaźnia spraw, tym mniej będzie bronił sprawy narodów wprawdzie etnicznie i kulturalnie im bliskich, ale wyznających i praktykujących rasizm. Nie ma bowiem kwestii, że Biali rządzący Republiką Południowo-Afrykańską — choć ich stosunek do Czarnych jest nieraz znacznie bardziej humanitarny od przywódców niepodległej Afryki wobec własnych ludów — są rasistami, a ci drudzy nie są. Nie są rasistowskimi czarne plemiona Nigerii, które solidarnie wyrzuciły w czasie secesji Biafry całą inteligencję najzdolniejszego afrykańskiego plemienia Ibo, ponieważ rasistą nie będzie czarny człowiek, zarządzający drugiego

10. Znacznie gorzej wychodziła owa „fraternizacja” pomiędzy rosyjskimi „doradcami” w arabskich i czarnych krajach Afryki. Mimo, że Rosjanie nigdy dotąd nie kolonizowali Afryki, a ostatnio używają do tych celów różnokolorowych Kubańczyków, najwidoczniej „duma Wielkorusów” czy też może — „Wielko-Sowietów” przełamuje wszelkie surowe nakazy partyjne, manifestując się nieopanowaną arogancją i pogardą dla Afrykanów. Stąd wynikają dla Rosjan stale kłopoty, zwłaszcza, że Afrykanie nie czytują wielojęzycznego pisma *Nowoje Wremia* i nie wiedzą do jakiego stopnia „kocha” ich góra partyjna w Moskwie.

Czarnego, natomiast rasistą będzie Biały, niekoniecznie mordujący, ale krzywdzący przedstawiciela odmiennej rasy. Trudno. Takie są implikacje rasizmu, niepozbawione zresztą logiki. W myśl tego nie jest ważne kto kogo zarzyna, ale z „jakich pozycji” to zarzynanie się odbywa. W konkluzji wypada nam odpowiedzieć na ostatnie postawione w mojej pracy pytanie: jak przywrócić rządy większości w obydwu afrykańskich republikach i wypełnić hańbę XX-go stulecia — rasizm (odkładając walkę z innymi hańbami na później) z możliwie minimalną szkodą dla Białych i Czarnych. Przy tej okazji należy tu nadmienić, że sprawa jest nagląca nie tylko w wyniku sytuacji międzynarodowej, że nad jej „należyty” przebiegiem czuwa Wielki Brat na Kremlu, pragnący wyciągnąć z tego maksymalne zyski, nie tyle moralne jako wyzwoliciel ludów, ale po prostu strategiczne: przecięcie Afryki poniżej równika na osi Południowy Mozambik - Afryka Południowo-Wschodnia byłoby ciosem nie do odrobienia dla strategii Zachodu (pod warunkiem, że coś takiego jak „strategia zachodnia” w ogóle jeszcze istnieje).

Gdyby bowiem Związek Sowiecki w ogóle nie istniał, warunki społeczno-rasowe musiałyby w Afryce Południowej i tak ulec zmianie. A musiałyby dlatego, ponieważ właśnie w obrębie tych dwóch „niewyzwolonych” krajów Afryki — dzięki postępowi ekonomiczno-cywilizacyjnemu — ich czarna ludność znalazła się w kręgu znacznie silniejszego oddziaływania współczesnego zaawansowanego państwa niż żyjące w buszu ludy Afryki niepodległej. Rasiści typu Vorstera i Iana Smitha, chcąc nie chcąc, uczynili ją politycznie bardziej dojrzałą i podatniejszą na hasła prawnego i ekonomicznego zrównania. W ten sposób rządzące warstwy Białych, tworząc nowoczesne państwa przemysłowo-rolne, podcięły gałąź, na której utrzymywała się ich supremacja wobec Czarnych. I nie mogło stać się inaczej, bo pomimo ich prób izolowania, pomimo tworzenia Bantustanów, ich mieszkańcy znaleźli się w kręgu działania współczesnego rynku towarowego, podobnie jak ich „amerykańscy kuzyni”. Ci ostatni zdobyli ową wymarzoną „równość” — a nawet nieco więcej od równości.

Rządy większości w Europie i Ameryce nie mają patentu doskonałości. Są one następstwem wzmożonej świadomości politycznej mieszkańców krajów rozwiniętych, pragnących poprzez udział w wyborach parlamentarnych mieć wpływ na przyszłość swych krajów. Przy bardzo nierównym wpływie rozmaitych warstw ludności na rządy, przemożnej roli związków zrzeszających robotników pracujących w kluczowych gałęziach produkcji i usług,

znacznie słabszym — rolników, których rozproszenie uniemożliwia praktycznie strajk rolny i prawie żadnych — emerytów, których procent w krajach rozwiniętych rośnie, ale którzy nikomu niczym nie mogą zagrozić — wybory do parlamentów zachodnich zrównują wszystkich. Ponieważ głos polityka czy dyrektora banku liczy się tak samo jak głos emeryta, powstaje przekonanie, że wybory powszechne są gwarantem jednakowych praw, wpływających na przyszłość kraju¹¹. Wybory parlamentarne — bardzo ostatnio ośmieszane i demaskowane, nie bez pewnych racji, jako zwykłe bałamucenie opinii publicznej przez możnych i wpływowych — mają mimo wszystko poważne znaczenie i w jakiejś mierze determinują przyszłość narodu (a nawet w wypadku Ameryki — świata), choćby — jak wskazują statystyki — z przywileju wyborczego korzystała tylko połowa uprawnionych. Jednak wbrew rosnącej opinii — skądinąd bezspornej — że masowe środki przekazu, a w szczególności telewizja prawie w każdym domu — wpływają na poglądy potencjalnego wyborcy, który głosuje często tak jak mu zaleca telewizyjny komentator, nie wydaje się, żeby naprawdę tak było. Przeciwnie — zdarza się bardzo często, że ignorancja albo po prostu głupota komentatora wywołuje przeciwny od zamierzonego skutek. Propagandy, włączanej do głów słuchaczy, nie da się przyrównać żadną miarą do reklamy handlowej, co często sugerują niektórzy socjologzy. Przykładem służyć mogą kraje Europy Wschodniej. Czynnikiem utrudniającym rozeznanie sytuacji na świecie, nie jest to, o czym oficjalna propaganda tych krajów stara się ludzi przekonać, ale to, czego nie mówi — czyli embargo na informacje wewnątrz-krajową i zagraniczną. W krajach Zachodu, mimo niewątpliwych prób kształtowania opinii publicznej przez *mass media*, nie daje to bynajmniej spodziewanych rezultatów. Natomiast fakt, że w krajach tych niepodobna ukrywać żadnych wydarzeń na świecie, umożliwia społeczeństwom wyrabianie sobie własnego sądu¹². Gdyby było inaczej — gdyby wybory powszechne były rzeczywiście jedynie instrumentem bałamucenia opinii, nie istniałaby potrzeba kulturowania owego ceremoniału w krajach totalitarnych i czynienia z wyborów farsy. Żeby jednak wybory — czyli głos większości — miały jakiś sens, wymagany jest minimalny

11. Dlatego zapewne procent głoszących wśród emerytów w ostatnich wyborach prezydenckich w USA był znacznie wyższy od innych grup ludności. Mogło to wynikać z tego, że emerytom brak jest rozrywek i zaangażowania w inne sprawy, co jest następstwem ich emerytalnego statutu, ale i również z pragnienia wyrównania własnej degradacji politycznej. Jest to szczególnie widoczne w społeczeństwach gospodarczo zaawansowanych, gdzie starość nie cieszy się szacunkiem, a praktykuje się kult młodości.

12. Por. „The Media Shangri-la”, L. Tyrmand, „The American Scholar” Winter 1975/76.

stopień wiedzy o świecie, a przynajmniej o własnym kraju. Z tego punktu widzenia nie widzę żadnej racji, dla której głos analfabety miałby liczyć się tak samo jak głos człowieka, niekoniecznie świątłego (zwłaszcza, że pojęcie „człowieka świątłego” jest wysoce kontrowersyjne), ale przynajmniej umięjącego czytać¹³. Jest rzeczą wiadomą, że w wieku XIX-tym, gdy analfabeci byli w 90 % ludźmi biednymi, a cenzus wyborczy w wielu krajach uzależniony był od sumy wniesionych podatków, wiele ówczesnych systemów parlamentarnych służyło zachowaniu władzy bogatych. Czasy jednak obecnie się zmieniły. W krajach rozwiniętych analfabetyzm został prawie całkowicie wyeliminowany. Myślę, że na skutek tego wybory w prowincji Quebec lub w USA znaczyłyby coś innego od wyborów w Czadzie, Ghanie, Zaire lub Górnej Volcie. Mówię *znaczyłyby*, bo na ogół biorąc wybory w niepodległych krajach Czarnej Afryki wcale się nie odbywają. Są oczywiście parlamenty oparte na wzorach francuskich lub angielskich. Nie są one jednak w żadnym wypadku ani reprezentacją plemienną ani tym mniej narodową. Ich członkowie pochodzą z mianowania. Niepodległe kraje Czarnej Afryki ochoczo przyjęły akcesoria systemów politycznych dawnych kolonii, nie będąc w stanie wypełnić ich żadną realną treścią. A nie są w stanie dlatego, bo gdyby nawet przywódcy afrykańscy chcieli przeprowadzić rzetelne powszechne wybory, byłyby one — poza nielicznymi miastami afrykańskimi — technicznym niepodobieństwem. Jeśliby nawet udało się komukolwiek dotrzeć do zagubionych w dżunglach lub w buszu murzyńskich wiosek z urną wyborczą, tamtejsi ludzie nie bardzo by rozumieli o co tym dziwnym wysłannikom chodzi i najprawdopodobniej uciekliby ze swych zagród, podejrzewając w nich poborców podatkowych, bo o podatkach słyszeli, ale o wyborach — nie. Tak jak sprawy wyglądają obecnie w całej niepodległej Czarnej Afryce (z wyjątkiem tu i ówdzie występujących dyktatur wojskowych) jest sporo owych „parlamentów” — fikcji. W przeciwieństwie jednak do komunistycznych „parlamentów” nie chodzi w tym wypadku o mydlenie oczu, bo w istocie nie ma potrzeby komukolwiek ich mydlić gdyż owych parlamentów nikt, prócz nielicznej siedzącej na samym szczycie elity, nie potrzebuje. Władza w Czarnej Afryce oparta była zawsze na tradycyjnej hierarchii naczelników plemiennych, mających nad sobą obejmującego rozległe terytorium

13. Oczywiście nie twierdzę, że umiejętność czytania czy też znajomość czterech działań jest warunkiem zdrowego rozsądku, bo sam we wczesnej młodości spotykałem rozumnych analfabetów. Ale co innego dawne lata i czasy sprzed Drugiej Wojny Światowej, a co innego obecne. Człowiek, który może obecnie bez trudu zdobyć znajomość czytania i pisania, i nie dba o to, wystawia sobie sam dyskwalifikujące go świadectwo.

zwierzchnika (który np. jak w wypadku prowincji Ghany — Aszanti przyjmował tytuł, który w miejscowym narzeczu oznaczał „Króla” — stąd „Królestwo Aszanti”). Nikt żadnych wyborów nie pragnął i nikomu nie były one potrzebne. Żeby owe tradycje odmienić, należało zacząć z drugiego końca. Nie od tworzenia sztucznej politycznej superstruktury na wzór i podobieństwo Anglii, Francji lub Belgii, ale od stopniowych przemian gospodarczych, które by z czasem ów tradycyjno-plemienny system władzy uczyniły archaicznym i nie do utrzymania. Podobna sytuacja jak w innych państwach Czarnej Afryki zaistnieje zapewne i w Angoli i w Mozambiku. Wprawdzie obydwa te kraje, zamiast wzorować się na instytucjach politycznych Zachodu, przyjmują inne — równie odległe od tradycji afrykańskich, za to zbliżone do wzorów sowiecko-chińskich, ale mimo to nie będą się zbytnio różnić od pozostałych krajów Czarnego Łądu. Poza odmiennym szyldem, przy użyciu innych akcesoriów, panować w nich będzie ta sama bieda i zacofanie¹⁴. Ale tymi „drobiazgami” nikt się nie przejmie.

Każdy czarny polityk, bez względu na to czy występuje w ONZ czy Organizacji Jedności Afryki — nazwie te kraje wolnymi. Zasada „rządów większości” stosuje się w zawężonym kontekście: Czarni *versus* Biali, co oczywiście nie chroni ani tych pierwszych ani tych drugich przed despotyzmem czarnych przywódców i wybuchającymi sporadycznie masowymi międzyplemiennymi rzężami. W sprawy te bardzo rzadko wtrącają się inni czarni

14. W artykule „Israel versus Africa”, opublikowanym w *New York Times* z dn. 12. 11. 1976 roku (którego autorem jest działacz syjonistyczny, Mosche Decter, ale którego informacje potwierdził później w *New York Post* amerykański czarny publicysta Roy Wilkins) pomiędzy Mozambikiem, Botswaną, Lesotho, Ghaną, Czadem, Nigerią, Senegalem, Zaire i Zambią a Republiką Południowo-Afrykańską istnieją dość ożywione stosunki handlowe, wbrew uchwałom ONZ, nakazującym bojkot ekonomiczny tego kraju. Co więcej, i co może szczególnie szokować czytelnika, zarówno Botswana, Lesotho jak i pozostający w stanie wojny z Rodezją, Mozambik „eksportują” do Republiki Południowo-Afrykańskiej siłę roboczą. Odbywa się to w ten sposób, że kraje te — w szczególności Mozambik — rekrutują robotników, których wysyłają na zasadzie „umowy” z rządem Vorstera do kopalni złota i diamentów w Transvaal'u. Około 180 tysięcy obywateli „wyzwolonego” Mozambiku otrzymało w 1976 roku 40 % wypłaty swych zarobków w „twardej” walucie południowo-afrykańskiej. Reszta tj. 60 % wypłacana jest im przez rząd Ludowej Republiki Mozambiku tylko w wypadku ich powrotu do kraju macierzystego i oczywiście nie w południowo-afrykańskich randach, ale w miejscowej niewymiennej walucie. Praktyki te, mające wszelkie cechy eksportowania pół-niewolniczej siły roboczej, są sprzeczne z postanowieniami ONZ, które zakazują wysyłania własnych obywateli przez jakiegokolwiek państwo poza jego granice, o ile władze macierzystego kraju „dzieli się zarobkami” swych obywateli. Jak wiadomo, czyni to również PRL za pośrednictwem „PolSERVICE'u”, zmuszając znaczną liczbę specjalistów do oddawania 20 % zarobionych poborów.

liderzy, ponieważ każdy z nich, siedząc na stołku bardzo chwiejnej afrykańskiej władzy, przestrzega jak świętości nieingerowania w sprawy bliższych czy dalszych sąsiadów (wyjątkiem jest Idi Amin, który nawet jak na Czarną Afrykę jest postacią wysoce nietypową).

Rozwiązanie problemu władzy czarnej większości w Rodezji i Republice Południowo-Afrykańskiej nie daje możliwości utrzymania obydwu tych krajów w ich obecnych granicach z zachowaniem „zintegrowanej” ludności, żyjącej w jednej zgodnej wspólnoty. To, co stworzono w Kenii, jest nie do powtórzenia ani w Afryce Południowej ani w Rodezji. Tzw. harmonijne współżycie Białych i Czarnych w Kenii, które za przykład podają niektórzy publicyści i politolodzy, oznacza tylko wyodrębnienie czarnej jednoplemiennej elity i pozostawienie pozostałych 90 % ludności tego kraju w warunkach w jakich żyła od wieków. Jeśli przyjaciółom Czarnej Afryki zależy na jej rzeczywistym wyzwoleniu spod władzy Białych, a nie na etykietce niepodległości, to powinni myśleć nie o elicie, składającej się z kilkuset czarnych polityków, którzy w przyszłej „niepodległej” Rodezji czy Republice Południowo-Afrykańskiej, dobiorą sobie obrotnych biurokratów. Ci znowu znajdą wspólny język z białymi kolonizatorami i w rezultacie sytuacja ulegnie zmianie tylko na powierzchni, co wystarczy, żeby zdjęto ją z porządku obrad ONZ. W istocie nie będzie to żadnym startem dla obydwu afrykańskich republik, których czarna ludność jest lepiej przygotowana do samodzielnego bytu niż inne czarne kraje, które uzyskały polityczną niepodległość w późnych latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. I dlatego trzeba rozsądnie oceniać istniejące realia nie zapominając, że ksenofobia jest jedną z najstarszych i najtrwalszych cech gatunku ludzkiego i że żadne nakazy administracyjne nie zmuszą nikogo do wzajemnego współżycia w zgodzie i harmonii, jeśli sam tego nie zapragnie. Przekonuje się o tym coraz więcej ludzi w Ameryce, gdzie od lat nie ma już takiego podziału jak w Republice Południowo-Afrykańskiej. Ale to przymusowe dowiezienie uczniów do szkół dla uzyskania „równowagi rasowej” pogłębia jedynie rasowe konflikty.

To jednak, co utrudnia we wszelkich wspólnotach miejskich czy wiejskich, współżycie różnego rodzaju grup etnicznych lub rasowych nie jest na pewno kwestią koloru skóry, ale sprawą różnic cywilizacyjno-obyczajowych będących rezultatem odmiennej przeszłości tych ludów. W południowej części Nowego Jorku istnieje dzielnica chińska, która jest jakby żywcem przeniesionym miniaturowym chińskim miastem. Choć dzielnica ta — jeśli cho-

dzi o wynajem domów — nie jest zamknięta żadnymi barierami administracyjnymi, liczba Białych, którzy w niej mieszkają, jest tak nieznaczna, że można ją całkowicie pominąć. Dzielnica chińska zachowuje więc ową „etniczną czystość”¹⁵. Wydzielenie dzielnic chińskiej opiera się na cichej umowie, której nikt nie próbuje naruszyć. Ale zagadnienie mniejszości chińskiej nie jest w ogóle w Ameryce żadnym zagadnieniem. Chińczycy ze swą starą, choć odmienną od innych narodów, kulturą, nie są uznani za „gorszych” (przynajmniej obecnie), tylko za innych. Nikt nie próbuje ich „integrować” z Białymi, ani oni sami nie mają do tego najmniejszej ochoty. Sytuacja jednak nabiera cech znacznie mniej sielankowych, jeśli w zdywersyfikowanym rasowo i narodowościowo społeczeństwie znajdują się grupy, z których jedne nie tylko różnią się od innych dziedzictwem obyczajowo-cywilizacyjnym, ale gdy na skutek rozmaitych okoliczności dziejowych (między innymi ekonomiczno-społecznej dyskryminacji) pozostały w tyle za lepiej uplasowanymi społecznie środowiskami. Biali Portorykanie, których ponad milion zamieszkuje Nowy Jork, nie mogą współżyć ani mieszkać w tych samych dzielnicach z potomkami przybyłych tu przed wiekiem Polaków. Prawdopodobnie nie mogliby również współżyć, gdyby wiek temu te dwie grupy przybyły równocześnie. Nie wchodząc w złożoną genealogię tej sprawy, Portorykanie i pewna część Czarnych — od wieków zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych — doprowadzają nowoczesne domy, które im się oferuje (w ramach wyrównania różnic, których przyczyną była wiekowa dyskryminacja) do stanu kompletnej dewastacji. Dotyczy to szczególnie owych niedawno przyjeźdźnych przybyszów z Porto Rico, którzy nie zdążyli być kiedykolwiek dyskryminowani, bo z miejsca mogli korzystać z wszelkich dobrodziejstw opieki społecznej — *welfare*. Sedno sprawy więc tkwi w zacofaniu tych ludów — a raczej mówiąc ostrożniej — w nieprzystosowaniu ich do wymogów ucywilizowanego społeczeństwa¹⁶.

15. *Ethnic purity* — zwrot, którego użył w swej kampanii wyborczej Carter, a oddający rzeczywisty stan rzeczy ale z którego musiał się czym prędzej wycofać, ponieważ używanie go uważane jest w Ameryce niemal za bluźnierstwo.

16. Tezę tę może potwierdzić pewien osobliwy fakt, mający miejsce około ośmiu lat temu na Zanzibarze — małej wyspie, skolonizowanej przed wiekami przez Arabów i Persów, ale w której przytłaczającą większość stanowili Czarni. Po obaleniu Sułtanatu w 1964 roku nastąpiło tam powstanie ludności murzyńskiej, w rezultacie którego około 15 tysięcy Arabów zostało wymordowanych. Zanzibar ogłosił się Republiką Ludową, ale wkrótce połączył się unią z Tanganiką, zachowując wszelako autonomiczne rządy sprawowane przez tzw. Radę Rewolucyjną. Zanzibar rozpoczął swój niezależny byt od zacieśnienia stosunków z Chinami i Sowietami, a w szczególności z NRD, która w późnych latach sześćdziesiątych zbudowała w stolicy

Stany Zjednoczone ze swym problemem Czarnej mniejszości są w sytuacji przymusowej. Mimo ciężkich przewinień w przeszłości, wydaje się, że najtrudniejszy okres mają poza sobą. Średnia czarna klasa, zwolna kształtująca się w Ameryce, choć ciągle niezbyt liczna, ale będąca trzonem każdego społeczeństwa kapitalistycznego, potrafi już obecnie zupełnie dobrze współżyć ze swymi amerykańskimi białymi współrodakami.

Być może, że w pewnym stopniu przyczyniła się do tego wieloetniczność Stanów, przy której wielość tradycji narodowościowych spowodowała zmniejszenie tej przepaści jaka dzieliła niegdyś czarnego obywatela Stanów od białego. Gdyby postulat narodowej identyfikacji wszystkich grup etnicznych — który wysunął kilka lat temu w swej książce Michael Novak (*The rise of unmeltable Ethnics*) — został w pełni zrealizowany, byłby zapewne ostatnim gwoździem do trumny tego wielkiego niegdyś narodu. Nie ma bowiem możliwości utrzymania demokratycznego państwa, które by łączyło mozaikę narodowościową jedynie więzią administracyjną. Sądzę, że właśnie owe rosnące dążenia „identyfikacyjne” wielu grup, w tej liczbie jednej z najsilniejszych — żydowskiej, wzmożyły wśród czarnej ludności Stanów ich poczucie „amerykańskości”, jako że są oni w większym stopniu „solą tej ziemi” niż Irlandczycy, Skandynawowie, Niemcy czy Słowianie. Tendencje dezintegracyjne działają w ogóle znacznie skuteczniej gdy istnieją dwie czy trzy procentowo liczne mniejszości, niż przy kilkudziesięciu grupach etnicznych, z których wywodzą się Amerykanie. Skądinąd, jak to obecnie obserwujemy, tendencje separatystyczne na świecie nie maleją, ale rosną. Poza większością mieszkańców Quebecu, których — poza językiem i katolicyzmem — nie dzieli od reszty ludności Kanady żadne głębsze różnice kulturowo-cywilizacyjne, dochodzą takie absurdy jak obecne tendencje separatystyczne Walijszczyków lub Szkotów (te ostatnie, mogą być chyba wytłumaczone chęcią zagarnięcia ropy naftowej, która wkrótce trysnąć ma z dna Morza Północnego). Działalność terrorystów z IRA, którzy, w imię usunięcia armii angielskiej z północnej Irlandii, gotowi są wyplenić połowę

Zanzibaru nowoczesne bloki mieszkalne, typu budowanych w Warszawie lub we Wschodnim Berlinie. Intencją Niemców było przeniesienie ludności murzyńskiej z ubogich chatek do nowoczesnych, wyposażonych w elektryczność i inne zdobycze cywilizacji, domów. Na nieszczęście, szlachetna inicjatywa okazała się chybioną. Przede wszystkim ludność krajów równikowej Afryki nie lubi mieszkać na piętze, ale na parterze, żeby zgodnie ze starodawnym zwyczajem po części biwakować na wolnym powietrzu. Dla mieszkańców przywykłych do używania lampek olejowych (nie naftowych), elektryczność była zbyt dużą innowacją, nie mówiąc już o jej kosztach. Z łązieńki i kuchen nie umiano zrobić należytego użytku, dewastując je beznaście.

jej ludności, ma za sobą przynajmniej jakieś tradycje długotrwałych cierpień Irlandczyków, prześladowanych przez wieki przez Wielką Brytanię, ale jeśli jedność Libanu okazała się fikcją w świetle 18-stomiesięcznej wojny domowej, spowodowanej jedynie różnicami religijnymi, to jak w tych warunkach wierzyć w możliwość zachowania Rodezji i Republiki Południowo-Afrykańskiej w ich starych granicach, zamieszkałych przez dwie żyjące w zgodzie rasy? Jest to nieziszczalny mit. Im szybciej się go wyzbedziemy, tym lepiej będzie dla mieszkańców owego regionu.

Rodezja ze swą białą ludnością, liczącą mniej niż pół miliona, jest nie do utrzymania jako państwo dwurasowe. Tę możliwość bierze się obecnie w rachubę. Zamiast dyskutować sprawę „rządów większości” praktyczniej byłoby przygotować emigrację Białych do Australii czy Kanady, bądź do Republiki Południowo-Afrykańskiej. Dla tej ostatniej jedynym wyjściem jest podział terytorialny na dwa niezależne państwa, połączony z przesiedleniem ludności w taki sposób, aby zachować tę część Republiki, w której biała ludność miałaby absolutną większość (przy zagwarantowaniu równych praw Czarnym, którzy zdecydują się optować na rzecz „białego” państwa). Sądzę, że tego rodzaju wyjście, jakkolwiek niezmiernie trudne będzie lepsze od, wyniszczającej Białych i Czarnych, wojny. Wojny — w której jedynym zwycięzcą mogą być tylko Sowiety.

Ewentualny podział Afryki Południowej będzie oczywiście projektem torpedowanym przez ONZ, obóz komunistyczny i wszystkich tych, którzy dążą do zadania kolejnego ciosu cywilizacji zachodniej. Ze strony białych Południowych Afrykanów, nie będących w stanie zrozumieć że ich 300-letnie wysiłki, trudy i walka nie dają im prawa do *własności* tego kraju, należy również oczekiwać sprzeciwu. Niestety, istnieją tylko dwie alternatywy: biali Południowi Afrykanie mogą albo pozostać w swym kraju na bardzo uszczuplonym terytorium, lub zginąć osamotnieni w nierównej walce, w której tylko ich czarni przeciwnicy będą mieli sojuszników.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, listopad 1976

Korespondencja z Rzymu

Powstanie, dekadencja i rozpad „Znaku”

22 października 1956 roku w *Życiu Warszawy* ukazało się oświadczenie podpisane przez dwudziestu kilku przedstawicieli społeczeństwa katolickiego, pozostających w okresie stalinowskim na „emigracji wewnętrznej”. Wyrażało ono poparcie dla programu odnowy społecznej i demokratyzacji życia publicznego, zaprezentowanego przez Gomułkę oraz demaskowało uzurpatora, Bolesława Piaseckiego, i jego „ruch społecznie-postępowy” czyli PAX, monopolizujący reprezentowanie katolickiej opinii publicznej. Sygnatariuszami tej deklaracji, podjętej z inicjatywy środowiska warszawskiego (m.in. J. Zawieyski, Z. Skórzyński, J. Eska, D. Morawski), byli przedstawiciele tzw. grupy krakowskiej, związanej z *Tygodnikiem Powszechnym* (m.in. J. Turowicz, St. Stomma, A. Gołubiew, J. Woźniakowski), środowiska Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (m.in. prof. Z. Makarczyk, prof. Cz. Zgorzelski, prof. I. Sławińska) oraz tzw. frondy, czyli secesji paxowskiej z roku 1955 (T. Mazowiecki, J. Zabłocki). Wystąpienie to dało początek ruchowi „Znak”, który wyłonił w pierwszych wyborach Koło Posłów o tej samej nazwie (11 posłów — w następnych kadencjach, od 1961 roku, liczbę mandatów partia ograniczyła do 5-ciu). Koło „Znak” uznawane było za reprezentację pięciu Klubów Inteligencji Katolickiej, Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz zespołów wydających *Tygodnik Powszechny* i miesięczniki *Znak*, *Więź* oraz od 1969 roku *Chrześcijaнин w świecie* (organ Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych).

Ruch „Znak” nie był jednolity ani pod względem personalnym ani w stosunku do polityki i do Kościoła. Obok zwolenników szkoły Dmowskiego (w późniejszych latach ukuto termin „neo-dmowszczyzny”) znaleźli się b. działacze „Odrodzenia”, przedwojennego stowarzyszenia intelektualistów i działaczy katolickich, obok secesjonistów z Pax-u (którzy opuścili tę organizację po dekreście Kongregacji Sant-Uffizio), b. członkowie Stronnictwa Pracy i sympatycy jego programowych założeń chrześcijańsko-społecznych. Już samo zróżnicowanie w składzie personalnym wykluczało możliwość ustalenia jednolitej platformy ideowo-politycznej. Każdy z nurtów reprezentował odrębną orientację, nie zawsze dostosowaną do panujących realiów. Spoidło łączące wszystkie nurty miało charakter negatywny: udział we „froncie antyfaszystowskim”, obok przedstawicieli demokratycznej lewicy, froncie skierowanym przeciw czynnikom stalinowskim w aparacie partyjnym i reprezentowanym również przez PAX, narzędziu Moskwy (czytaj KGB). Najlepiej przystosowaną do rzeczywistości okazała się

w łonie „Znaku” tzw. orientacja neo-pozytywistyczna i ona wzięła górę. Orientacja i pewien sposób uprawiania polityki, który przyjęło się nazywać „neo-pozytywizmem” łączą się z nazwiskiem Stanisława Stommy. W świetle jego publikacji (np. „pozytywizm od strony moralnej”) ten polityczny kierunek należy rozumieć jako „nakazy współczesnej polskiej racji stanu, zwłaszcza głoszące potrzebę sojuszu z ZSSR, uzasadniane interesem narodowym, wynikającym z sytuacji geopolitycznej, niezależnie od założeń ideologicznych, a nawet wbrew przesłankom ideologicznym”. Neo-pozytywizm w wersji Stommy „jest rozumiany jako pewna ogólna metoda polityczna... zasadą jej jest umiar, ostrożność, skłonność do kompromisu, a odrzucenie polityki ryzyka i mierzenia sił na zamiary”. Stomma, w imieniu „grupy krakowskiej” podkreślał, że „Znak” jest ugrupowaniem apolitycznym, negocjując zasadę że sam fakt przyjęcia poselskich mandatów narzuca obowiązek zajmowania się polityką i obroną interesów katolików wobec rządu i większości parlamentarnej. Na pytanie dlaczego więc przyjął mandat poselski nie dawał przekonywującej odpowiedzi. Twierdził że zachodzi konieczność „osłony” parlamentarnej dla Klubów Inteligencji Katolickiej. Orientacja „neo-pozytywistyczna” polegała na minimalizmie programowym, a w praktyce na oportunistycznym. Przejawem „kompromisów” Stommy z władzami była jego kolejna zgoda na wyeliminowanie posłów Makarczuka, Kisielewskiego, Zawieyskiego i Mazowieckiego oraz na narzucenie kandydatów niewysuniętych przez środowiska stanowiące zaplecze Koła „Znak”. Członkowie klubów nic nie mogli poradzić na ten stan rzeczy. Interlokutorem politycznym, uprzywilejowanym przez partię, był Stomma, a Zawieyski, uczciwy, ale politycznie infantylny członek Rady Państwa, „stwarzał dobrą atmosferę do rozmów”. Ciągłe „kompromisy” doprowadziły w końcu do kompromitacji. Liczono bardziej na koncesje ze strony partii niż na możliwość organizowania presji społecznej. Zachodzi pewna analogia pomiędzy funkcją spełnianą przez orientację „neo-pozytywistyczną” a nurtem marksistowsko-rewizjonistycznym. W obydwu przypadkach funkcja ta, polegająca na amortyzowaniu napięć pomiędzy władzą a społeczeństwem, wyczerpała się. Z tą różnicą że „rewizjoniści” po porażce w roku 1968 wyciągnęli wnioski ze swych złudzeń, a „kompromisy” Stommy trwały nadal aż do lutego 1976 roku.

Druga zasadnicza różnica, jaka zarysowała się w łonie „Znaku”, doprowadzając do stopniowej degeneracji, wyraziła się w stosunku do Kościoła. „Grupa krakowska” i zespół „Więzi” uważały (są dane, że częściowo uważają nadal), że Kościół polski jest zbyt konserwatywny i w związku z tym rola świeckich winna polegać na presji w kierunku postępowym. Ciągły do zachodnich „nowinek”, forsowanie importu i jednostronnych interpretacji tzw. nauk soborowych i krytyka „polskiego modelu katolicyzmu” doprowadziły do ostrego konfliktu z Episkopatem, a zwłaszcza z Prymasem Polski, któremu zarzucano „konserwatywnizm społeczny”. W roku 1963 Stomma „zgubił” w Rzymie (pod-

czas drugiej sesji Soboru Powszechnego) poufny memoriał krytykujący stanowisko Prymasa Polski. Memoriał, który trafił do Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, postulował nawiązanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Watykanem a rządem PRL. Stwierdzał m.in. że ZSSR „zmierza do pacyfikacji stosunków z Zachodem”. Osobliwy ten dokument (Stomma przyznał później, że był to wynik jego rozmów z Kliszką, uważanym przez naiwnych za „złego ducha” Gomułki), potraktowany przez Prymasa Polski jako próba zdyskredytowania jego postawy, spotkał się z uznaniem partii, co *nota-bene* wynika z cytowania go w książce Jana Wnuka (pseud. J. Krasickiego) pt. „Vaticanum II”. Zdaniem Stommy i „grupy krakowskiej” Kościół w kraju zablokował „odnowę polskiego katolicyzmu w duchu soborowym”. Prymas Polski odrzucił ten zarzut jako niezgodny z prawdą — wprowadzenie bowiem nauk soborowych nie jest postulatem bezwzględnie obowiązującym, lecz uzależnionym (zasada gradualizmu) od warunków lokalnych i decyzji poszczególnych konferencji episkopalnych. Podniesienie zaś rangi laikatu do współrządzenia Kościołem — postulowane przez „grupę krakowską” — również napotkało na opozycję ze strony Prymasa. W atmosferze otwartej walki i braku dobrej woli ze strony partii (w publicystyce Stommy i „memoriale” notoryczne nieprzestrzeżenie zobowiązań przez reżym pomijane było milczeniem) laikat może stać się narzędziem wywierania presji wewnątrz Kościoła i osłabienia jego spójności. Gdyby Prymas Polski dał posłuch tym postulatom, obiektywnie służącym celom strategii komunistycznej, mielibyśmy dziś w kraju analogiczną sytuację jak na Węgrzech, gdzie hierarchia i kler są obiektem manipulacji reżymowej, jeśli jej członkowie nie są wręcz skompromitowani, a społeczność katolicka jest zdeintegrowana.

Po tragicznej śmierci Jerzego Zawieyskiego (w 1969 roku), który potrafił utrzymać jedność „Znaku”, podziały w łonie tego ruchu zaczęły się pogłębiać. Różne epizody stopniowej dekadencji „Znaku” znajdują już częściowo czytelnicy w moim artykule „Kościół po rewolucji grudniowej” (*Kultura* nr 4, 1973). Do zaostrzenia kryzysu zaufania przyczyniło się głównie powstanie w roku 1969 nowego ośrodka kierowanego przez pośła Zabłockiego. ODISS, podobnie jak zespół *Tygodnika Powszechnego* czy *Więzi*, stanowił część składową ruchu „Znak”, zamierzał jednak zajmować się krzewieniem myśli chrześcijańsko-społecznej i na tym polegała jego odrębność. Zabłocki zgrupował wokół nowego ośrodka i pisma *Chrześcijanin w świecie* szereg uczonych i publicystów, duchownych i świeckich, znawców bądz ludzi zainteresowanych problematyką społeczną w naświetleniu chrześcijańskim. Zabłockiego podejrzewano jednak (nie bez kozery) o sympatię dla moczarowców i w ogóle dla orientacji nacjonalistycznej. On sam tłumaczył, że należy dążyć do wyjścia z zaczarowanego kręgu immobilizmu Gomułki bez względu na to jaka ekipa dojdzie do władzy. Trzeba tu sprecyzować, że niezależnie od tego typu oskarżeń, „grupa krakowska” obawiała się zawsze

(już w latach 1945-48 kiedy istniało Stronnictwo Pracy i *Tygodnik Warszawski*) politycznych form aktywności katolików, występujących z własnym programem społeczno-gospodarczym. Rzeczą w tym że poza samymi zainteresowaniami zespół ODISS nie próbował przyczynić się do wypracowania alternatywnego programu reform społecznych, wywoływał natomiast podejrzenia o próbę zmontowania surogatu partii chadeckiej. „Grupa krakowska” z kolei uciekała od problematyki społecznej, a zespół *Więzi* nie ukrywał swych preferencji „socjalistycznych”. Obie te grupy szukały kontaktów z zachodnimi elementami lewicy katolickiej, często o skłonnościach „progresistowskich” i filomarksistowskich, o których można powiedzieć to i owo, ale na pewno nie to że mogą one stanowić źródło natchnienia czy wzorcowe dla kraju. O uznaniu głoszonego pluralizmu w laikacie w praktyce nie było więc mowy. „Grupa krakowska” i *Więź* uznają siebie za jedyny i oryginalny przejaw organizacyjny laikatu katolickiego, negując w ten sposób sto lat rozwoju zorganizowanej, społecznej myśli chrześcijańskiej.

Różnice polityczne szczególnie ostro zarysowały się w grudniu 1970 roku. Stomma do ostatka stał na stanowisku że tandem Gomułka-Kliszko reprezentuje najlepszy układ personalny i każda zmiana ekipy rządzącej będzie zmianą na gorsze. Po rewolcie grudniowej w Klubach Inteligencji Katolickiej nastąpił duży ferment i występowano z postulatem konieczności ustąpienia Stommy. Nie doszło jednak do tego, a Stomma, który uzgadniał z partią listę kandydatów do sejmu w roku 1972, oświadczył, że przyjmuje mandat po raz ostatni. W następnych latach konflikt w łonie „Znaku” nadal pogłębiał się. Ponieważ monopol „grupy krakowskiej” na kontakty z Zachodem uległ przełamaniu, doszło do licznych epizodów żałostnego widowiska rozgrywanego się ku radości partii i zgorszeniu zachodnich kół katolickich. Faktycznie rozłam powstał już w latach 1974-75, a do usankcjonowania go doszło na przełomie 1975/76 w związku z rewizją Konstytucji.

W poprzednich numerach zamieściliśmy dokumentację ilustrującą rozbieżne stanowiska zajęte w tej sprawie przez „grupę krakowską”, zespół *Więzi* i cztery środowiska klubowe z jednej, a przez ODISS i klub poznański z drugiej strony. Listu z 17 stycznia redaktorów prasy katolickiej i prezesów klubów nie podpisali posłowie Stomma i Łubieński, tłumacząc się zaangażowaniem w Sejmie oraz Zabłocki i prezes Klubu poznańskiego, docent Ozdowski, tłumacząc, że zebranie było zwołane w sposób „autokratyczny” bez możliwości wypowiedzenia się członków klubów. Był to, jak się wydaje, motyw o charakterze drugorzędny. List nie zawierał niczego co uzasadniałoby odmowę akcesu do tej inicjatywy. Motyw prawdziwy był inny: dwa dni przedtem środowisko ODISS i Klub poznański wystąpili z odrębną deklaracją (a nie pismem do Jabłońskiego, przewodniczącego komisji, dla zmiany Konstytucji, do którego zwracały się petycje różnych środowisk, zarówno katolickich jak i niekatolickich), zawierają-

cą niedopuszczalną insynuację, przypisującą obcą inspirację inicjatywom i dokumentom o bezspornej wadze moralnej (jak np. „list 59”, „list 101”), których sygnatariuszami byli *nota-bene* wybitni księża, działacze katolicycy niezwiązani ze „Znakiem” oraz jednostki o nieposzlakowanym charakterze i dużym prestiżu społecznym i zawodowym o różnej formacji ideowo-politycznej. Środowisko ODISS zaślania się w swym wystąpieniu autorytetem Episkopatu co jest bezzasadne. „Pryncypia i zalecenia moralne” Episkopatu, wyłożone w memoriałach, nie zobowiązywały bynajmniej posłów i środowiska „Znaku” do uznania ostatniej wersji poprawionej Konstytucji za zadawalającą. Hierarchia kościelna poinformowała przedstawicieli „Znaku” o swym stanowisku, ale nie do niej oczywiście należało pouczenie ich jaką postawę winni zająć i jak głosować. Nie można było również oczekiwać od Prymasa Polski by stanął po tej czy innej stronie w sporze. Posłowie związani z ODISS'em (Zabłocki i Łubieński), ongiś z *Więzią* (Auleytner) oraz dawniej z *Tygodnikiem Powszechnym* (Myślik) mogli zresztą wstrzymać się od głosu — kto wie czy wówczas Stomma, by się od nich odciąć, nie zdobyłby się na całkowity, a nie tylko połowiczny rejtanowski gest. Nie ma dziś większego znaczenia dochodzenie kto i dlaczego doprowadził do likwidacji Koła „Znak”. Rozbieżność stanowisk w sprawie rewizji Konstytucji — bez względu na to czy był to pretekst dla potwierdzenia faktycznie istniejącego rozłamu — uniemożliwiła wspólne wystawienie listy kandydatów. Fakt że Stomma próbował przeforsować własną listę świadczy jedynie o braku konsekwencji (skoro uznał już cztery lata temu że nie będzie powtórnie kandydować). Wobec bankructwa funkcji politycznej „Znaku” należało wstrzymać się od reprezentacji w sejmie i ograniczyć działalność ruchu do pracy wychowawczej i kulturalno-wydawniczej, czego domagali się *nota-bene* liczni aktywni członkowie klubów.

Logiczną konsekwencją wytworzonej sytuacji było przejście reprezentacji parlamentarnej przez zespół w osobach dwóch byłych posłów, Łubieńskiego i Zabłockiego oraz Ozdowskiego, prezesa klubu poznańskiego i Bendera, docenta KUL'u (którzy weszli na miejsce Stommy i Myślika). Wobec braku zgody wszystkich ośrodków pozostał również w sejmie Auleytner jako piąty poseł. Faktycznie więc mamy do czynienia z zespołem reprezentującym wyłącznie jeden ośrodek, tzn. ODISS. W tym świetle przyjęcie nazwy Koła „Znak”, bez względu na historyczne uprawnienia (dwóch posłów było przy narodzinach ruchu „Znak”) i wyrażoną intencję kontynuowania dotychczasowej „tradycji” i „programu” tego Koła, obudziło poważne zastrzeżenia. Mimo to można było liczyć, że nowy zespół wykaże postawę zasługującą na pozostawienie mu otwartego kredytu. Nadzieje te okazały się złudne. Po wydarzeniach czerwcowych w Ursusie, Płocku i Radomiu, podczas kiedy przedstawiciele elity intelektualnej wystąpili w obronie robotników, zarówno Koło sejmowe jak i ODISS zachowali kompletne milczenie. W Komitecie Obrony Robotników, pod

licznymi protestami i petycjami o położenie kresu represjom i przyjęcie do pracy zwolnionych robotników, figurują nazwiska liberalnych i katolickich intelektualistów, reprezentujących autentyczną opinię publiczną. Członkowie klubu warszawskiego, związanego z „Więzią” (m.in. Szpakowski, Grabska, Jedliński, Broniszewski) wystąpili do przewodniczącego Rady Państwa z pismem nawołującym do wstrzymania represji. Znany dziennikarz włoski, A. Sterpellone, pisze w reportażu na łamach rzymskiego *Il Messaggero* o nowym zjawisku: wyłonieniu się grup działaczy robotniczych o orientacji chrześcijańskiej (dosłownie „syndykaliści katolicki”) „zmierzających do nadania autentycznego charakteru ruchowi robotniczemu i przywrócenia mu aktywnej roli protagonisty walki o prawa obywatelskie”. Zabłocki i ODISS, reklamujący stale swe predylekcje społeczne i gospodarcze, nie zajmują się tym zjawiskiem. W tym stanie rzeczy pretendowanie do reprezentowania na polskim gruncie ruchu chrześcijańsko-społecznego zakrawa na mistyfikację. Nic dziwnego więc, że szereg osób o dużym prestiżu osobistym i zawodowym opuściło tzw. Radę Naukową ODISS'u. Grupa ta znalazła się w izolacji. Próby zbudowania sobie nowego zaplecza czy odzyskania utraconego w postaci powstających nowych klubów, obciążają dodatkowo hipotekę „neo-Znaku”. Dla odróżnienia od macierzystych, nowym klubom dodaje się termin „polski”, tak jak w Warszawie (gdzie sprowokowano secesję) i w Lublinie. W istocie planuje się uruchomienie równoległego, konkurencyjnego pionu organizacji klubowej. To już nie błąd, lecz szaleństwo!

Nowa sytuacja jaka się dziś wytworzyła w kraju po rozkładzie dotychczasowej struktury i reprezentacji sejmowej ruchu „Znak”, nie jest jednak pozbawiona dodatnich stron. Sytuacja jest dziś klarowna, nie zamazana jak poprzednio. Po jednej stronie front opozycji demokratycznej, obejmujący różne środowiska katolickie i laickie, działający w ideowej harmonii z Episkopatem, wywiera zorganizowaną, legalną presję na władzę w obronie praw ludzkich i obywatelskich. Ci co znaleźli się po drugiej stronie barykady i próbują dawnymi metodami uzyskiwać koncesje, licząc na poparcie partii, a ignorując opinię publiczną, nie mogą liczyć na pobłażanie.

Dowiadujemy się w ostatniej chwili, że cztery Kluby Inteligencji Katolickiej — w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i Toruniu zostały właściwie zamknięte. Ogłoszono mianowicie zarządzenie odbierające im prawo działalności gospodarczej na tej zasadzie, że nie odpowiadają obowiązującym przepisom. Tym samym Kluby te nie mogą być finansowane przez „Libellę” i są pozbawione środków egzystencji. Nie ulega likwidacji jedynie Klub Inteligencji katolickiej w Poznaniu, który podlega grupie Zabłockiego.

Przygoda na Okęciu

Znany, socjalistyczny dziennik rzymski *la Repubblica*, popularny zwłaszcza w środowiskach uniwersyteckich, padł w drugiej połowie listopada ofiarą władz PRL. W numerze z 1 grudnia ub. roku specjalny wysłannik tej gazety, Pierro Benetazzo, opisuje swą przygodę na Okęciu po 10-dniowym pobycie w Warszawie. Oto w skrócie jego relacja zatytułowana „Celnicy polscy w stylu zimnej wojny”: „Funkcjonariusz policji, po otwarciu mojej walizki rozkazał celnikom: 'sekwestrujcie'. W walizce znajduje się to wszystko co dziennikarz ma przy sobie jako narzędzie pracy: prasowe wycinki archiwalne, notatki z rozmów i spotkań. Moje notatki odnoszą się *nota-bene* niemal wyłącznie do rozmów oficjalnych zaaranżowanych przez agencję Interpress (która pośredniczy w kontaktach z dziennikarzami zagranicznymi) z przywódcami związków zawodowych, dyrektorami komisji planowania, funkcjonariuszami Urzędu d/s Wyznań, redaktorami naczelnych gazet i ekonomistami. To wszystko co mogłoby zainteresować policję (notatki z rozmów z przedstawicielami opozycji i teksty jej komunikatów), 'znikło' już kilka dni przedtem z mego pokoju w hotelu Europejskim. Moje protesty usztywniają jedynie funkcjonariusza policji, który kieruje operacją; rozkazuje nawet zabranie urzędowych materiałów PAP'u i przekładów z *Trybuny Ludu*. Następnie prowadzą mnie do pokoju bez okien, każą mi się rozebrać do naga, rewidują i zabierają wszystko co znajdują: osobistą agendę z adresami i numerami telefonów, bilety wizytowe, nawet rachunek hotelowy wywołuje zaniepokojenie i dyskusję. Opuszczam Polskę: w kieszeni mam tylko paszport, bilet samolotowy i rachunek hotelowy oraz deklarację o sekwestrze (odmówiłem jej podpisania), w której stwierdza się że 'materiał będzie zwrócony, jeśli to uzna za stosowne prokuratura'”.

Redaktor naczelny *Republiki* zażądał od włoskiego MSZ'u oficjalnego protestu przeciwko temu „poważnemu aktowi pogwałcenia wolności informacji i układów w Helsinkach”. Analogiczne stanowisko zajęła włoska *Fedestampa*, naczelna organizacja dziennikarskich związków zawodowych. 4 grudnia 1976 tutejsza prasa podała do wiadomości, że rzecznik polskiego MSZ'u „potwierdził fakt rewizji i przyrzekł niezwłoczny zwrot zasekwestrowanych materiałów”. 5 grudnia podano do wiadomości, że minister Spraw Zagranicznych Forlani (b. sekretarz generalny Chrześcijańskiej Demokracji) polecił w tej sprawie ambasadę włoskiej w Warszawie natychmiastowe interweniowanie u kompetentnych władz polskich. Forlani określił to zajście jako „jaskrawe pogwałcenie końcowego aktu w Helsinkach, jak również ogólnych zasad wolności informacji i poglądów”. W piśmie do *Republiki* włoski minister Spraw Zagranicznych stwierdza, że „polski MSZ potwierdził, iż włoski dziennikarz prosił agencję *Interpress* o umożliwienie mu spotkania niektórych dysydentów i że ich rzeczywiście

spotkał na własną rękę na skutek odmowy tejże agencji". Bardzo wymowne przyznanie.

Jaki z tego wynika morał? Dla redaktorów *Republiki* kres iluzji co do możliwości na automatyczną ewolucję wschodnich „socjalizmów”. Nie ulega tu dla nikogo wątpliwości że ambasada PRL w Rzymie natychmiast po ukazaniu się w *Republice* wywiadu Michnika, a wiedząc o wizie wydanej włoskiemu korespondentowi, wysłała do centrali ostrzegawczą depezę. W ten sposób bezpieka deptała mu po piętach, przetrząsnęła pokój hotelowy i zorganizowała *show* na lotnisku. Wniosek: ambasady PRL na Zachodzie służą nie tyle czynnościom dyplomatycznym i centrali MSZ, ile policji. Ambasador Sidor w Rzymie, autor paszkwilu antysemskiego i niedoszły minister spraw zagranicznych w planowanym gabinecie Moczara, prawdopodobnie skróci tu swą karierę. „To nie ambasador, lecz agent polskiej tajnej policji, kto wie czy nie KGB” — oświadczył dobrze zorientowany wysoki funkcjonariusz włoskiego MSZ'u.

Konferencja plenarna episkopatu obradująca w dn. 17 i 18 listopada, zajęła się ponownie „kwestią robotniczą”. Komunikat stwierdza, że „wielokrotne interwencje episkopatu u władz państwowych w sprawie amnestii i przywrócenia robotnikom utraconych uprawnień społecznych” nie odniosły skutku. Konferencja zwróciła się więc z powtórny apelem o „zaprzestanie represji, respektowanie praw przysługujących wszystkim obywatelom bez względu na wyznawany światopogląd, rodzaj wykonywanej pracy i stosunek do partii”. Episkopat stwierdza, że rozwiązanie trudności gospodarczych może nastąpić jedynie przez „poszerzenie i zarazem zabezpieczenie wolności obywatelskich”. W komunikacie mowa jest ponadto o „obowiązku, szczególnie wspólnot wierzących, wspomagania ludzi i rodzin robotniczych pozbawionych pracy i środków do życia. Obowiązek ten biskupi przypominają duszpasterzom i radom parafialnym, które zajmują się zbiórką funduszy i wszelkiej pomocy materialnej dla ofiar represji. Akcja ta coraz bardziej się rozszerza.

We wszystkich polskich kościołach odczytano w niedzielę 28 listopada ub.r. list pasterski. Jest to jedno z najmocniejszych wystąpień episkopatu w ostatnich latach. Urząd d/s Wyznań, wiedząc o istnieniu tego listu (zatwierdzony był na konferencji episkopatu 8 września w Częstochowie) i inne instancje rządowe, usiłowały nie dopuścić do odczytania go, wywierając niezwykle silną presję w tym kierunku.

List, wzywający do modlitwy „w obronie wiary świętej w Ojczyźnie” stwierdza, że Kościół i wiara są stale zagrożone przez „zręcznie maskowany program ateizacji narodu, podejmowany w coraz większym wymiarze przez instytucje pedagogiczne, społeczne i polityczne”. Zarzuca się władzom „gwałcenie wolności sumienia” i dyskryminowanie wierzących w życiu publicznym.

Szczególny nacisk kładą biskupi na „dyskryminację religijną w stosowaniu prawa do pracy”. Awans w pewnych sektorach pracy jest, według biskupów, „uzależniony od wstąpienia do organizacji społeczno-politycznych, wymagający od swych członków wyznania światopoglądu ateistycznego, zaniechania chodzenia do kościoła i religijnego wychowania dzieci”. Nawet przyjmowanie kandydatów do niektórych szkół jest „uzależnione od złożenia deklaracji niewiary”. „Wykonywanie niektórych zawodów — stwierdzają biskupi — i osiągnięcie szeregu stanowisk, zwłaszcza kierowniczych, zastrzeżono niemal wyłącznie dla tych, którzy deklarują się jako niewierzący, lub przynajmniej niepraktykujący”.

Walka z religią — stwierdzają biskupi — „przeszkadza koniecznym reformom społeczno-gospodarczym, gdyż budzi niepokój i nieufność do kierownictwa państwowego, co obniża wydajność pracy”. List potępia ponadto szerzenie demoralizacji w „tzw. kulturze” i w środkach masowego przekazu, ograniczanie praktyk religijnych i represje za branie udziału w nich (np. w stosunku do dzieci w domach państwowych i na koloniach letnich). „Szykany obejmują również wierzącą młodzież akademicką — czytamy w liście — stosuje się niekiedy groźby, szantaż, długotrwałe, uciążliwe przesłuchania, by odwieść studentów od korzystania z religijnej pomocy duszpasterstwa akademickiego... Główne uderzenie ateistycznych planów skierowano na młodzież i — co musi budzić największy sprzeciw — małe dzieci w wieku przedszkolnym.

Na końcu biskupi wzywają wiernych do „czujności”, „mężnego wyznawania wiary” i „udaremnianie wrogich zamiarów naszych nieprzyjaciół”.

W ciągu listopada ukazało się w prasie włoskiej nie tylko sporo informacji na temat represji antyrobotniczych w kraju, lecz również szereg poważnych, politycznych deklaracji solidarności i poparcia dla Komitetu Obrony Robotników. Odnotowujemy najważniejsze pozycje:

13 i 14 listopada ub.r. organ PCI (włoskiej partii komunistycznej) *l'Unità* zamieścił obszernie noty informacyjne, oparte na pierwszym i drugim komunikacie Komitetu;

17 listopada ub.r. ten sam organ, jak również *Avanti!*, organ PSI (socjalistów) i *Manifesto* (dysydenci komunistyczni) opublikował komunikat Komitetu Wykonawczego FLM (federacja unitarna związków zawodowych metalowców) o następującym brzmieniu:

„W lipcu ub.r. sekretariat krajowy FLM zajął stanowisko przeciwko ciężkim wyrokom skazującym polskich robotników, którzy protestowali przeciw podwyżce cen i potępił metody represyjne. Komitet Wykonawczy FLM, na posiedzeniu w dn. 15 i 16 listopada ub.r., potwierdza i ponawia ten sprzeciw, uwzględniając również fakt, że, jak nam wiadomo, nic dotąd nie uczyniono, by zmodyfikować te wyroki i zrewidować metody

wówczas zastosowane. Komitet Wykonawczy wyraża nadzieję, że zamiar, kilkakrotnie deklarowany przez polskich przywódców, włączenia robotników do podejmowanych decyzji społecznych i politycznych, znajdzie rzeczywiste i systematyczne zastosowanie, co jest nieodzowne. Tymczasem Komitet Wykonawczy wyraża swą solidarność ze skazanymi robotnikami polskimi i domaga się przywrócenia im pracy; przyłącza się również do programu Komitetu, jaki działa w Polsce dla obrony tych robotników i ich rodzin".

19 listopada ub.r. Komitet Centralny włoskiej partii socjalistycznej podjął rezolucję przeciw prześladowaniom robotników o następującej treści:

„K.C. PSI w ślad za niepokojącymi wiadomościami, jakie napływają z Warszawy na temat dalszych represji przeciw robotnikom, którzy strajkowali w czerwcu i przeciw intelektualistom, którzy ich popierają, zwraca się do władz polskich a apelem; domagając się:

1. uwolnienia osób uwięzionych za zajścia czerwcowe,
2. Przywrócenia pracy zwolnionym robotnikom,
3. zaprzestania środków policyjnych przeciwko członkom Komitetu Obrony Robotników".

3 grudnia prasa opublikowała tekst interpelacji parlamentarnej, złożonej przez dwóch senatorów socjalistycznych, „w sprawie represji wobec polskich robotników”. Interpelanci — „w odpowiedzi na apel Komitetu Obrony Robotników — wyrażają solidarność, protestują przeciwko nowej kampanii terroru, represji i zastraszania oraz zapytują ministra Spraw Zagranicznych jakie inicjatywy podjął i czy zamierza poinformować rząd polski o poważnym zaniepokojeniu, jakie te wydarzenia wywołały we Włoszech...”.

W pierwszych dniach grudnia prasa cytowała obszernie treść pisma Komitetu do Sejmu, oskarżającego władze rządowe o wszczęcie „kampanii terroru i prześladowań” w stosunku do robotników i ich rodzin. Podobnie w wyczerpujący sposób cytowane było pismo tegoż Komitetu z 15 listopada, żądające powołania komisji poselskiej. Obszerne fragmenty z Komunikatu nr 4 i innych dokumentów Komitetu przytoczył również *Osservatore Romano*.

Dominik MORAWSKI

P.S. Spółka „Libella”, która finansowała działalność Klubów Inteligencji Katolickiej, przeszła pod zarząd państwowy. Praktycznie biorąc jest to równoznaczne z likwidacją 4 Klubów związanych z Grupą „ZNAK”. Kluby według urzędowej wersji „nie spełniały określonych warunków prawnych”.

Grupa poselska Zabłockiego uzyskała równocześnie koncesję na zawiązanie nowej spółki.

Kraj

Raport o stanie polskiej gospodarki

1. Nie można wyjaśnić występujących dziś w kraju bardzo poważnych trudności społeczno-gospodarczych bez zarysowania ogólnego tła przemian gospodarczych w Polsce w latach ostatnich.

I zaraz na wstępie trzeba podkreślić, że przyczyny dzisiejszego kryzysu można dostrzec w obiektywnych trudnościach gospodarczych, ale tkwią one również głęboko w zasadniczych elementach polityki gospodarczej ostatnich lat oraz w głównych niedomogach całego systemu. Na pewno jesteśmy zależni od handlu światowego a zwłaszcza od stosunków handlowych i sytuacji polityczno-wojskowej w bloku *komunistycznym*, jednakże — wbrew temu co sądzi się w szerokich kręgach społeczeństwa — nie tyle naciski, czy przymus zewnętrzny ile *własne koncepcje i niewydolność systemu* (uwarunkowane wprawdzie wymaganiami politycznymi bloku) leżą u podstaw problemu.

2. Jest rzeczą uderzającą, że *wysoki stopień niezadowolenia społecznego i napięcie w gospodarce wystąpił po okresie niewątpliwych sukcesów gospodarczych i poprawy warunków życia w Polsce*. Jest to tym bardziej zastanawiające i groźne. Wymaga to równoległego wyjaśnienia przyczyn i istoty osiągniętych sukcesów i równocześnie istoty aktualnego kryzysu.

Za sukcesy ostatnich 5 lat trzeba uznać:

- a) *znaczne bo 30-40 % podniesienie płac realnych emerytur i stypendiów, a wobec pójścia do pracy 3-milionów młodzieży znacznie większe jeszcze podniesienie dochodów ludności (o ponad połowę);*
- b) *osiągnięcia w polityce socjalnej, zwłaszcza zwiększenie świadczeń dla rodzin;*
- c) *szybszy niż dotąd rozwój gospodarki zwłaszcza przemysłu (wzrost produkcji o ok. 10-13 % rocznie a w porównaniu z poprzednim okresem 8-10% rocznie) i jego modernizacja.*

Sukcesy te zawdzięczamy:

- aa) odważnemu wykorzystaniu znacznych rezerw zgromadzonych szczególnie w handlu zagranicznym za rządów Gomułki;
- bb) wykorzystaniu kredytów zagranicznych;
- cc) wykorzystanie wzrostu płac jako bodźca do zwiększania produkcji;
- dd) olbrzymim inwestycjom, które wzrosły w ciągu 5 lat dwukrotnie.

3. Gwałtowny rozwój gospodarki spowodował, że pod wielu względami Polska — rzecz można — *stanęła na progu etapu kraju gospodarczo rozwiniętego*. Równocześnie jednak ujawniły się z dużo większą ostrością niż dotąd trzy wielkie obciążenia, które spowodowały kryzys, a mianowicie:

- a) coraz większa niewydolność całego systemu społeczno-gospodarczego,
- b) błędy polityki gospodarczej,
- c) błędy polityczne i niezdolność do skutecznego rozwiązywania napięć społecznych.

Trzeba wszakże stwierdzić, że obiektywne warunki, zwłaszcza kryzys (*recesja*) w krajach zachodnich bardzo utrudniły naszą sytuację. Spadek produkcji i bezrobocie na Zachodzie spowodowały znaczne zawężenie się rynków zbytu dla naszego handlu i duże straty. Równocześnie kryzys żywnościowy spowodował wzrost cen zboża i pasz, które musimy importować. Innym czynnikiem pogarszającym sytuację jest występujący już trzeci rok z rzędu (1974-1976) *nieurodzaj w naszym rolnictwie*.

4. *Niewydolność systemu społeczno-gospodarczego* scharakteryzowana została w sposób bardzo ogólny ale trafny w głównym już artykule Prof. Pajestki w *Życiu Gospodarczym* z 25 lipca 1976 (a więc już po kryzysie cenowym). Pajestka określa istniejący u nas system mianem „*systemu centralnego napędzania*” i stwierdza, że mógł on być do pewnego stopnia skuteczny w pierwszym okresie przemysłowienia, dlatego, że pozwalał dość skutecznie „*napędzać*” ilościowy wzrost produkcji. Jednakże z chwilą osiągnięcia już dość wysokiego poziomu gospodarki i stopy życiowej (poziom Europy Zachodniej sprzed lat 15-20) centralnie kierowany biurokratyczny system nie zdaje egzaminu. Nie można sprostać wymogom bardzo złożonej organizacji; nowoczesnej technologii oraz rosnącym wymogom rynku zwłaszcza zagranicznego, ale też i krajowego.

Pajestka nie odrzuca zupełnie systemu centralnego kierowania („*odgórnego napędzania*”), ale stwierdza, że powinno ono służyć „*wyzwoleniu oddolnych sił postępu*”.

Bez wyzwalania tych sił, a więc decentralizacji zarządzania, bodźców itd. nie widzi możliwości skutecznego rozwoju. Daje na to 3 argumenty: 1) w istniejących warunkach nie jest możliwe skuteczne gospodarowanie bez włączania do decyzji gospodar-

czych szerokich kręgów kadr gospodarczych i całych załóg pracowniczych. Dla dobrego gospodarowania niezbędne są niewspółmiernie większe niż dziś zainteresowanie i inicjatywa kierowników i pracowników, rozszerzenie uprawnień samorządów, itd. 2) Dzisiejszy stan, w którym produkcja często „*puchnie*” a nie rośnie jest nie do utrzymania. Wzrost produkcji jest często nieopłacalny. Bez decentralizacji i osobistego zainteresowania nie można bowiem gospodarować efektywnie, nie udaje się wprowadzanie nowoczesnych wyrobów i zwiększanie wydajności pracy. Marnotrawstwo środków i pracy ludzkiej jest duże i powoduje duże koszty. 3) Kierowanie produkcją staje się coraz bardziej złożone i jest rzeczą niemożliwą skutecznie gospodarować przy pomocy centralnych dyrektyw. Popełnia się wciąż duże błędy, które kosztują. Centralny planifikator często nie wie co się dzieje naprawdę w przedsiębiorstwach, które we własnym dobrze pojętym interesie ukrywają prawdziwy stan rzeczy i swoje rezerwy. Stąd bezskuteczne apele o ujawnianie rezerw. Władza centralna powinna wyznaczać przede wszystkim ogólne kierunki i proporcje a decyzje gospodarcze powinny przejść do przedsiębiorstw.

Świadomość potrzeby głębokich zmian w całym systemie gospodarowania istnieje od dawna. Od kilku lat podejmuje się próby zmian, jednakże natrafiają one na poważne przeszkody. Do najważniejszych należą: 1) naturalny konserwatyzm biurokracji centralnej, która gdy sytuacja gospodarcza była dobra lub znośna zwykle stosowała argument: „*po cóż... zmieniać, jeżeli jest dobrze*”, 2) stosuje się wszakże również argument, że nie można zmieniać i osłabiać kierowania centralnego, kiedy jest źle, to znaczy kiedy są napięcia i trudności w handlu zagranicznym, kiedy czegoś brak na rynku krajowym lub załamuje się jakiś plan. Wtedy tym bardziej trzeba ściągać cugle i jeszcze ostrzej wszystko kontrolować — twierdzą biurokraci — bo w przeciwnym razie będzie katastrofa. I trzeba przyznać, że niestety czasem mają rację.

Trzeba też przyznać, że *polskie próby reformy gospodarczej nie dają dotąd dostatecznych rezultatów* dlatego, że na rynkach zagranicznych występują znaczne trudności w związku z inflacją i kryzysem, a w kraju różne braki towarów i reglamentacje uniemożliwiają szerokie i szybkie wprowadzanie normalnego, sensownego gospodarowania przedsiębiorstw.

Można stwierdzić, że niewydolność archaicznego, sztywnego systemu zarządzania i jego skutki mogłyby stanowić wystarczające wyjaśnienie kryzysu gospodarczego w Polsce. Potrzeby ludzkie i aspiracje rosną, wiele z nich jest od dawna niezaspokojonych (mięso, mieszkania, ochrona zdrowia) — a koszty rozwoju i marnotrawstwa są tak duże, że zaspokoić ich nie można. Do tego dochodzi, wynikająca też z systemu, nasza słaba konkurencyjność w handlu zagranicznym. Nie potrafimy dostatecznie szybko dostarczać nowoczesnych towarów, sprzedajemy więc za granicę tanio (czasem 30-50 % taniej od przeciętnych cen światowych), towary gorsze i przestarzałe. Natomiast za dobre nowo-

czesne maszyny z Zachodu musimy płacić bardzo drogo, a poza tym w skutek niesprawnego zarządzania nie potrafimy ich nieraz skutecznie wykorzystać.

Należy podkreślić, że przedstawiony wyżej kierunek krytyki systemu pochodzi również od ekonomistów reprezentujących komunistyczny punkt widzenia. Cytowany m.in. prof. Pajestka jest zastępcą przewodniczącego komisji planowania przy Radzie Ministrów i członkiem Komitetu Centralnego. Wychodząc z innych założeń politycznych można by tę krytykę znacznie rozszerzyć wskazując na inne jeszcze możliwości rozwoju ludzkich energii i gospodarczej inicjatywy.

5. Dla aktualnego kryzysu zasadnicze znaczenie mają jednak także błędy polityki gospodarczej, przede wszystkim *nadmierny, niezwykle kosztowny wzrost inwestycji*. Kierownicy gospodarki Polski stanęli przed wyborem albo realizować rozwój gospodarczy tańszy ale wolniejszy, albo rozwijać się szybko, ale za to kosztownie i ryzykując napięcia gospodarcze i perturbacje. Wybrano drugą drogę dążąc przy tym do możliwie dużego wykorzystania kredytów zagranicznych. Doprowadziło to do *dwukrotnego wzrostu nakładów inwestycyjnych w ciągu 5 lat* (które dalej rosną) i ogromnego obciążenia dochodu narodowego akumulacją (inwestycje i zapasy, które wzrosły z 30-35 % do 40-45 % całego dochodu narodowego). Trzeba w tym przypadku trochę podwyższyć liczby oficjalne, z uwagi na notorycznie sztuczne obniżanie cen urządzeń inwestycyjnych a podwyższanie przez podatki cen artykułów konsumpcyjnych w stosunku do ich wartości.

Wzrost gospodarczy dokonywał się ostatnio głównie dzięki nowym, kosztownym inwestycjom oraz jeszcze dotąd także dzięki wzrostowi zatrudnienia, a ciągle w zbyt małym stopniu dzięki inwestycji i lepszej pracy. Nakłady na inwestycje rosły znacznie szybciej niż produkcja dóbr do spożycia (a przy tym brakło nadal środków na wciąż brakujące mieszkania). Tym samym rosła napięcia na rynku towarów, inwestycje bowiem wciąż podnosiły fundusz płac, który coraz trudniej było zrównoważyć odpowiednią ilością towarów. Nawet bowiem jeśli inwestujemy z kredytów zagranicznych — to i tak każdy otrzymany dolar wymaga uzupełnienia 2-3 dolarami nakładów w złotówkach w kraju, a to już powoduje wzrost płac i obciąża bezpośrednio rynek konsumpcyjny.

Wytyka się również polskiej polityce inwestycyjnej, że niedostatecznie koncentruje nakłady, a szeroki front i rozpraszanie wysiłków nie daje takich rezultatów ekonomicznych jak dobra selekcja celów. Trzeba bowiem przyznać, że Rząd musi się tu bronić przed nieustanną presją przedsiębiorstw, władz terenowych itd., które pragną wciąż nadmiernie rozszerzać inwestycje.

Z nadmiernym wzrostem inwestycji wiąże się *zbyt szybki wzrost produkcji przemysłowej* (do 13 % rocznie), któremu nie jesteśmy w stanie podołać organizacyjnie i który stawia często nadmierne zadania przed handlem zagranicznym i kooperacją

w kraju. Jest to paradoks, że zbyt szybki wzrost produkcji staje się niepowodzeniem, ale tak jest dlatego, że zwiększa on bardzo koszty a nie zaspakaja potrzeb ludności, bo dotyczy często produkcji urządzeń inwestycyjnych.

6. *Szybki wzrost płac realnych* (ok. 8 % rocznie podczas gdy do roku 1970 ok. 1,8 % rocznie), stanowi cenne osiągnięcie dla całego kraju, zarówno dlatego, że pozwolił zaspokoić wiele palących potrzeb, jak również dlatego, że stał się bodźcem do wzrostu wydajności i do rozwoju produkcji. Jednakże *zachwianie równowagi rynkowej było od 1974 roku coraz poważniejsze*.

Dotyczyło to nie tylko artykułów spożywczych, ale też wielu innych towarów. Nie pomogły poważne podwyżki cen alkoholu, papierosów, benzyny i części samochodowych, biletów kolejowych, węgla, energii elektrycznej, materiałów budowlanych, usług gastronomicznych i wczasowych itd. Wprowadzono też szereg nowych podatków i opłat, sprzedaż mieszkań kwaterekonowych, przedpłaty na mieszkania i samochody, usiłując odzyskać dla państwa choć część ciężących na rynku a rosnących dochodów ludności. Podwyżki cen dokonywano wypuszczając tak zwane „nowości”, które nie zawsze nimi były. Wszystko to oznaczało wejście na drogę inflacji, ale było niedostateczne.

Dość poważnym czynnikiem był wzrost oszczędności w PKO, jednakże ocenia się go jako nie w pełni zdrowy objaw, ponieważ często nie jest on wynikiem naturalnej tendencji oszczędzania, ale odkładania pieniędzy, których nie ma na co wydać z braku pożądaných dóbr i usług (dotyczy to zwłaszcza mieszkań, mebli i innych artykułów trwałego użytku, ale także niektórych artykułów żywnościowych, sportowych, odzieży dziecięcej itd.). Dziś bardzo groźnym zjawiskiem jest fakt, że *wkłady oszczędnościowe przestały rosnąć*. Zaufanie do pieniądza maleje.

Poważne zachwianie równowagi rynkowej jest szczególnie ważnym elementem aktualnego kryzysu. Sprawa zmiany cen żywności i konfliktu wokół tego jest tylko częścią wielkiego problemu zachwiania równowagi. Równoczesne podniesienie płac i gwałtowny rozwój inwestycji spowodowały, że żyjemy ponad stan i mamy za dużo pieniędzy. Nie tylko mięso, ale bardzo wiele artykułów jest nie do kupienia, są *de facto* reglamentowane lub znikają błyskawicznie z rynku.

Poziomem naszym inwestycji wyprzedzamy już Japonię, która była i tak przypadkiem wyjątkowym. Ale Japończycy znacznie wolniej podnosili płace, dużo więcej oszczędzali niż my dziś, i są — jak się zdaje — społeczeństwem bardziej zintegrowanym wokół swoich kierowników i bardziej zdyscyplinowanym. Równocześnie społeczeństwo nasze od dawna zapatrzone w mirażę dobrobytu zachodniego przejawia wciąż wysokie aspiracje konsumpcyjne (często ponad stan).

Bardzo trudno dziś przyhamować inwestycyjny rozpęd i nie da się tego zrobić wcześniej jak za jeden — dwa lata.

7. Następnym błędem było utrzymanie niezmiennych cen podstawowych artykułów konsumpcyjnych, zwłaszcza żywnościowych. Było to oczywiście korzystne dla obywateli, zwłaszcza biedniejszych. Był to też fakt działający niewątpliwie na korzyść rodziny polskiej, ponieważ przy znacznym wzroście jej dochodów żywność i inne podstawowe artykuły na ogół nie drożały i one decydowały o sytuacji budżetów rodzinnych. Równocześnie jednak było to błędem z punktu widzenia zarówno ochrony rynkowej jak i racjonalnego kształtowania konsumpcji i utrzymywało niezdrowy stan, w którym do jednych artykułów państwo dużo dopłaca (chleb, mąka, mleko, itd.), a na inne nakłada wielkie podatki (odzież, meble, itd.).

Wobec niezaspokojenia pewnych potrzeb (np. wędlin) nie można było z góry żądać od ludności ograniczeń lub płacenia wygórowanych cen w tym zakresie, ale wymóg większej oszczędności i racjonalności w zakresie żywności był i jest uzasadniony a porównanie z krajami zachodnimi ukazuje jaskrawo nieracjonalność naszego systemu cen (żywność jest u nas 1,5-2 razy tańsza ale inne artykuły są często dwa razy droższe licząc po kursie oficjalnym walut).

Trzeba również uwzględnić układ w gospodarce światowej, w której w warunkach rozwoju gospodarczego rosnących dochodów ludności i zmiany struktury produkcji — zmieniają się preferencje ludzi, koszty różnych artykułów a przede wszystkim rosną ceny surowców i wszystko to musi powodować ruch cen. Rzecz w tym, że odbywa się to w warunkach gospodarki rynkowej. I choć na Zachodzie ma to miejscami charakter chorobliwy to jednak jako ogólna tendencja jest to zrozumiałe i w pewnych granicach uzasadnione. U nas trzeba zmienić cały mechanizm zarządzania w tym zakresie, aby takie zmiany zachodziły możliwie harmonijnie i nie niwelowały wzrostu płac. Tego zrobić nie umiano a lękano się po grudniu 1970 roku podejmować decyzji zmiany cen artykułów podstawowych z obawy przed protestem robotniczym i spadkiem prestiżu Partii.

8. Jest to tym bardziej ważne, że mimo dużych osiągnięć w gospodarce rolnej w 1971-1973 (wzrost pogłowia świń o ok. 50% w stosunku do 1969 roku), mniejsze urodzaje w latach 1974-1976 i zaniedbanie dostatecznej pomocy i bodźców dla rolników spowodowały, że podaż żywności jest znacznie mniejsza, od potrzeb i wzrostu ilości pieniędzy (dochody ludności — 10-12% rocznie, produkcja rolna + 2-4% rocznie), a co gorsza sygnalizuje się znaczny spadek pogłowia bydła o 5% a trzody o 10-15%, co jest bardzo groźne na przyszłość. Z uwagi na braki i wzrost cen pasz hodowla stała się mniej opłacalna. Należy się liczyć, że przez najbliższy rok sytuacja żywnościowa będzie bardzo ciężka: plony zbóż są niskie, jest bardzo mało siana, import pasz będzie drogi. Nie można spodziewać się poprawy wcześniej jak za 10-12 miesięcy. Spożycie mięsa jeszcze spadnie.

9. Jest sprawą sporną czy projekt rządowy zmiany cen z czerwca 1976 roku był rzeczywiście konieczny. Są eksperci, którzy twierdzą, że można go było znacznie ograniczyć, choć większość skłania się do opinii, że kierunek reformy cen był właściwy, uzasadniając to niedostateczną podażą żywności i potrzebą oszczędności w tym zakresie, sytuacją na rynkach zagranicznych, wpływem obcych towarów itd. Niektóre składniki projektu budżetu u ekspertów poważne zastrzeżenia. Warto nadmienić, że projekt rządowy opracowywała bardzo wąska grupa wyższych urzędników i nie dopuszczono do szerszej dyskusji wśród fachowców. O załamaniu się projektu zadecydowało jednak szereg czynników, zarówno gospodarczych jak i psychologiczno-społecznych.

10. Po pierwsze, żeby go ocenić i zrozumieć gwałtowną reakcję ludności, trzeba przyjrzeć się całej polityce płac.

Płace podniesiono w zasadzie wszystkim pracownikom. Ale oczywiście, wzrost ten nie był równomierny. Niewątpliwie są grupy ludności, które zyskały znacznie więcej niż inni. Dotyczy to różnych grup kierowników, wyższych urzędników, fachowców i ekspertów, którzy w porównaniu z czasami gomułkowskimi zarabiają znacznie więcej (często więcej niż o połowę). Z kolei czołowe, duże przedsiębiorstwa, zwłaszcza w przemyśle ciężkim, uzyskały drogą różnych presji (a także w wyniku lepszych rezultatów ekonomicznych) także kilkakrotne podwyżki.

Rosnące rozwarstwienie dochodów było naturalną reakcją na sztuczne głaższaltowanie w czasach gomułkowskich, stanowiło też bodziec do wydajniejszej pracy.

Szczególnie przywileje zdobywali budowlni a zwłaszcza załogi priorytetowych, ważnych gospodarczo lub prestiżowo budow, jak Dworzec Centralny i Huta Katowice. Tam zarobki nisko kwalifikowanych, często młodych robotników sięgały wielu tysięcy złotych.

Znaczne podwyżki uzyskali również ostatnio funkcjonariusze MO, wojsk wewnętrznych itp.

W porównaniu z tymi grupami pracowników inni, którym nawet podniesiono 2-3 lata temu płace mogą czuć się znowu mocno pokrzywdzeni (np. nauczyciele, służba zdrowia, handel, przemysł drobny), bo relatywnie w stosunku do innych sytuacja ich znowu się pogorszyła.

11. Po drugie — pomimo wysiłków rządu w zakresie pomocy rodzinie, pod pewnymi względami sytuacja rodzin dzietnych przestała się poprawiać. Niewielki wzrost dodatków rodzinnych został w dużym stopniu zniwelowany wzrostem cen. Znacznie wzrosły różne formy opłat i kosztów w szkole, na imprezach dziecięcych, w sporcie, itd.

W dalszym ciągu pozostaje bardzo ciężka sytuacja większości młodych małżeństw. Ceny mieszkań znacznie rosną o ok. 30-50% w ciągu 3-4 lat, zwykle ponad możliwości większości młodych ludzi, a w dalszym ciągu mimo to trzeba czekać na mieszkanie 3-6 lat, ponieważ wyż małżeński wciąż napiera (roczniki 1950-55)

co powoduje od roku napięcie i głębokie niezadowolenie ludności (a zwłaszcza ludzi młodych) z tego powodu rośnie.

12. Po trzecie — w coraz trudniejszej sytuacji, w związku z tymi faktami, znajduje się też *biedniejsza część ludności wiejskiej*, która niewiele zyskuje przez podniesienie cen skupu, a ponosi koszty wzrost cen, zwłaszcza cen materiałów budowlanych. Dotyczy to zwłaszcza ludności mieszkającej z dala od ośrodków przemysłowych, gdzie zarobki u chłopów-robotników nie wpływają istotnie na standart życia.

13. Po czwarte — *reforma cen* podnosząca o ponad 1/3 ceny żywności (35-40 %) i ok. 15-20 % poziom kosztów utrzymania w ogóle *stanowiła szok*. Cały bowiem kierunek prowadzonej od 5 lat propagandy polegał na głoszeniu osiągnięć, budzeniu optymizmu i unikaniu jak ognia spraw konfliktowych, trudności gospodarczych i społecznych oraz wszelkich informacji mogących niepokoić. Wobec realnych osiągnięć i pewnych szans na dobre sukcesy kierownictwo Partii przyjęło, jak się zdaje, dwa założenia:

- 1) trzeba skorzystać z okazji i głosząc ze wszystkich sił sukcesy wzmocnić w ten sposób prestiż Partii i
- 2) trzeba unikać informacji niepokojących lub wyciszać je, aby nie rozbudzać nastrojów niezadowolenia i zaspakając potrzeby materialne unikać ożywienia politycznego zwłaszcza załóg robotniczych, które mogłyby utrudniać umacnianie władzy aparatu Partii.

W gruncie rzeczy kierownicy polityczni kraju wbrew pozorom nie rozmawiali ze społeczeństwem. W środkach masowego przekazu też na ogół nie mówiło się o problemach naprawdę społeczeństwo nurtujących.

Próba konsultacji przed samym ogłoszeniem projektu i po jego ogłoszeniu była fikcją.

Okazało się, że został popełniony *błąd* bardzo poważny, ponieważ milionom ludzi przyzwyczajonym do triumfalnej propagandy (nawet jeśli by czasem mieli co do niej wątpliwości) rzeczywistość nie mogła się mieścić w głowie, że mimo tylu głoszonych *sukcesów* muszą obniżyć swoją stopę życiową. Kierownictwo polityczne padło *ofiara* własnego optymizmu i tryumfalizmu oraz świadomego zerwania kontaktu ze społeczeństwem.

14. Po piąte — istnieje szereg czynników, które sprawiają, że w naszych warunkach przekonanie ludzi o potrzebie wyrzeczeń jest bardzo trudne. *Nastawione głównie na rosnącą konsumpcję społeczeństwo* jest bardzo trudne do kierowania. Bódcze materialne działają słabo. Za wszystko trzeba płacić. A płacić ma oczywiście państwo czyli władza centralna: zdaniem ludzi — za wszystko odpowiedzialne i wszystkiemu winne. Takiego odczucia na ogół w krajach komunistycznych w tym stopniu nie ma. Istnieje przy tym *szeroki krąg ludzi szczególnie niezadowolonych*

nych i sfrustrowanych. Są to głównie: młodzież i kobiety. Trzeba pamiętać, że to głównie kobiety wymęczone pracą „na 2-ch etach” i trudnościami rynkowymi zwyciężyły w Łodzi w 1971 roku i odgrywały bardzo dużą rolę w Radomiu i w Ursusie. Trzeba też pamiętać, że są one grupą społeczną szczególnie trudną do przekonania przez polityków.

15. *Ocena samego projektu zmiany cen* jest trudna, bo nie był dosyć przejrzysty. Trudno zwłaszcza ocenić, czy rzeczywiście, co najmniej dla większości ludzi rekompensata została ustalona w sposób dostateczny. Twórcy projektu niewątpliwie starali się zapewnić rekompensatę ludności, ale to się im nie udało. Wyliczenia ich miały charakter abstrakcyjny. Proste wyliczenia wskazują raczej na to, że żadna z większych grup ludności takiej rekompensaty by nie otrzymała (z wyjątkiem grup zamożniejszych rolników, dla których wzrost cen skupu stanowi silny bodziec do wyższej produkcji i zysku).

Rodziny dietne a zwłaszcza wielodzietne, szybko oceniły, że dodatki na dzieci (150 zł.) pokrywają ledwo 1/3-1/2 wzrostu kosztów. Mało zarabiający robotnicy, u których żywność stanowi 60 % i więcej wydatków, czuli się oczywiście pokrzywdzeni. Ale i dużo zarabiający robotnicy, np. 4.000-7.000 zł. (metalowcy, budowlani) poczuli się pokrzywdzeni, ponieważ dobre jedzenie, zwłaszcza lepsze wędliny i mięso stanowią dla nich od dawna ważny element życia i obyczajów. Stosunkowo mniej mogli ucierpieć wysoko zarabiający pracownicy umysłowi. W ten sposób jednak niezadowolenie stało się *powszechne*.

Były wysuwane sugestie, że przy realizacji projektu zmiany systemu cen zakładano skorzystanie z okazji i wypełnienie choćby doraźne i częściowe „luki inflacyjnej”, i uzyskanie w ten sposób dla Państwa 10-20 miliardów złotych rocznie, czyli ok. 2-3 % dochodów ludności. Ale jest to wątpliwe i z braku danych trudno to wykazać.

16. W tej chwili sprawa reformy jest nieaktualna, ale *problem równowagi rynkowej nadal z całą ostrością stoi na porządku dziennym*. Wydaje się że tylko uzyskanie jakiejś pomocy z zagranicy obok korygowania planu importu na rzecz konsumpcji, a także dalsze oszczędności wewnętrzne (m.in. ograniczanie zatrudnienia, dyscyplina płacowa i jakaś żywsza pomoc dla rolnictwa) mogą uchronić od kolejnych wstrząsów i załamań. I te kroki Rząd podejmuje.

Przywrócenie jednak bardziej trwałej równowagi rynkowej wymagać będzie — zgodnie z uwagami na wstępie — zarówno: 1) zwolnienia tempa inwestycji i rozwoju jak i 2) szybszych i bardziej zdecydowanych reform zarządzania.

Najbliższe kilkanaście miesięcy będą — jak należy sądzić — okresem bardzo ciężkim. Do trudnej, a już wyżej wspomnianej, sytuacji rolnictwa i hodowli dojdą nowe duże trudności w handlu zagranicznym oraz w energetyce. Coraz bardziej będzie nam

ciążyć spłata znacznych kredytów zagranicznych, zwłaszcza zaciągniętych na inwestycje, które nie dają jeszcze dostatecznych efektów. Musimy też sprowadzać znacznie więcej niż dotąd i to za dolary, maszyny, stali, produktów chemicznych i paliw, zarówno dla potrzeb zbyt szybko rozwijającego się przemysłu jak i dla rynku. Za to wszystko również kosztem rynku konsumpcyjnego trzeba będzie płacić więcej niż dotychczas (charakterystycznym zjawiskiem dla tej sytuacji jest sprzedaż zagranicę, zresztą po dobrych cenach na wiośnię — znacznych ilości *cukru*). Dodatkowym utrudnieniem będzie rosnący niedobór energii elektrycznej (zbyt szybko rosnąca produkcja przemysłowa, zbyt wolno budowane elektrownie, spadająca kaloryczność wydobywanego węgla). Będziemy musieli ograniczać zużycie energii a także ograniczona będzie sprzedaż węgla dla *ludności*, zarówno z powodów wyżej wymienionych jak i z powodu konieczności zwiększenia *eksportu węgla*. Eksport ten będzie dość korzystny (za dolary) i umożliwi pokrycie części niedoborów.

17. Aktualnie, gdy oczywista sytuacja życia ponad stan wymagałaby ograniczenia siły nabywczej ludności, z całą mocą staje problem, *kto ma ponosić koszty tej operacji?* Podobnie też kto ma ewentualnie, jeśli to konieczne, dopłacać do raczej potrzebnej reformy cen?

Sprawa jest bardzo trudna i sporna. Wydaje się bardzo ważne, aby nie działało się to kosztem rodzin dziecięcych oraz grup o najniższych dochodach (robotnice, emeryci, małorolni). Koszty powinny ponieść głównie grupy najlepiej zarabiające i które co więcej na ogół najwięcej zyskały w ostatnim okresie (a więc grupy kierowników, techników, lepiej sytuowanych urzędników i robotników, bogatsi rolnicy). Dylematem pozostaje, że właśnie te lepiej sytuowane grupy ludności, będą szczególnie mocno opierać się ciężarom na nich nakładanym. Będą tu mogły zresztą liczyć na poparcie części aparatu władzy, który też musiałby wówczas partycypować w kosztach. Jednakże mamy za sobą szczególne doświadczenia zarówno z lat 1970-71, jak i z czerwca tego roku. To nie najbiedniejsze zakłady pracy, nie najmniej zarabiające, ale załogi dobrze zarabiających (często do 6.000-8.000 złotych) zakładów pracy jak: stocznie, zakłady im. Waltera w Radomiu, zakłady w Ursusie, czy Petrochemia — wystąpiły z najostrejszym protestem. Ludzie bardzo nie lubią oddawać tego, co zdobyli, zwłaszcza jeśli czują się silni. Tak więc tylko odtworzenie klimatu zaufania i umiejętności dialogu i przekonywania załóg robotniczych i całego społeczeństwa stają się podstawowym warunkiem rozwiązywania problemów gospodarczych. Szczególnie ważną sprawą będzie tu odejście od metod represji wobec robotników.

Ale tu wkraczamy już w dziedzinę spraw czysto politycznych.

Warszawa, sierpień 1976 r.

Kodeks Pracy w Polsce

Z dniem 1 stycznia 1975 roku wszedł w Polsce w życie Kodeks Pracy, wydany w formie ustawy sejmowej z dn. 26 czerwca 1974 roku.

Wypada nadmienić, iż Kodeks Pracy jest ostatnim z zasadniczych kodeksów prawnych, jakie zostały wydane w Kraju po wojnie. Kodeksy: cywilny, rodzinny, karny, postępowania cywilnego i postępowania karnego oraz ustawy zasadniczego znaczenia, takie jak np. o prawie autorskim i o prawie prywatnym międzynarodowym zostały już przed kilku laty uchwalone i dawno weszły w życie, zastępując przepisy przedwojenne oraz przepisy tymczasowe, wydane zaraz po wojnie. Jest rzeczą charakterystyczną, że Kodeks Pracy — w zasadzie prostszy od cywilnego czy karnego — wymagał znacznie więcej czasu by przejść przez stadia projektu i stać się w końcu obowiązującym prawem. Po 30 latach rządów komunistycznych czas już był najwyższy, by ustrój pretendujący do tego, iż służy człowiekowi pracy, zdobył się wreszcie na podstawowe uregulowanie stosunku pracy. Przez cały czas bowiem utrzymywane były w mocy — obok zalewu powojennych przepisów — dawne zasadnicze przepisy przedwojenne rozporządzeń Prezydenta RP z 16 marca 1928 roku o umowie o pracę pracowników umysłowych i o umowie o pracę robotników. Oba te klasyczne akty prawne obowiązywały w Polsce przedwojennej 11 lat, zaś w Polsce komunistycznej te „burżuazyjne” normy prawne utrzymały się niemal trzykrotnie dłużej. Nie były widocznie tak złe, skoro w nowych i nieprzyjaznych przedwojennej Polsce stosunkach politycznych i społecznych przetrwały tak wiele lat. Z naciskiem więc podkreślić należy, że aż trzy dziesięciolecia były potrzebne, by ustrój w którym — według jego własnych słów — praca jest podstawowym prawem, obowiązkiem i sprawą honoru każdego obywatela, wreszcie zdobył się na dokonanie kodyfikacji prawa pracy. Złożyło się na to wiele przyczyn jak nieudolność Centralnej Rady Związków Zawodowych, która przez około 20 lat marudziła nad kolejnymi projektami kodeksu, a także i opory natury partyjno-politycznej, by spory wynikające ze stosunku pracy poddać jednak, przynajmniej w wyższej instancji, właściwości sądów pracy i ograniczyć rolę tzw. zakładowych komisji rozjemczych.

Przyjrzyjmy się więc temu nowemu Kodeksowi. Jest to obszerna ustawa licząca 306 artykułów, z których wiele dzieli się na liczne i długie paragrafy. Kodeks reguluje całokształt zagadnień związanych ze stosunkiem pracy, a więc samą umowę o pracę, wynagrodzenie za pracę, obowiązki zakładu pracy i pracownika, odpowiedzialność materialną pracowników, czas pracy,

urlopy pracownicze, ochronę pracy kobiet, zatrudnianie młodocianych, bezpieczeństwo i higienę pracy, układy zbiorowe oraz rolę związków zawodowych i rad zakładowych, w końcu rozpatrywanie sporów o roszczenia pracowników ze stosunku pracy i odpowiedzialność za wykroczenia przeciwko prawom pracownika. Istotne jest, że Kodeks Pracy stosuje się do wszelkich form świadczenia pracy a więc do pracy świadczonej na podstawie umowy o pracę, na podstawie powołania, wyboru lub mianowania, w końcu do pracy na podstawie tzw. spółdzielczej umowy o pracę — innymi słowy kodeks spełnia rolę ustawy o państwowej służbie cywilnej w urzędach państwowych jak też rolą zbioru norm o cywilno- czyli prywatno-prawnej umowie o pracę w przedsiębiorstwach przemysłowych, rolnych i handlowych. Jest to o tyle uzasadnione, że w państwie komunistycznym całość gospodarki jest w rękach państwa i spółdzielni, nie ma więc powodu, by inne przepisy regulowały służbę w urzędach a inne pracę w przedsiębiorstwach.

Istotne jest, że kodeks znosi podział pracowników na robotników i pracowników umysłowych i że wszystkim pracownikom przyznaje te same uprawnienia, obejmując ich jednakowymi przepisami umowy o pracę i traktując jednako okresy próbnie, powody i okresy wypowiedzenia, uprawnienia urlopowe i chorobowe itd. Ze społecznego punktu widzenia jest to niewątpliwym postępem w porównaniu z dotychczasowym stanem rzeczy.

Wśród obowiązków pracowniczych wymienić należy — obok sumiennego i starannego wykonywania pracy i przestrzegania jej dyscypliny — dążenie do uzyskiwania w pracy jak najlepszych wyników i przejawianie w tym celu odpowiedniej inicjatywy, dbanie o dobro i chronienie mienia zakładu pracy i przestrzeganie tzw. zasad współżycia społecznego czyli, innymi słowy, nakazów płynących z polityczno-społecznych tez marksizmu-leninizmu i wskazówek partii. Wśród obowiązków zakładu pracy natomiast wymienić należy — obok klasycznych obowiązków zaznajomienia pracowników z ich obowiązkami, właściwego zorganizowania pracy, zapewnienia jej bezpiecznych i higienicznych warunków oraz przestrzegania jej porządku i dyscypliny — wpływanie na kształtowanie się w zakładzie pracy zasad współżycia społecznego, stosowanie obiektywnych i sprawiedliwych kryteriów oceny pracowników i wyników ich pracy, zaspakajanie socjalnych i kulturalnych potrzeb pracowników oraz ułatwianie pracownikom podnoszenia kwalifikacji zawodowych i doksztalcania się.

Już z tego pobieżnego zestawienia obowiązków pracownika i zakładu pracy wynikają niewątpliwe walory społeczne Kodeksu Pracy. Tu należy wymienić przede wszystkim ustawowy obowiązek stosowania obiektywnych i sprawiedliwych kryteriów oceny pracowników i wyników ich pracy. Wprawdzie zasadniczy głos w tych sprawach ma kierownik zakładu pracy, ponieważ jednak związki zawodowe działają na rzecz umacniania praworządności w zakresie przestrzegania praw i obowiązków pracowniczych,

mają tym samym, łącznie z radą zakładową — której opinii należy zasięgnąć przed każdym wypowiedzeniem — wpływ na ocenę pracowników i wyników ich pracy. Tym samym wszelka samowola kierownika zakładu pracy jest ograniczona i pracownik ma szansę sprawiedliwej oceny jego osobowości i jego pracy, co dla niego samego i dla atmosfery zakładu pracy ma zasadnicze znaczenie. Wielką zdobycz socjalną stanowią też przepisy kodeksu o obowiązku zakładu pracy ułatwiania pracownikom podnoszenia kwalifikacji zawodowych; stwarzania pracownikom podejmującym zatrudnienie po ukończeniu szkoły zawodowej lub szkoły wyższej warunków sprzyjających przystosowaniu się do należytego wykonywania pracy; szkolenia pracowników w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy, w końcu obowiązek zwalniania młodocianego do lat 18 od pracy na czas potrzebny do wzięcia udziału w zajęciach szkoleniowych w związku z jego obowiązkiem doksztalcania się w zakresie szkoły podstawowej, zawodowej lub ogólnokształcącej. Innymi słowy — bez względu na wiek pracownika zakład pracy ma obowiązek ułatwiania mu zdobycia wyższych kwalifikacji, co umożliwi osobom dorosłym dalsze studia w celu podniesienia kwalifikacji zawodowych i co stanowi wielkie dobrodziejstwo dla ludzi pilnych i żądnych wiedzy, którzy w okresie swej młodości nie mogli odbyć regularnych studiów. Do zdobyczy socjalnych zaliczyć również należy ochronę pracy kobiet, szczególnie warunki zatrudniania młodocianych i ochronę osób w wieku przedemerytalnym przed wypowiedzeniem. Ochrona pracy kobiet polega na zakazie ich zatrudniania przy pracach szczególnie uciążliwych i szkodliwych dla zdrowia, zakazie zatrudniania kobiet ciężarnych w godzinach nadliczbowych i w porze nocnej i zakazie rozwiązania umowy o pracę w okresie ciąży a także w okresie urlopu macierzyńskiego pracownicy, wynoszącego od 18 do 26 tygodni; urlop przysługuje też w razie urodzenia dziecka martwego lub wymagającego opieki szpitalnej a także w przypadku przysposobienia (adopeji) dziecka, w końcu urlop bezpłatny przysługuje kobiecie w celu sprawowania opieki nad małym dzieckiem a specjalne ulgi przewidziane są dla matek karmiących. Przepisy o zatrudnianiu młodocianych przewidują zakaz zatrudniania małoletnich do lat 15-tu, odnośnie zaś młodocianych w wieku lat 15-18 kodeks zezwala na zatrudnianie tylko tych, którzy ukończyli co najmniej szkołę podstawową i przedstawiają świadectwo lekarskie stwierdzające, że praca danego rodzaju nie zagraża ich zdrowiu. Ponadto kodeks reguluje przypadki zawierania umów o pracę z młodocianymi w celu przygotowania zawodowego oraz nakłada na nich obowiązek doksztalcania się w zakresie szkoły podstawowej, zawodowej lub ogólnokształcącej. Kodeks zawiera też dyspozycje o szczególnej ochronie zdrowia młodocianych w zakresie czasu ich pracy i urlopów wypoczynkowych oraz o rzemieślniczej nauce zawodu. Wielką zdobycz socjalną stanowi ustawowy zakaz wypowiedzenia umowy o pracę pracownikowi, któremu brakuje nie więcej niż 2 lata do osiągnięcia wieku emerytalnego, jeżeli okres zatrudnienia moż-

liwia mu uzyskanie prawa do emerytury z osiągnięciem tego wieku. Aspekt socjalny posiadają też szeroko rozbudowane przepisy o bezpieczeństwie i higienie pracy, o profilaktycznej ochronie zdrowia i opiece lekarskiej, o specjalnym szkoleniu zawodowym w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy i o postępowaniu w sprawach wypadków przy pracy oraz chorób zawodowych, przewidujące daleko idące obowiązki zakładu pracy i inspekcji sanitarnej w zakresie profilaktyki i leczenia tego typu chorób.

Niestety wszystkie te socjalne zdobycze Kodeksu Pracy posiadają odwrotną stronę medalu pod postacią sankcji przeciwko pracownikowi, i to bardzo dotkliwych jeżeli chce się przeciwko niemu użyć bicia w przypadku tzw. ujemnych zjawisk i postaw. Należą tu przede wszystkim kary za naruszenie porządku i dyscypliny pracy. Kary polegają na udzieleniu upomnienia lub nagany a w przypadku nieprzestrzegania przepisów o bezpieczeństwie i higienie pracy, opuszczenia pracy bez usprawiedliwienia i za stan nietrzeźwości w pracy wymierza się karę pieniężną, nie mogącą przewyższyć dziesiątej części wynagrodzenia przypadającego pracownikowi do wypłaty. Kary wymierza kierownik zakładu pracy. Znacznie gorsze sankcje przewiduje Kodeks Pracy w przepisach odpowiedzialności materialnej pracowników za szkodę wyrządzoną zakładowi pracy oraz z tytułu odpowiedzialności za powierzone im mienie (pieniądze, papiery wartościowe, kosztowności, urządzenia i instrumenty, odzież ochronną i robotę, sprzęt ochrony osobistej). W przypadku odpowiedzialności za szkodę, wyrządzoną zakładowi pracy, odszkodowanie ustala sąd w wysokości wyrządzonej szkody jednakże w wymiarze nie przekraczającym kwoty 3-miesięcznego wynagrodzenia pracownika. W przypadku zagarnięcia mienia społecznego albo umyślnego wyrządzenia szkody pracownik obowiązany jest do jej naprawienia w pełnej wysokości. O ile ta ostatnia zasada nie wywołuje zastrzeżeń i mieści się w ramach tradycyjnych koncepcji prawa, o tyle poprzednio wyrażona zasada odszkodowania w ramach 3-miesięcznego wynagrodzenia w przypadku nawet nieumyślnego wyrządzenia szkody budzić musi najdalej idące zastrzeżenia. Stanowi ona brutalny środek nacisku, jakiego reżym może użyć przeciwko wszystkim niewygodnym mu ludziom, nie trudno bowiem nawet najlepszemu pracownikowi zarzucić jakieś przewinienie i uczynić go odpowiedzialnym za wynikłą stąd nieumyślnie szkodę. Identyczne zastrzeżenia budzić musi przepis Kodeksu Pracy, że za wadliwe wykonanie z winy pracownika produktów lub usług wynagrodzenie za pracę mu nie przysługuje, jeśli zaś z winy pracownika nastąpiło obniżenie jakości produktu lub usługi, wynagrodzenie ulega odpowiedniemu zmniejszeniu. Również i ten przepis jest ciemną plamą kodeksu rzucającą cień na wszystkie jego postępowe dyspozycje socjalne, cóż bowiem znaczą one skoro reżym ma każdej chwili możliwość pozbawienia każdego niewygodnego mu pracownika całego jego mienia i podstawy bytu poprzez postawienie mu zarzutów niezmiernie łatwych do skonstruowania. Nie sposób w tym kontekście nie wspomnieć

o tzw. zbrodni sabotażu w niesławnej pamięci tzw. małym kodeksie karnym epoki stalinowskiej, gdzie sądy wojskowe skazywały na drakońskie wyroki do kary śmierci włącznie kierowników zakładów pracy lub kierowników działu produkcji za jakieś niedociągnięcia produkcyjne, gdzie ich osobista wina była bądź minimalna bądź z reguły żadna.

Jeśli chodzi o znaczenie ekonomiczne kodeksu, to sam kodeks nie rozwiązuje jeszcze strony ekonomicznej stosunku pracy. Kodeks zawiera bowiem dyspozycję generalną, że zasady wynagradzania za pracę oraz przyznawanie innych świadczeń, związanych z pracą, określa Rada Ministrów w porozumieniu z Centralną Radą Związków Zawodowych. Do tych organów należy też ustalanie norm pracy, stanowiących miernik nakładu pracy, jej wydajności i jakości. Pod tym więc względem kodeks niczego nie zmienia i nie wprowadza żadnych innowacji. O ekonomicznych zyskach pracownika decydować więc nadal będą normy finansowe ustalane przez rząd a ludziom szczególnie zasłużonym kierownik zakładu pracy będzie mógł przyznawać nagrody pieniężne i udzielać pochwał. Kodeks nie zawiera więc żadnych dyspozycji umożliwiających wzrost wynagrodzeń, jeśli zaś chodzi o czas pracy to nie uległ on skróceniu przez Kodeks Pracy, który dalej przewiduje pracę do 8 godzin dziennie i 46 godzin tygodniowo.

Dla całości obrazu słów kilka poświęcić należy dyspozycjom kodeksu szczególnie ważnym z punktu widzenia prawnego. Tu wymienić należy przede wszystkim zagadnienie rozwiązywania umowy o pracę. Otóż w razie wypowiedzenia przez zakład umowy o pracę, pracownik może wnieść odwołanie od wypowiedzenia do komisji odwoławczej do spraw pracy, jednostki na szczeblu miasta której przewodniczy sędzia zawodowy. Uwzględniając odwołanie komisja orzeka o bezskuteczności wypowiedzenia i o przywróceniu pracownika do pracy. W razie wypowiedzenia umowy zakład pracy winien wydać pracownikowi świadectwo pracy a na jego wniosek również opinię o pracy, o której sprostowanie pracownik może wystąpić do jednostki nadrzędnej nad zakładem pracy. Przypadki rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia (natychmiastowe zwolnienie) są prawidłowo uregulowane i powtarzają zasadę dekretu z 1956 roku iż rozwiązanie to może nastąpić w razie ciężkiego naruszenia przez pracownika podstawowych obowiązków pracowniczych. Spory o roszczenia pracowników rozpatrują zakładowe i miejskie komisje rozjemcze, miejskie komisje odwoławcze oraz okręgowe sądy pracy i ubezpieczeń. Sądy pracy i ubezpieczeń społecznych rozpatrują odwołania od orzeczeń komisji rozjemczych i komisji odwoławczych od spraw pracy oraz orzekają w sprawach, przedstawionych im przez komisje rozjemcze, jeżeli jest to celowe ze względu na występujące w sprawie poważne wątpliwości prawne. W tej ostatniej kategorii spraw przysługuje odwołanie od sądu pracy i ubezpieczeń społecznych do Sądu Najwyższego. Prawo wniesienia rewizji nadzwyczajnej do tegoż Sądu w razie rażącego naruszenia prawa lub interesu PRL przysługuje Ministrom Sprawie-

długości oraz Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, Pierwszemu Prezesowi Sądu Najwyższego, Prokuratorowi Generalnemu PRL i Centralnej Radzie Związków Zawodowych. Choć sądownictwo w Polsce dzisiejszej jest niezawisłe jedynie z nazwy i podlega całkowitej kontroli politycznej, należy powitać z uznaniem możliwość skierowania w wyższej instancji każdej sprawy do sądu pracy chociażby ze względu na to, iż rozstrzygnięcie sprawy znajdzie się w ręku zawodowych sędziów, co mimo wszystko daje szansę bardziej obiektywnego rozpoznania sprawy niż przez komisję rozjemczą, bardziej podatną lokalnym naciskom partyjnopolitycznym.

Jeżeli na zakończenie tych uwag odpowiedzieć należy na pytanie, czy wydanie Kodeksu Pracy ocenić należy dodatnio, wówczas odpowiedź musi być pozytywna. Mimo swych wad i możliwości sankcji przeciw pracownikom Kodeks Pracy ma dwie dodatnie cechy. Po pierwsze zawiera szereg dyspozycji o dużym znaczeniu socjalnym i bardzo dla pracowników przydatnych. Po wtóre — zastępuje dziesiątki ustaw, rozporządzeń, uchwał i zarządzeń z ich rozproszonymi w najprzeróżniejszych tekstach dyspozycjami jednym aktem prawnym, jasno sformułowanym i wyraźnie stanowiącym o uprawnieniach i obowiązkach pracowniczych. Ma to tę wielką praktyczną zaletę, że każdy pracownik może w jednym tekście kodeksu znaleźć odpowiedź na pytania z zakresu praw i obowiązków pracowniczych zamiast szukania ich w rozlicznych niedostępnych dla niego źródłach. Wypada jedynie życzyć ludziom pracy w Polsce, by z tekstu Kodeksu Pracy szeroko czerpali wiedzę o swych uprawnieniach i by domagali się od rad zakładowych i związków zawodowych najdalej idącej pomocy w realizowaniu swych praw pracowniczych i w obronie swych interesów zawodowych. Przyjdzie im to tym łatwiej, że uprawnienia te można dzięki radom zakładowym, związkom zawodowym i sądom pracy egzekwować w przeciwieństwie do praw obywatelskich, pięknie wydrukowanych w Konstytucji PRL z 22 lipca 1952 roku i niemożliwych do zrealizowania — praw których już nikt nie bierze na serio nie wyłączając polityków Zachodu co najwyżej udających iż prawa te traktują poważnie.

Niestety — nowy polski Kodeks Pracy niezbyt długo mógł regulować stosunki pracy zgodnie z literą i duchem swych przepisów. Niespełna półtora roku po wejściu kodeksu w życie nadeszła nań ciężka godzina próby w warunkach tragicznego kryzysu. Po zajściach w Ursusie i Radomiu zastosowano wobec protestujących robotników masowo przepisy o natychmiastowym zwolnieniu bez wypowiedzenia. Przypomnijmy w tym kontekście, że Kodeks Pracy nigdzie nie wspomina o prawie do strajku względnie o zakazie strajku, co zgodne jest z doktryną komunistyczną, której pojęcie strajku jako podstawowego prawa pracowniczego jest nieznaną. W gwarze potocznej ludzie pracy w Polsce mówią o strajku, gdy robotnicy na znak protestu zaprzestają

pracy. Z punktu widzenia Kodeksu Pracy tego rodzaju postępowanie pracowników podpada pod pojęcie opuszczenia pracy bez usprawiedliwienia, za co może być wymierzona kara pieniężna. W rozlicznych instrukcjach rządowych oraz Centralnej Rady Związków Zawodowych mowa jest często o niewłaściwości opuszczenia pracy bez usprawiedliwienia, przez co rozumieć należy potępienie wszelkiego rodzaju strajków.

Tego rodzaju unormowanie tej sprawy przez polski Kodeks Pracy jest w świetle prawa klasy robotniczej do strajku w rozumieniu demokracji z prawdziwego zdarzenia niesłuszne. W konkretnym przypadku zajęć w Ursusie i Radomiu przerwanie pracy na znak protestu przeciw podwyżce cen artykułów spożywczych było więcej niż usprawiedliwione, gdyż było jedynym możliwym środkiem protestu bez zastosowania przemocy. Słuszność tego protestu została w ciągu kilku godzin potwierdzona przez fakt odwołania podwyżki cen przez Rząd. Jeżeli mimo to nie zastosowano wobec protestujących robotników przewidzianych w tym przypadku przez kodeks łagodniejszych przepisów o karze pieniężnej, lecz zastosowano do nich dalej idące przepisy o zwolnieniu z pracy bez wypowiedzenia, świadczy to o rażącym pogwałceniu Kodeksu Pracy w szczególnie drastycznych okolicznościach. Ustaliliśmy wyżej, że zasada kodeksu o natychmiastowym zwolnieniu pracownika z pracy bez wypowiedzenia w przypadku ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych jest z punktu widzenia prawniczego prawidłowa. Ale właśnie tego rodzaju sytuacja nie zachodzi w przypadku usprawiedliwionego protestu robotniczego bez aktów gwałtu. Nie może być w tym przypadku w ogóle mowy o ciężkim naruszeniu podstawowego obowiązku świadczenia pracy, gdyż — jak słusznie stwierdza prof. Czachórski w swej pracy „Prawo zobowiązań w zarysie” (Warszawa, 1968, str. 334) — na element winy dłużnika, w tym przypadku pracownika, składa się element obiektywny oraz „element subiektywny, który sprowadza się do wadliwości zachowania się podmiotowej, uwzględniającej moment przewidywania i moment woli”. Tej wadliwości zachowania się nie było, gdyż brak było złośliwej intencji opuszczenia miejsca pracy — celem spowodowania szkody zakładowi pracy lecz przeciwnie — opuszczenie pracy celem odwrócenia krzywdy zamierzonej wobec świata pracy poprzez skandaliczną podwyżkę cen artykułów żywnościowych. Nie pomoże też „ulegalizowanie” *ex post* tego postępowania poprzez ustanowienie w zakładowych regulaminach pracy zasady natychmiastowego zwolnienia w przypadku nieusprawiedliwionej zdaniam pracodawcy nieobecności w pracy, jak to uczynił minister przemysłu maszynowego pismem z dn. 17 lipca 1976 roku (*Kultura* Nr 11/350 z 1976 r., str. 185). Przykładki stosowania tej zasady unormowane są w Kodeksie Pracy i mogą być interpretowane jedynie przez powołane do tego organa sądowe; poprawianie ustaw czy zastępowanie orzeczeń sądowych okólnikiem ministerialnym zakrawają na kpiny z praworządności i prowadzi zawsze do skutków żałosnych.

Wiadomości z Polski na temat dalszych losów procesów sądowych są nader skąpe. Warto by ustalić czy w przypadkach masowego stosowania natychmiastowego zwolnienia w Ursusie i Radomiu zachowano wymóg wysłuchania opinii rad zakładowych oraz jakiej treści były te opinie. Warto by też ustalić, czy Prokuratura wyciągnęła konsekwencje wobec kierowników zakładów pracy, którzy z naruszeniem Kodeksu Pracy zwolnili bez wypowiedzenia protestujących robotników, w myśl bowiem art. 190 Kodeksu Karnego podlega karze pozbawienia wolności do lat 3-ch ten, kto będąc w zakładzie pracy odpowiedzialnym za sprawy zatrudnienia złośliwie lub uporczywie narusza prawa pracownika wynikające ze stosunku pracy i przez to naraża pracownika na poważną szkodę. Najciekawsze jednak będzie ustalenie, jakie stanowisko zajmie Sąd Najwyższy, Izba Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, w sprawie bezprawnego stosowania przepisów o natychmiastowym zwolnieniu z pracy pracowników protestujących przeciw podwyżce cen przez wstrzymanie się od pracy. Godzi się nadmienić, że Sąd Najwyższy, Izba Kar, wykazał pewną samodzielność myślenia i działania, gdy obniżył w kilku sprawach wymiar kary i zawiesił jej wykonanie stosując przepisy o nadzwyczajnym złagodzeniu kary. (Te nadzieje okazały się płonne. *Red.*)

W ciężkiej godzinie próby zawiódł nie Kodeks Pracy. Zawiedli ludzie, którzy systemowi prawnemu w PRL nadali podwójne znamię: z jednej strony pięknych i szumnych zasad słownych w celu propagandy ustroju, z drugiej zaś strony — przedłużonego ramienia władzy celem trzymania społeczeństwa w ryzach terrorem. Przegrany jest nie Kodeks Pracy lecz reżym, który poprzez nieprzemyślaną podwyżkę cen a później przez swą postawę w Ursusie i Radomiu wystawił sobie wymowne świadectwo intelektualnego, politycznego i moralnego ubóstwa.

Ludwik FRENDL

Wołanie na puszczy

Pochwała kłamstwa

Kłamstwo można by pochwalić — zwłaszcza gdy jest konsekwentne i rozbudowane. Stanowi wtedy swego rodzaju kunszt, a kunszt zawsze zasługuje na pochwałę, bez względu na swój kierunek (patrz Machiavelli, Leonardo da Vinci, „Traktat o dobrej robocie” prof. Kotarbińskiego). Pytanie tylko, czy kłamstwo rozbudowane i uporczywe ma na celu oszukanie ludzi, czy też na-

kłonięcie ich, aby z pełną świadomością wzięli w nim udział. Bardziej prawdopodobne wydaje mi się to drugie. Gdy ktoś kłamie bardzo konsekwentnie, dostosowując do zasadniczego ruszowania swego kłamstwa wszystkie szczegóły i zakamarki, daje tym dowód, że liczy się z możliwością zdemaskowania i wkłada wiele sztuki, zręczności, czyli właśnie kunsztu, aby tej ewentualności uniknąć. Wysiłek i konsekwencja w kłamstwie dowodzą, iż kłamiący zakłada, że ktoś go kontroluje i śledzi, że ten ktoś jest świadomy jego akcji i mógłby w sposób negatywny wyzyskać każdą w niej lukę. Unikając takiej luki konstruktor kłamstwa wyraża pewnego rodzaju uznanie dla swego obserwatora a także zakłada, że człowiek ów, nawet w kłamstwie doskonałym, czyli pozbawionym jakichkolwiek luk, mógłby przeczuwać nieprawdę, bardzo jednak trudną wtedy do przyłapania, wyslizgującą się z ręki jak idealnie obłe mydło. Jest tu więc coś w rodzaju pojedynku kłamstwa doskonałego z doskonałym niedowiarstwem, przy czym każdemu z pojedynkujących się bardzo jest się trudno przyznać do swojej postawy, tak dalece obie te postawy, będąc monolitycznie gładkie, nie dają uchwytu dla rąk, czyli możliwości dla rozpoczęcia jakiejś akcji kruszącej. Konstruuując kłamstwo doskonałe i wszechstronne konstruuujący daje jednak pośrednio wyraz swemu zaufaniu do bezsilnego lecz świadomego rzeczy odbiorcy a także wyraz jakiejś wspólności z nim, wspólności, łączącej ludzi wytrawnych i doświadczonych po obu stronach. Zdaje się on mówić do swego odbiorcy i partnera: widzisz, bracie, ty mojego monolitu nie ugryziesz, nie ma w ogóle gdzie włożyć palca, wszystko przewidziałem i ubezpieczyłem się na wszelkie sposoby. Wobec tego daj sobie spokój ze zwalczaniem mnie, przyjmij w całości (inaczej nie można) to, co ci mówię, a jeśli już koniecznie upierasz się, że to nie jest prawda, przyjmij rzecz jako nasz wspólny język, jako mowę ochronną, umowną a konieczną — dasz tym dowód inteligencji a także uznania dla mojego kunsztu, kunsztu, dzięki któremu i ty żyjesz, będąc chroniony. I w ten sposób, nawet nie zgadzając się z sobą, możemy zostać przyjaciółmi. A o to tylko chodzi. Zawrzyjmy więc nasz kontrakt z ograniczoną odpowiedzialnością tudzież możliwością.

Mowa umowna właśnie. Czy to też jest odmiana kłamstwa? Jeśli konstruuje się język, rodzaj swoistego esperanta, w którym nie ma słów na określenie pewnych rzeczy czy spraw, to *eo ipso*, używając tego języka nie poruszamy owych rzeczy i spraw, bo po prostu nie mamy możliwości. Proszę pamiętać, że język to nie jest myśl, język to pewna konwencja zewnętrzna, która nazywa niektóre rzeczy, sytuacje czy stany myślowe, niektóre, więc nie wszystkie. Język bowiem może być bardzo skonwencjonalizowany i ograniczony do pewnego typu spraw, wobec czego wyłączne używanie go na pewnym ściśle ograniczonym terenie i w pewnym określonym czasie sprawia, iż szereg pojęć zostaje z niego wyeliminowanych. To nie znaczy, że przestają one istnieć w ogóle, lecz przestają istnieć w kategoriach przyjętego języka, takie są zasady gry, że gra się określonymi kamie-

niami: w domino podłużnymi kostkami z odpowiednią ilością oczek, w bridża kartami, dobrze wszystkim znanymi, w mah-jonga kamieniami, na których umieszczono wizerunki smoków, charakterów, wiatrów. Kto chce grać w daną grę, musi grać właściwymi jej, konkretnymi elementami, kto chce mieszkać w danym czasie na danym terenie, musi posługiwać się właściwym dla tego środowiska zespołem słownych symboli, czyli właściwym, ustalonym tutaj językiem. Jeśli zaś twierdzi, że jest to język kłamliwy, popęlnia zasadnicze, pojęciowe uproszczenie, język bowiem nie jest wyrazem wszystkiego co istnieje, jest tylko zespołem pewnych słownych symboli, zespołem ograniczonym do słów symbolizujących rzeczy czy sprawy, które na danym terenie uznano za istniejące, potrzebne, wyrastające z rzeczywistości lub też kształtujące ją. To ostatnie zwłaszcza, motywacja, że potrzebne jest to co kształtuje rzeczywistość czy też utrzymuje ją w pewnym kształcie, bardzo jest ważne. Przed wojną grano w Warszawie komedię „Dzień bez kłamstwa”, autora nie pomnę. Pewne osoby w tej sztuce postanowiły przeżyć jeden dzień absolutnie bez kłamstwa, przez 24 godziny mówić wyłącznie całą, znaną im prawdę. Zakończyło się to fatalnie, okropnymi awanturami i porażką dla wszystkich. Była to bowiem próba wykroczenia poza konwencję danego miejsca i czasu, poza użyteczny system kłamstw, utrzymujący rzeczywistość w określonej formie, w określonym kształcie, niezbędnym najwidoczniej dla danego etapu, dostosowanym doń, dobrze doń przylegającym.

Oczywiście, powie ktoś, że ograniczoność i sztuczność umownego języka może być przeszkodą w rozwoju, że język należy zmieniać, rozszerzać, przetwarzać. Niewątpliwie tak. Nawet w ramach istniejącego, ściśle w swej ilości określonego zespołu słów, jeśli uważamy, że da się przezeń wyrazić względnie nazwać pewne tylko, nie odpowiadające rzeczywistości myśli, rzeczy lub sprawy, można spróbować, przez łączenie tych słów w nowe grupy, znaleźć odpowiedniki dla innych niż powszechnie używane i uznane ujęć, postaw czy spostrzeżeń. Można też zażądać słów nowych, gdy wyłoni się tego potrzeba. Człowiek prymitywnie żyjący w lesie, gdy przeniesiony zostanie nagle w warunki cywilizacji miejskiej, odczuje gwałtowne zapotrzebowanie na szereg nowych słownych symboli, określających zjawiska, których w poprzednim jego bytowaniu nie było. W języku skamieniałym, języku pewnej epoki, jakim jest łacina, brak na przykład słów na określenie elektryczności, samochodu, radia, telewizji, chcąc zaadaptować łacinę do dzisiejszości trzeba by te słowa wymyślić, oczywiście przystosowując je pod względem formy dźwiękowej do ogólnych cech i norm tego języka. Ale z faktu, że w łacinie nie istnieje wiele słów i pojęć nie należy wyprowadzać wniosku, że łacina jest językiem kłamliwym — byłby to jawny absurd.

Wracając więc do punktu wyjścia (pochwała kłamstwa) twierdzą tylko, z konieczną w tej sprawie ostrożnością, że stosunek kłamstwa do prawdy jest skomplikowany, podobnie jak stosunek słowa do myśli. Konstruktor kłamstwa doskonałego wie o tym

doskonale i, gdy go zaatakujecie, zasłoni się niewątpliwie koniecznościami języka, właściwego danej, wycinkowej zresztą epoce, jej specyficznościami, wymaganiami, jej kształtowaniu. Chwałę go za to, w wyborze bowiem i selekcji oraz dyscyplinie używanych symboli słownym oraz ich zestawów daje on dowód wysokiego i świadomego choć swoistego kunsztu. Chwałę go, co nie dowodzi, że proponuję zaniechanie pojedynku. Sądzę tylko, że pojedynki ów odbywać się musi w myśl pewnych reguł, na przykład na proponowane przez niego słowne szable. On wykazał kunszt w skonstruowaniu zdyscyplinowanej i selektywnej nowomowy, my musimy przeciwstawić mu również kunszt w tworzeniu innego z kolei języka powszechnego użytku, choćby nie mając po temu na razie dużych, materialno-technicznych możliwości. Ale, kładę na to nacisk, bez własnego języka powszechnego użytku nie ma się co porywać na konstruktora. Pobje nas kunsztem, nie ma w życiu kłamstwa ani prawdy bez językowego kunsztu, ludzie bowiem nie mogą porozumiewać się inaczej, jak z pomocą języka, czyli misternego zestawu symboli, wyrażającego pewne myśli w pewien określony sposób. A więc przeciw kunsztowi trzeba mieć własny językowy kunszt, innej drogi nie ma jeśli chcemy przyjąć pojedynkowe partnerstwo wobec Konstruktorów. Dlatego też właśnie przerzuciłem się ostatnio ze studiów politycznych na językoznawcze, czego i Wam życzę.

KISIEL

(Felieton skonfiskowany w *Tygodniku Powszechnych*. — Red.)

OŚWIADCZENIE

Niżej podpisani zgodzili się, na prośbę przedstawicieli Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju, odgrywać rolę mężów zaufania PPN za granicą. Znaczy to, że autentyczność przesyłanych z Kraju materiałów PPN może potwierdzić (lub zakwestionować) tylko jeden z niżej podpisanych.

Rzecz jasna, że za treść materiałów PPN przesyłanych z Kraju na ręce niżej podpisanych odpowiadają wyłącznie ich autorzy krajowi.

- (—) Prof. Leszek KOŁAKOWSKI (Oxford)
- (—) Prof. Jerzy LERSKI (San Francisco)
- (—) Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI (Neapol)

Rozgłośnia polska RWE oraz polskie dzienniki i czasopisma emigracyjne proszone są o rozpowszechnienie niniejszego oświadczenia.

Sąsiedzi

Węgry po dwudziestu latach

Minęło 20 lat od roku 1956, roku wielkiej wagi w życiu narodu węgierskiego. Od tego czasu dorosło całe nowe pokolenie, co pociąga za sobą konieczność przypomnienia wydarzeń i ponownej oceny powstania węgierskiego, gdyż żadne kłamstwa nie potrafią tak skutecznie przesłonić prawdy historycznej, jak czas.

Co wydarzyło się w Budapeszcie 23 października 1956 roku? Otrzymała się spokojna masowa manifestacja studentów Uniwersytetu, mająca na celu dwie rzeczy: wykazanie solidarności Węgier z ruchem reformy w Polsce i z polskimi staraniami o utwierdzenie narodowej niezawisłości, oraz przyspieszenie na Węgrzech zmian, których ostatecznym wynikiem byłaby pełna destalinizacja aparatu rządzącego i powrót na kierownicze stanowisko Imre Nagy'ego¹. Mieszkańcy Budapesztu, dowiedziawszy się o manifestacji z komunikatu radiowego, który najpierw ją zakazał a następnie na nią pozwolił, szybko do niej dołączyli, tak że późnym popołudniem ulicami szedł tłum liczący dosłownie setki tysięcy i skandujący „Teraz albo nigdy”². Wieczorem Sekretarz Partii Ernő Gerő prowokacyjnie wystąpił z przemówieniem przeciwko manifestującym; wkrótce nieopodal głównego budynku radia na ulicy Sandor Brody rozległy się strzały. Radia pilnowały oddziały AVH, węgierskiej służby bezpieczeństwa, i według większości świadków naocznych one właśnie otworzyły ogień. Sporadyczne walki trwały całą noc, ale we wczesnych godzinach rannych dołączyły czołgi z jednostek sowieckich na terenie Węgier, do których władze — nadal w rękach stalinowców — zaapelowały o zbrojną interwencję. W tym czasie manifestacja stała się już czymś w rodzaju „Poznania”, zamienionego w powstanie o wyzwolenie narodowe.

Z przyczyn częściowo politycznych, a częściowo wojskowych,

1. Nagy był przedtem premierem od czerwca 1953 do grudnia 1954 roku.

2. Z „Narodowej pieśni” Sandora Petőfi, która jest emocjonalnym wezwaniem do narodu węgierskiego, żeby powstał przeciwko tyranii.

Sowiety przegrały pierwszą rundę i musiały poczekać na posiłki. Imre Nagy, którego Gerő pospiesznie dokooptował jako premiera, najpierw zaapelował o zawieszenie broni a następnie zażądał, żeby wojska sowieckie wycofały się ze stolicy. Uczyniły to 31 października, niemniej na teren Węgier przybywało coraz więcej sowieckich oddziałów i czołgów. Nagy założył wspólnie z niekomunistycznymi partiami lewicowymi koalicję rządową na wzór koalicji z roku 1945 i w ramach protestu przeciwko trwającemu nadal przemieszczaniu wojsk sowieckich (łącznie z otoczeniem lotniska w Budapeszcie) ogłosił neutralność Węgier. 4 listopada 1956 roku wojska sowieckie uderzyły ponownie i po paru dniach było już po wszystkim, przynajmniej pod względem wojskowym. Przez następne kilka miesięcy trwał jeszcze opór polityczny przeciwko popieranemu przez Sowiety Janosowi Kadarowi, byłemu członkowi rządu Imre Nagy'ego, który początkowo obiecał wykonać większość żądań rewolucyjnych, łącznie z usunięciem z terenu Węgier sowieckich sił zbrojnych. Imre Nagy znalazł azyl w ambasadzie jugosłowiańskiej, skąd po krótkim czasie wyszedł, wierząc w zapewnienie bezpieczeństwa osobistego dane mu przez Kadarą. Został on natychmiast zaaresztowany przez Rosjan i zabrany do Rumunii, gdzie po pewnym czasie wytoczono mu tajny proces i stracono za „zdradę stanu” w czerwcu 1958 roku.

Tak przedstawiają się podstawowe fakty o węgierskim Październiku. Czy był on nieunikniony? Czy nie można było mu zapobiec? Destalinizacja Węgier musiała nastąpić po XX-tym zjeździe Partii w ZSSR ale przywódcy węgierscy (w większości przeszkoleni w Moskwie) nie doceniali stopnia powszechnej nienawiści wobec polityki przez nich prowadzonej i starali się odroczyć proces zmian. Niestety — Imre Nagy — został w 1955 roku wydalony z Partii przez stalinowskiego szefa Matyasa Rakosi i nie miał ani w partii ani w aparacie bezpieczeństwa wystarczającego poparcia na przygotowanie skutecznego zamachu stanu. Kiedy w 1958 roku wytoczono Nagy'emu proces, sąd Kadarą rzucił mu „spiskowanie” przeciwko reżymowi; w rzeczywistości był on zbyt uczciwy i „legalistyczny” w swoim postępowaniu i kiedy Rakosi i jego ludzie zepchnęli go na pozycje opozycyjne Nagy *spiskował za mało*, z niewystarczającą przemysłowością. O wiele za późno został na powrót przyjęty do Partii i mimo, że został premierem 24 października 1956 roku, przez dłuższy czas nie sprawował władzy, będąc *de facto* więźniem swoich „sojuszników”-stalinowców. Pozostali przywódcy komunistyczni zaś nie mieli kontaktu z masami i kroki przez nich podejmowane nigdy nie nadążały za wydarzeniami. Pod koniec października Partia była już całkowicie rozbita; mimo, że 1 listopada Nagy, Kadar i Lukacs założyli ją ponownie jako MSZMP. W takiej sytuacji Rosja sowiecka nie miała wyboru: musiała albo przyjąć autentyczny wielopartyjny system na Węgrzech, albo zainterweniować zbrojnie i przywrócić hegemonię Partii całkowicie pro-sowieckiej. Z oczywistych powodów wybrała to drugie.

Można wysunąć teorię, że ekscesy powstania spowodowały po-

nową interwencję. Linczowanie agentów policji które miało miejsce podczas rewolty, jest niewątpliwie godne potępienia (i było potępione przez większość gazet podczas powstania), niemniej sprawcą prawdziwych masakr było AVH, czyli właśnie tajna policja: mam tu na myśli strzelaninę w Mosonmagyaróvár (85 zabitych) i masakrę na placu sejmowym 25 października 1956 roku (200-300 zabitych, oraz niezliczona liczba rannych). Jedyną kontra-masakra, która zostawiła plamę na honorze powstania, miała miejsce na placu Köztársaság, gdzie po długim oblężeniu upadł budynek stołecznego komitetu Partii i około 20 osób (w tym 16 członków tajnej policji) zostało zastrzelonych względnie pobitych na śmierć. Niemniej jednak ogólnie, z wyjątkiem wypadków zemsty osobistej, nie prześladowano i nie zabijano ludzi za ich przekonania komunistyczne czy przynależność do Partii. Ponadto, moim zdaniem, wszelkie argumenty utrzymujące że interwencja sowiecka spowodowana była przez „ekscesy”, tracą grunt kiedy przypomnimy sobie Czechosłowację.

Inny argument, często stosowany przez zachodnich przyjaciół Związku Sowieckiego, brzmi, że tak wielkie mocarstwo nie mogło tolerować zerwania Układu Warszawskiego i że to było ostatecznym powodem do ponownej interwencji. Interpretacja ta ignoruje fakt, że deklaracja neutralności Węgier, ogłoszona popołudniu 1 listopada 1956 roku, była reakcją na stały dopływ do Węgier sowieckich wojsk i czołgów³. Można argumentować, że posunięcie to (które zresztą miało pełne poparcie Biura Politycznego Węgierskiej Partii Komunistycznej, z Janosem Kadarem włącznie) osłabiło pozycję Nagy'ego po drugim ataku sowieckim i utrudniło ponowne porozumienie z Kadarem, ale nie odegrało ono decydującej roli w samym ataku, który był przygotowany już na szereg dni przedtem, przypuszczalnie jak tylko wojska angielsko-francuskie wyruszyły przeciwko Egiptowi. Sowieckie władze wojskowe obawiały się ewentualności walki „na dwóch frontach” (była w tym czasie mowa o „ochotnikach” sowieckich dla Egiptu) i chciały jak najszybciej wyeliminować problem węgierski póki jeszcze sytuacja była w miarę opanowana.

Saldo powstania było następujące: kilka tysięcy zabitych, 200 tysięcy uciekinierów na Zachód, tysiące aresztowań i egzekucji. Było to niemniej wydarzenie które głęboko wstrząsnęło nie tylko Węgrami ale całym blokiem sowieckim. Długotrwały wpływ, jaki wywarło ono na rzeczywistość węgierską, ujawnił się dopiero szereg lat później. Między 1956 a 1961 rokiem Janos Kadar, człowiek który 4 listopada stanął na czele rządu wybranego przez Sowiety, został zmuszony do współpracy z aparatczykami-stalinowcami i (bez względu na to, jakie miał początkowo zamiary) do przeprowadzenia kampanii represji, która przeskodziła mu w jego

3. Większość historyków rewolucji węgierskiej jest z tym zgodna, łącznie z tymi którzy po 1956 roku dalej służyli reżymowi. Por. Janos Radanyi, *Hungary and the Superpowers*, Stanford 1972, str. 14.

próbach zreformowania gospodarki węgierskiej i przywrócenia „legalności socjalistycznej” w państwie. Okazją do tego nadarzyła się podczas kampanii destalinizacji przeprowadzonej przez Chruszczowa w latach 1961-1962. W grudniu 1961 roku Kadar po raz pierwszy sformułował słownie swoją pragmatyczną filozofię polityczną: „kto nie jest przeciwko nam — ten jest z nami”. Ta „polityka pojednania”, która przynajmniej gwarantowała przeciętnemu obywatelowi prawo niebrania czynnego udziału w polityce, razem z pokaźnym wzrostem stopy życiowej w latach 60-tych, opłaciła się. W 1964 roku wyznaczono komisję, której zadaniem było przygotowanie reformy gospodarczej decentralizującej planowanie i przywrócenie sensownej struktury cen. Komisja ta, na czele której stanął były socjaldemokrata Rezso Nyers, złożyła raport, którego propozycje zostały przyjęte i od stycznia 1968 wprowadzono na Węgrzech *Nowy Mechanizm Gospodarczy*. Jeżeli na połowę lat 60-tych przypada punkt umocnienia się reżymu Kadara (w 1963 roku była stosunkowo szeroka amnestia), to najwyższa wydajność gospodarcza przypada na okres 1968-1970. Nowy i przypuszczalnie bardziej burzliwy okres we współczesnej historii Węgier zaczął się w 1974 roku, kiedy Nyers i inni współtwórcy reformy gospodarczej podali się do dymisji; niektórzy ekonomiści twierdzą obecnie, że reformę gospodarczą wstrzymano i osłabiono z jednoczesnym umocnieniem kontroli politycznej. Niemniej, w porównaniu z takimi krajami jak Rumunia czy nawet Polska, Węgrzy żyją w dobrobycie, a o wiele więcej Węgrów może wyjeżdżać na Zachód w porównaniu z Czechosłowakami czy Niemcami z NRD. Reżymowi Kadara udało się na razie ominąć bezpośrednią konfrontację z robotnikami czy studentami i pomimo szkieletowania niektórych niekonformistycznych intelektualistów i zmuszenia ich do emigracji, inteligencja jest na ogół spokojna i kolaborująca. Jest to wynik zarówno wewnętrznej dyscypliny Węgrów jak i ostrożnego pragmatyzmu obecnych przywódców. Pomimo to nie bez celu będzie zapytanie, jakiego rodzaju konsolidację osiągnięto na Węgrzech i czy opiera się ona naprawdę na trwałych fundamentach?

Używając historycznego porównania z Kompromisem 1867 roku — który po latach oporu narodowego przeciwko Austrii stworzył Monarchię Austro-Węgierską — można powiedzieć, że reżym Kadara opiera się na o wiele bardziej wątpliwym kompromisie. Kompromis z 1867 roku miał podstawę konstytucyjną — obecny zaś, uzgodniony z Kadarem i przez Kadara, zależy od jego osobistego położenia. Wykazał on swoją lojalność Sowietom w 1956 roku, mógł więc iść na kompromis z narodem węgierskim w latach 1961-1962; ponownie wykazał lojalność w 1968 roku popierając interwencję przeciw Dubczekowi, pozwolono mu więc kontynuować reformę gospodarczą. Stoi on osobiście za tymi funkcjonariuszami węgierskimi, których „liberalna” polityka kulturalna doprowadza do wściekłości anty-kulturalnych biurokratów Husaka i Honeckera. Po jego odejściu nastąpiłby bez wątpienia okres niepewności a nawet zamieszania, jako że *nie ma żadnych gwa-*

rancji konstytucyjnych, zapobiegających gwałtownym czystkom w Partii czy samowolnemu użyciu siły przez organy bezpieczeństwa. Jest też faktem, że mimo iż za jego rządów zaspokojono niektóre pomniejszych żądania ruchu reformy z roku 1956, najważniejsze pozostało nierozstrzygnięte: dwadzieścia lat po powstaniu na terenie Węgier nadal stoją dywizje sowieckie. Wprawdzie, o ile wiadomo, obecny ambasador ZSSR na Węgrzech woli być „w cieniu”, ale nie wiadomo, czy po odejściu Kádara nie będzie on odgrywał większej roli w doradzaniu jego następcom. Nie należy zapominać, kto był ambasadorem sowieckim na Węgrzech w październiku 1956 roku: nie kto inny, jak J. W. Andropow, obecny szef KGB i członek sowieckiego politbiura.

Czy październik 1956 roku był więc bezużyteczną próbą wyzwolenia się z więzów socjalizmu na sowiecką modłę? Nie, ale osiągnięcia jego są ograniczone, a poza tym nie są one nieodwracalne. Dzięki powstaniu Węgry mają nadal specjalną pozycję w bloku sowieckim, mają więcej luzu, nie ma ewidentnej ingerencji Sowietów w wewnętrzne sprawy państwa. Nie mają jednak niezależnej polityki zagranicznej i Kádara nie jest w stanie podjąć własnej decyzji nawet w sprawie tak ważkiej, jak los dużej węgierskiej mniejszości narodowej w sąsiadującej Rumunii, która to mniejszość jest pod stałą presją wynaradawiania. I jakkolwiek dominacja przez Partię jest mniej wyraźna niż w niektórych innych krajach Europy Wschodniej, młodzi ludzie narzekają, że bez konformizmu politycznego czy stosunków nie mogą robić kariery, bo reżym jest ciągle podejrzliwy wobec objawów indywidualnej inicjatywy czy opinii. Węgry w dwadzieścia lat po powstaniu są krajem małym, stosunkowo wygodnym ale ostrożnym, ideologicznie bardziej drobnomieszczańskim niż rewolucyjnym, nominalnie pro-sowieckim ale zazdroścącym Austrii neutralności, są wzorem „komunizmu gulaszowego”, ale nie modelem dla zachodnich partii komunistycznych. O roku 1956 nie mówi się ani dobrze ani źle, lecz jest on mimo wszystko głęboko zakorzeniony w świadomości narodu. Był on przecież — pomijając wszystko inne — wydarzeniem które większości Węgrów przywróciło dumę narodową i wiarę w przyszłość.

George GÖMÖRI

W sowieckiej prasie

Surowe wymagania Redakcji i drukarni zmuszają mnie do napisania tego przeglądu na tydzień przed wydarzeniem, o któ-

rym już drugi miesiąc nie przestają pisać pisma sowieckie, zapewniając że oczekują go „z biciem serca wszyscy postępowi ludzie” planety. Należy się domyślać, że ten komu serce nie zamiera w piersi w oczekiwaniu — nie jest postępowy. Wydarzenie to nastąpi 19 grudnia 1976 roku. W ten dzień generalny sekretarz KC KPZS, marszałek Związku Sowieckiego, Leonid Iljicz Breżniew, skończy 70 lat.

Świętować dziś swoje 70-lecie to dla sowieckiego wodza sprawa łatwa i trudna zarazem. Łatwa, gdyż były już dwa precedensy: 21 grudnia 1949 roku ludzkość obchodziła 70-te urodziny Stalina; 17 kwietnia 1964 roku — 70-lecie Chruszczowa. Trudna zaś dlatego, że za każdym razem w tych obchodach jest coraz mniej blasku i rozmachu. W 1949 roku komuniści całego świata zbierali dary dla Wodza Narodów, scena moskiewskiego Wielkiego Teatru nie mogła pomieścić wasali, którzy zjechali się by oddać pokłon geniuszowi wszystkich czasów i narodów. W 1964 roku i blasku było mniej i liczba wasali zmalała. W 1949 roku nawet sam Mao przybył z darami!

W 1976 roku jubilat musi sam jeździć po podarki i ordery: jeszcze przed jubileuszem Leonid Breżniew otrzymał order w Belgradzie, a później w Bukareszcie (z Warszawy na pewno dostarczą mu do domu). Ucieszyła mnie wiadomość, zamieszczona w prasie sowieckiej 1 grudnia 1976 roku: „Złoty medal peruwiańskiego społeczeństwa dla L. I. Breżniewa”. Oto — pomyślałem — jak peruwiański naród kocha Leonida Breżniewa. Ale z tekstu wzmianki, zamieszczonej mniejszym drukiem, okazało się, że to jedynie peruwiańsko-sowieckie towarzystwo współpracy kulturalnej ofiarowało ten medal, otrzymawszy — ma się rozumieć — polecenie z Moskwy. Jak widać, trzeba dziś zbierać podarki wśród swoich.

W Związku Sowieckim jednak przygotowania do święta rosną z każdym dniem. Zrobiono filmy: „Historia komunisty” (ma się rozumieć jubilata), „Leonid Iljicz Breżniew w Kazachstanie”, „Program pokoju w akcji” oraz „Trudne drogi pokoju” — wszędzie w roli głównej Generalny Sekretarz KC. Wydano też album fotografii „Leonid Breżniew: strony życia, strony epoki”. Ukazała się książka jubilata pt. „Zagadnienia kierowania gospodarką rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. Recenzję z tej książki *Prawda* (30 listopada 1976 r.) zatytułowała krótko i przekonująco: „Nauka jak zwyciężać”. Leonid Breżniew uczy w przemówieniach, raportach i wystąpieniach, zebranych w książce, jak zarządzać gospodarką, tj. jak zwyciężać. W recenzji podkreślono ważną cechę breżniewowskiej „nauki zwyciężania”: „troskliwy i pieczołowity stosunek do kadr”. Zająwszy miejsce Chruszczowa — który uważał siebie za dyktatora, Gospodarza — Breżniew przyjął za podstawę swej polityki wewnętrznej — immobilizm. Jak pisze *Prawda*: „skończono z nieuzasadnionym przetasowywaniem i częstymi zmianami pracowników”. Mowa jest, ma się rozumieć, o „kadrach” i o „kierowniczych pracownikach”. Wyrażają oni swoje zadowolenie, nie żałując miłości i zachwyty dla

Wodza. Na sesji Rady Najwyższej ZSSR artystka tyfliskiego teatru S. M. Cziaureli, w imieniu wszystkich kobiet Gruzji prosiła o pozwolenie: „Wlania naszych uczuć w ten ogromny ocean czci, wdzięczności i miłości, jakie żywią dla was wszyscy ludzie naszej planety, drogi Leonidzie Iljczu! Dziękujemy wam za nasze spokojne życie, za waszą ojcowską troskę — jesteśmy wdzięczne za uśmiechy naszych dzieci”.

Wdzięczność za uśmiechy „naszych dzieci” można sobie wytłumaczyć złymi skutkami dziedzictwa — artystka tyfliskiego teatru jest córką najbardziej znanego z nadwornych reżyserów filmowych Stalina — Michaiła Cziaureli. Ale czym wyjaśnić odpowiedź naczelnika Akademii Sztabu Generalnego armii sowieckiej, gen. armii Iwana Szabrowa, który na zapytanie dziennikarza na czym polega siła strategii sowieckiej odpowiedział — „Na kierowniczej i przewodniej roli partii i ośobiście tow. L. I. Breżniewa”? Wyjaśnienie jest tylko jedno: kult wodza jest fundamentem sowieckiego systemu. Już zatem bez zdziwienia czytamy w komentarzach do „Prawa o ochronie pomników historii i kultury”, uchwalonym w 59 lat po rewolucji, że jednym z najważniejszych zadań tej ustawy będzie ochrona popiersia bohatera Związku Sowieckiego i bohatera pracy socjalistycznej Leonida Iljicza Breżniewa, którego odsłonięcie „w maju 1976 roku naród sowiecki powitał z ogromnym zadowoleniem i serdecznym ciepłem”.

Podejrzewam, że 19 grudnia Breżniew zostanie udekorowany trzecią gwiazdą Bohatera — da mu to prawo do popiersia w Moskwie. Czy zdąży postawić sobie pomnik w stolicy ZSSR, obok pomników Lenina, Marksa i Engelsa — czas pokaże. Stalin po swoim jubileuszu rządził jeszcze trzy i pół roku, Chruszczow jedynie 6 miesięcy...

W końcu listopada 1976 roku, gdy przygotowanie do 70-lecia Breżniewa były już w całym rozpędzie, na ostatniej stronie *Izwestii*, ukazała się z trzydniowym opóźnieniem wiadomość o śmierci w 78-mym roku życia Trofima Łysenki. Nikt chyba — jeśli nie liczyć Stalina i Hitlera — nie przyniósł tyle szkody Związkowi Sowieckiemu jak ten agronom, jeden z największych mistyfikatorów w historii ludzkości. Stawiano mu setki pomników, a najbardziej zdumiewający był pomnik — ławka: na gipsowej ławce siedzą Stalin i Łysenko. Ale jeśli normalnie w wieloosobowych kompozycjach ze Stalinem wszystkie osoby patrzą Stalinowi na usta, słuchając mądrych słów, albo nie zastanawiając się idą z nim, to na ławeczce z Łysenką Wódz Narodów uważnie patrzy na sztuczki, które pokazuje mu przeobrazieliel przyrody.

Łysenko mógł stać się „cudotwórcą”, wywierającym tak magiczny wpływ na Stalina i Chruszczowa, jak Rasputin na ostatnią rosyjską carową, jedynie dlatego, że tak jak Aleksandra Fiedorowna, tak i Josif Wissarionowicz i Nikita Siergiejewicz przez całe życie oczekiwali cudu. I gdy zjawiał się człowiek, który oświadczył,

że wystarczy zmienić środowisko, zewnętrzne otoczenie, by zmienić wrodzone cechy roślin, to przyjęto go z otwartymi ramionami. Od owsa, który Łysenko przemieniał w pszenicę był tylko jeden krok do przekształcenia byłych obywateli imperium rosyjskiego w nowych sowieckich ludzi, a już zmianę otoczenia zewnętrznego Stalin brał na siebie.

Czytelnicy sowieccy tak przywykli do opiewania wodzów, że na pewno czuliby się nieswojo i samotnie bez porównywania sekretarzy generalnych z oceanem. Ale dla przygniatającej większości sowieckich obywateli całkowitym novum były dwa ogłoszenia matrymonialne zamieszczone w *Litieraturnoj Gazecie* (nr 46). W latach 20-tych i w odległych czasach NEP-u ukazywały się ogłoszenia matrymonialne i istniały prywatne biura matrymonialne. Ale od 50-ciu lat uznano to za przykład rozkładu kapitalistycznego. Jednakowoż w ostatnich latach prasa sowiecka coraz częściej pisze o wzrastającym kryzysie demograficznym. „Dlaczego jest coraz mniej dzieci?” — tak zatytułowano artykuł w tejże *Litieraturnoj Gazecie*, w którym „samotny mężczyzna, 48/66, wychowany humanistycznie, domator” wyraża chęć poznania „blondynki do lat 35-ciu, wielbicielki teatru i muzyki symfonicznej”, a „rozwiędzona, 32/162, z sześciolatnym dzieckiem” pragnie poznać „mężczyznę, miłośnika sportu, pełnego radości życia i abstynenta”.

Wzrost ludności spadł, w porównaniu z 1960 rokiem, o jeden milion rocznie. Dzieci jest coraz mniej. Dzisiaj wiedzą to już wszyscy. Powstaje tylko pytanie — dlaczego? Sowieccy demografowie zaczynają dochodzić do wniosku, że „obecny spadek urodzin, to widocznie żywiołowa odpowiedź kobiet na przeciążenie”, to odpowiedź kobiet na ciężką sytuację, w jakiej się znajdują. Emmanuel Todd*, francuski historyk i demograf, uważa spadek urodzin za przekonywujący dowód niezadowolenia z systemem. „Milcząco, ale powszechnie, Rosjanie stosują „strajk kołysek” — pisze Todd, dodając, że brak „pigułki” nie istniejącej w Rosji, zmusza do stałego uciekania się do tradycyjnych środków zapobiegawczych, co z kolei również świadczy o głębokim przekonaniu o konieczności tego „strajku”.

Państwo sowieckie nie znalazło dotąd metod walki z tym „strajkiem”. Dlatego walka o zwiększenie liczby urodzin toczy się na drugim froncie. Dane statystyczne stwierdzają, że stale wzrasta ilość mężczyzn i kobiet nie wstępujących w związki małżeńskie. Według obliczeń prof. Sonina (*Niedziela*, październik 1976 r.) prawie 25% mężczyzn w wieku od 25 do 29 lat i ponad 11% w wieku od 30 do 34-letnich lat nie jest żonatych. Jeszcze więcej jest niezamężnych kobiet. W 1970 roku na jednego mężczyznę przypadało 2,26 kobiet. Nowy front walki o powiększenie liczby urodzin to zwiększenie liczby małżeństw. Na pytanie, dlaczego ludzie sowieccy się nie żenią? — jest wiele odpowiedzi.

* Patrz recenzję M. Brońskiego z książki Emmanuela Todda pt. „Definitywny upadek”. (*Kultura* nr 12/351 z grudnia 1976 r.).

Odpowiedzią, najbardziej popularną wśród demografów jest dziś to, że mężczyźni i kobiety pozostają w stanie bezzennym dlatego, że nie mają gdzie się spotykać i nie mogą się odnaleźć. A więc zadaniem władzy sowieckiej, która dba o swoich obywateli jak żadna inna, jest organizowanie spotkań, które mogłyby się zakończyć małżeństwem, a tym samym zwiększeniem liczby urodzin. Prof. Sonin jest zwolennikiem organizowania biur matrymonialnych, biur spotkań — jak je nazywa. *Litieraturnaja Gazieta* rehabilituje ogłoszenia matrymonialne, powołując się przy tym na autorytet Niemieckiej Republiki Demokratycznej, gdzie pisma zamieszczają tego rodzaju ogłoszenia.

W licznych artykułach, poświęconych problemom demograficznym w ZSSR, coraz częściej pojawia się wskazywanie na alkoholizm jako na jedną z najważniejszych przyczyn spadku liczby urodzin i małżeństw oraz zwiększenia ilości rozwodów. Nie jest przypadkiem, że w jednym z dwóch ogłoszeń, zamieszczonych w *Litieraturnoj Gazecie*, kobieta, wyliczając zalety, która chciałaby widzieć w mężczyźnie, wymienia jako główną — abstynencję. Prof. Sonin przyznaje, że rzeczywiście pociąg do alkoholu wpływa na zmniejszenie ilości małżeństw.

Amerykański ekonomista, Władimir Tremł, analizując dane statystyczne rocznika „ZSSR w cyfrach”, dochodzi do wniosku, że śmiertelność w Związku Sowieckim w roku 1975 wzrosła z 8,7 do 9,3, tj. prawie o 7%. Jeśli idzie o narody słowiańskie, śmiertelność wzrosła zwłaszcza wśród osób w wieku produkcyjnym (a tym samym pijących). Według obliczeń prof. Tremła przeciętna rodzina sowiecka wydaje rocznie na alkohol tyle co średnia amerykańska rodzina na samochód.

Można również przypuszczać, że jednym z powodów spadku urodzin w Związku Sowieckim jest nieustająca histeria wojenna, od rana do wieczora wbijająca do głowy przekonanie o grozie wojny wiszącej nad światem w ogóle, a nad Związkiem Sowieckim w szczególności. E. Todd podaje dane porównawcze o samobójstwach w krajach europejskich. W okresie 5-ciu lat liczba samobójstw w krajach demokracji ludowej: Polska, Węgry, Czechosłowacja, Bułgaria i NRD wzrosła z 14 do 23 na 100 tysięcy. W krajach Europy Zachodniej w tym samym okresie z 12,4 do 14 na 100 tysięcy. Nie mając statystyki samobójstw w Związku Sowieckim E. Todd uważa alkoholizm jako specyficznie sowiecką formę samobójstwa.

Jak wiadomo, przeciętne liczby mogą ukrywać dziwne rzeczy. W Związku Sowieckim przeciętne liczby spadku urodzin np. ukrywają gwałtowny spadek urodzin w Rosji Sowieckiej i wysoki procent przyrostu ludności w Środkiej Azji i na Kaukazie. W najbliższym czasie ilość Rosjan w ZSSR będzie wynosić mniej niż 50% ludności i spadek ten będzie postępował. Jednym z najważniejszych środków, do których uciekają się władze celem przeciwstawienia się „derusyfikacji” jest przymusowe narzucanie języka rosyjskiego w nierosyjskich republikach. Przewodniczący

Rady Narodowościowej ZSSR, Witali Ruben, pisząc w *Litieraturnoj Gazecie* (nr 48) w związku ze świętem Konstytucji sowieckiej (byłej — stalinowskiej) przypomniał, że „I dawniej było wiele usiłowań stworzenia wielkich wielonarodowych imperiów, poczynając od Aleksandra Macedońskiego, a kończąc na hitlerowskim Reichu”. Witali Ruben z jakichś powodów uważa wielonarodowe imperia za marzenia ludzkości i stwierdza: „Dopiero z powstaniem Związku Sowieckiego... odwieczne marzenie ludzkości ma możliwość zrealizowania się”. W tym idealnym imperium „Nie ma jedyne go języka państwowego. Jednocześnie szybki rozwój więzi między narodami prowadzi do zwiększenia znaczenia języka rosyjskiego, który stał się środkiem porozumiewania się wszystkim narodów, czy narodowości ZSSR”. Ruben z dumą oświadcza, że przy ostatnim spisie ludności w ZSSR w 1970 roku język rosyjski był uważany za macierzysty przez 13 milionów ludzi spośród ludności nie rosyjskiej.

A o tym w jaki sposób język rosyjski staje się językiem macierzystym dla ludności nie rosyjskiej mówił gruziński pisarz, Rewaz Dżaparidze, występując na zjeździe pisarzy Gruzji. Przytacza fakty. W moskiewskiej *Uczytielskiej Gazecie* został zamieszczony artykuł ministra Oświaty Gruzji pt. „Niewyczerpana rezerwa”. W artykule tym jest mowa o doświadczeniu szkoły średniej w Zugdidi, w której część przedmiotów zaczęto wykładać w języku rosyjskim. Artykuł kończy się słowami: „W ciągu roku dzieci osiągnęły duże sukcesy w opanowaniu języka rosyjskiego”. A więc, oświadczył Rewaz Dżaparidze, rozpocznie się upowszechnianie eksperymentu szkoły w Zugdidi i język gruziński będzie stopniowo usuwany ze szkół gruzińskich. Tyfliski uniwersytet podjął zobowiązanie prowadzenia szeregu wykładów w języku rosyjskim i wezwał w tym celu najwybitniejszych specjalistów rosyjskich. W 1975 roku minister Szkolnictwa Wyższego ZSSR wydał rozporządzenie o wydawaniu wszystkich podręczników dla wyższych uczelni wyłącznie w języku rosyjskim. Wszystkie prace doktorskie, wszystkie materiały z nimi związane, nawet protokoły posiedzeń jury powinny być przedstawiane do zatwierdzenia w Moskwie w języku rosyjskim.

Rewaz Dżaparidze mówił o Gruzji. Ta sama sytuacja jest we wszystkich sowieckich republikach. Nie wszędzie jednak znaleźli się ludzie odważni, otwarcie występujący przeciwko polityce likwidacji języków narodowych.

Francuski uczony, Henri Gobard, pracujący w dziedzinie socjolingwistyki, pisze w swojej książce „L'alienation linguistique”: „Rzym nigdy nie zmuszał Gallów do uczenia się łaciny — narzucała się sama. Język łaciński był niezbędny dla tych, którzy chcieli robić karierę w rzymskim środowisku, galijska arystokracja uczyła się łaciny, by utrzymać swoją pozycję... Łacina była obowiązującym językiem w kontaktach handlowych. W ten sposób znaczne kręgi ludności stały się dwujęzyczne... Ale Rzymianie nie zmuszali Gallów do nauki łaciny. A jeśli by zmuszali?

Jeśli wprowadziliby ją jako język wykładowy w szkołach i w uniwersytetach?... Prawdopodobnie Francuzi mówiliby dziś po włosku”.



Prawie każdy miesiąc przynosi nowe rękopisy ze Związku Sowieckiego publikowane na Zachodzie. Ten potok nie tylko się nie wyczerpuje, ale stale rośnie. Pośród ostatnich książek najbardziej wybitną wydaje mi się dziennik Lidii Czukowskiej: „Zapiski o Annie Achmatowej”. Wyjątki z tego dziennika były drukowane już dwa lata temu, a obecnie rosyjskie wydawnictwo w Paryżu — YMCA-Press — zaczęło publikować pełny tekst, który ukaze się w dwóch tomach. Pierwszy tom to lata 1938-1941. Jest to prawdziwy dziennik, pisany z dnia na dzień w tych właśnie latach. Po każdym spotkaniu z Anną Achmatową Lidia Czukowska późnym wieczorem, czy nocą, zapisywała wszystko o czym rozmawiano. Wielokrotnie posługiwała się aluzjami, a często nawet szyfrem. Przygotowując tekst do druku Lidia Czukowska nie mogła już sobie przypomnieć kogo z uczestników rozmowy czy wspomnianego w rozmowie, zaszyfrowała jakimś dziwnym słowem. Ale to tylko zwiększa zdumiewającą atmosferę książki: potworny świat za ścianami małego pokoiku, w którym żyje Anna Achmatowa, świat który wydaje się nierealny; realną natomiast jest przeszłość i poezja, w których żyje wielki poeta.

Wydaje mi się, że jeszcze nikomu nie udało się pokazać niezwykłej siły poezji, przewagi ducha nad nieludzką rzeczywistością — tak jak to w swoim dzienniku zrobiła Lidia Czukowska. Niezwykłość książki polega na prostocie jej treści: dwie kobiety — jednej z nich aresztowano syna, drugiej męża — ich wędrówki po więzieniach, półgłodowa egzystencja, codzienne kłopoty domowe. I stale wiersze pisane i czytane głośno przez Annę Achmatową, których Lidia Czukowska uczy się na pamięć, aby je zachować, bo zapisywać ich nie wolno. Książka o poezji. Książka o bohaterstwie.

Adam KRUCZEK

Ukraiński Wolny Uniwersytet

Ukraiński Wolny Uniwersytet (UWU) w Monachium istnieje nieprzerwanie od przeszło pięćdziesięciu lat (początkowo w Pradze, a od roku 1946 w Bawarii) rozwijając żywą działalność

naukową i pedagogiczną. Ta ostatnia ześrodkowuje się na studiach ukraińskich: język, literatura, kultura, historia i geografia Ukrainy, przy czym nie zapomina się też o takich dziedzinach jak socjologia, historia Kościoła, filozofia, ale też muzyka i sztuka ludowa. Na wydziale prawnogospodarczym odbywają się ponadto wykłady poświęcone m.in. historii prawa na Ukrainie, jak również współczesnej sytuacji ekonomicznej i prawnej republik związkowych ZSSR, aparatowi państwowemu sowieckiej republiki ukraińskiej, urbanizacji ZSSR, itd. W bieżącym roku na uniwersytet uczęszcza 133 studentów, z czego tylko 35 z Niemiec zachodnich, aż 40-tu z Anglii (gdzie istnieje specjalny wyższy kurs przygotowawczy), 33 z USA i Kanady, 17-tu z Belgii. Większość studentów pochodzi z emigracji ukraińskiej, jest też jednak pięciu Czechów (z Czechami Uniwersytet ma dobre stosunki jeszcze z okresu przedwojennego), jeden Serb oraz kilku Amerykanów nieukraińskiego pochodzenia. Wykłady prowadziło w bieżącym roku 44 profesorów, część z nich jako profesorowie goście (*visiting professors*) z Kanady i USA.

Wśród tematów wykładanych znajdują się z natury rzeczy też sprawy dotyczące Polski, jak np. problematyka religijna w umowach polsko-kozackich, Ukraina między Polską a Rosją 1568-1775 itd. W roku bieżącym odbyło się ponadto seminarium poświęcone stosunkom polsko-ukraińskim od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Wykładowcami byli B. Korab-Osadczyk, B. Lewicki, prof. Kordiuł, prof. Korzan, M. Truchan. Wśród omawianych tematów były: polityka PRL w stosunku do Ukrainy, położenie Ukraińców w PRL, cerkiew prawosławna w PRL oraz „Jak Polacy rozumieją swoją wolność” (prof. Kordiuł). W seminarium brało udział ponad 20 osób, na poszczególnych wykładach frekwencja wynosiła ponad czterdzieści. Zamierzone jest wydanie drukiem materiałów seminarium. W roku 1975 miały z kolei miejsce wykłady gościnne poświęcone stosunkom polsko-ukraińskim w okresie międzywojennym.

Równie ważną jeżeli nie ważniejszą rolę jak nauczanie odgrywają publikacje naukowe Uniwersytetu. Od roku 1946 ukazało się ich 119, o łącznej zawartości 19.000 stron. Obok mniejszych książek lub broszur są tam pokaźne tomy, jak np. Historia Ukrainy B. Krupnyckiego (446 stron), Kościół między Wschodem a Zachodem J. Madeya (dzieło poświęcone historii Cerkwi ukraińskiej i białoruskiej), itd. Odnotujmy też wydany w roku 1969 w języku niemieckim tom M. Demkowycza-Bobryńskiego na temat stosunków polsko-ukraińskich w XIX wieku. Ostatnio zaczęła wychodzić seria albumów poświęconych malarzom i rzeźbiarzom na emigracji. Pierwsza monografia tej serii, ze wstępem Jean'a Cassou, zawiera reprodukcje utworów rzeźbiarza Hryhora Kruka, absolwenta krakowskiej szkoły sztuk pięknych, a druga z kolei — dzieła malarza St. Lucyka.

Publikacje drukowane są nie tylko po ukraińsku, lecz także w językach niemieckim, angielskim i francuskim, i spełniają

w ten sposób zadanie zaznajamiania cudzoziemców z istnieniem Ukrainy lub też poszczególnych dziedzin jej kultury. Tym celom, które można by nazwać propagandowymi w pozytywnym sensie, służą również rozmaite kontakty z instytucjami cudzoziemskimi. Warto może najpierw zaznaczyć, że uniwersytet od samego zarania finansowany jest przez czynniki miejscowe, początkowo w ramach pomocy osobom wysiedlonym, obecnie przez bawarskie ministerstwo oświaty oraz przez rząd federalny w Bonn. Dodatkowych dotacji na publikacje i inne imprezy naukowe dostarcza niezmiernie ofiarna emigracja ukraińska w USA i Kanadzie, a także osoby prywatne, niezwiązane narodowo z Ukrainą. Tak np. od firmy Rank-Xerox w Niemczech Uniwersytet otrzymał ostatnio sumę 100.000 marek (około 40.000 dolarów); od właściciela galerii w Mannheimie — 50.000 marek, od kurii arcybiskupiej w Monachium — 35.000 marek itd. Jak się zdaje, dotacje te zawdzięcza Uniwersytet umiejętnemu pielęgnowaniu Public Relations. Tak na przykład w monachijskim kuratorium towarzystwa popierania nauki ukraińskiej, które opiekuje się tamtejszym domem nauki ukraińskiej, a tym samym i uniwersytetem, zasiadają przedstawiciele szeregu ministerstw bawarskich i federalnych, zaś wiceprzewodniczącym kuratorium jest bawarski radca ministerialny.

Uniwersytet gospodaruje również w rozsądny sposób doktoratami *honoris causa*. Doktorat taki otrzymał na przykład dyrektor niemieckiej filii Rank-Xerox. Przy okazji wręczenia doktoratu miało miejsce przyjęcie, na którym było 130 osób, prawie wyłącznie Niemców i Austriaków (uhonorowany dyrektor jest także wykładowcą na jednym z uniwersytetów austriackich), w tym przedstawiciele prasy i nauki, ale także przemysłu i arystokracji. Jak wiadomo przyjęcia sprzyjają kontaktom, a te ostatnie zapewne nie szkodzą dotacjom.

Wspomniany powyżej właściciel galerii zorganizował u siebie wystawę rzeźb H. Kruka oraz kilku innych emigracyjnych rzeźbiarzy ukraińskich. Z okazji otwarcia wystawy odbył się wieczór kultury ukraińskiej z występami baletu ludowego. Również z okazji wystawy Kruk odznaczony został przez fundację artystyczną związaną z rządem bawarskim, co znów było okazją do przyjęcia wydanego tym razem przez fundację bawarską, w którym wzięło udział około stu przedstawicieli świata literackiego i artystycznego Monachium. Z kolei planuje się urządzenie wystawy malarskiej dla uczczenia 30-lecia działalności Uniwersytetu na terenie Bawarii, itd.

Album H. Kruka, o którym już była mowa, wydany został w znanym wydawnictwie, którego dyrektor otrzymał również doktorat *honoris causa* i wydaje własnym już sumptem drugi album poświęcony twórczości tegoż rzeźbiarza.

Z okazji 80-lecia urodzin nestora sławistów francuskich prof. Pierre Pascal'a nadał mu UWU doktorat *honoris causa*, co znowu pozwoliło na urządzenie specjalnego wieczoru z udziałem gości

francuskich. Wprawdzie prof. Pascal zajmował się głównie Rosją (jest autorem monografii znanego ideologa „Raskoła” protopopa Awwakuma), ale doktorat chętnie przyjął, a jako specjalista od spraw religijnych wygłosił na wieczorze przemówienie poświęcone postaci metropolity Andrzeja Szeptyckiego. Również i to przemówienie, wraz z innymi referatami wygłoszonymi na wieczorze, ma się ukazać wkrótce drukiem.

Uniwersytet utrzymuje żywe stosunki z uniwersytetami niemieckimi i zagranicznymi. Jeden z profesorów sławistyki uniwersytetu monachijskiego był np. długoletnim członkiem rady naukowej domu kultury ukraińskiej. Już od dwudziestu lat trwa współpraca z uniwersytetem sztutgarskim, dzięki inicjatywie jednego z docentów tego ostatniego, a jednocześnie profesora UWU, zresztą Czecha. W ostatnich czterech latach kontakty z uniwersytetem sztutgarskim stały się intensywniejsze, a nawet mają obecnie miejsce wspólne wykłady naukowe, zaś w roku 1974 zaczęto wydawać wspólnie czasopismo poświęcone biologii. Jak z tego widać, współpraca z innymi uniwersytetami nie ogranicza się do ukraińszawstwa, choć głównym celem pozostaje szerzenie wiedzy o Ukrainie.

Również poza granicami Niemiec odbywają się wspólne imprezy naukowe. I tak w roku 1975 urządzono w Lille, Mons i Namur — przy poparciu tamtejszych instytucji katolickich — sympozja poświęcone sytuacji Kościoła na Ukrainie, nie zapominając oczywiście o problematyce narodowościowej. Z inicjatywy Uniwersytetu odbyło się w Paryżu symposium z okazji 50-lecia śmierci Szymona Petlury, w którym wzięło udział ponad pięćdziesiąt osób. Wspólnie z Central Michigan University urządza się w Monachium sześciotygodniowy kurs letni, który zaznajamia studentów amerykańskich z problemami Europy Wschodniej, a na którym wykładają zarówno profesorowie uniwersytetu michigańskiego jak i UWU. Nie trzeba chyba podkreślać, jakie znaczenie mają informacje tego rodzaju dla zainteresowania studentów amerykańskich ukraińskim punktem widzenia na sprawy nie tylko Ukrainy, lecz również krajów sąsiednich. Warto natomiast zaznaczyć, że poważną rolę w nawiązywaniu kontaktów odgrywają uczeni ukraińscy wykładający na uniwersytetach obcych.

Na łamach *Kultury* oraz innych polskich pism emigracyjnych pisze się ostatnio sporo o zadaniach emigracji. Nie proponując bynajmniej ukraińskiego wolnego uniwersytetu jako jedynego modelu do naśladowania można chyba powiedzieć, że jest on przykładem, jak wiele emigracja może zdziałać dla rozpowszechnienia znajomości swej kultury a także swego punktu widzenia u sąsiadów, jeżeli tylko nie będzie się zasklepieć we własnych sprawach, lecz przeciwnie, postara się o żywe kontakty ze światem zewnętrznym.

Kronika niemiecka

W ciągu ostatnich 25 lat Polskę opuściło i przeniosło się do Republiki Federalnej (nieznaczną liczbą do NRD) ponad 125 tysięcy ewangelików. Obecnie Kościół Ewangelicki w PRL liczy ok. 75 tys. wiernych. ■ W klasztorze OO. Benedyktynów w Tyńcu odbyło się polsko-zachodniemieckie sympozjum katolickich działaczy świeckich. Omawiano plany odbudowy klasztoru (koszt ok. 5 mln. marek) i urządzenia tam europejskiego forum młodzieży katolickiej. Zachodniemieccy uczestnicy sympozjum zapelowali do rządu w Bonn o uruchomienie odpowiednich funduszy na ten cel. ■ W stulecie krakowskiego szpitala dziecięcego rząd Republiki Federalnej przekazał szpitalowi dar w postaci cennej aparatury medycznej. W uroczystościach jubileuszowych wziął m.in. udział prof. Josef Stroeder z Würzburga (Bawaria), były dyrektor krakowskiego szpitala dziecięcego w czasie okupacji, który odznaczył się odważną i wysoce humanitarną postawą wykazaną w latach wojny. ■ W galerii *Pryzmat* w Krakowie wystawiano prace pięciu malarzy i grafików z NRF: Otto Grau, Walter Förster, Ottmar Mohring, Kurt Jahelka i Barbara Schaper-Osser. ■ W Sopocie obradowała polska i zachodniemiecka komisja UNESCO do spraw rewizji podręczników w obu krajach. Ustalono zasady opublikowania, upowszechnienia i realizację wspólnych zaleceń. W toku obrad poddano również ocenie realizację wspólnych zaleceń w zakresie nauczania geografii. ■ Na zaproszenie rządowej organizacji INTER NATIONES przebywali ostatnio w Republice Federalnej m.in.: Wilhelm Szewczyk, redaktor nacz. miesięcznika *Poglądy*; Helena J. Raczynska, z-ca red. nacz. *Trybuny Odrzańskiej*; Henryk Zdanowski z zespołu redakcyjnego *Polityki*; Wojciech Zukrowski; Zygmunt Szymański z redakcji *Życia Warszawy*. Niemieccy urzędnicy INTER NATIONES z jakimś dziwnym uporem zapraszają gości z PRL, prawie wyłącznie z tego samego grona osób, które od lat systematycznie brudzi w procesie polsko-niemieckiego zbliżenia. Tymczasem młodzi naukowcy, dziennikarze i działacze katolicy, interesujący się szczerze dialogiem z Niemcami, nie mogą się dostać do Republiki Federalnej przez INTER NATIONES. Polscy dziennikarze mieszkający w krajach zachodnich, nie są z reguły zapraszani. ■ *Agencja Prasowa Interpress* otworzyła swoje biuro w Bonn. Korespondentem został Henryk Tycner. ■ Kierownik Urzędu do Spraw Wyznań — Kazimierz Kąkol, wyraził życzenie spotkania się z przebywającym w Polsce generalnym sekretarzem zachodniemieckiej organizacji katolickiej Pax Christi — Reinholdem Lehmann'em. Na krótko przed audiencją Lehmann'owi oświadczone, że min. Kąkol „rozmyślił się i do spotkania nie dojdzie”. ■ Pełny tekst wywiadu udzielonego przez Jerzego Andrzejewskiego zachodniemieckiej telewizji, ukazał się we wszystkich czołowych dziennikach NRF. ■ W Erlangen koło Norymbergi odbyły się *Dni polskie*. Oprócz występów solistów i zespołów muzycznych, przeglądów filmowych i wystaw artystycznych, odbyły się sympozja naukowe i dyskusje. ■ Bońska federacja młodzieżowa *Jugendring* zaprosiła na „Młodzieżowe spotkanie dwóch stolic” przedstawicieli warszawskiej organizacji Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej. Artykuł 10-ty umowy kulturalnej zawartej między Polską i NRF, podpisanej 11 czerwca 1976 roku przez Schmidta i Gierka, mówi o potrzebie rozwoju kontaktów między „organizacjami młodzieżowymi obu krajów”. Szkoda tylko, że użyto w umowie słowa „organiza-

ejami”. Dlatego polska młodzież „nieorganizowana” jest pozbawiona możliwości wyjazdu do URF. ■ Znany zespół muzyki dawnej grający na instrumentach z epoki — *Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses*, koncertował w kilku miastach Republiki Federalnej. ■ Ukazujący się w *Monachium* Biuletyn polskich socjalistów *Przemiany*, pisze: „Według urzędowych danych statystycznych od roku 1950 do 1975 opuściły PRL i przeniosły się do Niemiec Zachodnich 470.792 osoby. W najbliższych trzech latach, w ramach umowy Warszawa-Bonn przeniesie się dalsze 100 tysięcy”. Już w tym roku przybyło ponad 25 tys. Niemców z Polski. ■ Ekipa Sądu Krajowego z Hanoweru przebywała w PRL celem przesłuchania 18 świadków w procesie toczącym się przeciwko byłym gestapowcom i zandarmom z Biłgoraja i Tarnogrodu. ■ Theodor Kotulla, reżyser Telewizyjnej Wytwórni Filmowej WDR w Kolonii, kręci obecnie w Polsce film na podstawie pamiętników komendanta Oświęcimia Rudolfa Hoessa i książki Roberta Merlé pt. *Śmierć jest moim rzemiosłem*. ■ W Bonn gościła Orkiestra Kameralna Filharmonii Warszawskiej; dyrygował Karol Teusch. Jako soliści wystąpili: Konstanty Kulka i Stefan Kamasa (skrzypce). ■ Watykan ogłosił decyzję o powołaniu samodzielnej konferencji biskupów dla NRD. Tym samym stolica apostolska dokonała rozdziału kościołów katolickich NRD i NRF. ■ Redakcja hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, z dumą opublikowała wiadomość, że dostarcza cotygodniowo do Polski 160 egz. pisma, które jest dostępne w „wielu Klubach Prasy i czytelnich”. Z dobrze poinformowanego źródła dowiedzieliśmy się gdzie trafia tygodnik *Die Zeit*: Rząd, ministerstwa i różne bliżej niezidentyfikowane „archiwa specjalne” otrzymują 47 egz. KC PZPR — 18, biblioteki uniwersyteckie i instytuty naukowe — 29, redakcje pism, radio i TV — 22, Kluby Prasy — 14. W luksusowych hotelach sprzedaje się „spod lady” (głównie cudzoziemcom) 11 egz. Razem 141 egz. tygodniowo. Niestety nie udało nam się stwierdzić dokąd dociera pozostałe 19 egzemplarzy tygodnika *Die Zeit*. Mniej więcej podobnie ma się sprawa z innymi pismami zachodnimi. Zresztą sama Marion hr. Dönhoff, wydawca *Die Zeit*, w swoim piśmie z 29 października 1976 stwierdza, że w krajach wschodnich działa cenzura, i oburzona zapytuje: „dlaczego nie mogę znajomemu w Sowietach wysłać np. *Neue Zürcher Zeitung*?”. Działo się to na międzynarodowym sympozjum w Berlinie Zachodnim, na którym m.in. byli obecni pracownicy naukowcy warszawskiego PISM-u. Marion Dönhoff pisze dalej: „Uśmieliśmy się po przeczytaniu pewnej polskiej listy, datowanej w lutym 1976, tzn. po zakończeniu konferencji w Helsinkach. Na tej liście znajduje się — ni mniej ni więcej — tylko 350 tytułów pism, które w Polsce nie mają debitu. Odnosi się ogólne wrażenie, że lista została opracowana przez analfabetów”. *Nota-bene* tygodnik *Die Zeit*, zajmując również poczesne miejsce na liście pism objętych zakazem wwozu... (Chodzi o Biuletyn Urzędowy „S” Głównego Urzędu Ceu, Nr 2 z 28 lutego 1976 — Red.) ■ Dziennik *Die Welt* opublikował pełne teksty listu prof. Edwarda Lipińskiego do E. Gierka oraz *Apelu do społeczeństwa i rządu* — wystosowanego przez Władysława Bienkowskiego. ■ Dwa pierwsze *Komunikaty KOR-u* ukazały się drukiem we *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. ■ Heinrich Böll przekazał na fundusz KOR-u 100 tys. złotych, a znany dramaturg szwajcarski Max Frisch 80 tys. złotych. ■ Polska dostarczy w ciągu następnych 12 lat, poczynając od roku 1977 odbiorcom w NRF 480 tysięcy ton miedzi elektrolitycznej. Zachodniemieckie konsorcjum bankowe, na czele z *Deutsche Bank AG*, udzieliło Polsce długoletnich kredytów o łącznej wysokości 300 mln. marek. Kredyt finansowy o bardzo niskim oprocentowaniu, jest przeznaczony na rozwój przemysłu miedziowego w PRL. ■ Na zaproszenie Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, przebywał z wizytą w Polsce ks. prof. Ferdynand Hahn, kierownik Katedry Nowego Testamentu Wydziału Teologii Protestanckiej Uniwer-

sytetu w Monachium. ■ Krystian Zimerman, laureat konkursu chopinowskiego z 1975 roku, koncertował z wielkim powodzeniem w Monachium. ■ Założona przed trzema laty we Freiburgu Brizgowijskim, *Fundacja im. Maksymiliana Kolbe*, wspiera obecnie finansowo — w formie miesięcznych zasiłków — 1.120 b. więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, żyjących w Polsce w szczególnie ciężkich warunkach. Na początku przyszłego roku liczba polskich ofiar — korzystających z zasiłków Fundacji zwiększy się do 1.400 osób. W tym roku na ten cel wydatkowano 560 tys. marek. ■ W galerii *Runhof* w Kolonii wystawiają swoje obrazy dwie polskie malarki: Maria Korsak i Maria Wójtowicz-Tarnańska. W galerii *Kleines Kra* w Berlinie Zachodnim otwarto wystawę prac Heleny Szackiej, przebywającej od kilku lat na emigracji. Natomiast obrazy Sylwestra Mariana Walkiewicza są eksponowane na wystawie urządzonej przez Uniwersytet Ludowy w Dorsten w Westfalii. W ubiegłym roku płótna Walkiewicza prezentowane były w Osnabrück'u i Monasterze. ■ Kazimierz Dejmek (reżyseria) i Andrzej Majewski (scenografia) przygotowują inscenizację *Operetki Gombrowicza* w Teatrze Miejskim w Essen. Ponadto Andrzej Majewski opracowuje również scenografię widowiska operowego *Wolny Strzelec* Webera w *Theater am Gaertnerplatz* w Monachium. ■ W Düsseldorfie przebywał najmłodszy dyrygent warszawskiego Teatru Wielkiego — Jacek Kasprzyk. Prowadził on *Damę Pikową* Piotra Czajkowskiego w tamtejszej *Deutsche Oper am Rhein*. ■ Na mocy zawartych umów między konsorcjum banków NRF, na czele z *Dresdner Bank AG* a Bankiem Handlowym w Warszawie, PRL otrzyma kredyty finansowe w łącznej wysokości 500 mln. marek z przeznaczeniem na wykonanie prac projektowych i badawczych oraz zakupy inwestycyjne w krajach zachodnich, związane z realizacją w Polsce kompleksu gazyfikacji węgla. ■ Nakładem *Deutsche Verlags-Anstalt* w Sztutgarcie, ukazała się powieść Kazimierza Brandysa *Variationen in Briefen* (tł. Roswitha Buschmann). ■ Władze NRD z dniem 6 grudnia ub. roku wprowadziły dodatkowo zakaz wywozu niektórych towarów. A oto niektóre z nich: mięso i wyroby mięsne wszelkiego rodzaju, artykuły dla niemowląt, kocyki niemowlęce, pieluszki, powijaki, komplety do wózków dziecięcych, kołdorki, ścierki kuchenne, tapety i klej do tapet, cukier, cebule, przyprawy korzenne i wiórki kokosowe. Z podanego asortymentu towarów objętych zakazem wywozu z NRD, można łatwo wywnioskować jakich towarów brakuje w polskich sklepach. ■ Książd prof. Leon Scheffczyk z Monachium wygłosił na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie referat na temat *Nowe formy myślenia we współczesnej teologii systematycznej*. ■ W Warszawie przybyła z oficjalną wizytą delegacja Niemieckiego Czerwonego Krzyża (DRK). Prezes Walter Bargatzky przekazał 20 tysięcy marek, jako symboliczny wkład Niemieckiego Czerwonego Krzyża na budowę Centrum Zdrowia Dziecka. Jest to nie pierwszy dar ze strony instytucji zachodniemieckich na fundusz budowy Centrum Zdrowia Dziecka. Ogółem z NRF wpłynęło na ten cel ponad milion marek. ■ Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Niemczech, ks. prałat Stefan Leciejewski, udzielił wywiadu pismu katolickiemu *Informationen*. Według prałata Leciejewskiego w Niemczech Zachodnich zamieszkuje około 350 tysięcy osób pochodzenia polskiego (czy trzeba aż tak przesadzać? — A. J. Ch.). Liczba polskich emigrantów waha się w granicach 50 tysięcy. Polska Misja Katolicka w Niemczech, podlegająca od niedawna jurysdykcji Konferencji Biskupów Niemieckich, opiekuje się polskimi katolikami w największych skupiskach, głównie w Nadrenii-Westfalii oraz w miejscach stacjonowania Kompanii Wartowniczych, pełniących służbę przy garnizonach amerykańskich i angielskich. Misję duszpasterską pełni obecnie 36 polskich księży na terenie całej Republiki Federalnej. Polscy duchowni, kierujący również nauką języka polskiego wśród młodzieży, w ramach Polskiej Macierzy Szkolnej, pobierają normalne wynagrodzenie wypłacane

przez niemieckie diecezje. Natomiast świeccy nauczyciele języka polskiego otrzymują wynagrodzenie i zwrot poniesionych kosztów z krajowych ministerstw do spraw socjalnych. ■ W Berlinie Zachodnim bawi jako gość Akademii Sztuk poeta Tymoteusz Karpowicz, który pozostanie tam do jesieni przyszłego roku. Zdążył już wziąć udział w międzynarodowym sympozjum dramaturgów; jego krótki szkic o odpowiedzialności moralnej pisarza dramatycznego wywołał na obecnych wielkie wrażenie. ■ Na występach gościnnych w Warszawie przebywał Teatr Dramatyczny z Kolonii. Zachodniemieccy artyści zaprezentowali na scenie Teatru Dramatycznego w Warszawie dwa przedstawienia: *Prafausta Goethe'go* w inscenizacji kierownika artystycznego teatru Hansgünther'a Heyme'go i *Stugę dwóch panów* Goldoniego w nowym opracowaniu Roberta Ciulli. ■ Hamburski tygodnik *Der Spiegel* opublikował w trzech odcinkach niektóre dokumenty wydane przez *Komitet Obrony Robotników* i przytoczył relacje naocznych świadków wydarzeń czerwcowych w Radomiu i Ursusie. W trzecim odcinku serii podano listę członków KOR-u z charakterystykami personalnymi, adresami i numerami telefonów. *Zycie Warszawy*, w artykule Adama W. Wysockiego, wyraziło smutek i oburzenie z racji „antypolskich” wybrków *Spiegel'a*. ■ Po konferencji prasowej zwolanej przez rzecznika rządu PRL — Włodzimierza Janiurka (b. żołnierza *Wehrmachtu*), na którą zaproszono wyłącznie dziennikarzy zachodnich, korespondent warszawski *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, Erik Bader, udzielił dość dosadnej odpowiedzi przyjacielowi Gierka (wolne tłumaczenie — A. J. Ch.): „Od nas, zachodnich dziennikarzy, wymaga się żebyśmy przejęli styl pracy naszych polskich kolegów. Ale my przecież nie możemy być zwykłą wazeliną, udatwiającą Warszawę poślizg w jej stosunkach z rządami zachodnimi”. ■ W zachodniemieckiej telewizji pokazano *facsimile* komunikatów *Komitetu Obrony Robotników*. Sprawozdawca TV: „Partia jest coraz bardziej zaniepokojona; widmo opozycji krąży w Warszawie; na ustach wszystkich skrót KOR”. Przeprowadzono też wywiad z Jackiem Kuroń. Na zapytanie sprawozdawcy TV — czy członkowie KOR-u nie obawiają się represji ze strony władz, Kuroń odpowiedział: „Jeszcze możemy się swobodnie poruszać, ale jak długo — tego nie wiemy”.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

Tempo rusyfikacji zostało ostatnio na Litwie mocno przyspieszone. Przed kilkunastu laty republika litewska miała najmniejszy procent szkół rosyjskich w całym Związku. Obecnie język rosyjski jest wprowadzany już do szkół powszechnych.

Od stycznia 1976 roku weszło w życie nowe zarządzenie „O systemie ujednoliconej dokumentacji technologicznej”. Na skutek tego aktu, o niewinnie brzmiącej nazwie, we wszystkich fabrykach i przedsiębiorstwach urzędowym językiem stał się rosyjski, w którym prowadzona jest buchalteria, korespondencja i wydawane są rozporządzenia oraz przepisy. Terminologia techniczna jest wyłącznie rosyjska.

W styczniu 1976 roku na XVII zjeździe litewskiej partii komunistycznej,

po raz pierwszy w dziejach obrady były prowadzone w języku rosyjskim. Pikantry a raczej tragiczny szczegół: Zjazd litewskich pisarzy został otwarty przemówieniem litewskiego poety w języku... rosyjskim.

A oto podbudowa ideologiczna do tych posunięć. Wspominaliśmy o długim liście niejakiego Terleckisa do Abakumowa. Zacytujmy dalszy z niego urywek: „Sledztwo zaczęło się nie od okoliczności przestępstwa a od 'pogawędki' na uboczne tematy. Major Leszczenko, w którym łatwo było rozpoznać wychowanka KGB, patrzył na mnie jak na skazanego na śmierć i mówił zadziwiająco otwarcie. Gdy rozmowa zesłała na problemy narodowościowe, nie zaprzeczałem, że małe narody są skazane na asymilację, ale to stanie się po wielu stuleciach i, moim zdaniem, nie ma potrzeby tego procesu sztucznymi środkami przyspieszać. Major zaś twierdził, że proces naturalnej asymilacji jest „bolesny”, i dlatego są usprawiedliwione wszelkie środki celem jego przyspieszenia. Zakończył rozmowę tymi słowami: 'Nie widzieliście jak zmiażdżyliśmy węgierską kontrrewolucję. Gdybyście Litwini to widzieli, nie podnosilibyście głowy. Litwa! Waszą Litwę my, jak pchłę, ot tak (major paznokciem w wielkiego palca zrobił na stole charakterystyczny ruch) i jej nie ma'. Po rewizji w moim mieszkaniu major Leszczenko wrócił z kompletem starych litewskich czasopism. Najwięcej go zagniewała wisząca na ścianie mapa (wydana w Polsce Ludowej), gdzie Litwa jest przedstawiona w granicach z XVI-go wieku. Jak można, powiedział, taką mapę pokazywać uczniom”.

Kolejny numer 23 Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie ukazał się w kwietniu 1976 i przedostał się na Zachód. Przynosi on list zespołu redakcyjnego do kardynałów A. Samore i J. Slipyja oskarżający część hierarchii na Litwie o podporządkowanie się rządowemu pełnomocnikowi dla spraw wyznaniowych, Tumenasowi. Tenże Tumenas wizytujący diecezje i parafie, jako faktyczny administrator, przyparty do muru niedyskretnymi pytaniami przez księży w Święcianach wyjaśnił, że wymieniana w sowieckiej konstytucji wolność sumienia nie dotyczy religii, gdyż działalność religijna przybiera państwowy charakter i jest regulowana przez ustawy (zarządzenia) państwowe.

Sowiecko-litewskie czasopismo przeznaczone dla emigrantów *Gimtasis Kraštas* Nr 22 z dn. 27 maja 1976, omawiając artykuł Jungenasa w *Metmenys* (cytowany już w *Kulturze*) wywodzi: „Przecie celem artykułu V. Jungenasa jest doradzanie, aby litewscy nowocześni anty-komuniści korzystali z wydawanego w Niemieckiej Republice Federalnej, pod opieką reakcjonisty A. C. Springera, czasopisma *Kontinent*, redagowanego przez rosyjskich „dyzydentów” — po prostu zdrajców. Nawet wiedząc od dawna, że wydawana przez Polaków w Paryżu *Kultura*, jest finansowana przez centralę amerykańskiego wywiadu, *Metmenys* wcale się nie wstydzi podawać swemu otoczeniu za przykład współpracę *Kultury* z *Kontinentem*”.

A oto urywki z powieści Efraima Sevela, napisanej w Izraelu w języku rosyjskim, a wydanej po angielsku w Stanach Zjednoczonych pod tytułem „Truth is for Strangers”, przez firmę Doubleday Co w Nowym Jorku: „Wówczas szalała na Litwie wojna. Nigdy nie wypowiedziana i nie wspominana w podręcznikach historii. Okrutna, bezpardonowa, wyradzająca się w niesłychane barbarzyństwo. Nie było tam żadnych reguł i dlatego stawała się nieludzka. Obie walczące strony nie brały jeńców. Jeżeli kto i był pojmany żywcem, to wytrzymywał tylko kilka dni póki z niego nie wyciśnięto

potrzebnych wiadomości. Potem go zakopywano jak bydlę, bez krzyża, czy zaznaczenia grobu. Mała Litwa tonęła w płomieniach i spływała krwią. I trwało to wiele lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, gdy pozostała część naszego globu wróciła już do rozsądku, leczyla rany i cieszyła się błogostawieństwem pokoju, jak to zwykle bywa po wielkim przelewie krwi. I nikt nie wiedział, ani na Zachodzie, ani w Rosji, że krew się lała na Litwie na każdym kroku, i że straty tego małego narodu przewyższyły straty poniesione w czasie wielkiej wojny. Płość mieszkańców spadła katastrofalnie, grożąc z miesiąca na miesiąc, że imię Litwinów zostanie skreślone ze spisu narodów.

Nikt nie wierzył strasznych wieściom dochodzącym z Litwy. Była ona całkowicie izolowana przez Rosjan. (Nawet Rosjanie musieli posiadać specjalne pozwolenia by tam się dostać). Ludzie machnęli ręką, jak to się robi, chcąc mieć spokój i nie przechorowywać cudzych cierpień.

Może też dlatego, że gazety moskiewskie przedstawiały Litwę jako urodzajny kraj jezior i bursztynów, eksportujący nie widziane w Rosji specjalności: wędzoną szynkę, smaczne sery i różową słoninę szerokości dłoni. Litewskie uzdrowiska: Połaga i Druskienniki stały się modne. W Moskwie występowały litewskie zespoły. Chłopcy i dziewczęta, płowowłosi, dorodni, smukli, dobrani jeden w drugiego, zadziwiali Moskwičan swymi popisami tanecznymi, nowiutkimi strojami ludowymi i swoistym stylem.

Nawet na Litwie miejscowa prasa nie wspominała o tej wojnie a wciąż powtarzała brednie o walce klasowej, o zakładaniu kołchozów, o walce z „kułakami” — ukrywając prawdę. Fotografie wyróżnionych dożarek czy traktorzystów uśmiechały się ze stronice czasopism. Lecz te uśmiechy pozostawały tylko na papierze. Podobizna w gazecie, czy też pochwalny artykuł, był nieodwołalnym wyrokiem śmierci. Gdzie by taki osobnik się nie ukrył Bracia Leśni zawsze go odnajdywali, a wówczas finał był zawsze jednaki — śmierć”. „Samotna, zaśnieżona chatka, otoczona i wielokrotnie atakowana przez pijanych zbirów, nawet nie rozumiejących rosyjskiej komendy. Z płonącej chaty wybiega, cała w płomieniach młoda dziewczyna ze słowami hymnu narodowego na ustach. Jej krzyk musiały słyszeć nie tylko okoliczne wsie, ale chyba wszystkie krańce świata.

Algis wówczas powiada: „Ta dziewczyna jest potężniejszą postacią niż Joanna d'Arc. Ogień poniesie ją do nieba. Ona zostanie świętą. A ja? Jestem kawałkiem nawozu. Jestem niczym. Wszystko jest niczym. Rosja, która nas morduje, Ameryka, która milczy. Obie są g.... Jest na świecie tylko męczennica — moja Litwa. Ukrzyżowana moja ojczyzna pod ostrzem noża”.

Wydany w Anglii *International Who's in Art and Antiques* wymienia troje Litwinów z emigracji: Brone Jameikiene profesorkę na Hawajach, Adolfa Valeskę (Chicago-Toronto. Witraże) oraz grafika Romasa Viesulasa profesora z Filadelfii, który przed kilku laty miał wystawę w Krakowie, a w przyszłym roku ma wystawiać w Tate Gallery, w Londynie.

Litewska prasa emigracyjna podkreśla, że prezydent Ford, po swym sławnym przejeździe się telewizyjnym, na bankiecie dla „etników” z jednej strony posadził obok siebie Mazewskiego a z drugiej przedstawiciela nielicznej grupy — Litwina. Jednak i ta łaska bodajże nie przekonała do niego Litwinów, którzy zresztą — jak wszyscy Bałtowie — sympatyzują na ogół z republikanami.

Chicagowski tygodnik *Draugas* podaje w paru numerach streszczenie ostatnich rozdziałów „Wspomnień Kowieńskich” płk. Żółtek-Mitkiewicza i odpiera zarzuty niewłaściwego podejścia władz litewskich do polskiej ludności Wilna. Podaje przy tym mało znany fakt, że „w wigilię Zaduszek 1939 roku tłum 5-6 tysięcy osób ruszył ku miastu z anty-litewskimi okrzykami, żądając wolnej Polski, zdzierając litewskie flagi a nawet zaczepiając policjantów”. Pismo przypomina, że mała Litwa utrzymywała 18 tysięcy polskich żołnierzy i około 3 tysięcy oficerów, ratowała Wileńszczyznę przywożąc wielkie ilości żywności, wymieniła bezwartościowe złote na lity, traktowała internowanych lepiej niż Łotysze itd.

To wszystko prawda, zwłaszcza nadspodziewanie poprawno ustosunkowanie się Litwinów do polskich uchodźców i internowanych godne jest przypomnienia. Tym niemniej bezwzględne narzucanie języka prawie nieznanego w tym mieście było nie tylko karygodne. Było błędem. Postronny obserwator z Komitetu Białoruskiego, dr Malecki, przypomina że niedługo potem przeprowadzony wśród rodziców plebiscyt w jakim języku mają być uczone dzieci, wykazał 2% Litwinów.

E. ŻAGIELL

Kronika czeska i słowacka

„... Nie reprezentuje kultury czechosłowackiej”

9 października 1976 roku w wiedeńskim Akademietheater odbyła się — niestety pod nieobecność autora — światowa prapremiera jednoaktówki Václava Havela *Audiencia i Wernisaż*. Władze czechosłowackie odmówiły bowiem Havelowi zezwolenia na wyjazd do Wiednia, choć zaproszenia zostały mu wysłane zarówno przez dyrekcję teatru jak i ministra kultury Austrii Freda Sinowatza. Jeszcze na trzy dni przed premierą austriacki minister apelował do rządu czechosłowackiego o udzielenie Havelowi wizy wyjazdowej. Daremnie. Rząd praski ustami swego ambasadora w Wiedniu oświadczył, iż Havel „nie jest uważany za reprezentanta kultury czechosłowackiej”. Austriacki minister nie dał jednak za wygraną stwierdzając, że odmowa władz czechosłowackich uznana będzie przez rząd Austrii za akt nieprzyjazny a poza tym sprzeczny z duchem Helsinek.

Następnego dnia w wywiadzie dla Reutera Havel oświadczył, że zarówno on jak i jego przyjaciele żyją w warunkach swoistego *apartheid'u*, co oznacza iż narażeni są na ciągłe konfrontacje z politycznym i kulturalnym *establishment'em*. Decyzja władz nie zaskoczyła go wcale. Pod wieloma względami — jak stwierdził — znajduje się w lepszym położeniu od swych kolegów, którzy stanęli wobec takiego jak on dylematu. Tamci bowiem muszą się wystrzegać sprzeczności w swych wypowiedziach, muszą lawirować, manewrować — on zaś jest człowiekiem wolnym, może być sobą samym.

Jak już nadmieniliśmy, historia z Havelem spowodowała pewne komplikacje natury dyplomatycznej na linii Praga-Wiedeń. 12 października rząd austriacki zażądał podania powodów odmowy. Ponadto komunikat rządu austriackiego stwierdził, iż rozważana jest kwestia, czy odmowa władz czechosłowackich nie stanowi pogwałcenia deklaracji z Helsinek, zwłaszcza jej części

mówiącej o wymianie ludzi i idei. 14 października zareagowała oficjalna Praga w sposób nie trudny do odgadnięcia: oczywiście, miało tu miejsce pogwałcenie deklaracji z Helsinek. Ingerencja bowiem (jakże by inaczej?) rządu austriackiego w sprawie pisarza jest ingerencją w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji, a to z kolei sprzeczne jest z duchem Helsinek (1). W ślad za reakcją MSZ ruszyła machina propagandy. Najpierw radio w audycji dla Czechów i Słowaków na obczyźnie oskarżyło austriackie środki masowego przekazu o rozpętywanie kampanii antyczechosłowackiej, przy czym Havel jest jedynie pretekstem. Potem poszła prasa, np. *Mlada Fronta* oświadczyła, że Havel jest prowokatorem.

Ciekawa jest przy tym wszystkim wypowiedź ministra Sinowatza, który na konferencji prasowej zapytany o sposób, w jaki utwory Havela dotarły do Wiednia, powiedział: „zwyczajnie, pocztą”.

Drugi przypadek dotyczy Pavla Kohouta. Kohout chciał udać się do Nowego Jorku, gdzie w teatrze Ethel Barrymore na Broadway'u miała zostać wystawiona jego sztuka *Ubogi morderca*. Tu należy nadmienić, iż w roku 1975 władze czechosłowackie zezwoliły Kohoutowi na wyjazd do Szwajcarii, Austrii i Niemiec Zachodnich, gdzie również wystawiona była jego sztuka. Do tego czasu istniał przez pięć lat utrzymywany zakaz wypuszczania Kohouta za granicę.

Jaki był powód odmowy? W wywiadzie dla Reutera Kohout wyjaśnił, że formalnie powoływano się na trudności walutowe oraz na brak zezwolenia ze strony władz wojskowych. Pośrednio Kohout zarzucił władzom CSSR pogwałcenie ducha Helsinek mówiąc: „tak wielu mężów stanu z tak wielką pompą podpisało ten dokument, a tak mało popiera jego ducha”.

Podobnie jak Havel, Kohout nazwał sytuację pisarza opozycyjnego w Czechosłowacji *apartheid'em*.

Stefan MICHNIK

A CHRONICLE OF HUMAN RIGHTS IN THE URSS

KHRONIKA PRESS (Kwartalnik)

505 Eight Avenue

NEW YORK, N.Y. 10018.

Ukazuje się w językach rosyjskim i angielskim. Publikuje i komentuje ważne wydarzenia i zarządzenia w Związku Sowieckim, odnoszące się do praw człowieka. Redaktor Walery Czalidze; członkowie redakcji: Edward Kline i Paweł Litwinow; autorzy artykułów i raportów: Andriej Sacharow, Lidia Czukowska, Andriej Twierdochlebow, Josef Brodski, Andriej Amalrik, Walentyn Turchin, Jurij Orłow, Roy Miedwiediew, Aleksander Wolpin i inni.

Prenumerata roczna (4 numery) na rok 1977 — dol. 15,00.

Sprawy i troski

APEL NA RZECZ ROBOTNIKÓW POLSKICH (MIĘDZYNARODOWY KOMITET W LONDYNIE)

Raz jeszcze robotnicy polscy musieli krwią i wolnością płacić za obronę swoich praw.

W czerwcu 1976 rząd, bez żadnej uprzedniej dyskusji publicznej, zarządził drastyczną podwyżkę cen. Odpowiedzią na tę zniewagę były masowe protesty robotnicze które wybuchły w różnych miastach Polski.

Rząd pod naciskiem wycofał się z podwyżki cen, zarazem jednak uciekł się natychmiast do brutalnych policyjnych represji względem tych, co uczestniczyli w protestach. Aresztowano i bestialsko pobito setki robotników, tysiące wyrzucono z pracy z wilczym biletem. Co najmniej 78 robotników skazano do tej pory na kary więzienia dochodzące do 10 lat.

Pod naciskiem opinii publicznej i Kościoła kilku uwięzionych zwolniono, ale tysiące usuniętych z pracy pozbawione są środków do życia. Potrzebują oni wsparcia moralnego i pomocy pieniężnej.

W Warszawie powstał Komitet Obrony Robotników (z udziałem Profesora Edwarda Lipińskiego), który zajmuje się praktyczną pomocą dla przesładowanych robotników i ich rodzin.

Wzywamy usilnie do poparcia tej sprawy ofiarą pieniężną i akcesem do rozszerzającej się, międzynarodowej akcji protestu.

Daniel Bell, USA,
Włodzimierz Brus, Polska (Wielka Brytania),
Mary McCarthy, USA,
Robert Conquest, Wielka Brytania,
Pierre Daix, Francja,
Pierre Emmanuel, Francja,
Gustaw Herling-Grudziński, Włochy,
Leszek Kołakowski, Polska (Wielka Brytania),

Edward Lipiński, Polska,
Golo Mann, Niemcy,
Czesław Miłosz, USA,
Iris Murdoch, Wielka Brytania,
Joan Robinson, Wielka Brytania,
Denis de Rougemont, Szwajcaria,
Laurent Schwartz, Francja,
Ignazio Silone, Włochy,
Piotr Stonimski, Francja,
Alfred Tarski, USA.

Pieniądze prosimy przesyłać na:

IRVING TRUST COMPANY
36-38 Cornhill, London, E.C.3.
England.

Account No: 80-1829.

ZBIÓRKA NA KOR W NEW YORKU

Redakcja *Nowego Dziennika* rozpoczęła zbiórkę pieniężną wśród Polonii i amerykańskich przyjaciół na pomoc dla robotników w Polsce.

Dla ułatwienia akcji zbiórki założono specjalne konto bankowe w CHEMICAL BANK, 1411 BROADWAY, NEW YORK CITY, N.Y. 10018.

Numer konta zbiórki — 020-041683.

Indywidualne czeki i ofiary pieniężne należy przysyłać na adres: *NOWY DZIENNIK*, 108 WEST 39th STREET, NEW YORK, N.Y. 10018. (telefon: (212) 354-0296.

FUNDUSZ „KULTURY” NA SPRAWY KRAJOWE

Tak jak pisaliśmy w listopadowym numerze z ub. roku (Nr 11/350) wszystkie wpływy na Fundusz „Kultury” od czerwca 1976 do końca 1976 roku zostały przeznaczone na pomoc dla Kraju. W roku bieżącym będziemy przekazywać jedynie te sumy, które są wyraźnie na ten cel przeznaczone przez ofiarodawców. Naturalnie *Kultura* nadal będzie służyła pomocą we wszystkich istotnych potrzebach, tak jak to robiła od początku powstania Funduszu „Kultury”.

FRANCUSKI KOMITET SOLIDARNOŚCI

Komitet Solidarności francuskich intelektualistów, o którego powstaniu donosiliśmy w poprzednim numerze *Kultury* rozwija ożywioną działalność. Komitet wysłał pismo do wszystkich członków Komitetu Obrony Robotników i rozpoczął wydawanie periodycznego biuletynu, w którym m.in. pisze:

„*Toutes les signatures doivent être envoyée au comité de solidarité avec les travailleurs polonais, Cahiers du cinéma, 9 passage de la Boule Blanche, 75012 PARIS.*

Le comité apporte un soutien financier aux ouvriers licenciés et poursuivis. Les fonds collectés seront versés au comité polonais, CCP Jean F. JEZEQUEL (mention „comité polonais”, 32861.66 K La Source).

KONFERENCJA PRASOWA W LONDYNIE

9 grudnia 1976 roku w siedzibie Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej w Londynie odbyła się konferencja prasowa poświęcona ostatnim wydarzeniom w Polsce i działalności Komitetu Obrony Robotników. Konferencję zorganizowali i na pytania odpowiadali prof. Leszek Kołakowski, b. profesor filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie Fellow w All Souls College w Oksfordzie; prof. Włodzimierz Brus, b. profesor ekonomii politycznej Uniwersytetu Warszawskiego obecnie Fellow w Woolson College w Oksfordzie; oraz historyk, Adam Michnik z Warszawy, przebywający z wizytą w Europie Zachodniej. Uczestnicy konferencji podkreślili, że występują wyłącznie we własnym imieniu: nie mają wprawdzie mandatu do reprezentowania Komitetu Obrony Robotników, ale ponieważ łączą ich bliskie więzy

przyjaźni z członkami KOR — są przeświadczeni, że dają wyraz także ich poglądom.

Konferencję zagaik George Schoepflin, wykładowca polityki wschodnioeuropejskiej w London School of Economics i Wydziału Słowianoznawstwa Uniwersytetu Londyńskiego. Przedstawił on organizatorów konferencji, podkreślając że wszyscy trzej są obywatelami PRL. Mówiąc o Komitecie Obrony Robotników przypomniał, że wbrew oświadczeniu rzecznika rządu PRL działa on legalnie, w ramach konstytucji i prawodawstwa PRL. Niemniej KOR jest w Europie Wschodniej zjawiskiem wyjątkowym, ponieważ występuje jako samodzielny organ opinii publicznej w kraju, w którym władze roszczą sobie monopol działalności politycznej.

Prof. Brus odczytał oświadczenie podpisane przez trzech organizatorów konferencji, a prof. Kołakowski — apel w obronie polskich robotników, sygnowany przez wybitnych intelektualistów polskich i zachodnich. Obecny na sali dziennikarzem udostępnił komunikaty i biuletyny KOR w przekładzie angielskim, oraz inne materiały. Poinformowano także o zbiorce funduszy na pomoc represjonowanym uczestnikom strajków czerwcowych; londyński *The Times* nazajutrz wspominał o tym apelu, podając numer konta bankowego na które można przekazywać datki.

Odpowiadając pytającym o program działania Komitetu Obrony Robotników i całej polskiej opozycji — Michnik podkreślił, że KOR nie jest ugrupowaniem politycznym, powstał dla realizacji konkretnego celu — obrony prześladowanych robotników — i występuje w obronie praw człowieka.

Według Michnika, istotą opozycji w Polsce i w całej Europie Wschodniej jest walka o realne prawa człowieka:

„Nikt z polskiej opozycji nie aspiruje do władzy, polska opozycja nie ma swego gabinetu cieni. Opozycję stanowią ludzie, którzy się przeciwstawiają antydemokratycznej polityce władz państwowych i partyjnych. Program dialogu między władzą a społeczeństwem, program wysuwany przez Komitet Obrony Robotników i przez Kościół katolicki, jest najbardziej zrozumiały z programów politycznych jakie dadzą się pomyśleć w Europie Wschodniej”.

Michnik podkreślił, że „zarówno dla polskiego społeczeństwa jak i dla polskiej elity władzy (i dla sowieckiej elity władzy) interwencja w Polsce musiałaby być katastrofą. Wszyscy wiedzą, że interwencja militarna w Polsce oznaczałaby wojnę z Polską” — a ponieważ tego nie pragnie nikt, na tym polu możliwy jest kompromis. Na inne pytanie, dotyczące roli polskich związków zawodowych, Michnik wyjaśnił że w trakcie wydarzeń czerwcowych „jeszcze raz ujawniły swą całkowitą fikcyjność”, choć właśnie istnienie prawdziwych związków, reprezentujących interesy robotników i cieszących się ich zaufaniem, byłoby korzystne dla władzy, ponieważ istniałby wówczas partner do konsultacji.

Podobny wątek podjął prof. Brus. Jego osobistym zdaniem wyjście z obecnego kryzysu w Polsce wymaga nawiązania dialogu we wszystkich najistotniejszych problemach. W warunkach trudności gospodarczych potrzeba takiego dialogu tym bardziej rośnie: nie można żądać od społeczeństwa zgody na niepopularne pociągnięcia bez uprzedniej konsultacji, a nawet negocjacji. Władze PRL ludziły się, że właściwie oceniały nastroje społeczeństwa, ale za każdym razem okazywało się że były w błędzie, ponieważ nie miały nikogo, z kim mogłyby rokować jak z autentycznym przedstawicielem społeczeństwa. W praktyce rokowały więc same ze sobą.

Prof. Brus omówił niektóre polityczne i ekonomiczne problemy Polski, zwracając uwagę że skoro zachodzi konieczność przedłożenia problemów

i propozycji prawdziwym przedstawicielom robotników i innych warstw społecznych, pierwszym krokiem w tym kierunku musiałoby być powołanie takiej reprezentacji — choćby na wzór tej jaka się na kilka tygodni samorzutnie wyłoniła po grudniu 1970 roku. Fakt, że wyniki dochodzeń komisji powołanej do zbadania przyczyn wypadków poznańskich 1956 roku (pod przewodnictwem Gierka), oraz powstania na Wybrzeżu w 1970 roku, nigdy nie zostały opublikowane świadczy nie tylko że władze PRL nie zasługują na zaufanie, ale dodatkowo potwierdza słuszność postulatów KOR o konieczności zbadania okoliczności towarzyszących wypadkom czerwcowym i surowego ukarania winnych. Jest to warunek wstępny nawiązania jakiegokolwiek dialogu.

Prof. Brus ostro odpowiedział przedstawicielowi brytyjskiego dziennika komunistycznego *Morning Star*, który niedawno odwiedził Polskę. Odnosząc z zadowoleniem jego przyznanie, że kontakt między władzą a klasą robotniczą w PRL został zerwany, zarzucił jego reportażom z Polski bezkrytyczne powtarzanie oficjalnych wypowiedzi rzeczników władz partyjnych, przy jednoczesnym unikaniu jednoznacznego opowiedzenia się komunistów brytyjskich po stronie robotników polskich, choćby w takich granicach w jakich to uczynili komuniści włoscy. Prof. Brus zdementował twierdzenie oficjalnej propagandy jakoby nikt nie był represjonowany wyłącznie za udział w strajkach i demonstracjach i że wyroki skazujące zapadły za rabunek czy wybryki chuligańskie, powołując się m.in. na relacje prasy krajowej w których między wierszami wyraźnie można było wyczytać, że w czasie całonocnych zajęć w Radomiu nie było rabunku sklepów. Przytoczył także dowody masowych zwolnień z pracy i znęcania się nad aresztowanymi, powołując się zarówno na ostatni list pasterski Prymasa jak i na przesłany przez Wł. Bienkowskiego protest 67 mieszkańców Radomia. Nacisk wywierany przez władze na sygnatariuszy tego listu by wycofali swój podpis, jest najlepszym dowodem strachu jaki panuje przed ujawnieniem tortur i bezprawia organów bezpieczeństwa.

Adam Michnik uzupełnił ten wywód stwierdzając, że także członkowie Komitetu Obrony Robotników są systematycznie represjonowani, poddawani rewizjom, szantażom, przesłuchaniom i śledztwu. Wszyscy członkowie KOR w tej czy innej formie bywali zatrzymywani i szantażowani. „Jedyną gwarancją ich bezpieczeństwa jest stała i nieustająca uwaga opinii publicznej w Europie. O tę uwagę, którą rozumiemy jako formę moralnego poparcia, chciałem za pośrednictwem waszych gazet zaapelować do wszystkich postępówych ludzi w Europie”.

Duże zainteresowanie dziennikarzy wzbudził wywód prof. Kołakowskiego o współdziałaniu między opozycją robotniczą, intelektualistami, i Kościołem. W postawie każdej z tych sił zaszyły poważne przemiany, które stworzyły warunki owocnej współpracy.

Prof. Kołakowski zwrócił także uwagę na historyczne znaczenie tego współdziałania. Po raz pierwszy ruch opozycyjny stał się naprawdę powszechny, zrodził poczucie jedności i współpracy jakiego nigdy dotąd — i w żadnym innym kraju wschodnioeuropejskim — nie udało się osiągnąć. Uzupełnił ten wywód Michnik, mówiąc o „współgraniu trzech wielkich sił w polskim społeczeństwie: Kościoła, inteligencji i klasy robotniczej. Najistotniejszym czynnikiem jest klasa robotnicza, bo jedynie ona jest w stanie zmusić władze do trwałych ustępstw. W tym sensie sprawa robotnicza jest bliska wszystkim ludziom którzy dążą do poszerzenia sfery swobód demokratycznych”.

Miarą zainteresowania prasy brytyjskiej była nie tylko bardzo wysoka frekwencja, ale także liczne sprawozdania, jakie się na jej temat ukazały w dziennikach londyńskich. Przebieg konferencji filmowała ekipa telewizyjna duńskiej, która następnie przeprowadziła wywiad z prof. Kołakowskim.

Ci co odeszli

« Pułkownik Zamoyski »

Nikt — poza cudzoziemcami, dla których nie do pomyslenia był „Zamoyski” a nie „Count Zamoyski” — nie tytułował go hrabią. W Bibliotece — i całym polskim Londynie — był „Pułkownikiem” tak jak stryjeczny jego przodek był „Generałem” *tout court*. Władzał angielskim lepiej niż polskim, francuskim jak trochę staroświecki Francuz, a polskim w swoistej kombinacji solennej krakowskiej polszczyzny i wojskowego *slang*’u.

Służba wojskowa: przedwojenna podchorążówka kawalerii; pułk a potem Narvik („Virtuti Militari”); i skombinowane funkcje adiutanta i tłumacza Naczelnego Wodza wyraźnie zaciążyły na jego stylu bycia, sposobie pobierania decyzji i wymagań stawianych otoczeniu. Wspierał je patriotyzm w nasileniu godnym rodowych tradycji. Przypuszczam, że cechy te ujawnią się w pełni we wspomnieniach starych znajomych i przyjaciół Pułkownika. Ja poznałam go późno.

Wiosną 1964 Kazimierz Zdziechowski, kolega biblioteczny, przedstawił mi w „Ognisku” płk. Zamoyskiego, prosząc, bym zaznajomiła go z planami stworzenia Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego (POSK’u), który wówczas wyłaniał się z tzw. PUCAL’u i blisko z nim związanego Stowarzyszenia Techników Polskich. Plany wydawały mi się wówczas piękne i realne. PUCAL był spadkobiercą trzech domów, w których mieścił się poprzednio Polish University College, Stowarzyszenie Techników Polskich było właścicielem dwu dalszych. Majątek ten wydawał się konkretną podbudową ośrodka polskiego, którego potrzeba rysowała się coraz wyraźniej wobec kryzysów lokalowych grożących kluczowym organizacjom polskim i rażącego dublowania działalności wielu ważnych placówek i stowarzyszeń.

Płk Zamoyski był już od dawna członkiem zarządów Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu i Instytutu Historycznego im. Gen. Sikorskiego w Londynie a zainteresowanie zbiorami bibliotecznymi archiwalnymi odziedziczył po dalszych i bliższych

przodkach, Zamoyskich i Czartoryskich. Biblioteka Polska w Londynie, której byłam wówczas kierowniczką, ze względu na nacisk położony na gromadzenie dokumentacji dotyczącej „naszej” Emigracji, wydawała mu się odpowiednikiem Biblioteki Polskiej w Paryżu we wczesnym okresie jej istnienia i dlatego doskonale rozumiał wagę zapewnienia jej dachu nad głową i możliwości rozwoju. To właśnie wysuwało się na plan pierwszy w początkowym okresie planowania Ośrodka. W lutym 1964 ukazał się pierwszy komunikat pt. „Twórzmy Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie”, zapewniający w imieniu organizatorów, iż „głównymi celami działalności będzie: zapewnienie pomieszczenia dla Biblioteki Polskiej, oraz popieranie jej działalności w zakresie: 1) gromadzenia i udostępniania książek i czasopism polskich (emigracyjnych, krajowych i dotyczących Polski w językach obcych), 2) gromadzenia książek, rękopisów, map, grafiki itp. polskich i Polski dotyczących wszystkich dziedzin i czasów, 3) służby informacyjno-bibliograficznej i związanej z nią działalności wydawniczej, 4) gromadzenia dokumentacji, która przekaże historykom pełny i obiektywny obraz działalności Polaków poza Krajem”. W dalszych punktach programu mieściła się pomoc dla polskich instytucji naukowych, popieranie teatru, sztuki i muzyki polskiej, troska o utrzymanie przy polskości młodego pokolenia i „propagowanie zwyczajów i tradycji polskich”.

Program ten wydawał się tym realniejszy, że już w roku 1964 część tych zadań spełniał PUCAL (Polish University College Association Ltd.), dający Bibliotece Polskiej *bezpłatne* pomieszczenie w domu przy Princes Gardens No 9 w Kensingtonie i wspierający subwencjami o zasadniczym dla tych instytucji znaczeniu Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie (PTNO) i Polski Uniwersytet na Obczyźnie (PUNO) — z sali na pierwszym piętrze korzystali za minimalną opłatą Technicy. „Mały program” był już realizowany z powodzeniem.

Płk Zamoyski sięgnął do dziejów Wielkiej Emigracji i wydobyl z nich następującą cytate, użytą później jako motto piątego Komunikatu POSK’u (1966):

„...nasze namioty pozrywały wichry złudzeń i zawodów; nastała zima nieziszczonych nadziei... Musieliśmy pobudować domy”.

19 sierpnia 1964 30 przedstawicieli organizacji emigracyjnych i płk Stefan Zamoyski indywidualnie podpisali akt powołania do życia Ośrodka. Pierwszym przewodniczącym został prof. Roman Wajda, do Rady Ośrodka wszedł płk Zamoyski, mający już za sobą piękne wyniki w akcji rekrutowania członków Ośrodka, wpłacających udziały 10-funtowe, uważane wówczas za bardzo wysokie.

W dwa lata później na horyzoncie spraw bliskich Pułkownikowi zarysował się poważny kryzys: Rząd Brytyjski zapowiedział cofnięcie wypłacanej dotąd subwencji, będącej podstawą utrzymania Biblioteki Polskiej w Londynie i Centrali Bibliotek Rucho-

mych i zakwestionował tytuł własności części zbiorów. Płk Zamoyski był od pierwszej chwili inicjatorem akcji oporu przeciw projektom angielskim, mającym wejść w życie 1 kwietnia 1967 r. Był jedynym i oczywistym kandydatem na pierwszego przewodniczącego Polskiej Rady Bibliotecznej powołanej przez Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii. Działał w oparciu o sprzyjającą Bibliotece opinię publiczną i Zarząd POSK'u, którego członkowie weszli *in gremio* do Rady.

Kryzys przezwyciężono. Biblioteka została uratowana. Jestem głęboko przekonana, że główną zasługę przypisać należy płk. Zamoyskiemu, który zaczął od pokonania przeszkód na odcinku polskim i uzyskał od POSK'u gotowość przejścia odpowiedzialności za przyszłość Biblioteki. Rozpoczęła się walka na odcinku angielskim — w nieprzychylnie nastawionym Department of Education and Science. Kulminacyjnym punktem walki była debata parlamentarna, w której Lord St. Oswald i Lord Barnby ścierali się ostro z reprezentującym Rząd Lordem Shackletonem (27 października 1966) i zorganizowane przez płk. Zamoyskiego przyjęcie dla życzliwych naszym sprawom członków obu Izb w Cholmondeley Room w Izbie Lordów. 1 kwietnia 1967 Rząd Brytyjski przekazał tytuł własności Biblioteki Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu i przyznał na okres przejściowy dotację roczną w wysokości £3.000, powierzając jej wypłacanie Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Uratowana została na skutek usilnych starań płk. Zamoyskiego także i Centrala Bibliotek Ruchomych, zagrożona w stopniu nie mniejszym od Biblioteki Polskiej.

Ponieważ budżet Biblioteki zamykał się w owym czasie sumą ok. £11.000 — trzeba było myśleć o uzupełnieniu corocznych wydatków ze świadczeń społecznych. I tu wyszły na jaw talenty organizacyjne płk. Zamoyskiego. Od roku 1966, przez pełne dziesięć lat, bezinteresownie poświęcał sprawie Biblioteki po kilka godzin dziennie, w świątek i piątek, bo do reguły należało, że zasiadał nad korespondencją w sobotnie i niedzielne popołudnia. Wysyłał Apel po Apelu, atakował zbiorowo i indywidualnie swoich i obcych, rozpisywał listy do osób i instytucji na całym wolnym świecie a każdy, najskromniejszy nawet datek kwitował listem z uroczyste sformułowanymi słowami wdzięczności. Podpis jego taką miał dla ofiarodawców wagę, że gdy kiedyś, podczas krótkiej jego nieobecności, podziękowanie podpisał jeden z członków Rady, zwrócono się do mnie poufnie z prośbą o wymianę listu na podpisany przez Pułkownika Zamoyskiego „bo sąsiad takim listem się chwali”. Działała tu niewątpliwie magia nazwiska ale w wyższym jeszcze stopniu fakt, że nasz Pułkownik, tak pięknie reprezentujący ród Zamoyskich, stał się dla ogółu symbolem opieki nad Biblioteką Polską.

W opinii ogółu POSK utrzymywał Bibliotekę. Tak jednak nie było a rola POSK'u ograniczała się do symbolicznej subwencji £2.500 corocznie potrącanej z bardzo wysokiego komornego, którym POSK obciążył Bibliotekę w roku 1967 (£4.500 rocznie) a co

wpłynęło na podwyższenie wydatków corocznych do £15.000. Normalne funkcjonowanie umożliwiały *tylko i wyłącznie* kwestarskie zabiegi płk. Zamoyskiego, który w latach 1967-1972 (dalszych cyfr nie znam) zebrać zdołał £34.465.

Serdeczną troską Pułkownika był przyszyły lokal w gmachu przy King Street na Hammersmithie. Z przykrością muszę stwierdzić, że ponosiliśmy tu klęskę po klęsce. W miarę rozszerzenia się zakresu działalności POSK'u na plan pierwszy wysuwały się lokale „dochodowe” np. pomieszczenia restauracji i kawiarni, kosztorys teatru okazał się niezmiernie wysoki, a wymagania władz miejskich rosły i zmieniały się z każdym dniem. Jednym z najboleśniejszych przeżyć z tego okresu są wspomnienia walki o udostępnienie planów pomieszczeń bibliotecznych, które pokazano nam w momencie, gdy zasadnicze roboty budowlane były już w toku. Pułkownik przeżywał te trudności niezmiernie żywo; jednym z ostatnich jego posunięć, już po wyjeździe moim z Londynu, było zaangażowanie na własny koszt fachowych architektów, którzy starali się rozwiązać trudności związane z pomieszczeniem zbiorów w zbyt ciasnym pomieszczeniu, od początku nie wystarczającym!

Biblioteka była głównym ale nie jedynym przedmiotem trosk Pułkownika Zamoyskiego. Zawsze bliski był jego sercu Instytut Polski im. Gen. Sikorskiego, w którego Zarządzie zasiadał przez długie lata jako skarbnik. W czasie wojny był adiutantem Generała i z wzruszającą wiernością reprezentował kult Jego pamięci. Bliska była mu paryska Biblioteka Polska na Wyspie św. Ludwika, w sąsiedztwie Hotelu Lambert. Tam zresztą, w Hotelu Lambert, którego utrata na pewno nie przedłużyła mu życia, z nim i red. Giedroyciem omawialiśmy smutne sprawy emigracyjne dwa lata temu, gdy z Portugalii przyjechałam na krótko do Maisons-Laffitte. On jeden był optymistą. Miał w sobie niewyczerpane zasoby dobrej woli i wiary w możliwości przekonania oponentów o słuszności sprawy w którą wierzył. Fakt że miał wielu przyjaciół a nielicznych tylko, choć dokuczliwych, przeciwników utwierdzał go w słuszności poczynań.

Przez siedem lat dzieliłam z płk. Zamoyskim pokój biurowy na drugim piętrze gmachu na Princes Gardens. Zjawiał się około południa, by przejrzeć pocztę a po szybko spożytym w pobliskim „Ognisku” obiedzie zasiadał do pracy w charakterze przewodniczącego Rady Bibliotecznej i organizatora Apeli. Pomoc sekretarska ograniczona była do minimum i w dużym stopniu opierała się o zwerbowane przez Pułkownika wolontariuszki, z których najdłużej działała p. Maria Babicka. Ona i śp. Róża Blomfield pracowały z niecodziennym oddaniem — za przykładem Pułkownika.

Drugą, daleką od spraw bibliotecznych dziedziną, o którą ocierałam się w czasie owych siedmiu lat wspólnej pracy, były jego zainteresowania hodowlą i rodowodami koni arabskich. Był, o czym niewiele wiadomo, współautorem i kontynuatorem, do spółki z Kazimierzem Bobińskim „Family tables of race-

horses", na których pomieszczenie trzeba było walizki sporych rozmiarów. Dwa tomy tego wydawnictwa, bardzo cenionego w kołach fachowych, ukazały się w roku 1953 i 1954.

Na marginesie tej pasji zrodziła się inicjatywa odbudowania racjonalnej hodowli koni arabskich na terenie Izraela. Łączyła się ona z żywą sympatią okazywaną przez Pułkownika młodemu państwu izraelskiemu. Z inicjatywy tej narodziło się poświęcone tej sprawie towarzystwo, które zakupiło na Zachodzie pierwsze konie i dało początek racjonalnej hodowli. Byłam mimowolnym świadkiem osobliwych trudności związanych z wysyłką pierwszych koni. Aby przewieźć je na pokładzie statku, trzeba było wyekspediować je w ciągu września, by dojechały przed pierwszym październikiem do portu w Izraelu. A tu — zastrajkowali dokerzy i transport opóźnił się z dnia na dzień. Wynikła na tym tle jakaś groteskowych rozmiarów afera biurokratyczna z udziałem weterynarzy, biura transportowego, ubezpieczeń itp. Konie zjadły zawczasu przygotowaną na podróż paszę i zdemolowały drewniane *box'y*, nie dawały się uspokoić cukrem i marchewkami... Ale dojechały. W ślad za nimi pojechał z wizytą do Izraela Pułkownik, przyjmowany z honorami i sympatią, która u służącego w hotelu wyraziła się podejrzeniem, że Pułkownik nazwiskiem „Zamoyski” osłania jakieś inne brzmiące bardziej swojsko w Izraelu. Toteż zapytał: „A jak się Pan przedtem nazywał?”.

Pułkownik nie miał, niestety, daru wymowy, co utrudniało mu prowadzenie zebrań. Wady tej nie wyczuwało się w rozmowach bezpośrednich, gdy odrzucał patos i błyszczał poczuciem humoru. Pisał, dobierając staroświeckich wyrazów, starannie i uprzejmie. Był mistrzem w manipulowaniu specyficznie angielskimi formami adresów, z przysługującymi danej osobie tytułami i „literkami”. Dla Polek o nazwiskach kończących się na „ski” czy „cki” domagał się męskiej końcówki i imienia męża na kopertach, czekach itp. adresując np. „Mrs. Adam Zieliński”. Brał te sprawy tak poważnie, że na tym tle doszło do poważnego konfliktu między nim a prof. Karoliną Lanckorońską, która nie chciała poddać się jego kaprysowi w sprawie końcówki nazwiska.

Po moim wyjeździe z Anglii — według Pułkownika „dezercji” — był ze mną w stałym kontakcie w sprawach bibliotecznych. W lecie 1976 roku tempo korespondencji osłabło: „Proszę wybaczyć zaniedbania korespondencji — pisał 17 lipca. Niestety, trzy tygodnie w szpitalu a obecna już nie walka ale ostateczna rozprawa o Bibliotekę nie daje mi wytchnienia i zużywa resztę sił”. „Jeśli zdrowie dopisze — uzupełniał w ostatnim liście z 15 września, bo tymczasem mocno dokuczają — i przeżyję dzisiejsze zebranie Rady Bibliotecznej a 23 bm. Zarządu POSK'u, postaram się wrzeszcząc do Pani napisać i troski przed Panią obnażyć”. Zamiast listu przyszła lakoniczna wiadomość na pierwszej stronie *Dziennika*, że oto zmarł w Stanach Zjednoczonych.

Kilka lat temu Pułkownik odwiedził we Francji swego blis-

kiego krewnego Augusta Zamoyskiego, rzeźbiarza. Wrócił wstrząśnięty zarówno widokiem cierpienia dogorywającego artysty, obracającego żalostny wzrok na bryłę kamienia z nieukończonym dziełem życia, jak i bohaterską postawą skazanego na śmierć chorego. „Nauczył mnie jak umierać godnie i ufnie”. Słowa te brzmią mi uparcie w uszach...

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Wspomnienia p. Marii Danilewicz Zielińskiej ograniczają się głównie do Londynu. Ja chciałbym tu w kilku słowach wspomnieć o moich kontaktach ze Stefanem Zamoyskim. Przed wojną interesował się żywo wydawanymi przez mnie „Buntem Młodych” i „Polityką”. Po wojnie spotkałem się z nim w Paryżu w 1945 roku. W owym czasie 2-gi Korpus, który był naprawdę „małą Polską” stworzył w Paryżu placówkę z mjr. Józefem Czapskim na czele. Już wówczas moją *idée fixe* było stworzenie Instytutu Literackiego, gdyż w przeciwieństwie do powszechnych nastrojów liczyłem, że na emigracji zostaniemy na bardzo długo i że trzeba myśleć o pracy długofalowej. W związku z tym kursowałem między Rzymem a Londynem będąc luźno zaciepiony o paryską placówkę ze względu na przyjaźń i współpracę z Józefem Czapskim. To zresztą ułatwiło mi podróżowanie po Europie, w owym czasie dostępne właściwie jedynie dla wojskowych. Po przyjeździe do Paryża powstał trudny problem znalezienia lokalu zarówno dla Placówki, liczącej wówczas ponad 10 osób wojskowych, jak i na pomieszczenie sprzętu i kilku samochodów. Wtedy, dzięki poparciu wiernej przyjaciółki z dawnych lat, Róży Tarnowskiej, Stefan Zamoyski bez wahania udzielił placówce gościny w Hôtel Lambert. Był to z jego strony nie tylko gest pomocy, ale przede wszystkim odwagi przy ówczesnych nastrojach we Francji, dominującej roli partii komunistycznej, i bezkarnie działających placówkach NKWD, kiedy to mundur polskiego żołnierza był dla wielu Francuzów symbolem faszyzmu.

Instytut Literacki powstał w Rzymie w 1946 roku. W połowie października 1947 przenieśliśmy się z Włoch do Francji, do Maisons-Laffitte. Pierwsze lata francuskie były bardzo ciężkie, nasz niewielki kapitał zakładowy topniał z każdym ukazującym się numerem *Kultury*. Wprowadzenie miesięcznika nigdy nie jest łatwe — a tym trudniejsze było w chwili kiedy Polacy rozprasali się po całym świecie szukając miejsca osiedlenia i pracy. Z początkiem 1949 roku sytuacja *Kultury* zaczęła być prawie tragiczna. I wtedy Stefan Zamoyski — wierny czytelnik naszego pisma od samego początku — „ufundował” kolejny numer *Kultury* pokrywając całkowicie koszt wydania, a potem namówił swoich krewnych i znajomych do kontynuowania tej akcji, która znalazła następnie naśladowców. To pozwoliło nam przetrwać kryzys. W roku 1954 zostaliśmy zmuszeni do kupna domu. Rozpisaliśmy wtedy apel do naszych Czytelników z prośbą o pomoc, gdyż sami odpowiednich funduszy nie mieliśmy. Zbiórka dopiero zaczęła się rozkręcać kiedy kupno musieliśmy finalizować, gdyż zbliżał się termin opuszczenia starego domu. Wtedy znowu Stefan Zamoyski spontanicznie pożyczył nam bardzo znaczną sumę pieniędzy — bezprocentowo i bezterminowo — aby kupno definitywnie załatwić. Szczerze mówiąc reakcja naszych Czytelników była tak duża, że pożyczkę tę mogliśmy w ciągu roku całkowicie spłacić, ale bez niej nie daliśmy sobie rady.

Później, aż do jego śmierci, spotykaliśmy się ze Stefanem Zamoyskim jak tylko nadarzała się okazja, czasem w Londynie, częściej w Paryżu, w jego

maleńkim apartamenciku, który zachował w Hôtel Lambert czy w Travellers Clubie, którego był członkiem. Zawsze, w rozmowach z nim, uderzała mnie jego pasja społeczna i duży obiektywizm, tak trudny dla kogoś, kto jak on siedział w centrum skłóconego polskiego Londynu.

Jerzy GIEDROYC

Jean-Paul Palewski

Zmarły 10 grudnia 1976 roku deputowany Jean-Paul Palewski w sposób wzruszający łączył dwie miłości ojczyzny: do Francji i do Polski. Rodzina jego osiedliła się w Paryżu w parę lat po Powstaniu Styczniowym. Młody Palewski, urodzony w roku 1898, zgłosił się w roku 1917 do tworzącej się we Francji Armii generała Hallera. Odbył w jej szeregach kampanię w Wogezach, potem w Polsce bił się z bolszewikami aż do końca wojny. W wojsku nauczył się naszego języka. Po powrocie do Francji utrzymywał łączność ze swym oddziałem, jeździł na święto pułkowe na Wołyń.

Jako adwokat był radcą prawnym naszej ambasady w Paryżu. Wydał parę szkiców poświęconych Polsce. Później napisał sporą rzecz o Stanisławie Augustie Poniatowskim. Miał łatwość pióra i słowa.

Z wybuchem drugiej wojny znów zgłosił się do służby w wojsku polskim we Francji i został oficerem łącznikowym przy 2-giej Dywizji Strzelców. Razem z nią odbył kampanię w roku 1940 i był internowany w Szwajcarii. Zwolniony jako Francuz, zaszył się w konspiracji. Był zagorzałym gaulistą, tak jak jego brat Gaston, późniejszy ambasador, który dołączył do gen. de Gaulle'a w Londynie.

Po wojnie został wybranym deputowanym i mandat ten zachował aż do śmierci. I tu znów zaznaczyło się jego przywiązanie do drugiej ojczyzny. Zajmował się sprawami naszych emigrantów, kombatantów, nie jeden raz występował jako adwokat, kiedy indziej interweniował, kołatał jako deputowany. Przemawiał po polsku w audycjach sekcji polskiej Radia francuskiego. Występował w kolokwiach poświęconych naszym tematami. W Zgromadzeniu Narodowym był stale prezesem grupy parlamentarnej przyjaźni polsko-francuskiej i w związku z tym odbył wiele podróży do Polski sam lub na czele wieloosobowych delegacji. (Odwiedzał tam przy tych okazjach swych krewnych i byłych kolegów z wojska). W Polsce i w ambasadzie PRL był zdaje się popularny i bardzo dobrze przyjmowany jako łącznik z Quai d'Orsay. Nie przeszkadzało mu to bywać w Ognisku SPK w

Paryżu, brać udział w przyjęciach dla gen. Andersa, zadawać się z uchodźcami politycznymi, domagać się w rządzie z wielką natarczywością — i skutecznie! — komandorii Legii Honorowej dla gen. Duchą, wstawiać się za różnymi dziennikarzami emigrantami, itd., itd.

Wiele z tych spraw poznałem lepiej niż ktokolwiek odkąd — było to w roku 1964 — zgodził się na prośbę moich przyjaciół i moją przyjąć stanowisko prezesa Towarzystwa opieki nad polskimi zabytkami i grobami historycznymi we Francji, w którym byłem już od paru lat czynny wraz z moją żoną. Na tym gruncie nawiązała się między nami bliska, harmonijna współpraca, która przerodziła się w przyjaźń. Palewski nie traktował swej funkcji zdawkowo. Zredagował i rozesał do archiwistów departamentalnych kwestionariusz, dzięki któremu zarejestrowaliśmy sporo nieznanych grobów. Pisał do merów o subwencji na kosztowniejsze roboty. Oddał nam na usługi swoje rozległe stosunki. Kipił energią.

Najwięcej przyczynił się do wzniesienia w roku 1970 na cmentarzu w Montmorency, zaprojektowanego przez naszych dwóch architektów, wielkiego pomnika-memoriału ku czci Polaków poległych i pomordowanych przez Niemców i przez Sowiety. Przy odsłonięciu, w obecności przedstawiciela rządu R.F. i gen. Kopańskiego wygłosił płomienną mowę, w której mocniej jeszcze niż kiedykolwiek wyraził przywiązanie do naszej ojczyzny. Wszyscy byliśmy pod jej wrażeniem.

Był wierzącym katolikiem i antykomunistą. Zdrowie dopisywało mu, ale przed rokiem, wyraził do mnie przy świadkach życzenie, bym jego trumnę okrył polskim sztandarem. Leukemia zabrała go w ciągu paru tygodni. Pogrzeb odbył się z honorami wojskowymi, wobec czego władze uznały za niemożliwe, by trumna przykryta była sztandarem innym niż francuski. Ale w kościele, gdzie urządzono uroczystości pogrzebowe w wielkim stylu, rozwieszono po bokach ołtarza dwie równie wielkie chorągwie: francuską i polską. Byli też przedstawiciele ambasady. Wśród czterech przemówień francuskich, od gminy, departamentu, deputowanych i rządu, przemówiłem na życzenie rodziny od kombatantów i od Towarzystwa. Pożegnałem tego, który był nam wiernym towarzyszem broni, prezesem i przyjacielem.

Władysław ŻELEŃSKI

Kronika kulturalna

Pięćdziesięciolecie

W grudniu 1926 roku odbywała się w Paryżu publiczna obrona jednej z tez przedstawionych Uniwersytetowi dla uzyskania stopnia doktora praw i nauk politycznych i ekonomicznych. Młody kandydat, magister Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, wypowiadał w niej opinię o zbliżającym się zmierzchu epoki państw suwerennych, jaka się ustaliła na Zachodzie po rozkładzie średniowiecznej uniwersalnej *Respublica Christiana* z Papieżem i Cesarzem na czele¹. Na owe czasy była to teza niezwykle kontrowersyjna i jej obrona przeciągnęła się na szereg godzin. Głównym oponentem był profesor Jules Basdevant, dogmatyk i radca prawny francuskiego MSZ, wówczas gdy przewodniczący prof. Alfred Geoffre de Lapradelle oraz prof. Louis Le Fur, zwolennik prawa naturalnego, byli raczej odmiennego zdania. Ich głosy ostatecznie przeważyły i kandydatowi przyznano tytuł *Docteur en Droit ès Sciences Politiques et Économiques* zaś jego pracę odznaczono nagrodą fakultetu a jej streszczenie wydrukowano w *Annales de l'Université de Paris*.

W Polsce zaakceptowana w Paryżu teza nie została przyjęta przychylnie i od jej autora domagano się krótkiej odpowiedzi jednym słowem — tak lub nie — „na proste, konkretne pytanie: czy Polska jest państwem suwerennym?”. W atmosferze świeżo odzyskanej niepodległości jednoznaczna odpowiedź na to pozornie tylko „proste” pytanie łatwą nie była i po uzyskaniu w 1929 roku na USB na podstawie rozprawy habilitacyjnej o *Podstawach obowiązywania Prawa Narodów*, stopnia Docenta Dr Sukiennicki odszedł od prawa międzynarodowego, poświęcając się studiom nad ogólnymi zagadnieniami teorii prawa i państwa, w szczególności sowieckiego, którego bezpośrednie sąsiedztwo z Polską zaczęło mu się wydawać o większym znaczeniu praktycznym niż genewskiej Ligi Narodów, jaka zapoczątkować miała nową erę w stosunkach międzynarodowych.

Były to jednak znowu zagadnienia wysoce kontrowersyjne, gdyż w owym czasie tak popularna dziś „sowietologia” jeszcze nie istniała i wszystkie związane z nią zagadnienia były powszechnie uważane za zbyt świeżej daty by mogły być przedmiotem obiektywnych i beznamiętnych badań, zaś zajmowanie się nimi budziło podejrzenie określonych sympatii czy tendencji poli-

1. *La Souveraineté des États en Droit international Moderne* par Wiktor Sukiennicki, *Docteur en Droit de l'Université de Paris*. Lettre-Préface de A. de Lapradelle. Paris, A. Pedone, 1927, pp. 423.

tycznych. W rezultacie znajdujące się w 1939 roku w druku trzytomowe studium o ewolucji ustroju sowieckiego w kierunku totalitarnym zostało przez rząd Sławoja Składkowskiego zasekwestrowane, by zostać następnie zniszczone na okupacji Wilna przez Armię Czerwoną. Ocalałe nieliczne egzemplarze pierwszego tomu stanowią dziś rzadkość bibliograficzną².

Znajomość istoty reżymu sowieckiego spowodowała, że prof. Sukiennicki uchylił się od pójścia do rosyjskiej niewoli we Lwowie, gdzie przebywał jako zmobilizowany oficer rezerwy we wrześniu 1939, co odwlekało do czerwca 1941 roku wywiezienie go do syberyjskiego łagru; po zwolnieniu w 1942 pracował w Ambasadzie R.P. w Kujbyszewie, gdzie w notatkach dla ambasadora Kota oraz listach do ministra Komarnickiego w Londynie przestrzegał przed używaniem terminu „nowa Polska” oraz przewidywał ewentualność utworzenia w Rosji „rządu” konkurencyjnego w stosunku do istniejącego rządu „londyńskiego”. W ówczesnej sytuacji przewidywania te wydawały się zupełnie nieprawdopodobne, sprawdziły się jednak w niedalekiej przyszłości.

Na jesieni 1942 roku prof. Sukiennicki po raz trzeci w życiu wyjechał (z przygodami) z Rosji Sowieckiej i podczas pobytu w Teheranie zainicjował Towarzystwo Studiów Irańskich oraz wydał pierwszy tom jego prac; była to bodaj pierwsza książka w języku polskim wydrukowana w Iranie. Po przyjeździe do Londynu prof. Sukiennicki pracował w ministerstwach Prac Kongresowych i Informacji oraz wykładał na Polskim Wydziale Prawa w Oxfordzie oraz w Szkole Nauk Politycznych w Londynie, gdzie m.in. ogłosił kurs wykładów o *Współczesnych Ideach i Ruchach Polityczno-Społecznych*; w okresie Trybunału w Norymberdze zajmował się sprawą Katynia i przygotował pierwsze w tej sprawie obszerne memorandum, ogłoszone następnie w aktach amerykańskiego Kongresu.

Po kilkuletniej pracy w „Głosie Wolnej Polski” radia Free Europe, prof. Sukiennicki wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Instytucie Hoovera przy uniwersytecie w Stanford współpracował przy przygotowywaniu historii Kominternu za czasów Lenina. W tym czasie odchodził coraz bardziej od zagadnień doby bieżącej, zajmując się historią, co m.in. znalazło wyraz w tematyce artykułów ogłaszanych od roku 1950 w *Kulturze* oraz *Zeszytach Historycznych*. Latem 1976 roku odbył podróż po Europie Zachodniej, wygłaszając na różne tematy odczyty m.in. w Sztokholmie, Lundzie, Kopenhadze, Monachium i Rzymie.

Życzymy Jubilatowi i naszemu niełatwemu współpracownikowi wielu dalszych lat owocnej pracy, a w szczególności wykończenia i ogłoszenia drukiem obszernego opracowania o losach krajów położonych pomiędzy Niemcami a Rosją w okresie Pierwszej Wojny Światowej.

REDAKCJA

2. Instytut Naukowo-Badawczy Europy Wschodniej. Sekcja prawno-polityczna Nr 1. *Ewolucja ustroju ZSRR w świetle oficjalnych publikacji władzy radzieckiej*. Tom I. Wilno 1938, str. 328.

Polemiki

O pewnym «rozdwojeniu jaźni»

Zaopatruję ten tytuł w cudzysłów, gdyż zapożyczony jest z artykułu Józefa Łobodowskiego. Łobodowski pisał pod tym tytułem o pewnych przejawach w środowiskach pisarskich w Polsce komunistycznej. Mnie chodzi o stwierdzenie pewnych zjawisk zachodzących w środowiskach emigracyjnych.

Jednym z najślusniej często poruszanych na emigracji tematem jest potępienie dyskryminacji, jakiej ulegają niektórzy pisarze w kraju; potępienie inscenizowanych przeciwko nim nagonek, szykan etc., oraz przemilczania ich nazwisk i ich dorobku pisarskiego. Temat tak często w publicystyce emigracyjnej poruszany, iż słusznie może uchodzić nie za obronę poszczególnych pisarzy, lecz za potępienie samej zasady tych metod. Zaskakuje więc, że jednocześnie — drogą dziwnego chyba rozdwojenia jaźni — nie dostrzega się analogicznych praktyk uprawianych na emigracji, a często przez tych samych, którzy najbardziej rozdzierają szaty z powodu manipulacji stosowanych w PRL.

Większość nie uwierzy mi, gdy przytaczając tu siebie za przykład takiej dyskryminacji (i głośnej, i cichej), nie będzie mi chodziło o sprawę osobistą, lecz o sprawę w ogóle. Ale nie chodzi o rzecz osobistą. Mógłbym wprawdzie poświęcić jej całą powieść, i może ją jeszcze napiszę. Tym razem jednak pozwolę tylko przytoczyć nie najjaskrawszy przykład, ale łagodniejszą jego formę w postaci inspirowanego: „przemilczania”. Pozornie jakby z zarządzenia nagle jakowegoś nadrzędnego, emigracyjnego ośrodka dyspozycyjnego, w stosunku do: „inaczej mówiącego”. Ale raczej tak nie jest. Raczej jest, zwyczajnie: wrażliwość odruchów warunkowych na płasy aktualnych wodzirejów politycznych.

Byłem w maju 1943 roku w Katyniu. Jestem dziś chyba ostat-

nim z żyjących na Zachodzie Polaków, który tam był i widział na własne oczy. Prace ekshumacyjne pod kierownictwem dr. Wodzińskiego z PCK, dobiegały końca. Można było wnikać w całokształt obrazu. Byłem pierwszy, który przywiózł do Warszawy wiadomość że — wbrew oficjalnej wersji niemieckiej o rzekomo 10-12 tysiącach trupów — leży tam tylko ponad 4 tysiące wymordowanych. Stwierdziłem wagę kapitalnego dowodu w postaci masy gazet z datą wiosny 1940, znalezionych przy zwłokach. [Gdyż nie mogła taka ich ilość przetrwać w kieszeniach jeńców rzekomo do jesieni 1941 (kiedy to według wersji sowieckiej mieli być wymordowani); a jak stwierdziłem naocznie — wobec spłaszczenia i sklejenia warstwy trupów w grobach — niepodobniestwem było, aby Niemcy mogli w lutym-marcu 1943 wpychać te gazety do kieszeni pomordowanych, jak to później twierdził komunikat sowiecki]. Rozmawiałem z miejscową ludnością poufnie, gdyż władam biegle językiem rosyjskim. Od tego czasu poświęciłem się badaniu sprawy tego masowego mordu. Na Zachodzie, po wojnie, większość dokumentów, świadectw, doniesień — prawdziwych i fałszywych — przeszła przez moje ręce.

Relacje moje z tych badań należą do pierwszych książek na Zachodzie, opublikowanych w kilku językach. W roku 1952 powołany zostałem przez Komisję Kongresu Amerykańskiego w charakterze świadka koronnego, oraz eksperta do oceny sowieckiego komunikatu oficjalnego.

W tamtym czasie *Dziennik Polski* w Londynie (z dn. 9 lipca 1952) pisał:

„Najwięcej miejsca Raport Komisji Kongresu Amerykańskiego poświęca zeznaniom Józefa Mackiewicza, autora książki o mordzie katyńskim, który przesłuchiwany był jako rzeczoznawca...” etc.

Za prezydentury Augusta Zaleskiego na emigracji, otrzymałem z jego rąk dekret, datowany 11 listopada 1971, który:

„... Pana Józefa Mackiewicza, autora książek o Zbrodni Katyńskiej, zaliczył w poczet Kawalerów Orderu Odrodzenia Polski, nadając Mu odznaki Krzyża Komandorskiego tego Orderu za wybitną twórczość na polu literatury i publicystyki”.

W pięć lat później, w 1976 ukazuje się w Londynie dzieło pt. „Pamiętnik Literacki”, wydany sumptem Związku Pisarzy Polskich na Emigracji, do którego osobiście nie należę i należeć nie chcę. „Pamiętnik Literacki” ma przedstawiać tzw. dorobek pisarzy polskich na emigracji, ze szczególnym uwzględnieniem książek o charakterze dokumentarnym. W dziele tym nie wymienia się mnie jako autora książek o zbrodni katyńskiej...

W wydanej na 18 września 1976 broszurce-prospekcie, z okazji odsłonięcia pomnika w Londynie, pt. „Katyn Memorial” (Veritas, Londyn), w notatce: „Books on Katyn”, nie wymieniono żadnej książki pod moim nazwiskiem... — To tylko przykładowo, w masie tych „przemilczeń”.

Tegoż roku w paryskiej *Kulturze* z listopada (Nr 11/350, 1976) ukazuje się artykuł Józefa Czapskiego na temat owych uroczystości odsłonięcia pomnika katyńskiego. Autor słusznie krytykuje stanowisko rządu brytyjskiego, który odmówił wysłania oficjalnego przedstawiciela, i zapytuje: „czyżby nie przekonały go” — pisze — dotychczasowe książki o zbrodni katyńskiej wydane w języku angielskim? Następnie wyliczając te książki — pomija wydane pod moim nazwiskiem...*

Właściwie, dlaczego? Bo przecież ta sama *Kultura*, poza doskonalą recenzją Kazimierza Zamorskiego (październik 1951) o moich książkach o zbrodni katyńskiej — ogłasza w numerze z kwietnia 1966 obszerny na temat książek o Katyniu artykuł, w którym czytamy:

„Literatura o zbrodni katyńskiej jest stosunkowo obszerna i chyba wyczerpująca. Pierwszą publikacją, wydaną w 1943 roku w Berlinie, był „Amtliches Material zum Massenmord von Katyn”... Następne, dwie poważne prace, obie napisane przez Józefa Mackiewicza, ukazały się drukiem w parę lat po zakończeniu wojny: „Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów” z przedmową Władysława Andersa (bez podania nazwiska autora),... — (na temat autorstwa tej książki wyowiada się także Stanisław Lubodziecki w dwóch artykułach zamieszczonych w londyńskiej *Rzeczypospolita Polska*, z dn. 29 września 1962, oraz 23 października 1965 — przyp. mój) — tudzież w szeregu języków obcych, m.in. w niemieckim pod tytułem „Katyn unge-sühntes Verbrechen” i angielskim „The Katyn Wood Murders”...” etc.

Istotnie, tak było. Byłem pierwszy po wojnie, który opracował książki o zbrodni katyńskiej, ogłoszone w wielu językach na Zachodzie. Nagle, nie jestem nawet ostatnim...

Jeżeli chodzi o język angielski, a zatem o „przekonanie” opinii i (jak tego chce Czapski) rządu brytyjskiego, to moja druga książka, „The Katyn Wood Murders” — z przedmową ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie, Arthura Bliss Lane’a — wydana została w trzech wydawnictwach: Hollis and Carter, London 1951 — The World Affairs Book Club, London 1952. — Oraz

* Przeczytałem artykuł Józefa Mackiewicza pt. „O pewnym 'rozdwojeniu jaźni'”, w którym zarzuca mi on, że cytując książki, świadectwa o zbrodni katyńskiej pominąłem jego kapitalną książkę.

Powód jest prosty: zacytowałem te książki, które miałem w swojej bibliotece. Książkę Mackiewicza musiałem akurat komuś pożyczyć i wskutek tego zapomniałem o niej pisząc artykuł. Jedyne co mi pozostaje to przeprosić Mackiewicza oraz Czytelników *Kultury* za to przeoczenie naprawdę nieumyślne.

Józef CZAPSKI

British Book Centre, New York 1952. Natychmiast zaczęły się ukazywać o niej artykuły w całej prasie brytyjskiej. Używam celowo słowa: „artykuły”, gdyż przeważna ilość recenzji w całym jedynie stopniu poświęcona była krytyce samej książki, a głównie, albo wyłącznie — sprawie. Sprawie mordu katyńskiego i piętnowaniu jego sprawców. I to nie tylko w Anglii, ale również w dominiach. Spośród zgromadzonych przeze mnie mogą wylizc:

Times Literary Supplement, Daily Telegraph, Economist, Contemporary Issues, Daily Graphic, Birmingham Mail, Birmingham Post, Illustrated London News, Belfast Telegraph, Cork Examiner, West, Morning News, Liverpool Post, Yorkshire Observer, Yorkshire Post, Northern Whig, Current Literature, Tablet, Catholic Herald, Recorder, Truth, Irish Press, Cambridge Daily News, Universe, Statesman (Calcutta), Sydney Morning Herald, Rhodesia Herald, Irish Independent, Belfast News Letter...

Jedynie wychodzący w Kalkucie organ lewych liberałów, *The Statesman*, zajął wobec mojej książki stanowisko wyraźnie sceptyczne. Wszystkie inne pisma jednogłośnie wskazują na bolszewików jako na sprawców mordu.

Daily Telegraph, który (28 grudnia 1951) nazwał tę książkę: „Book of the Year”, pisał: „Nareszcie została podjęta próba wyciągnięcia tej okropności na światło dzienne”.

Daily Graphic: „Wniosek dla nas, że już przed laty polityka sowiecka rozstrzygnęła o okrutnym łamaniu każdego oporu narodów Wschodniej Europy.

Birmingham Mail: „Ludzie w rodzaju pana Bevana powinni być zmuszeni do przeczytania od deski do deski „The Katyn Wood Murders” Mackiewicza”.

Economist: „Winni zbrodni są żywi i dobrze jest, że świat dowie się o ich sposobie działania”.

Ill. London News: „Żaden z czytelników książki nie może mieć wątpliwości, że to Sowiety wymordowały...” — *Truth* daje tytuł: „Katyn — a Remorseless Prove”. — *Universe*: „The murderers have designs on you”. — Najpoważniejszy organ liberalny Australii, *The Sydney Morning Herald*, zamieszcza artykuł na pół strony z fotografią pt.: „The Truth About Katyn”. — Długi artykuł pt. „A Terrible Crime” poświęcił sprawie członek parlamentu, prof. D. L. Savory, w *Belfast News-Letter*.

Yorkshire Post: „Dowiadujemy się o wiele więcej, niż Mr Churchill powiedział w swym ostatnim tomie”...

Manchester Guardian pisał (1 marca 1952) w artykule wstępnym: „The evidence is overwhelming as Mr. Joseph Mackiewicz's book showed”. — *The New Leader* w Nowym Jorku (W. H. Chamberlin) poświęcił mojej książce całostronicowy artykuł. — *New York Herald Tribune* pół strony w nr. z 9 lutego 1952. — *Readers Digest* w lipcu-sierpniu 1952, w wydaniu amerykańskim, brytyjskim i Sélection francuskim, poświęcił wielostronicowy artykuł pt.: „Who is Guilty of the Katyn Massacre”? etc. etc.

Ale książka moja wychodzi też w innych językach. Niemiec-

kim w Szwajcarii (KATYN — UNGESÜHNTE VERBRECHEN — Thomas Verlag, Zürich), włoskim (IL MASSACRO DELLA FORESTA, Edizioni Paoline, Roma) i hiszpańskim (LAS FOSAS DE KATYN, Ediciones Paulinas, Zalla). — Zostaje całkowicie przedrukowana w brukselskiej *La Libre Belgique*, począwszy od 8 lipca 1952 pt.: „Le Massacre de la forêt de Katyn”, oraz w listopadzie 1956 w tygodniku rzymskim *Orizzonti*, pt.: „Sensazionali rivelazioni sul Massacro della Foresta di Katyn. Dal racconto di un testimone”. — Omówienia sprawy mordu katyńskiego w oparciu o moją książkę w prasie światowej, ukazują się w 10 językach.

W tamtym czasie ukazały się też obszernie artykuły poświęcone mojej książce w prasie polskiej w Anglii, Ameryce i gdzie indziej. Pisali Kazimierz Okulicz, prof. Stanisław Stroński, Karol i Wacław Zbyszewscy, wspomniany już Kazimierz Zamorski, Stanisław Lubodziecki, Dr Stanisław Kodz, Władysław Günter i wielu innych.

Jednocześnie z pianą na ustach rzucają się na mnie: *Sztandar Młodych* w odcinkach pt.: „W jakim celu?!”; reżymowa na Zachodzie *Kronika Tygodniowa*; krakowski *Dziennik Polski*, pt.: „W Anglii wolno propagować wojnę!”; paxowskie szczekaczki, i wreszcie zostaje wydana przez „Czytelnika” w PRL cała książka niejakiego Bolesława Wójcickiego, pt.: „Prawda o Katyniu”, zawierająca potoczne kłamstwa w myśl wersji sowieckiej, oraz potok wymyślań pod adresem polskiej emigracji politycznej, która najpierw była na służbie hitlerowców, a później banków amerykańskich...

Nie będę ukrywał, że te spazmatyczne przekleństwa wykrzykiwane przez polskich komunistów i poputczików, sprawiają mi szczególną satysfakcję. Gdy należę do wyjątków upierających się przy niepopularnej tezie, że wrogiem Nr 1 każdego narodu są (tzn. powinni być): komuniści własnego narodu, przede wszystkim. Teza niepopularna, sprzeczna ze stanowiskiem politycznej emigracji wszelkich odcieni. Jak to się mówi teraz: „kontrowersyjna”.

Ale nie o polityce mowa. Gdy stałem w tamtym maju 1943 roku, w duszącym smrodzie, przyciskając chusteczkę do nosa, nad otwartymi grobami Katynia, opanowany byłem, pamiętam, myślą: czy dane mi będzie dać świadectwo prawdzie? Kiedyś, tzn. w mglistym czasie przyszłości, po wojnie? O której wtedy nikt jeszcze nie wiedział kiedy i jak się skończy; czy się ją przeżyje, i tego końca doczeka? Przeżyłem i doczekałem. Wszystko to trochę patetyczne i trochę na autoreklamę wygląda, co tu pisać. Ja wiem. Aspiracje osobiste zachowuję raczej dla utworów literackich. W wypadku relacji katyńskiej chodziło o przekazanie prawdy. Ani o tzw. „spełnienie obowiązku”, ani o „zasługę” w tej materii. O samą prawdę. U nas, nie można powiedzieć, żeby się ideowości nie ceniło; raczej mało się w nią jakoś wierzy... „gadaj zdrów...”. Bo u nas sloganami zaczyna się

mówić już przy pierwszym śniadaniu. W rezultacie szacunkiem otaczane jest: uznanie zasług, i ważna mina na akademiach. Stąd rodzą się najczęściej pretensje za jej nieuznawanie.

Bóg z nią, z „zasługą”. Choć tak, z ręką na sercu, nie wydaje mi się, żebym akurat zasłużył raptem na totalne przemilczanie, właśnie w tej „sprawie”.

Zaczęło się jakoś z końcem lat 60-tych, czy początkiem obecnego dziesiątka. A więc nie jak za pociśnięciem guzika. Zresztą, czy taki guzik istnieje na emigracji, i przez kogo pociskany? Powiadają: *Establishment*, którym obrzucają nawzajem jedni drugich. To uproszczenie. *Establishment* nie rozporządza sankcją w odniesieniu do wolnej jednostki, w wolnym świecie. Czy, może, jednak?... W sowieckiej gwarze mówi się: „po błatu”?

Słowem, gdzie tylko na emigracji dziś oficjalna mowa o „Sprawie Katynia” ja — zaryzykowałbym powiedzieć: chyba największy jej znawca — skreślony jestem z listy, o których się mówi. Naturalnie nie zaproszono mnie do Komitetu Budowy Pomnika. Najzupełniej słusznie. Nigdy bym bowiem w tym gremium nie uczestniczył, ze względu na ustalony nadpis na pomniku. Zwróciły na to uwagę dwie kobiety. Pierwsza Stefania Kossowska. Teraz Grażyna Nowak trafnie pisze w *Kulturze* (październik 1976): „...z napisem tak wypranym z treści, że od biedy mogłaby go zaaprobować Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa...” w komunistycznej Polsce.

Napis ten brzmi: „Pamięci 14.500 polskich jeńców, którzy zniknęli w 1940 z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, a z których 4.500 znaleziono później w zbiorowych mogiłach w Katyniu koło Smoleńska”.

Czy można było wymyśleć coś bardziej wykrętnego, w widocznym poszukiwaniu jakiegoś kompromisu?! W istocie napis pokrywać się może z — oficjalną wersją sowiecką...: „zniknęli” z tamtych obozów, gdyż przewiezieni zostali do nowych obozów koło Smoleńska, gdzie ich Niemcy wymordowali po zajęciu tych terenów w roku 1941. I stąd zwłoki ich „znaleziono później w zbiorowych mogiłach w Katyniu koło Smoleńska”. Sprzeczności rzeczowej nie ma. Sprzeczność dopatrzona być może jedynie w stylistyce, oraz w cyfrze 4.500, podczas gdy wersja sowiecka mówi o 11.000 „znalezionych” trupów... Ale kto by tam z przeciętnych mieszkańców Wolnego Zachodu wdawał się i zagłębiał w takie szczegóły?! Tym bardziej że obok napisano: 14.500.

Oczywiście wszystko razem, łącznie z wybitym na obelisku: „Katyn 1940”, jest dla człowieka niewtajemniczonego rodzajem łamigłówki, którą rozwiązać może raczej znawca historii i geografii ubiegłej wojny, nigdy przeciętny przechodzień angielskiego cmentarza. Poza tym w zdumienie wprawia sam fakt: Żeby jeszcze po 36 latach od największego masowego wymordowania Polaków, nie tylko nie zdobyć się na wymienienie sprawcy mordu, ale nawet na to że zostali wymordowani, a jedynie że „zniknęli”!...

Żeby zgodzić się na coś podobnego, chociażby pod presją, byle tego mordercy nie podrażnić („sojusznika naszych sojuszników”, jak się pisało w prasie podziemnej w kraju) — to już świadectwo bezprzykładnej małoduszności. Pomnik, ale zaniku godności narodowej. Raczej nie należało go pod tymi auspicjami wznosić w ogóle.



Kiedys, w towarzystwie przyjaciół, byłem na prelekcji z wyświetlaniem tzw. „polskiego filmu o Katyniu”. Jest to właściwie film niemiecki zrobiony w Katyniu podczas prac ekshumacyjnych, z dodanymi później bardzo trafnie fotosami, m.in. retrospekcją wypadków wojennych poprzedzających zbrodnię katyńską, itd. Jeżeli chodzi o niemiecki odcinek taśmy, kręcono ją akurat w czasie gdy tam byłem. Widać mnie na tym filmie jak się poruszam pomiędzy otwartymi grobami i stołem do sekcji zwłok.

— To pan, przecie! — trącił mnie znajomy.

— Uhum — odpowiadam. Bo co miałem odpowiedzieć?

Prelegent omawiając wyświetlane fragmenty, nie wskazał, nie wspomniał, naturalnie, ani o mojej tam obecności, ani o moich relacjach i książkach.

Przyjaciele spoglądają na mnie, uśmiechając się znacząco. Uśmiecham się w odpowiedzi z niejakim zawstyżeniem. Bo jak miałem się uśmiechać?



Jeżeli chodzi o „sprawę Katynia”, to najgorzej jest z nią dziś w Niemczech. Nikt tu, pod socjalistycznym rządem, o Katyniu słyszeć nawet, nie tylko pisać nie chce, aby nie mącić wielkiego Odprężenia. Kilka lat temu, wydawca mój w Zurychu (Thomas-Verlag), Dr. James Schwarzenbach — który w szwajcarskiej Radzie Narodowej reprezentuje dziś prawe skrzydło — napisał mi, że chciałby wznowić 2-gie wydanie mojej książki o Katyniu, której nakład został dawno wyczerpany. Chodzi mu jednak o minimalne zabezpieczenie: np. 1.000 zagwarantowanych w Niemczech egzemplarzy. Akurat poznałem pewnego dawno emerytowanego pułkownika, który miał wszakże tzw. „chody” w ministerstwie obrony, w Bonn. Zapytał więc on tam poufnie, czy np. biblioteczki żołnierskie obecnej Bundeswehry nie zechciałyby zakupić po jednym egzemplarzu książki o zbrodni katyńskiej? Stanowczy odmowa. Byłoby poczytane za nieprzyjazny gest wobec Związku Sowieckiego.

Ostatnio pewien polityk szwedzki estońskiego pochodzenia (William G. Lindström) podjął inicjatywę wydawania w trzech językach (szwedzkim, angielskim i niemieckim) „Zeszytów o Związku Sowieckim”. U mnie zamówił, w krótkim zarysie, całość historii zbrodni katyńskiej, aż do stanu tej sprawy na dzień dzisiejszy. Opracowałem ten historyczny zarys, włączając doń m.in. nieznanne uprzednio materiały, zaczerpnięte z doskonałej książki J. K. Zawodnego („Death in the Forest”), o tym na ile mocarstwa zachodnie poinformowane były już podczas wojny

o tej zbrodni, popełnionej przez ich sojusznika. — Do wydania „Zeszytów” nie doszło, gdyż sam Lindström nagle zmarł. Maszynopis mój, w języku niemieckim, przeleżał w szufladzie, aż przyszło mi do głowy zaproponować go do druku czasopismom niemieckim. Żadne czasopismo w Niemczech nie chciało tego nawet przeczytać. Wszystkie, tak liczne, miesięczniki, kwartalniki itd. o treści polityczno-historycznej, nawet te specjalizujące się w sprawach wschodnich, nie czytając, odrzuciły *a priori* jako temat nie aktualny, niepopularny, a szczególnie zadrażniający stosunki ze Związkiem Sowieckim i komunistyczną Polską.

Ale jeszcze 20 lat temu było inaczej. Pojawiały się na temat Katynia okolicznościowe artykuły. A także sensacyjne apokryfy w postaci różnych „rewelacji”. Najgłośniejszym z tej kategorii był opublikowany w tygodniku *7-Tage* (w Karlsruhe), z fotokopią rzekomego dokumentu mińskiego NKWD. Sensacja ta, zbadana przez rzeczoznawców, okazała się dobrze zrobioną kompilacją faktów rzeczywistych z nierzeczywistymi. Szczegółową analizę jej opublikowałem wtedy w czasopiśmie polskim *Ostatnie Wiadomości*, wychodzącym w Mannheim.

Raptem teraz, po dwudziestu latach, wpada na ten falsyfikat Mr. FitzGibbon i robi z niego wielkie „odkrycie” w Londynie. Jestem odcięty od osobistego z nim kontaktu. Opublikowałem raz jeszcze uzupełniającą analizę w obszernym artykule, tym razem w londyńskich *Wiadomościach*. M.in. w nadziei, że ktoś z rodaków przetłumaczy to panu FitzGibbon’owi, aby przestrzec go przed robieniem sensacji z jego „odkrycia”. Stało się odwrotnie. Mr. FitzGibbon włączył ją do swoich książek, podrywając tym samym ich, i swój, bardzo głośny i pożyteczny autorytet. W sprawie, w której powinno nam zależeć, aby zawierała wyłącznie prawdę.

Niestety. Nawet Stanisław Swianiewicz, w ostatnio wydanej, znakomitej skądinąd książce, „W Cieniu Katynia”, [dla mnie osobiście najciekawszej o tamtych czasach, jaką czytałem], kładzie duży nacisk (str. 311) na rewelacje zaczerpnięte z *7-Tage*, i przydaje ogromną wagę wyciągniętym z nich przez Mr. FitzGibbon’a wnioskowi. To nie jest dobre. Radość, że autor angielski zechciał zainteresować się sprawą mordu katyńskiego, nie może pokrywać ani usprawiedliwiać popełnianych przez niego błędów.



Chciałbym raz jeszcze podkreślić: Nie mam najmniejszych pretensji do „uznania”, żadnej ambicji do „zasiadania” na uroczystościach patriotycznych, do żadnych rang emigracyjnych. Cienia pretensji do nikogo, i do żadnej listy „zasłużonych”. Ani do odznaczeń, z których jedno przyjąłem nie jako mi należne, tylko z serdeczną wdzięcznością.

A niniejszy szkic tych kilku zestawień zacząłem o — pewnym „rozdwojeniu jaźni”... Nie będąc zresztą pewny, czy utrafiłem w sedno.

Józef MACKIEWICZ

Książki

Od « Rzeźni » do « Garbusa »

1. „Rzeźnia” czyli o sposobie ostatecznym

„[...] A więc najpierw przebóstwienie kultury, kultura jako wartość nadrzędna, absolutna. Więc oczywiście krach, kiedy dochodzi do konfrontacji z życiem, śmiercią, cierpieniem, zabijaniem.

Wniosek współczesny: bądźmy zatem niekulturalni, a idąc jeszcze dalej, bądźmy po stronie prawdy ostatecznej czyli śmierci”.

(Z listu Mrożka na temat *Rzeźni*, „Dialog”, wrzesień 1973).

Młody Skrzypek cierpi pod „gębą”, która nałożyła mu Matka. Matka wypłasza z domu jego ukochaną Flecistkę. Udręczony Skrzypek dorysowuje Paganiniemu — którego popiersie Matka postawiła w jego pokoju — wąsy. Paganini ożywa.

Pojęcia Skrzypka o sztuce i życiu wypacza najpierw starsza, potem młodsza kobieta. Po odejściu Flecistki Skrzypek marzy mściwie: „Zza kulis wychodzi mały garbus i chyłkiem, ukradkiem wślizguje się pod krynolinę”.

Skrzypek proponuje Paganiniemu uczciwą, choć anachroniczną transakcję: genialność za życie. Paganini z entuzjazmem decyduje się na wymianę i Skrzypek — napełniony jego genialnością — rezonuje jak Gombrowicz w „Dzienniku”: „Nie wiem jeszcze co zrobię, ale jestem pewien, że wszystko co zrobię będzie jednocześnie dowolne i konieczne”.

Skrzypek chce utracić niewinność, wyzwolić się od Matki osiągnąć sławę i miłość. Sztuka jest dla niego tylko środkiem do realizacji życia, jego tymczasową sublimacją. Geniusz jednak jest niewolnikiem swojej genialności. Jeśli życie jest naprawdę

1. Cztery omawiane tutaj sztuki Sławomira Mrożka ukazały się w następującej kolejności: „Rzeźnia”, *Dialog* 9/73; „Wyspa róż”, *Dialog* 8/74; „Emigranci”, *Dialog* 5/75; „Garbus”, *Dialog* 9/75.

przeciwieństwem formy czyli sztuki, genialność jest ze wszystkich form najbardziej ostateczna i sztuczna. „Moja wolność stała się koniecznością — wykrzykuje skonfundowany Skrzypek. — To jest doprawdy trochę nienormalne”.

Rzeźnia jest krwawą, filozoficzną groteską, która dzieje się w świecie odrealnionym, a zarazem pełnym konkretów. Po napełnionego genialnością Skrzypka przyjeżdża giermek cesarski, przed domem rzy cesarski ogier, dwór cesarski czeka na artystę. Rekwizyty awanturniczo-monarchiczne jak ze snów dorastających chłopców. Matka — straszliwie chytra — przystaje wielkodusznie: „To wielkość twoja mi ciebie zabiera”.

Rolę dworu rychło przejmują Miasto, które właśnie przygotowuje się do jubileuszu. Dyrektor Filharmonii wyblaguje u Skrzypka koncert inauguracyjny. W przemówieniu, którym otwiera uroczystość, zachwala sztukę frazą Gombrowicza, dziwnie przemieszana ze stalinowskim bełkotem: „Jak dobrze nam, kiedy widzimy się nawzajem, tu, pod sklepieniem tej naszej świątyni, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, gdyż słowo „świątynia” należy do przebrzmiałego słownika, słownika ukształtowanego przez kult religijny *nota-bene*, podczas kiedy kultura jest religią świecką, jeżeli wolno mi się tak wyrazić. Ten młody kapłan... To znaczy wcale nie kapłan, proszę zwrócić uwagę, że to tylko porównanie, ale wcale nie to samo, będzie pośredniczył między nami a bóstwem czystej sztuki, które bynajmniej nie jest bóstwem. Skupmy się i weźmy udział w tym nabożeństwie, które broń Boże nie jest nabożeństwem, a jedynie przypomina nabożeństwo”.

Ktoś powiedział, że pierwszą potrzebą barbarzyńcy jest ozdoba. Miasto, które w *Rzeźni* święci swój jubileusz, przeżywa rozkwit sztuki i konsumpcji. Sztuka w *Rzeźni* jest zachmaniona; jest produktem, który się konsumuje. Ożywiony przez Skrzypka Paganini wybrał wprawdzie zawód rzeźnika, ale prawdziwym rzeźnikiem, prawdziwym „chamem” w *Rzeźni* jest organizator kultury i polityk, Dyrektor Filharmonii.

Ryki zarzynanych, lub też trawionych przez publiczność zwierząt, zagłuszają galowy koncert. Prerażony tłum opuszcza filharmonię. „Kobiety i dyrektorzy stratowani w ucieczce” — hierarchizuje Dyrektor. Skrzypek traci wiarę: „Sztuka jest jedynym bytem absolutnym, samą jedyną rzeczywistością... W tę moją jedyną wyłączną rzeczywistość wtargnęły zwyczajne ryki pospolitych krów i baranów”.

W sztuce winna mieszkać prawda absolutna, niepodległa redukcji i na wszystko odporna. Jeśli w sztuce nie ma miejsca na absolut, należy go szukać gdzie indziej. „Rzeźnia opiera się wszelkiej redukcji — rozumuje Skrzypek — jest więc zasadą życia”. „Ładne mi życie — broni się słabo Dyrektor, który zwyższy już dobry interes — tam się przecież zabijają”. „Nie zabija się tego, co martwe — odpowiada Skrzypek — tylko to co żywe. Śmierć karmi się życiem, jak pan wątróbką. Śmierć zawsze po-

trzebuje życia, wciąż i wciąż na nowo. Gdzież jest więcej życia, jak nie w rzeźni, gdzie zabija się bezustannie?"

Dyrektor Filharmonii konkretyzuje tylko i racjonalizuje rozczarowanie artysty: „Będziemy zabijać publicznie, na scenie, w pełnym blasku reflektorów. Otwarcie i programowo. Stworzymy filharmonię instynktów, pierwotnych wzruszeń i fundamentalnych przeżyć. Na początek damy koncert na dwa woły, obuch, nóż i siekiere. Poprzedzony odpowiednim komentarzem teoretyczno-ideologiczno-informacyjnym”.

Rzeźnia jest także — i to w niemałym stopniu — atakiem na sztukę współczesną. Na teatr, gdzie kotłują się gołe archetypy, na kult instynktu i powrót do natury. Mroźek nienawidzi powrotów do natury, woli kostium od wymuszonej nagości i kulturę od na siłę wyzwalanych instynktów. Jeśli musi wybierać, z dwojga złego zawsze wybierze Formę.

Dwa plany *Rzeźni* — polityczny, o którym mowa, i filozoficzny, o którym za chwilę — z trudem tylko zachodzą na siebie. Mroźkowi nie udało się wzajemnie ich uwarunkować. Skrzypek mści się rzekomo na sztuce, naprawdę zaś na kobiecie: „Ejże, skrzypeczki moje, jesteście przenaświetszym sztuki instrumentem, wrażliwym, kruchym bezcennym? I tylko artysta ma prawo was dotykać, artysta, ten kapłan wam poświęcony? [...] Więc teraz ja was dotknę jak prostak, rzeźnik i cham, abym się stał prostakiem, rzeźnikiem i chamem. Kruche jesteście, więc dotknę was siekierą”.

Przypomina to Gombrowicza. Ale u Gombrowicza podobny zabieg — desakralizacja sztuki — był aktem wyzwolenia, aktem przywracania sztuki i artysty życiu przez ożywczą kąpiel w „niższości”. U Mroźka jest to akt płynący z desperacji, ratunek przed ostateczną śmiesznością. Destrukcja.

Ale „niższość” Gombrowicza była nacechowana głębokim erotyzmem. Gombrowicz bał się „niższości”, ale ją także wielbił. „Niższość” Mroźka to Edek z *Tanga*. Tępy, złowrogi faszyzm.

Rzeźnia mówi przede wszystkim o pozorności wszelkiej sublimacji. Być mężczyzną znaczy dostąpić tajemnicy życia. Zabijając — skoro nie można rodzić. Ale Skrzypek to maniak i rozczarowany fanatyk, który najpierw kobietę, potem sztukę, wreszcie szlachciznę utożsamia z tajemnicą istnienia. To przed kobietą — bardziej niż z rozczarowania do sztuki — szuka ratunku w rzeźni. „Dlatego jesteście takie silne i spokojne — powiada do Matki i Flecistki — dlatego nie miotacie się, nie szukacie niczego w sztuce, ani w nauce, ani w polityce, ani w religii czy filozofii. Czego miałybyście szukać, jakiego sekretu, jakiego rozwiązania, wy, które macie w sobie największy sekret? O, jakież proste wydawałoby mi się wszystko, gdybym był kobietą”.

Chodzi o to, aby dorównać kobietom. Równość jednak oznacza nicość. Żeby być — powiada Skrzypek — trzeba się odróżnić. Nie ma wyjścia z tego błędnego koła; zabijanie i tak się nie równa rodzeniu. „Sam nie możesz urodzić śmierci... — powiada na odchodnym Flecistka — chyba że...”.

Dyrektor inauguruje pierwszy rzeźnicki koncert: „[...] Proszę państwa, za chwilę weźmiemy udział w akcji oczyszczania z kultury i wyzwalania z cywilizacji. [...] Niegdyś słuchaliśmy tu muzyki, obecnie będziemy zarzynać bydło. Muzyka to eliminacja i różnicowanie, czyli kłamstwo i niewola. Nóż w serce, to po prostu nóż w serce. [...] Jeżeli ideałem teatru jest działanie bezpośrednie, a nie przedstawianie i udawanie, to nóż w sercu jest teatrem doskonałym”.

Skrzypek dopełnia ofiary, sprowokowany przez Dyrektora, rozczarowany do sztuki, wzdarty przez kobiety. Zarzyna samego siebie. I o to chodziło w zdaniu, którego nie dokończyła Flecistka. Jest to gest patetyczny, ale wystarczająco dwuznaczny. I tę dwuznaczność wykorzystuje Dyrektor. Ze swadą prowincjonalnego prestidigitatora zaprasza wszystkich do wspólnej zabawy w rzeźnię. I w tym momencie przestaje chodzić o sztukę, jako sublimację rodzenia, o kobietę, jako niedoścignioną konkurentkę w biegu do metafizyki. Zostaje szlachcizną, wobec którego wszyscy są równi. Nowy wspaniały faszyzm.

2. „Emigranci” czyli poczucie winy

„[...] Poza tym, choć w tej sprawie nie jest to istotne, uświadomiłem sobie, jak moje słowa mogą dla mnie brzmieć inaczej niż dla czytelników „Dialogu”. Ach, Boże, może tylko literatury i sztuki narodowe mają sens: społeczność wydaje artystę i artysta zwraca się do tejże społeczności. Ale taki, co wędruje i gdzieś tam nad sobą grymasi... Jeżeli jest sam, mówi raczej sam do siebie i nie powinien mieć pretensji, że sztuka, być może, to nie to, to wcale nie to”.

(Z listu Mroźka na temat *Rzeźni*).

Emigranci są wyprani z wszelkiej geografii, poza geografiami polityczną, słowo Polska nie pada w nich ani razu, przestrzennie istnieje tylko „tutaj” i „tam”. „Tutaj” — może być każdym miejscem na Zachodzie. „Tam” — może być tylko Polska.

XX — nazwijmy go Chamem — przyjechał tu na saksy. AA — nazwijmy go Kordianem — przyjechał tu po wolność. Cham — w sposób specyficznie polski — gardzi krajem, który mu pozwala zarobić. „U nas trzeba kupić peronówkę — zwierza się Kordianowi ze swoich przeżyć na dworcu — a oni wpuszczają za darmo. To głupi naród”. Fakt, że sam jest wyzyskiwany, wydaje mu się czymś zgoła naturalnym.

Ci dwaj to typy idealne, figury retoryczne. W rzeczywistości — poza literaturą i podręcznikami historii — nigdy nie mieszkali i rzadko rozmawiali ze sobą.

Pierwsza lekcja, której Kordian udziela Chamowi jest „stamtąd”: „Na kilometr widać kim jesteś [...] I widać twoją cudzoziemską mordę. Bo ty jesteś krew i kość naszego narodu. Z tego punktu widzenia jesteś nawet dumą naszych ideologów, choć

może o tym nie wiesz. Świętą substancją dla naszych patriotów, hostią przeniąświętszą w naszej mszy narodowej”.

Jest to trafna i kąśliwa analiza mówień politycznego systemu, który opuścili obydwaj. Ale pomimo wielu podobnych analiz, Kordian — który je wygłasza — wydaje się anachroniczny i — w przeciwieństwie do Chama — wzorowany bardziej na literaturze niż życiu. Dlatego odpowiadając na pytania Chama, Kordian tak często się kompromituje; nie dlatego, żeby był głupszy, lecz dlatego, że Mrozek chce, aby był głupszy od Chama:

AA: — [...] Uniwersalne zagadnienia...

XX: — Ale nie ma much.

AA: — Na szczęście. To nawet dobra metafora. Muchy symbolizują miałość tych zagadnień, na które byliśmy skazani tam, w kraju. Tamte wszystkie lokalne problemy, problemiki raczej... Małe szowinizmy, małe reformizmy, małe porcyjki... Mali ludzie i mały kraj. Tutaj nareszcie można rozprostować skrzydła.

XX: — Jak muszka... bzz.

Przykład drugi. Cham upiera się, że obrazek uśmiechniętego psa na konserwie niekoniecznie oznacza, że jej zawartość jest przeznaczona dla zwierząt:

XX: — Obrazek jak obrazek. Mało to jest obrazków? U nas w domu też był obrazek: jeleń na rykowisku na tle słońca, zadowolony. I co, czy to też oznaczało, że się obzał trawy? [...].

AA: — Możliwe...

XX: — Nie, sam obrazek jeszcze nic nie znaczy. Obrazek jest po to, żeby było ładnie, dla ozdoby...”.

Chłop pyta pierwszy o przyczynę ucieczki. Kordian podaje pierwszą, polityczną wersję powodu:

AA: — Pewnego razu wyszedłem do parku. W alejce bawiły się dzieci. Za krzakiem bzu zauważyłem chłopca, nieco od nich starszego. Podnosił kamyczki i rzucał nimi w dzieci, za każdym razem chowając się z powrotem za krzak. Miał przy tym rozchichotaną minę, był sobą zachwycony. Dobrze rozwinięty, silny... Rzucał i chował się, rzucał i chował się...

XX: — Ile miał lat?

AA: — Mógł mieć dziesięć, dwanaście...

XX (rozrzewniony): — To tyle co mój.

AA: — To było sześć lat temu.

XX: — Mój najstarszy ma teraz czternaście.

AA: — Owszem, to mógł być twój syn.

Kordian jest przegranym idealistą, co nie oznacza: ofiarą własnych mówień. Ale i tym jest potrosze. Cham jest niepo-

prawnym, tępy realistą. Wyjechał, bo chce postawić dom i wynieść się z żoną od teściów. Zarobić, wrócić, sprosić sąsiadów na wódkę i pokazać, co kupił. Odpocząć. Po powrocie — zwierza się Kordianowi — będzie cały tydzień spał w ogrodzie na kocu.

Ci dwaj stopniowo, jakby trochę wbrew autorowi, przestają być tylko sumą determinacji społecznych, stają się braćmi w bólu. Kordian wyjaśnia Chamowi swoją misję: „Będę tobą potrząsał tak długo, aż się obudzisz z tego bydlęcego snu. Bo kiedy nie orzesz, to śpisz, albo przeżuwasz. Będę tobą trząsał i będę do ciebie krzyczał tak długo, aż zrobię z ciebie człowieka. Nie spocznę dopóki tego nie dokonam. Bo dopóki ty będziesz wołem, dopóty ja będę świnia. Będę ostatnią świnia, jeśli pozwolę ci zostać wołem. Tu nie ma innego wyboru”.

W życiu wiele ich łączy, w myśleniu wszystko ich dzieli. Przede wszystkim krańcowo sprzeczne rozumienie wolności, które w praktyce nigdy nie występuje tak ostro. Wolność Chama — siedem płatnych niedziel w tygodniu. Wolność Kordiana — swoboda myślenia klerka, który w hysterii opuścił swoją, mocno wyimaginowaną, więź i w pokutę rozpoczyna pedagogiczną działalność.

Winy Kordiana są jednak w dużym stopniu natury literackiej i Mrozek niesłusznie zrzuca na niego cały ciężar odpowiedzialności za psychiczną posturę Chama. Ale Kordian jest inteligentem szczególnej proweniencji. To model obciążony grzechem pierworodnym — szlacheckim pochodzeniem. Żywcem z typologii profesora Chałasińskiego². Chce odpokutować za grzechy przodków — mówi. — Nasi przodkowie nigdy nie pili ze sobą”. I jeszcze: „Ja jestem rycerz ostatniej szansy”.

Ostatnią szansą Kordiana jest Cham. Zrobić z Chama *homo* i to *homo politicus*, nauczyć go — Cham sam to formułuje — „myśleć o myśleniu”. Przy okazji uwolnić się od dziedzicznego grzechu i klerkowskiej pańskości”. Ty władzy nie lubisz — wytyka mu ostro Cham — boś ty przed władzą nie jest lepszy ode mnie”. I tyle by wystarczyło.

Ale nie wystarczy, bo Mrozek chce jeszcze ukarać Kordiana za opuszczenie wspólnoty plemiennej; Kordian nigdy nie napisze dzieła swego życia. Ani o Chamie, ani o czymkolwiek innym. Ale Kordian w Polsce także nic nie napisał. To leń. Masochistyczna gaduła. I dobry szlachetny człowiek.

Pod koniec zapanowuje smutna demokracja. Wobec cierpienia obydwaj stają się równi. I ten ładunek bólu czyni *Emigrantów* sztuką autentyczną, przejmującą także dla tych, którzy wyjechali naprawdę.

Kordian odbiera Chamowi złudzenia, że ten naprawdę chce wrócić. Cham Kordianowi, że ten potrafi zrobić użytek ze swej osławionej wolności. Katzenjammer, po drodze rodzaj katharsis; Cham drze pieniądze, które zaoszczędził, Kordian przyznaje się

2. Józef Chałasiński, *Spółeczna genealogia inteligencji polskiej*, Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, 1946.

głośno do twórczej impotencji. Cham próbuje się wieszać. Kordian pisze za niego list do rodziny. Obydwaj kładą się spać. Ostatnie słowa, rozpaczliwe i bez wiary, należą do Kordiana. To przy nich Cham zaczyna głośno chrapać, to po nich Kordian zaczyna głośno szlochać:

„[...] A potem zbudujesz dom. Piękny dom. Wysoki, murywany... Nie jakąś tam chałupę. I muchy też będą latały... Dzieci poślesz do szkoły. Niech się uczą, niech wyrosną na ludzi. To będzie dobra, prawdziwa szkoła, bo wszystko będzie dobre, prawdziwe... Praca da chleb, a prawo wolność, bo wolność będzie prawem, a prawo wolnością. Czy nie o to nam chodzi, czy nie do tego wszyscy zmierzamy? A jeżeli wszyscy mamy wspólny cel, jeżeli wszyscy chcemy jednego, to cóż nam przeszkadza, aby stworzyć taką dobrą i rozumną wspólnotę. Wrócisz i nigdy nie będziesz niewolnikiem. Ani ty, ani twoje dzieci”.

3. „Wyspa róż” czyli pokusy powagi

„[...] A groteska mnie nudzi i smuci. Być może z tej mojej nowej wrażliwości i ze starego nawyku wychodzi ni pies ni wydra.

(Z listu Mrożka na temat *Rzeźni*).

Wyspa róż składa się z 95 obrazów i jest scenariuszem filmowym. Anegdota służy uogólnieniom historiozoficznym, akcja toczy się „przy drzwiach zamkniętych” tyle że na świeżym powietrzu, filozofię zastępuje wyspiarska metafora, a Mrozek — zgłodniały powagi — zdradza samego siebie.

Wyspę zamieszkują Starzec, Mężczyzna i Chłopiec. Pretekst historyczny przypomina esej Herberta o Templariuszach z tomu „Barbarzyńca w ogrodzie”. Ale Herbert jest autentycznie zainteresowany losami Templariuszy: ich powstaniem, wielkością i przyczynami upadku. Mrozek opowiada o degradacji niegdyś sławnego zakonu — tutaj różokrzyżowców — o skostnieniu formy, z której dawno już wywietrzała ideowa treść. Historyczność Herberta nie jest tylko pozorem i dlatego uogólnienia rodzą się w sposób naturalny. Historyczność Mrożka jest całkowitym pozorem; różokrzyżowcy nic go nie obchodzą. *Wyspa róż* to od początku do końca przypowieść o formalizmie: grzechu pierwotnym każdej ideologii.

Jest wyspa i zamek-forteca. Senilny Starzec szuka korzenia, który przywraca pamięć i zdrowie. Mężczyzna i Chłopiec czekają aż przekaze im tajemnicę. Nad wyspą krążą samoloty, na horyzoncie okręt. Obydwie strony — wyspa i świat zewnętrzny — szpiegują się nawzajem.

W jednej z sal zamku wisi obraz bitwy pod Lepanto, gdzie w roku 1571 chrześcijanie pobili Turków. Rycerze z obrazów wyrzeźbieni są na sarkofagach. Starzec jest ich następcą, ostatnim mistrzem zakonu. Biczuje się za karę, że utracił pamięć.

Pojawia się Kobieta. Starzec: „Nie znam prawdy, którą mi powierzono. To jest mój grzech”. Ale nie powierzono mu żadnej prawdy, o czym kobieta wie. Poprzednicy nie przekazali mu tajemnicy, bo sami jej nie znali.

Kobieta zostaje na wyspie. Po kolei zwodzi — i uwodzi — Starca, Mężczyznę i Chłopca. Przypomina do żywego Flecistkę. Jest w *Wyspie róż* fragment, który mógłby znaleźć się w *Rzeźni*:

Kobieta: — Rozumiem, boisz się kompromitacji.

Mężczyzna: — Nie.

Kobieta: — To zrozumiałe. Po pięciu latach wstrzemięźliwości.

Mężczyzna: — Po co ta złośliwość?

Kobieta: — Więc dlaczego nie?

Mężczyzna: — Bo z tego nic nie wynika.

Kobieta: — Znasz coś lepszego?

Mężczyzna: — Jeszcze nie, na razie...

Kobieta: — Ale myślisz, że znajdziesz. Że coś takiego istnieje?

Mężczyzna: — Oczywiście. Coś najważniejszego, coś ostatecznego, coś decydującego...”

Mężczyźni w *Wyspie róż*, podobnie jak Skrzypek w *Rzeźni*, szukają absolutu. Prawdy ostatecznej, transcendencji, sensu istnienia. Kobieta im w tym przeszkadza, bo albo — jak w *Rzeźni* — sama jest transcendencją, albo — jak tutaj — tylko narzędziem w rękach silniejszych od siebie.

Kobieta w *Wyspie róż* zdradza trzech mężczyzn dla kogoś, kto chce na nich dobrze zarobić, kto od początku zaaranżował to wszystko, i kto — tak czy owak — bez wysiłku mógłby ich zniszczyć. Ale jest to tak, jak w pokazowych politycznych procesach; trzej pustelnicy muszą wyrazić zgodę, aby przedstawienie-oszustwo w pełni się udało. Są ostatnim rezerwatem czystej ideologii. W dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej, do której różokrzyżowcy żywili szczególnie kult, mają stać się atrakcją dla turystów.

W ostatniej chwili mężczyźni z wyspy odmawiają współczesnictwa. Powodują śmierć kobiety, siebie wysadzają w powietrze. Ich gest jest patetyczny i równie dwuznaczny, jak gest Skrzypka w *Rzeźni*. W *Wyspie róż* podobnie jak w *Rzeźni* — wygrywają organizatorzy konsumpcji. Finał scenariusza przypomina krajobraz, w różnych wariantach rozpisywany przez Mrożka w opowiadaniach z ostatnich czterech lat. Krajobraz wypełniony nieuchronnie zbliżającą się śmiercią. Anonimowy faszyzm.

„Pełne morze. Wznosząc się i opadając na gwałtownej fali, w rozbryzgach pian, barka desantowa w pełnym biegu. Pokład wypełniony jest szczerlnie żołnierzami w pełnym uzbrojeniu. Ich kopulaste hełmy, ściśnięte jeden przy drugim, oczy niewidoczne spod hełmów. Twarze anonimowe. Nad ciżbą i wyżej, na nadbudówkach, sterczą w niebo lufy sprężonych działek, karabinów

maszynowych, kadłuby raket. Jeszcze wyżej elipsa radaru obraca się w koło, maniacko i jednostajnie.

Ten widok sieci-anteny obracającej się z maniackalnym uporem i tępotą maszyny jest ostatnim obrazem”.

4. „Garbus” czyli powrót do formy. Próba odczytania

„Onka: — A prawdziwe życie?

Baron: — Nie ma takiego”.

„Choć 'świergot ptaków' oraz inne 'odgłosy natury' prowokują do kiczu, całość, to znaczy dekoracje, kostiumy, rekwizyty i gra aktorów powinny być jak najdalsze od doszukiwania się i akcentowania pastiszu, parodii, groteski. Jeżeli te elementy znajdują się w materiale literackim, to w toku interpretacji dosłownej i pozbawionej elementów pariodiowania ukażą się same, w sposób naturalny i we właściwym stopniu...”

(Mrozek w postawieniu do *Garbusa*).

„To co dzieje się w dramatach Czechowa jest rzeczą drugorzędną, nie 'intrygi', 'rozwiązania', ale 'powietrze' tych dramatów pamięta się zawsze, czuje się zmysłami ich atmosferę, pustkę między zdarzeniami, milczenie między słowami, oczekiwanie”.

(Tadeusz Różewicz w „Teatrze niekonsekwencji”).

Siedem osób w wieku pełnej biologicznej sprawności. Cztery akty podzielone precyzyjnie na sceny-obrazy. Postaci drobniawo opisane od zewnątrz. Rzecz dzieje się na wsi, wieś przypomina Austrię lub Bawarię. „Fasada domu jest pastelowo-różowa, okiennice bladoniebieskie”. Przedstawiają: Onek, Onka, Baron, Baronowa. Poza tym Student, Garbus, Nieznajomy.

Jest początek lipca, przedpołudnie. Czas akcji nieokreślony: gdzieś między końcem XIX-go, a początkiem XX-go stulecia. Wchodzi pierwsza para, Onek i Onka, zredukowana imionami do funkcji biologiczno-mażeńskiej. Onek ubrany jest w sportowy garnitur w kratkę, do tego kaszkiety i pumpki. Opowiadają sobie, co widzą:

Onek: — [...] Brutal ze mnie. Widzę że zielone i walę prosto z mostu: zielone. Jak ostatni cham. Ile dałbym za to, żeby oglądać świat twoimi oczami.

Onka: — Nie musisz.

Onek: — Ja widzę byle jak i byle co. Nie zastanawiam się. Ale wy, artyści... O, wy macie inną wrażliwość...”.

Sceny są krótkie i wyliczone w gestach. Wchodzi Baron: „Ubranie 'kość słoniowa', borsalino, lasko z gałką, białe buciki”. Idealny początek komedii bulwarowej albo operetki. Za Baronem zjawiają się Baronowa i Student, „młody gniewny” w czar-

nych rękawiczkach, które raz tylko zdejmują w trakcie sztuki. Poruszają się jak w balecie. Zastygają w żywe obrazy:

„Student zatrzymuje się, szerokim półkolem omija Barona. Baron przygląda mu się, wykonuje półobrót, ale nie ruszając się z miejsca”.

„Przeszedłszy przez scenę od lewej ku prawej wychodzą na prawo krokiem przechadzki, według rytmu konwersacji”.

W *Garbusie* wszystko odbywa się w rytmie konwersacji i niemal cała akcja na scenie do niej się sprowadza. Ale poza sceną także toczy się akcja, jakby akcja wewnętrzna tej sztuki, o której dowiadujemy się z rozmów i z powolnych, ale konsekwentnych przemian, jakie zachodzą w postaciach.

Dwie pary małżeńskie spędzają wakacje w sielskim pensjonacie, którego właścicielem jest garbaty. Spotkały się tu przypadkowo. Baronowa kocha i nienawidzi Barona, Onka jest ślepo oddana Onkowi. Student chodzi luzem, „wolny i dowolny”, podobnie jak Garbus.

Pary się wymieniają. Każdy z każdym tworzy w jakimś momencie parę. W pierwszym akcie upływa doba i utwierdza się baletowo-psychologiczna symetria: Baron gardzi tępym, prymitywnym Onkiem, Baronowa deprawuje niewinną, głupiutką Onkę. Baron i Onek odbywają rozmowę o zasadach — „tonusie” — życia. Wyłania się problem garbu gospodarza:

„Onek: — On jest garbaty, a my jesteśmy prości. My jesteśmy zdrowi, silni, przystojni, pełni radości życia, a on jest kaleką. On musi nas za to nie lubić”.

Garbus jest sztuką opartą na intrydze, która w końcu prowadzi do tragedii. Z intrygi — ale nie z tragedii — wyłączony zostaje Baron, jako jej reżyser. Z tragedii — ale nie z intrygi — wyłączony zostaje Garbus, który działa na swoich gości podobnie jak Gombrowiczowska Iwona: wydobywa na jaw ich grzechy i szpetotę, stymuluje zło swą milczącą garbatą obecnością.

Baron wmawia Once, że jej mąż jest nałogowym palaczem i alkoholikiem. Znajduje starą książkę z opisem miejscowości, w której spędzają wakacje i góry Garbusowa Perć, na której niegdyś odbywały się orgie i sabaty czarownic. Baron pożycza książkę Onkowi. Koniec aktu pierwszego.

W akcie drugim Onek pojawia się na scenie rozchełstany i brudny. Baron rozwija swą intrygę, „dekomponuje” Onka. Onek boi się, że Garbus ich podtruwa. Baron nie przeczy, proponuje jednak zastosować terapię: „Nie udawać, że nie jest garbaty. Przeciwnie, podkreślać ten fakt na każdym kroku. Ale uczynić z tego faktu cnotę, zaletę, powód do dumy. Przekonać go, że garb jest arcydziełem natury a garbaci najpiękniejsi na świecie. Że to my jesteśmy przy nim upośledzeni, niedorozwinięci, brzydzy...”.

Na drugim, a raczej równoległym planie, Baronowa i Onka w euforycznej kobiecej zażyłości. Baronowa „dekomponuje” albo,

używając rodzimego słowa, „psuje” Onkę. W finale gwałtowny kontrpunkt: Onka zatrzymuje się przed Baronem, ciska przed nim na stół bukiet kwiatów.

Baron: — Co się jej stało?

Baronowa: — Nic szczególnego. Kocha się w tobie.

Pierwszy mord zostaje popełniony na kogucie. Onek i Onka przejechali koguta dwuosobowym rowerem. „Państwo Macbeth wrócili z przechadzki” — komentuje Baron ich powrót. Przestraszony Onek rozpoczyna chamskie obłaskawianie Garbusa: „Moi najlepsi przyjaciele byli garbaci i mogą to panu powiedzieć prosto w oczy” — ryczy do Barona, kiedy właściciel pensjonatu serwuje przed nimi posiłek.

Nieznamy wkracza o zmroku; pół dandys, pół Mefisto, w melloniku, z wąsem w szpic, w czarnym garniturze. Baron i Student traktują go podejrzliwie i chłodno. Onek płaszczy się, jak każdy cham, który wyczuje władzę. *Nieznamy* — z całą uwagą skupioną na Studente, jakby wyłącznie do niego tu przyszedł — opowiada o przejechanym kogucie, o którym zasłyszał we wsi i wzmiankuje — jakby w bezpośrednim sąsiedztwie tego incydentu — „niepokoje wśród chłopstwa”.

Nieznamy nie chce się ujawnić, ale podkreśla wagę swego stanowiska i politycznej, ściśle tajnej misji. Prosi Studenta o pomoc. Szantażuje go. Po jednej stronie — wyjaśnia enigmatycznie — istnieje świat porządku, który deklaruje swoją tożsamość. Po drugiej — świat tożsamości podwójnej. „W czasach, które nadchodzą — powiada — tożsamość staje się coraz bardziej problematyczną”.

Nieznamy jest szpiclem absolutnym, lub też takiego udaje. Atmosfera tajemniczości, którą wnosi na scenę jest równie silna jak poczucie mistyfikacji. Ale język, którym się posługuje jest znany; to ciemny, zakrzepły w swej własnej logice język każdej ideologii, która się rozkłada. „Musimy udawać naszych wrogów przed nami samymi, na wypadek gdybyśmy trafili na naszych wrogów, którzy udają nas”.

Nieznamy czyni aluzję do działających na zewnątrz terrorystów. Sugeruje, że Student ściśle z nim współdziała. Odchodzi, zapowiadając że wróci po odpowiedź. Od chwili jego pojawienia się wypadki na scenie nabierają bardziej dramatycznego, jakby bardziej jednoznacznego rytmu. Ale jest to tak, jakby wkroczenie jednej pozornej rzeczywistości ożywiło drugą pozorną rzeczywistość.

W akcie trzecim „światło jest równomiernie rozproszone, białe, matowe. Nie daje ani cienia, ani blasku”. Baron proponuje coraz bardziej zhysteryzowanemu Onkowi, żeby obłaskawianiem Garbusa zajęła się kobieta. „Upośledzenie zawsze jest upośledzeniem wobec kobiet, w ostatecznym rozliczeniu” — powiada. Na sielską scenę — z sielskością jednak już mocno nadpsutą — przestają dochodzić gazety.

Onka daje się złapać w sieci intrygi Barona; uwierzyła że

Onek jest alkoholikiem i nałogowym palaczem. Dwie kobiety, na huśtawce, zawieszanej dla nich grzecznie przez Garbusa, szepczą sobie na ucho sekrety. Chichoczą, zapewne nie oszczędzają swych mężów. Ale w rzeczywistości nie wiadomo, z czego się sobie zwierzają. Niedomówienia potęgują się, rozbudzone namiętności — czy też ich pozory — coraz jawniej dochodzą do głosu. *Nieznamy* wraca po odpowiedź Studenta. Baronowa wyrzuca przez okno bukiet kwiatów, który pada *Nieznamemu* do stóp.

Pojawia się Onek z wędką i zamkniętym wiklinowym koszykiem. *Nieznamy* pyta ostro, czy Onek ma pozwolenie na łowienie ryb. „Ostrzegam pana, pańskie *dossier* nie jest całkowicie bez precedensów”. Scena kończy się wyrzuceniem przez okno tego samego bukietu, ale tym razem przez szybę, którą ktoś gwałtownie wybija.

Wieczorem zabawa w ogrodzie, euforia i rozprężenie. Student — wcielenie mrukliwej wstrzemięźliwości — pije szampana z butelki. Onka — wcielenie skromności — siedzi mu na kolanach. Baronowa — dotąd lojalna, choć z duszą Lady Macbeth — pojawia się z wierszem Barona, który znalazła w bucie. Baron dotychczas szczyt opanowania — gwałtownie usiłuje powstrzymać ją od recytacji. Goście piją zdrowie Garbusa, słysząc dźwięki walca granego przez Barona. Potem grzmot i luna na horyzoncie. Baron proponuje nocny piknik na Garbusowej Perci.

Następny dzień jest pochmurny, w nocy przeszła ulewa. W ogrodzie siedzą Baron i Onek bez pań. Z pikniku powraca Garbus w towarzystwie Baronowej i Onki. Student usiłuje wymknąć się z pensjonatu. Baronowa informuje go, że policja nie wpuszcza nikogo na stację. Onek, którego Baron wcześniej poinformował o seksualnej potencji i sile atrakcyjnej garbatych, proponuje Baronowi, żeby zabił Garbusa.

Za sceną zamach stanu, rewolucja lub wojna. Na scenie dramaty zazdrości, intrygi, niespełnienia. Drażniąca obecność „nie-normalności”, garbu... Skąd przyszli ci ludzie, dokąd teraz uciekną? Czy ich czas na scenie — czas jętek! — jest współmierny do czasu poza sceną? Czy, wykostiumowani i nie przynależący donikąd, potrafią jakoś mu sprostać?

Dochodzi do zbliżenia między Baronem a Onką. Za sceną ktoś wysadza w powietrze ruiny starego młyna, a wysadzenie ruin — tłumaczy *Nieznamy*, który znowu się tu pojawił — jest sygnałem do rewolucji. „Co to jest rewolucja?” — pyta naburmuszony Student.

Garbus przypomina w równym stopniu „Operetkę” Gombrowicza, co dramaty Czechowa. Baletowość sztuki, sposób w jaki Mrozek dzieli sceny na obrazy, z których każdy jest całością dla siebie, ów huragan dziejów — tu wprawdzie poza sceną — który zmiata po kolei postaci, przypomina rewję mody i rozpad księstwa Himalaj.

Ale to nie zdarzenia, lecz konwersacja popycha akcję Garbusa w kierunku tragicznego finału. To, co ludzie mówią do siebie.

Ton, jakim się do siebie zwracają. Sposób w jaki na siebie patrzą. Ruchy w jakich obchodzą się dookoła. Z ich dziwnie nierealnego obcowania rodzi się realna i potężna Forma, która ich pcha w stronę końca.

Onk strzela do Garbusa z pistoletu, który wcześniej pożyczył mu Baron. Ale pistolet Barona naładowany był ślepyimi nabojami. W tym samym momencie strzela także ktoś inny i kogoś — nie wiadomo kogo — zabija. Wiadomo jednak, że dwa strzały padły jednocześnie. Baron, który być może uknuł to wszystko, żeby pozbyć się Onka — sugeruje zniknięcie „Ekscelencji”, czyli Nieznajomego.

Ktoś pozamieniał zabójcze rekwizyty. Na scenie nie ma trupa, ale w pistolecie Studenta brakuje magazynka. Przerażony Onk ucieka, pozostawiając Onkę. Pierwsza para uległa rozkładowi. Baron prosi Onkę o rękę. W scenę pełną powagi wkracza Baronowa, oświadczając, że wyjeżdża z Onką do Włoch. Rozkład drugiej pary.

Pensjonat pustoszeje. Układ przedostatni tworzą Student i Baron. Czy ci dwaj, wcielenie inteligencji i wcielenie frustracji, nie są sobie najbliżsi?

„Baron: — Przed kim się pan popisuje?

Student: — Ja?

Baron: — Tak. Nie ma już nikogo. Więc przed kim? Jesteśmy sami”.

Student odjeżdża na rowerze. Baron zostaje z Garbusem, samotny, pokonany, bez maski. Jedyne rezoner, jeśli nie bohater tej sztuki. Garbus — równie lakoniczny, jak przedtem — informuje go, że „nie ma kawy, nie ma koni, nie ma pociągów”. „Chłopstwa” także już nie ma. Miejscowa ludność ucieka z dobytkiem, drogi są zapchane. Pozostaje para buczków z wysoką cholewką, własność Baronowej, które Garbus przynosi i zabiera z powrotem na tacy.

Skończyły się wakacje impotentów, którzy nawzajem powołałi się do aktywności. Nieznajomy być może, pojawił się tylko jako fantom ich wyobraźni, i zniknął. Jeśli nie żyje, to i tak nie wiadomo kto i dlaczego go zabił. Garbus deformował nieświadomy swojej potęgi. Ciemny, mały człowiek, napełniany potęgą przez innych. Ale to on pozostaje na placu i zamyka pensjonat z krótkim komentarzem, że „czasy są niepewne”. Za ogrodem przetacza się Historia. „A prawdziwe życie? Nie ma takiego”.

I jest. Bo kostiumowość Garbusa to przecież także pozór. Obok kostiumów, obok baletowo-konwersacyjnych, symetrycznych układów istnieją jeszcze „prawdy ostateczne: życie, śmierć, cierpienie, zabijanie...”. To o nich mówi ta sztuka, pełna przemijającej, niełatwej poezji, udając że się o nie tylko elegancko ociera.

Janina KATZ-HEWETSON

Leśmian, antysemici i cykliści

Książka pani Stone o poezji Leśmiana koncentruje się wokół tezy, że poeta ten był piszącym po polsku symbolistą rosyjskim, jako taki był niezrozumiany *and/or* zniechęcony w swej ojczyźnie i umarł zaszczytowany przez wrednych Polaków. Teza ta jest wyłożona *expressis verbis* na początku rozdziału 1-go, gdzie na str. 34 czytamy:

Głównym moim celem jest nowa ocena twórczości Leśmiana drogą przedstawienia jego poetyki we właściwym kontekście historycznym wykazującym, że był on konsekwentnym symbolistą, którego estetyka odpowiada najściślej estetyce symbolistów rosyjskich drugiego pokolenia [Wiacesława Iwanowa, Andreja Biełogo i in. — M.B.]. Po drodze do tego celu opiszę najpierw jak nieprzychylna krytyka jego twórczości przeszkodziła trzeźwej ocenie jego pozycji na polskiej i rosyjskiej scenie literackiej. [...]

Całkowite pominięcie związków Leśmiana z literaturą i kulturą rosyjską, istotnych w latach jego formowania się, brak zainteresowania jego *credo* poetyckim i biografią uniemożliwiły większości krytyków zrozumienie jego dzieła. Zaniedbanie to było najwidoczniej zamierzone, gdyż nienawiść do wszystkiego co rosyjskie musiała w odniesieniu do Leśmiana być połączona z głęboko zakorzenionym antysemityzmem. Te i inne czynniki natury ideologicznej i technicznej dały w rezultacie fałszywą interpretację jego sukcesu twórczego jako klęski, jego artystycznej konsekwencji jako irracjonalnego błędzenia, a jego szczerej troski o literacką doskonałość Polski jako oderwania od rzeczywistości.

Nieco wcześniej p. Stone informuje czytelnika, że wprawdzie „dzieła Leśmiana były publikowane i znalazł on nieco uznania za życia u nielicznych przychylnych krytyków, był jednak całkowicie nieznany [completely unknown] polskiej inteligencji” (str. 2). Nieliczne jaśniejsze punkty w martyrologii poety zaprezentowane są następująco: „Kilka przychylnych recenzji 'Łąki' przez tak poważnych krytyków jak Karol Irzykowski i Ostap Ortwin nie zdołało przebić muru milczenia otaczającego poetę w latach dwudziestych. Jak na kpiny, w 1931, głównie na zasadzie spóźnionego odruchu, dano mu 'Nagrode Młodych'. Następnie ku zdumieniu wszystkich — włączając jego samego — Leśmiana zrobiono członkiem Akademii Literatury w 1933! Dopiero wówczas prześladowanie [persecution] nieco zelżało a zainteresowanie jego dziełem wzrosło” (str. 10). Z przypisku dowiadujemy się, że Leśmian zawdzięczał swój wybór do Akademii jedynie zakulisowemu zabiegom Anatola Sterna i garstki jego przyjaciół. Nie-

* Rochelle Heller Stone, *Bolesław Leśmian. The Poet and His Poetry*. University of California Press, Berkeley — Los Angeles — London 1976, 364 str.

wiele to zresztą zmieniło, gdyż „*prześladowanie trwało nawet po śmierci. Zwłoki [Leśmiana] leżały nie pogrzebane całymi tygodniami, gdyż przewodniczący Akademii odmówił mu honorów żałobnych przystępujących jej członkowi. Wiadomość o jego zgonie ukazała się na ostatniej stronie Wiadomości Literackich*” (str. 11). Wśród prześladowców wymienia p. Stone jednym tchem endeków, profesorów literatury i skamandrytów informując jedynie ogólnikowo, że tam gdzie w grę nie wchodził antysemityzm motywem była zazdrość. Przemilczenie Leśmiana w latach stalinowskich było także wynikiem prześladowań przedwojennych: „*Choć antysemityzm nie był siłą decydującą, zwłaszcza do lat trzydziestych [...] jego wstrętne taktyka przyczyniła się do wytworzenia obrazu Leśmiana jako poety dekadentckiego. Julian Przyboś stwierdza, że ponieważ poetę napiętnowano jako dekadenta, 'Leśmiana-fantasty nie wolno było do niedawna [tekst Przybosia pochodzi z 1959 roku — M.B.] nawet wspomnieć w gimnazjalnych podręcznikach historii literatury polskiej*” (str. 27). O tym, że w tym samym okresie zakazane były również „Zbrodnia i kara”, „Czarnodziejska Góra” i „Kubuś Puchatek” p. Stone nie informuje, jak również nie wspomina o edycji „Łąki” w 1947 roku na emigracji (staraniem owych inteligentów, którym Leśmian był „kompletnie nieznan”).

Sądzę, że wystarczy cytatów — cała książka napisana jest w tym tonie — by wykazać, że ta dysertacja doktorska (a jakże!) jest równie obiektywna i wolna od uprzedzeń jak artykuł wstępny w *Komsomolskiej Prawdzie*. Twierdzę, że również główna teza pracy — rosyjskość Leśmiana — droga jest autorce nie tyle jako bezinteresowne odkrycie naukowe, lecz jako dodatkowy bacik na wstrętnych Polaków, upleciony z następujących pasemek rozumowania (dość natrętnie co chwila podtykanego czytelnikowi pod nos): Leśmian był największym poetą polskim po Norwidzie; był nim wyłącznie dzięki temu, że w latach gimnazjalnych i uniwersyteckich w Kijowie nasiąkł zbawczą rosyjskością, która z automatyzmem rośliny wydała owoc: polską kopię rosyjskiego symbolizmu (o dziesięciu latach spędzonych przez Leśmiana w Paryżu p. Stone ma jedynie tyle do powiedzenia, że spotykał się tam z Rosjanami); zdystansowani Polacy, nie orientując się w tym lub właśnie orientując się (p. Stone nie może się zdecydować, czy byli bardziej głupi niż podli czy bardziej podli niż głupi, więc wybiera kompromisowo obie wersje: i podli i głupi) zaszczuli poetę na śmierć, m.in. łącząc go złośliwie z Młodą Polską, z którą nie miał absolutnie nic wspólnego; nawet w okresie październikowym, gdy wielkości poety nie dało się już ukryć przed nowym pokoleniem, Leśmian pozostawał niezrozumiały, bo na jego związki z Rosją nikt nie wpadł (z głupoty czy z anty-rosyjskiego szowinizmu, nie wiadomo), aż dopiero p. Stone z Kalifornii *venit, vidit et convicit*. Cóż za nauczka dla Polaczyszków!

Tu parę słów *pro domo sua*, ponieważ każdy sprzeciw wobec historycznego szowinizmu sam budzi podejrzenia o szowinizm:

Kultura, w której piszę, nie słynie z antysemityzmu ani antyrosyjskości; pozwolę sobie też przypomnieć, że sam kiedyś (w artykule o Nabokowie, *Kultura*, Nr 4/319, 1974) podniosłem sprawę za mało, moim zdaniem, zbadanych a ewidentnych wpływów rosyjskich na teatr Witkacego — toteż jeśli teraz twierdzę, że rosyjskość Leśmiana w wydaniu p. Stone jest tendencyjnie naciągnięta i nie przekonywująca, to czynię to nie dlatego bym uważał, że uwłacza to Leśmianowi i literaturze polskiej, tylko właśnie że teza jest naciągnięta i nie przekonywująca. A jest taką, ponieważ książka jest w pierwszym rzędzie szowinistyczna, a dopiero później jest książką o Leśmianie i każdemu kto o tym wątpi, proponuję jej przeczytanie i następujący eksperyment myślowy: należy sobie wyobrazić ją dokładnie w tym samym tonie i przy zastosowaniu tej samej techniki selekcji materiału, z tym że zamiast Polaków występują Hindusi, Murzyni albo, nie daj Boże, Żydzi. Pani Stone jako rasistka zostałaby bez dyskusji raz na zawsze wyświecona z wszystkich uniwersytetów amerykańskich pod melodię *We shall overcome*.

Wróćmy do samej tezy. Przeprowadzona jest ona w ten sposób, że p. Stone wylicza szczegółowo wszystkie możliwe zbieżności pomiędzy Leśmianem a symbolistami rosyjskimi (sądzę, że można by podobny paralelizm przeprowadzić np. między Leśmianem a Rilke), a następnie przechodzi do wyławiania z wierszy Leśmiana w s y s t e m a t y c z n i e absolutnie elementów, które mają coś do czynienia z Rosją i językiem rosyjskim. Obok wskazania oczywistych rusycyzmów (których *nota-bene* nikt nigdy nie negował) p. Stone z obsesyjną monotonią refrenu „ze Związkiem Radzieckim na czele” przypomina czytelnikowi, że słowo „paskuda” jest pochodzenia rosyjskiego, że takiego pochodzenia są czasowniki z przedrostkiem *na-* w formie zwrotnej (*najeść się* — ?!), oraz że używane przez Leśmiana formy *będziem, możemy, pójdziem* etc. są „normalną formą pierwszej osoby liczby mnogiej czasowników rosyjskich” (str. 224 i okolice). Baśniowa mitologia słowiańska i ludowa u Leśmiana oczywiście daje się wyjaśnić jedynie przez odwołanie do rosyjskiego i ukraińskiego folkloru, podobnie jak i jego słowotwórstwo. O ewentualności „zapatrzenia się” Leśmiana w eksperymenty słowotwórcze Norwida — którym zajmował się Miriam, przyjaciel i protektor autora „Łąki” — ani słowa, podobnie jak i niewiele o ludowości Wyspiańskiego, Staffa, Kasprowicza i w ogóle Młodej Polski. Jako przykład monomanii p. Stone przytoczę jej komentarz do bardzo osobistego wiersza Leśmiana „Trupięgi” (w zbiorze „Napój cienisty”). Na początku wiersza poeta wyjaśnia, że „trupięgi” to buty z łyka, w jakie rodzina ubiera nędzarza do trumny, a następnie — ewokując własną katastrofę finansową (okradzenie przez współnika) — Leśmian stwierdza „...wiem, że tam — w zaświatach mam swoje trupięgi” i zapowiada, że po śmierci będzie się w nich demonstracyjnie przechadzał przed Bogiem, a gdy Ten „wzgardzi mną, jak nicością obutą zbyt lichy / Ja — gniewny, nim się duch mój z prochem utożsamia / Będę tupał na Niego tymi trupięgami”.

A oto komentarz p. Stone:

„Użycie butów z łyka jako wyzwania jest stylizacją ludową. W *skazce* (rosyjskiej bajce ludowej) *łapti* („buty z łyka”) są nie tylko symbolem, nawet ich konfrontacja z carem należy do tradycji. Tu Leśmian zastępuje postać cara Bogiem” (str. 142).

Sądzę, że kontr-komentarz jest zbyteczny, podobnie jak i dalsze zajmowanie się omówioną książką. Nie jest to jedyna monografia Leśmiana w obcym języku (bardzo wnikliwą pracę o tym poecie wydał po francusku prof. Marian Pankowski: *Leśmian, La révolte d'un poète contre les limites*, Presses Universitaires, Bruxelles 1967), ale jest pierwszą po angielsku. Jej główną zaletą są obszernie fragmenty wierszy Leśmiana w dobrym tłumaczeniu angielskim (komentarze autorki do nich przypominają trochę objaśnienia do dowcipów dla osób nie pojmujących pointy). Co do wad, była już o nich mowa.

M. BROŃSKI

Literatura polska w pomniejszeniu

Celem serii jest scharakteryzowanie wybitnych pisarzy różnych narodowości za pośrednictwem głosów krytycznych o ich utworach. Wydany obecnie tom* ma w teorii spełniać wiele zadań: dawać ogólną orientację o literaturze współczesnej danego kraju, wskazywać najwybitniejszych pisarzy ostatniego stulecia, pomagać wykładowcom uniwersyteckim i ich słuchaczom, służyć jako źródło informacji wydawcom, tłumaczom, prasie, środkiem masowego przekazu, organizatorom kongresów, zarządcą fundacji itp.; — możliwości zastosowania są niewątpliwie szerokie. Uwzględnionym w tak pojętym przewodniku autorom przegląd ich działalności służyć może jako bilet wizytowy przy staraniach o przekłady, adaptacje telewizyjne itp.

Tom pierwszy serii „Modern Slavic Literatures” poświęcony był w całości literaturze rosyjskiej jako „przodującej” literaturze słowiańskiej. Reszta literatur słowiańskich włączona została do

* A Library of Literary Criticism. (Leonard S. Klein, General Editor). *Modern Slavic Literatures*. Vol. 2: Bulgarian, Czechoslovak, Polish, Ukrainian and Yugoslav Literatures. Compiled and edited by Vasa D. Mihailovich, Igor Hajek, Zbigniew Folejewski, Bogdan Czaykowski, Leo D. Rudnytzky, Thomas Butler. New York, 1976, Frederick Ungar Publ. co., 720 p.

drugiego tomu, w którym Polsce przypadło ok. 200 stron i — 50 autorów. Podobne przydziały miejsca i twórców otrzymała literatura czeska i jugosłowiańska.

Selekcję nazwisk pisarzy i krytyków w dziale polskim powierzone dwu polonistom z University of British Columbia w Vancouverze — Zbigniewowi Folejewskiemu i Bogdanowi Czaykowskiemu. Ogólnie biorąc, poszli oni po linii wysuwania autorów o ustalonej reputacji i głosów krytycznych „dodatnich”, lub co najwyżej lekko kontrowersyjnych. Na próżno więc szukalibyśmy wypowiedzi Wacława Nałkowskiego, Stanisława Brzozowskiego czy Witolda Gombrowicza o Sienkiewiczu. Punktem na korzyść wybrańców była, jak się zdaje, dostępność ich książek w przekładach na języki obce, zwłaszcza angielski i francuski. Ale znów nie jest to stosowane konsekwentnie, bo brak w selekcji autorów o tak dużej ilości przekładów, jak Zofia Kossak, Gustaw Herling-Grudziński, Tadeusz Nowakowski czy Zofia Romanowiczowa. O skwapliwości w odnotowywaniu głosów krytycznych opublikowanych w języku angielskim, świadczy fakt, że wyzyskano nawet kilkakrotnie bardzo powierzchowne oceny pióra profesora A. P. Colemana oraz propagandowo-reklamowe recenzje z warszawskich *Polish Perspectives*.

Selekcją objęci są pisarze z ostatniego stulecia. Skoro zakwalifikowany został do przewodnika Prus i Sienkiewicz — dziwi brak Orzeszkowej i Konopnickiej. Przełom XIX-go i XX-go wieku reprezentowany jest aż nazbyt obficie jeśli warunkiem wydawców było zamknięcie się w ramach 50 nazwisk. Są tu: Berent, Brzozowski, Irzykowski, Kasproicz, Tad. Miciński, Orkan, Przybyszewski, Reymont, Staff, Wyspiański i Żeromski. Brak Tetmajera. Ze Skamandrytów usunięty został Stanisław Baliński — reszta ocalała, a z bliskiego Skamandrowi kręgu weszli do selekcji Pawlikowska i Broniewski. Z poetów działających w Dwudziestolecu omówiono twórczość Józefa Czechowicza, Tytusa Czyżewskiego, Gałczyńskiego, Jastruna, Leśmiana, Miłosza, Przybosia, Wata i Ważyka w zestawie świadczącym o pro-awangardowym nastawieniu dokonujących wyboru profesorów. Brak jednak Łobodowskiego, o którym nie zapomniał kompilator działu ukraińskiego prof. Leo D. Rudnytzky, cytując jego wypowiedź o Małaniu. Dobrze rysują się sylwety Brunona Schulza i Witkacego. Powieść Dwudziestolecia reprezentują: Choromański, Dąbrowska, Goetel, Iwaszkiewicz, Kaden-Bandrowski, Kuncewiczowa, Nałkowska, Parandowski, co oznacza, że pominięto Gojawiczyńską, Zofię Kossak, Andrzeja Struga. Spośród pisarzy debiutujących w latach 1930-tych wybrano Andrzejewskiego, K. Brandysa, Leopolda Buczkowskiego, Gombrowicza i Parnickiego, pomijając Brezę. W „młodej” literaturze powojennej uderza brak pisarzy emigracyjnych, są natomiast: Białoszewski, Tad. Borowski, Herbert, Hłasko, Mrozek i Różewicz. Tu najostrej rysują się krzywdzące pominięcia. Pisarzami, którzy weszli do literatury światowej a przebywają poza Krajem są nie tylko uwzględnieni w przewodniku Miłosz i Mrozek ale także Gustaw Herling-Grudziński, Ta-

deusz Nowakowski i Zofia Romanowiczowa, od dawna już nie debiutanci ale pisarze o ustalonej reputacji. Razi także brak nazwiska Jerzego Pietrkiewicza, angielskiego powieściopisarza i polskiego poety, Wacława Iwaniuka, Mariana Pankowskiego.

Książka jest także prezentacją krytyków. I tu — na emigracyjnym podwórku — razi przemilczenie np. znakomitego eseju Tymona Terleckiego o Wierzyńskim, ocen poetów Giergielewicza (w „Literaturze polskiej na Obczyźnie”, t. I). Szkoda, że nie wyszukanego rozprawy Danuty Bieńkowskiej o Żeromskim i Joachima Baera o Berencie (obie drukowane w „Antemurale”)

Można było, jak sądzę, podać obok pseudonimów nazwiska używających ich pisarzy. Np. Paweł Hostowiec — to pseudonim Jerzego Stempowskiego, Axel Heyst — Zbigniewa Grabowskiego (który figuruje także pod własnym nazwiskiem z innej okazji). Recenzje w *Times Literary Supplement* publikowane są z zasady bezimiennie i cytowane są prawidłowo, jako takie. Warto jednak przy okazji ujawnić, że autorką większości ogłoszonych w ostatnim 20-leciu recenzji książek autorów polskich był śp. Maria Balcerkiewiczówna, działająca w zupełnej izolacji od polskich środowisk literackich na Emigracji.

W sumie — wrażenia mieszane. Zastrzeżenia budzi raczej selekcja pisarzy niż prezentacja wybrańców. Lojalnie stwierdzić należy, że wyszukanie kilkuset głosów krytycznych, zestawienie ich, przekłady itd. były zadaniem trudnym, a fakt, że trudu tego podjęli się poloniści zamieszkali w Vancouverze może tłumaczyć pewne niedociągnięcia. Wydany obecnie tom jest niewątpliwie przedsięwzięciem pionierskim i cierpi na „dziecięce choroby” — w tym wypadku — nadmiaru nazwisk, które wcisnąć należało na ową listę 50 wybrańców. Dezyderatem pod adresem wydawców „A Library of Literary Criticism” jest rozszerzenie tych ram, choćby za cenę skrócenia cytatach z omówień krytycznych.

Szata graficzna książki wywołuje westchnienie zazdrości; cena — 30 dolarów — nasuwa gorzkie myśli o szybko zwężających się możliwościach zakupu książek tego typu do prywatnych bibliotek i budzi tęsknotę do *paperback*'u o bardziej demokratycznej cenie.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

24 listopada 1976.

„L 76”

Heinrich Böll nazywa Związek Sowiecki „feudalnym państwem prałatów”. Günter Grass uważa że wolność, ta podstawowa

różnica między Republiką Federalną Niemiec a NRD, niwelowana jest przez ustawę o ekstremistach, która stanowi ograniczenie konstytucyjnie zagwarantowanych praw. Laureat wielu nagród, młody autor słuchowisk radiowych, Walter Adler, zastanawia się, czy dla pisarza jest lepiej nie mieć własnych myśli i przyznać: „Boję się, a jest to także strach przed autocenzurą”. Polski ekonomista marksistowski, Włodzimierz Brus, wykładający obecnie na St. Antony's College w Oxfordzie, nie chce widzieć w socjalizmie nauki zbawienia, która urzeczywistnić ma raj na ziemi; jednakże — analizując „Granice wzrostu” Meadowsa — dochodzi do wniosku, że w roku 2000 niedostatku surowców i energii nie będzie można przezwyciężyć bez pomocy socjalizmu, „ponieważ socjalizm wydaje się lepiej przygotowany do pokonania trudności jakie przyniesie ze sobą powszechny brak surowców”. A Lucio Lombardo-Radice, profesor matematyki i członek KC włoskiej partii komunistycznej, zarzuca obrońcom „czystej i jedynej prawdziwej nauki” we własnym obozie, że są „mordercami marksizmu”; i w pluralizmie ideologicznym widzi on „obiektywny i niezbędny warunek dla socjalizmu w Europie Zachodniej”.

Ten krótki, chwilami zaskakujący i paradoksalnie brzmiący wybór pochodzi z „L 76”, nowego czasopisma, które w tytule nawiązuje do wzoru o równie dwutorowej koncepcji: „Listy”, organu czechosłowackiego związku pisarzy z roku 1968. Kwartalnik „L 76”, wydawany przez „Europäische Verlagsanstalt” (wydawnictwo zachodniemieckich związków zawodowych) i firmowany przez Heinricha Bölla, Güntera Grassa i redaktorkę kolońskiej rozgłośni WDR, Carolę Stern, widzi swoje zadanie w „publicystycznym przeoraniu wielkiego pola, oznakowanego pojęciami demokracja i socjalizm”.

Czy zamiar ten się powiedzie? Wiele zależy od tego, czy wydawcy potrafią przeprowadzić wyraźną linię podziału między demokratycznym socjalizmem i totalitarnym komunizmem. Nie wierzę bowiem w komunizm z ludzką twarzą. Komunizm jest tak długo ludzki, póki pozostaje ideą, każda próba urzeczywistnienia skazuje go na „anty-ludzkość”, a przynajmniej na „nie-ludzkość”.

Kiedy przed laty poznałem zachodnich intelektualistów, którzy się namiętnie przyznawali do komunizmu (było to jeszcze w epoce stalinowskiej), stwierdziłem z najwyższym zdumieniem, że sprawa praktyki komunizmu nie odgrywa dla nich większej roli. Na uwagę zaś, że zrealizowany komunizm nigdzie dotąd na świecie nie doprowadził do większej sprawiedliwości ani większej wolności, że komunizm ani nie potrafi lepiej rozwinąć produkcji materialnej ani lepiej rozwiązać sprawy ochrony środowiska, na ogół zgadzali się z tym bez dalszej dyskusji. Nie dyskredytowało to jednak w ich oczach samej idei. Bowiem dla zachodnich intelektualistów komunizm nie jest już programem politycznym, lecz stał się czystą religią, wierzą weń jak mnisi średniowiecza wierzyli w biblijną rachubę czasu, jest to nowe Credo zbawienia z tego świata i żadne doświadczenie codziennej rzeczywistości

nie może tu nic zmienić. Kto zaś odchodzi od prawdziwej wiary, jest apostatą lub durniem.

Toteż dla politycznego wartościowania nowego pisma — co oznacza w końcu także jego ekonomiczny sukces lub klęskę — decydująca będzie dyskusja na temat „demokratycznego socjalizmu” i rozprawa z „eurokomunizmem”. Niewątpliwie będzie ona szczególnie trudna, gdyż w Republice Federalnej dyskusja ta toczy się wyłącznie wśród intelektualistów. Dopasowanie wiedzy politycznej do politycznej praktyki w tym państwie doprowadziło do poważnej utraty zdolności teoretycznych.

Szczególnie wyraźnie widać to w artykule frankfurckiego politologa, Iringa Fetschera, który rozprawia się z jednym z centralnych pojęć „euro-komunizmu” — z „dyktaturą proletariatu” i odrzuceniem tego hasła przez francuską partię komunistyczną. Fetscher reprezentuje naukę, w której praktyka polityczna — co w tym wypadku oznacza taktyczne dopasowanie — stanowi integralny element wiedzy; prowadzi to w końcu do wypowiedzi, które ani nie są naukowo prawdziwe, ani nie mają praktycznego znaczenia politycznego: „Reformizm obiecuje mniej, ale zdolny jest zrealizować więcej niż rewolucjonizm”.

W dalszej części Carola Stern podsumowuje 15 lat działalności *Amnesty International*, stwierdzając wzrastające trudności tej organizacji. „Notatki o odprężeniu” Petera Bendersa nie wnoszą nic nowego do tematu.

To uwypuklenie materii publicznej sprawiło, że zeszyt ten — na co skarży się Böll — jest „za mało literacki”. Jednakże rozdział z nowej powieści Güntera Grassa, ballada Wolfa Biermanna, trzy poematy Nicolasa Borny, pieśni urugwajskiego dysydenta Daniela Viglietti i wreszcie literacko-polityczna relacja o „roku, w którym wszystko się zaczęło” (1949) Artura Millera, to warte lektury kontrapunkty części politycznej. Że jednak i te materiały zwłaszcza wspomnienia Millera o początkach ery McCarthy’ego — nie pozostawiły w cieniu płaszczyzny politycznej, przemawia za koncepcją wydawców i redakcji. „Pozornie wchodzimy w nową epokę — pisze Artur Miller — nieco odurzeni, ale z uśmiechem na ustach ruszamy na krucjatę w obronie wolności, choć traktując wszystko na zimno, nikt się chyba nie wydaje wolny, z wyjątkiem może fanatyków”.

Na zakończenie mamy fascynującą rozmowę redaktora odpowiedzialnego „L 76” Heinricha Vormwega z Heinrichem Böllem na temat „Sołżenicyn na Zachodzie” oraz polemikę Roya Miedwiediewa z przedstawionym przez Sołżenicyna w „Bodajśja telefon s dubom” stosunkiem do niego Aleksandra Twardowskiego, redaktora naczelnego *Nowego mira*, w którym ukazał się „Jeden dzień w życiu Iwana Denisowicza”; jest to tekst bardzo kontrowersyjny, od dawna zresztą znany na Zachodzie.

Rozmowa Vormwega z Böllem wskazuje, na jakie trudności natrafia właśnie lewicowe pismo podejmując temat zaangażowanej antykomunistycznej emigracji z Europy Wschodniej. Podczas gdy Vormweg w swoich pytaniach powtarza obszerny

katalog politycznych zastrzeżeń wobec Sołżenicyna, Böll argumentuje w sposób politycznie raczej obojętny i w końcu wycofuje się, mówiąc: „Nie mogę oddać doświadczeń innych ludzi. Jest to doświadczenie autora, które nie pozwala pouczyć Sołżenicyna z zewnątrz. Kilkakrotnie pisał on do mnie. Wymienialiśmy też swoje poglądy na pewne sprawy, często przeciwstawne. Pewnego dnia spotkamy się znowu i będę z nim rozmawiał. Ale nigdy nie będę nikogo pouczał...”

Vormweg próbuje sprowokować Bölla wskazaniem na gestykę proroka u Sołżenicyna i jego marzenia o „religijnym feudalizmie”. W odpowiedzi Böll bierze w obronę przyjaciela. I jeśli Böll na zakończenie rozmowy wyraża nadzieję, że Sołżenicyn „zrozumie, iż to co się obecnie dzieje we Włoszech, to zgoła coś innego niż rok 1917 w Związku Sowieckim” — to jest to chyba jedyna utopijna nadzieja, jaką „L 76” przynosi nam w swym pierwszym numerze.

Juliusz STROYNOWSKI

Niepotrzebna książka

Nowy Jork, listopada 1976

Książka* podzielona jest na trzy części: Protoslav Epoch, Ancient Slav Epoch, oraz Early Slavic Epoch. Oba starsze okresy, obejmujące przedhistoryczną i wczesno-historyczną epoki dziejów ziem zamieszkiwanych obecnie oraz dawniej przez ludy mówiące językami słowiańskimi, zdradzają raczej słabą znajomość przez autora literatury archeologicznej dotyczącej tych krajów. Swe wiadomości autor w dużej mierze czerpał z różnych wydawnictw encyklopedycznych polskich (np. *Wielka Encyklopedia Powszechna*) i obcych (np. *Encyklopaedia Britannica*).

Pierwsza część książki (39 stron łącznie z przypiskami) podzielona jest na sześć rozdziałów 3- do 5-ciostronicowych. W pierwszym z nich bardzo pobieżnie wspomniane są niektóre teorie dotyczące pochodzenia Słowian. Autor lokalizuje prakolebkę Słowian, jak w ogóle prakolebkę Indoeuropejczyków, na stepach między Dońcem a Wołgą. Stamtąd prowadzi on Słowian na zachód, nad Bug, drogą wykreśloną na mapce na str. 11, na której pokazane są także drogi na zachód Bałtów (Pra-Litwini, Pra-Łotysze) oraz Germanów. Przesunięcie się tych ludów na zachód autor datuje na czas około 2000 roku przed Chr. Dane archeologiczne krajów przez jakie te przemarsze miały rzekomo odbyć się na przełomie drugiego i pierwszego tysiącleci przed Chr. nie dają podstaw do wysuwania takich teorii, a szczególnie do wykreślenia dróg pokazanych na mapce.

Na ziemiach polskich, rzekomo słabo zaludnionych w tym czasie, mieli

* *Ancient Slavs* by Frank A. Kmiotowicz. Stevens Point, Wisconsin, U.S.A., 1976. Warzalla Publishing Co. 246 stron, XX mapek, 85 rycin.

praszłowiańscy przybysze zetknąć się z Wenetami, ludem także indoeuropejskim, jaki wedle autora przybył z prakolebki indoeuropejskiej i osiadł na ziemiach polskich dwa tysiące lat przed Słowianami, tj. około 4000 roku przed Chr. Porównanie proponowanej przez autora daty przybycia Wenetów na ziemię polską z faktem, że nazwa Wenetów i w ogóle lud Wenetów pojawiają się na widowni historycznej dopiero z początkiem pierwszego tysiąclecia przed Chr., zatem przeszło 3000 lat później, wskazuje na bezsensowność tego rodzaju twierdzeń. Zaznaczyć przy tym należy, że te 3000 lat pokrywają się z epoką neolityczną, która tak na ziemiach polskich jak i w całej Europie Środkowej jest dobrze opracowana. Autor oczywiście zupełnie nie stara się powiązać rzekomych przybyszów, Wenetów, z jedną z głównych kultur neolitycznych Polski, gdyż musiał chyba zdawać sobie sprawę, że byłoby to niemożliwe.

Zatrzymałem się nieco dłużej na początkach słowiańskich, albowiem ich ujęcie daje obraz metody autora i jego przyswajania sobie koncepcji nie mających poparcia, albo wprost sprzecznych, z danymi archeologicznymi, które dla czasów dla których brak jest piśmiennych źródeł historycznych są główną podstawą dla rekonstrukcji przeszłości.

W dalszych rozdziałach przedstawione są „migawkowo” różne, nie wiążące się ze sobą epizody z pradziejów ziem polskich. Interpretacja ich często nie jest zgodna z dość ogólnie przyjętą w nauce polskiej. „Migawkowe” ujęcia nie dają przy tym obrazu ciągłości rozwoju Słowian i wyłonienia się poszczególnych grup słowiańskich. Jak można się domyślać na podstawie tytułu książki, jest ona przeznaczona dla wszystkich grup słowiańskich w Stanach Zjednoczonych, lecz sądząc po jej treści, czytelnikami jej będą raczej tylko Amerykanie polskiego pochodzenia. Mimo swych wielkich wad, będzie ona w stanie dać czytelnikowi jakieś ogólne pojęcie o prahistorii nie tyle Pra-Słowian, ile głównie o pradziejach ziem polskich. Niestety wprowadzi ona zarazem zamęt w umysłach czytelników gdy chodzi o zdanie sobie sprawy z procesu wyłonienia się narodu polskiego z masy praszłowiańskiej i jego podłoża.

Za wprost szkodliwą uważam „komunizującą” tendencję autora, występującą wyraźnie w końcowym rozdziale „General Conclusions”. Autor wprost chwali w nim (str. 246) system komunistyczny i Lenina, *the prophet of communism*. Twierdzi on, że Zachód stworzy *a better society about which Lenin dreamt*, a końcowe zdanie książki brzmi: „*We are on the road to achieve those goals (tj. wymarzone przez Lenina), and, as history shows, we have here natural friends and supporters — the Slavs*”.

T. SULIMIRSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

KARPIŃSKI (Stanisław). *Na skrzydłach huraganu*. T. I i II. Str. 651 i 5 nlb. (Wyd. Veritas Foundation Publ. Centre, Londyn, 1976).

KRYSKA-KARSKI (T.) i ŻURAKOWSKI (S.). *Generałowie Polski Niepodległej*. Str. 178 (vary-tiper). (Nakładem Autorów, Londyn, 1976).

LAKS (Szymon). *Epizody... Epigramy... Epistoły...* Str. 187 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1976).

KEMPA (Tadeusz). *Polacy w Tasmanii. 1947-1972*. Str. 121 i 1 nlb. Seria I. Dokumentarno-pamiętnikarska Nr 3. (Wydano staraniem Autora, Hobart, 1974).

Misjonarze polscy w świecie. — 2 — *Nasza Rodzina* — numéro spécial 1977. Str. 286 i 2 nlb. (Wyd. „Nasza Rodzina”, Paryż, 1976).

DRZEWIENIECKI (W. M.). „*Karpacka Podchorążówka*” (17 kwietnia - 16 sierpnia, 1942. Str. 15 (vary-tiper). (Wyd. The Polish Cultural Foundation, Buffalo, N.Y., 1977).

DUQUOC (Christian). *Jezus Chrystus*. Zarys chrystologii. Tłumaczyła z języka francuskiego Danuta Szumska. Okładka: Roman Cieślewicz. Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1976).

von BALTHASAR (Hans Urs). *Duch chrześcijański*. Tłumaczyła z języka niemieckiego Zofia Włodkowska. Okładka Roman Cieślewicz. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1976).

Polski ruch protestu. Historia i dokumenty. Słowo wstępne inż. Eugeniusz Hardy. Str. 55 i 1 nlb. (Wyd. Federacja Organizacji Polskich w Wiktorii, Melbourne, październik 1976).

MOND (Georges). *Model socjalistycznego uniwersytetu*. (Nadbitka z *Revue d'études comparatives est-ouest*, Septembre 1976, Volume 7, No 3, str. 257-262).

Topics on Poles in Canada. Pod redakcją Benedykta Heydenkorna. Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. przez Kongres Polonii Kanadyjskiej, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Praca 11, Toronto, Ont., 1976).

The Changing of the Constitution of the Polish People's Republic. Str. 12 i 1 nlb. (Wyd. Association of Polish Students and Graduates in Exile, Londyn, 1976).

Ethnocide of Ukrainians in the U.R.S.S. The Ukrainian Herald,

Issue 7-8, Spring 1974 — *An Underground Journal from Soviet Ukraine*. Zebrał Maksym Sahaydak, przedmowa Robert Conquest; tłumaczenie z ukraińskiego i redakcja: Olena Saciuk i Bohdan Yasen. Str. 209 i 3 nlb. (Wyd. Smolokyp Publishers, Baltimore-Paris-Toronto, 1976; cena \$ 6,95).

NOWAKOWSKI (Tadeusz). *The New Wave in Polish Poetry*. Str. 179-181. (Nadbitka z *Survey*, No 2/99), Spring 1976, Londyn, 1976).

WOJCIECHOWSKI (Jerzy A.). *Universities and Canadian Culture*. Str. 169-179. (Nadbitka z *Revue de l'Université d'Ottawa*, Vol. 46, No 2, Avril-Juin 1976; wyd. L'Université d'Ottawa, Ottawa, Ont.).

DUDKO (Dmitrij S.). *Das Wort ist nicht gefesselt*. Tłumaczenie z rosyjskiego Erwin Lohneisen i Günter Fehn. Przedmowa Władimir Maksimow. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Styria, Graz-Wien-Köln, 1976).

LAUB (Gabriel). *Spielen Sie Detektiv!* Ein literarisches Quiz für schlaue Leser. Str. 50 i 2 nlb. (Wyd. Rowohlt Taschenbuch Verlag, Reinbek bei Hamburg, 1976).

Traninigseinflüsse auf physiologische Reaktionen bei simulierter Schwerkelosigkeit. Praca doktorska Wenera Skipki przedstawiona w Deutsche Sporthochschule in Kolonii. Str. 203 i 3 nlb. (Kolonii, 1975).

OSIRIS (Jean). *Delirium tremens*. Refusé par Gallimard. Str. 40 i 8 nlb. (Wyd. Efata, Bienne, 1974).

Arbetarrörelsens årsbok 1976. Pod redakcją Evy Karlsson. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Arbetarnas Kulturhistoriska Sällskap och Arbetarrörelsens arkiv, Borås, 1976).

Några Polska Exilförfattare och deras verk. (Czterej polscy pisarze emigracyjni i bibliografia ich dzieł). Opracowała Maria WINIARSKA. Str. 42 (vary-tiper). (Boras, 1976).

BABAJ. *Karusela wirsziv*. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. „Suczasnist”, Monachium, 1976).

Humor krajowy

Polska Akademia Nauk wystosowała list do jednego z profesorów z żądaniem usprawiedliwienia jego nieobecności na kilku posiedzeniach. — Profesor odpisał: „Skoro nikt nie żąda od rozmaitych członków P.A.N.-u usprawiedliwienia ich obecności na posiedzeniach P.A.N.-u, nie widzę potrzeby usprawiedliwiania mojej nieobecności.”

Profesora X. proszono aby poszedł na dworzec w Warszawie celem powitania delegacji pisarzy sowieckich. — „Nie mogę — odpowiedział. — Jestem chory fizycznie ale zdrow na umyśle”.

— Dlaczego koleje w Polsce stale się spóźniają?
— Bo jest kompletny rozkład jazdy...

— Co jest w Polsce obecnie szczytem nietaktu?
— Powiedzieć komuś: Smacznego!

Sklepy z mięsem są obecnie otwarte w Polsce przez 7 dni w tygodniu: przez 6 dni jest w nich g..., a w niedzielę trzeba wietrzyć.

Do janki mięsnej wchodzi gość, zdejmuje palto i wiesza je na haku.
— Co pan robi — pyta rzeźnik — przecież to jest sklep mięsny!
— Ah tak — odpowiada zapytany — to przepraszam, ja myślałem, że to szatnia: same puste haki...

PRZEPIS PO POLSKU

*Wziąć tego, czego nie ma
Dodać soli i kminku,
Potem zmieszać z tym, czego
Brak chwilowo na rynku.*

*Mieszać długo, dokładnie,
Jak się znudzi to przestać
I posypać tym na co
Absolutnie nas nie stać.*

*Można smażyć lub upiec,
Lub przypalić na rożnach
Polewając tym, o czym
Nawet marzyć nie można.*

*Wszyscy u nas to jedzą,
Dla każdego wystarczy;
Na tym właśnie polega
Polski cud gospodarczy!*

Każdy druk w PRL musi być opatrzony pieczętką „K.T.” (kontrola techniczna). Turysta oglądając portrety wodzów komunizmu zapytuje co znaczą te literki. — To zależy. Pod portretem Marksa znaczy to: komunista-teoretyk, pod Stalinem — komunista-tyran; pod Gomułką — komunista-tuman, a pod Gierkiem — komunista-turysta.

Zebrała Zofia HERTZ

CO TO ZA KRAJ?

Kraj, w którym co piąty mieszkaniec stracił w czasie wojny życie, co piąty żyje za granicą, a co trzeci ma mniej niż 20 lat?

Kraj, oderwany brutalnie siłą od wiekowych tradycji, swoją zdruzgotaną stolicę odtworzył według obrazów Canaletta, w którym Stare Miasto jest zupełnie nowe?

Kraj, który ma dwa razy więcej studentów niż Francja, lecz gdzie inżynier zarabia mniej niż robotnik?

Kraj, gdzie człowiek wydaje dwa razy więcej niż zarabia; gdzie przeciętna pensja pracownika nie przekracza wartości dwóch par dobrych butów, a gdzie jednocześnie nie ma biedy?

Kraj, w którym cena samochodu równa się trzyletniemu zarobkowi pracownika, ale w miastach trudno znaleźć miejsce do parkowania?

Kraj socjalistyczny, w którym święta kościelne są wolne od pracy, gdzie otrzymanie paszportu stanowi problem, a 200 tysięcy ludzi wyjeżdża corocznie za granicę?

Kraj, w którym nawet kwiaty objęte są planowaniem; w którym wzmaga się cenzura, a zarazem obywatel może poruszać się „bez anioła stróża” w przeciwieństwie do ZSSR?

Jedyny kraj w bloku socjalistycznym, w którym obywatelowi wolno mieć dolary, choć nie wolno ich kupować ani sprzedawać, a cudzoziemiec musi zrezygnować z logiki, jeżeli nie chce stracić gruntu pod nogami, wciągnięty w nurt życia tego kraju?

Dziwny kraj, w którym z kelnerem można rozmawiać po angielsku, a z kucharzem po francusku, ale z ministrem lub jego zastępcą rozmawia się wyłącznie za pośrednictwem tłumacza?

POLACY! JAK WY TO ROBICIE?

Przedruk z *Nowego Dziennika*, New York.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-11-76

PRL zakupiła dodatkowo w Szwecji artykuły żywnościowe za 15 milionów dolarów. ■ Na kontach walutowych obywateli PRL znajduje się obecnie 160 milionów dolarów. ■ Tegoroczne nagrody im. Wł. Pietrzaka przyznano: ks. prof. dr. Stanisławowi Librowskiemu, prof. dr. Janowi Mazaraickiemu, prof. dr. Stefanowi Myczkowskiemu, Michałowi Rusinkowi, Marii Szybowskiej, inż. Leszkowi Klajnertowi, Tadeuszowi Makarczyńskiemu, Jackowi Moskwie oraz nagrodę publicystyczną zespołowi *Słowa Powszechnego*.

22-11-76

PRL zerwało umowę z Finlandią na dostawę „konteinerterminału” dla portów w Gdyni wartości Kr. 64 milionów. Zamówienie zostało przekazane Hiszpanii.

27-11-76

Zmarł w Warszawie, w wieku 69 lat, Jacek Żuławski, artysta malarz, taternik i żeglarz.

5-12-76

PRL podpisała z Holandią 5-cioletnią umowę o współpracy gospodarczej. Holandia ma udzielić PRL kredytów w wysokości kilkudziesięciu milionów dolarów w zamian za wieloletnie dostawy polskiego węgla koksującego. ■ *Życie Gospodarcze* sygnalizuje: „w końcu października 10 % ogólnej liczby składów opałowych nie posiadało węgla, a w tym np. w woj. bielskim i wałbrzyskim brakowało węgla w połowie składów opałowych”. W tym samym październiku spadł skup mleka, „ograniczeniu więc uległy możliwości zastępowania braków zaopatrzenia w mięso i przetwory przez zwiększone dostawy mleka i przetworów mlecznych”.

12-12-76

Według doniesień *Tygodnika Powszechnego*: „Zakończenie V Plenum KC PZPR nakreśliło generalne zadania gospodarcze dla obecnej pięcioletniej ustalone jeszcze na VII Zjeździe w grudniu ubiegłego roku. Zmiany, jakie przyjęto obecnie dotyczą przerwania części nakładów inwestycyjnych z dziedziny produkcji środków produkcji na dziedzinę produkcji środków spożycia. Równocześnie realizowane będzie stopniowe zmniejszanie udziału inwestycji w dochodzie narodowym (w 1975 r. udział ten sięgnął aż 32 %). Oznacza to zahamowanie w najbliższych latach wzrostu nakładów inwestycyjnych. Trzykrotnie szybszy wzrost eksportu niż importu ma się przyczynić do zmniejszenia zadłużenia państwa. ■ Nowymi sekretarzami KC PZPR zostali: Stefan Olszowski (dotychczasowy minister spraw zagranicznych) i Alojzy Karkoszka (dotychczasowy wicepremier). ■ Nowymi wicepremierami zostali: Jan Szydłak (sekretarz KC PZPR), Józef Kępa (dotychczasowy I sekretarz Komitetu Warszawskiego) i prof. Kazimierz Secomski (bezparytyni, dotychczasowy I zastępca przewodniczącego Komisji Planowania). Liczba wicepremierów wzrosła tym samym do dziesięciu. ■ Nowym ministrem spraw zagranicznych został Emil Wojtaszek, b. ambasador PRL w Paryżu. Nowym ministrem administracji gospodarki terenowej została Maria Milczarek (długoletnia przewodnicząca Ligi Kobiet, ostatnio I sekretarz KW PZPR w Skierniewicach). Nowym ministrem handlu wewnętrznego i usług (na miejsce Jerzego Gawrysiaka) został Adam Kowalik (dotychczasowy

I sekretarz KW PZPR w Tarnobrzegu). Wiceminister Henryk Konopacki zastąpił ministra przemysłu chemicznego Macieja Wirowskiego, który został I zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania. ■ W roku gospodarczym 1976/77 Polska zakupiła za granicą 8 milionów ton zbóż i pasz (milion ton sprowadzimy z ZSSR), a oprócz tego znaczne ilości mięsa, smalcu i innych produktów zwierzęcych. Wartość tego importu wyniesie blisko półtora miliarda dolarów. ■ Według oceny z października br. pogłowie trzody chlewnej w Polsce zmniejszyło się o przeszło 3 miliony sztuk. ■ W Polsce zapowiedziano stopniową (od maja 1977 roku) podwyżkę rent i emerytur tzw. starego portfela oraz najniższych płac. W ten sposób w 1980 roku nie będzie niższych emerytur niż 1.800 zł miesięcznie, ani rent rodzinnych niższych niż 1.400 zł miesięcznie. ■ Od 1977 roku usługi stanowią część narodowego planu gospodarczego. Podwyższona została dla rzemiosła granica dochodu wolnego od opodatkowania (z 12 do 72 tys.). Zlikwidowana została praktyka domiarów. Rzemieślnicy włączeni zostali do systemu powszechnych ubezpieczeń społecznych”.

15-12-76

W ZSSR zapowiedziano drastyczne podwyżki cen od 1 stycznia 1977. Mają one dotyczyć: samochodów, mebli, obuwia, czasopism, telefonów i odzieży. Podwyżki wyniosą od 20 do 35 %.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-11-76

Komitet organizacyjny we Francji złożony z osób świeckich i duchownych, zebrał do połowy listopada 1976 roku 11.388 podpisów w sprawie przywrócenia nadawania przez radio francuskie na falach krótkich mszy św. z Kościoła Polskiego w Paryżu.

19-11-76

Nagrodę *Wiadomości* londyńskich za rok 1975 otrzymał Henryk Grynberg za „Życie ideologiczne”. Nagroda ta, im. Damiana Wandyczca, wynosi £ 250. Nagrodę za najlepszy utwór opublikowany w *Wiadomościach* otrzymał Jan Kott za esej „Witkiewicz, albo realizm nieoczekiwany”, nagroda ta wynosi £ 100. J. Kott przeznaczył ją na fundusz KOR. Specjalną nagrodę (£ 25) otrzymała Marta Reszczyńska-Stypińska za wiersz o Katyniu.

20-11-76

Na wieczorze w Klubie dyskusyjnym w Brukseli zebrano FB 2.650 na KOR.

26-11-76

Rząd szwedzki podniósł tegoroczną kwotę dla uchodźców o 500 osób. Kwota ta będzie przyznawana w pierwszym rządzie uchodźcom z Ameryki Południowej. Polityka wobec uchodźców polskich nie ulegnie zmianie. Nadal azyl w Szwecji będą mogli uzyskać tylko ci uchodźcy, którzy będą mogli wykazać, że byli w Polsce prześladowani. Ponadto azylu udziela się również ze względów humanitarnych: łączenie rodzin. Osoby pragnące opuścić PRL ze względów ekonomicznych muszą uzyskać zezwolenie na pobyt i pracę w Szwecji za pośrednictwem ambasady i konsulatów szwedzkich. Ponadto stosunek rządu szwedzkiego do studentów ubiegających się o pracę letnią w Szwecji nie ulegnie zmianie w 1977 roku. Wobec ogromnej frekwencji studentów w ostatnim okresie wakacyjnym szanse na znalezienie pracy będą mieli w pierwszym rządzie ci, którzy — choćby w minimalnym stopniu — posiadają znajomość języka szwedzkiego.

28-11-76

Na zebraniu Związków (Generalnej Federacji Pracy) i Socjalistów polskich w Maasmeheln (Belgia) zebrano FB 6.550 na KOR.

1-12-76

W Zurychu został zawiązany szwajcarski Komitet Obrony Polskich Robotników — *Komitee zur Verteidigung der Polnischen Arbeiter*. Inicjatorem i przewodniczącym jest Ernst R. Borer, znany działacz związków zawodowych. ■ Opublikowana w Bazylei statystyka Banku Rozrachunków Międzynarodowych podaje, że w okresie 1973-1975 głównymi dostawcami kredytów dla europejskich krajów socjalistycznych były: NRF — 1,22 mld. dolarów rocznie (w oparciu o gwarancje państwowe), Francja — 1,2 mld. dol. i W. Brytania — 566 mln. dol. Spośród krajów nie należących do EWG na pierwsze miejsce wysunęła się Japonia — 1,2 mld. dol. — przed Stanami Zjednoczonymi — 552 mln. dol.

10-12-76

W domu Stowarzyszenia Kombatantów Polskich w Paryżu została otwarta wystawa obrazów Aliny Kosteckiej-Rochowicz.

11-12-76

Na zebraniu Klubu dyskusyjnego w Brukseli znana poetka rosyjska Natalia Gorbaniewska wygłosiła odczyt o ruchu oporu w ZSSR. Odczyt był wygłoszony po polsku. ■ Urząd Celny na lotnisku w Helsinkach skonfiskował 16-osobowej polskiej grupie strzelców narciarskich, przybyłych do Finlandii na trening, 225 butelek spirytusu. Nie jest to pierwszy wypadek z polskimi zawodnikami w Skandynawii. ■ W sali Mutualité w Paryżu odbyło się zebranie w sprawie obrony Praw Człowieka i wolności religijnych w krajach Europy Wschodniej. Przemawiali: W. Maksimow (redaktor *Kontynentu*), Mgr P. Goliszew (b. arcybiskup w Nowosybirsku), ks. R. P. Stopa (z ramienia l'Aide à l'Eglise en détresse). ■ Zmarł w Londynie, w wieku 63 lat, Tadeusz Horko, dziennikarz i publicysta.

12-12-76

Telewizja szwedzka nadała godzinny reportaż, produkcji holenderskiej, o aktualnej sytuacji w Polsce. Następnego dnia znaczna część popularnego programu szwedzkiej telewizji — „Panorama” — została poświęcona działalności Komitetu Obrony Robotników w Polsce. ■ Władze sowieckie niespodziewanie zgodziły się na zwolnienie i wydalenie z ZSSR Władimira Bukowskiego w zamian za wypuszczenie M. Corvalana, sekretarza gen. komunistycznej partii chilijskiej, więzionego w Chile od chwili upadku Allende. Wymiana nastąpiła w Zurychu. Wł. Bukowski, ur. w 1942 roku, biolog, w latach 60-tych spędził trzy lata w szpitalu psychiatrycznym za posiadanie książki Dżilasa. W roku 1972 został skazany na 7 lat więzienia za wydanie na Zachodzie książki pt. „Nowa choroba umysłowa w ZSSR: opozycja”. Stan zdrowia Bukowskiego jest ciężki. Bukowski mógł opuścić ZSSR wraz z matką, siostrą i siostrzeńcem. Uwolnienie Bukowskiego jest w pierwszym rzędzie zasługą wieloletnich, niestrudzonych zabiegów Andrieja Sacharowa jak również zmobilizowanej opinii światowej.

15-12-76

Mord, popełniony przez hitlerowców w lipcu 1941 roku na 25 profesorach lwowskich i ich rodzinach nabrał znów na Zachodzie rozgłosu. Wielki kolekcyjner i milioner holenderski, Piet Menten został na podstawie nowych świadectw oskarżony o morderstwa popełnione z pomocą gestapo na Żydach

w Małopolsce Wschodniej i o rabunek dzieł sztuki w mieszkaniach dwóch profesorów, Ostrowskiego i Greka, rozstrzelanych we Lwowie 4 lipca. Żony tych dwóch profesorów zostały wówczas dodatkowo aresztowane i zabite tej samej nocy, jak gdyby wyłącznie dla umożliwienia grabieży w opróżnionych mieszkaniach. Są więc nawet poszlaki, że właśnie Menten przychylił się do ich śmierci, tym bardziej, że jak bezspornie stwierdzono, był przydzielony, podobno jako tłumacz, do Sonderkommando Schöngartha, które przeprowadziło całą tę egzekucję. Na wiadomość o tych oskarżeniach Menten zbiegł z Holandii i w tydzień później, 6 grudnia został wykryty i aresztowany w Szwajcarii. Rząd berneński rozważa, czy są dostateczne podstawy do wydania go Holandii, gdzie tymczasem nałożono pieczęcie na jego zbiorach. Na to wszystko adwokat Mentena ogłosił, że klient jego przyjął przed wojną obywatelstwo polskie. Wobec tego jest możliwe, że Warszawa zażąda ekstradycji, a tak czy tak będzie się starała o odzyskanie rozlicznych dzieł sztuki zagrabionych przez Mentena we Lwowie (Wchodzi w grę i inne polskie kolekcje). Cała sprawa pasjonuje prasę i telewizję w Holandii, NRF i Szwajcarii, gdzie ogromną energię na rzecz wyświeślenia roli Mentena rozwija przemysłowiec szwajcarski inż. Pręgowski, b. student politechniki we Lwowie.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

29. 10. 76 r. w Detroit zmarł, w wieku lat 70, redaktor Jan Marian Kreutz. Prowadził on własny program radiowy WJLB w Detroit, a później w WMZK — FM. Program ten będzie kontynuowany przez p. Cecylię Kreutz. ■ 2. 10. 76 r. staraniem Polskiego Towarzystwa Prawniczego w Stanach Zjednoczonych odbył się w Nowym Jorku wieczór dla uczczenia pamięci Jana Lechonia z okazji dwudziestolecia jego zgonu. Przewodniczył prezes Towarzystwa Jan Morelowski, przemówienia wygłosili: Jan Fryling, Tadeusz Katelbach i Maria Modzelewska. Utwory Lechonia recytowali Karin Falencka i Maria Franciszek Geissler. ■ Prof. Zbigniew Brzeziński obejmuje stanowisko doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa. Jest to stanowisko, które zajmował Henry Kissinger w latach 1969-1973, to jest do chwili nominacji na Sekretarza Stanu. ■ 7 listopada 1976 w Ukraińskim Instytucie Ameryki nastąpiło uroczyste podpisanie statutu „Międzynarodowego Zjednoczenia Harcerzy i Harcerki”. Statut podpisali przedstawiciele Estonii, Litwy, Łotwy, Polski, Ukrainy i Węgier. Polskę reprezentował p. Stankowski.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Listopad 1976. — W Melbourne powstało stowarzyszenie polskich agentów podróży — Society of Polish Australian Travel Agents. Prezesem nowo powstałej polskiej organizacji zawodowej w Australii został Marian Zarzycki zaś wiceprezesem A. Guzowski. Organizacja ta czerpie swe wzory z siostrzanej organizacji istniejącej w Stanach Zjednoczonych. ■ Tegoroczny zjazd australijskich delegatów Organizacji Narodów Ujarzmionych, który odbył się w Melbourne (30. 10. 1976) wybrał ponownie prezesem inż. Stanisława Różyckiego z Melbourne. W zjeździe brały udział delegacje Albańczyków, Czechów, Ukraińców, Polaków, Litwinów, Łotyszy, Estończyków, Węgrów, Rumunów i Białorusinów. ■ Liczni pracownicy naukowcy — w tym pięciu profesorów australijskich uniwersytetów — wystosowali ostry protest do władz ZSSR w związku z usunięciem z sowieckiej Akademii Nauk czołowego lingwisty sowieckiego I. A. Melcuka. Inicjatorem listu australijskich uczonych była dr Anna Wierzbicka z Australian National University. ■ Fede-

racja Polskich Organizacji w Wiktorii wydała drukiem obszerną broszurę pod tytułem „Polski Ruch Oporu (Historia i Dokumenty)”. Jest to zbiór dokumentów dotyczących protestów związanych ze zmianami konstytucji PRL. ■ Z inicjatywy Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii powołany został w Melbourne komitet koordynujący zbiórkę funduszy na cel Komitetu Obrony Robotników w Polsce. Podobny komitet powołany został w Sydney. ■ Profesor Jerzy Zubrzycki z Australian National University w swej co miesięcznej pogadance, nadawanej podczas polskiej audycji radiowej przez rozgłośnię 3ZZ w Melbourne, zwrócił uwagę na zupełny brak zainteresowania wykazywany przez organizacje polskie jeśli chodzi o branie udziału w pracach komisji badających problemy społeczne a zwłaszcza te, które dotyczą imigrantów. Prof. Zubrzycki wymienił szereg komisji powołanych przez rząd federalny, w których polska grupa narodowościowa nie miała głosu ze względu na brak jakiegokolwiek reprezentacji. Poruszony przez profesora Zubrzyckiego problem wskazuje na zupełny brak aktywności odpowiednich referatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii jak również Federacji Polskich Organizacji w poszczególnych stanach. Kler polski w Australii, który zapewne najlepiej zna problemy społeczne wśród tutejszych Polaków, również nie brał udziału w pracach wspomnianych komisji. ■ Australia Council przyznał p. Tadeuszowi Sobolewskiemu z Adelaide dotację wysokości \$A 2.000 na wydanie książki o emigrantach polskich w Australii. ■ Podczas tegorocznych egzaminów maturalnych w Melbourne, z języka polskiego zdawało 43 kandydatów. Jest to o dziesięciu studentów więcej niż w roku ubiegłym kiedy po raz pierwszy odbyły się egzaminy z tego przedmiotu. Jak dotychczas w stanie Victoria nie ma jeszcze lektoratu z języka polskiego na żadnej wyższej uczelni.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA KANADYJSKA

W listopadzie bawił przez kilka dni w Toronto i Montrealu prof. Edward Lipiński, zaproszony przez Kongres Polonii Kanadyjskiej. W Toronto wygłosił przemówienie na Akademii Listopadowej w dniu 14. 11 a 17. 11 miał prelekcję w Ryerson Polytechnical Institute, gdzie wprowadzał go prof. J. Korey-Krzeczowski, zastępca rektora i dziekan jednego z wydziałów. ■ W Ottawie podpisano z delegacją gospodarczą PRL nową umowę trzyletnią w sprawie zakupu zboża. Przewiduje ona dostawę około 1.500.000 ton ziarna w okresie trzech lat, z tym, iż strona polska może zwiększyć swoje zapotrzebowanie. W pierwszym roku, a więc najbliższym, ma być wykonana połowa zamówienia. Polska otrzymała kredyt na 2 i pół roku, pierwsza płatność przypada po pierwszej dostawie. Roczne oprocentowanie wynosi ponad 9%. Wartość transakcji według obecnych cen rynkowych waha się w granicach \$ 150.000.000. ■ W ramach dorocznego etnicznego festiwalu teatralnego miejscowy Teatr Polski wystawił „Taniec śmierci A. Strindberga. Trójosobową obsadę stanowili: pp. Irena Habrowska-Jellaczyc, Witold Schejbal i Jerzy Jarosz. Każda grupa korzysta z dotacji państwowej na wystawienie sztuki w swoim języku. ■ Pod protektorem Zarządu Głównego KPK a z inicjatywy Związku Narodowego Polskiego odbyło się 27 listopada w Toronto publiczne zebranie-wiecz w związku z rocznicą obrony Lwowa w 1918 roku i zniszczeniem cmentarza Orłąt. Organizatorzy sprawdzili z Londynu na głównego mówcę prof. Zdzisława Stahla. Zarówno konferencja prasowa jak i przemówienie Stahla na wiecu nie tyle poruszały sprawę zniszczenia cmentarza Orłąt ile koncentrowały się wokół deklaracji krajowej (Porozumienie Niepodległościowe). Stanowisko zajęte przez tych

„anonimowych” — jak wypominał — rzeczników niepodległości oraz innych ośrodków na emigracji piętnował jako „neojtańskie”. ■ Federacja Kobiet Polskich w Toronto urządziła 12 grudnia wieczór poświęcony pamięci Antoniego Słonimskiego. ■ W Ontario Science Centre (muzeum dydaktyczne) — odbywał się od 24 listopada 1976 do 4 stycznia 1977 roku Festiwal Świąteczny tj. prezentacja folkloru oraz dzieł sztuki 6-ciu grup etnicznych, każdej kolejno przez tydzień. Grupa polska występowała w tygodniu od 8 do 14 grudnia. W bardzo szczupłej prezentacji dzieł artystycznych grupa polska wybiła się bezapelacyjnie na pierwsze miejsce. ■ W serii prac o grupach etnicznych zamówionych przez Program Wielokulturowości ukazały się pierwsze trzy: *Ken Adachi*: „The Enemy That Never Was” (Wróg, którego nigdy nie było) dzieje grupy japońskiej; *Henry Radecki i Benedykt Heydenkorn*: „A Member of A Distinguished Family — The Polish Group in Canada” — o polskiej grupie i *Stanford Reid*: „The Scottish Tradition in Canada” (Tradycja szkocka w Kanadzie) — praca zbiorowa. ■ Sekcja Międzynarodowa (*International Service* sieci państwowej Canadian Broadcasting Corporation — znajduje się w stanie reorganizacji. Tworzy się grupy regionalne zamiast dotychczasowych krajowych. Sekcja polska znajduje się w ramach wschodnio-europejskiej. Wydaje się iż jest to akcja podyktowana nie tylko względami oszczędnościowymi. Należy przypomnieć, że niedawno pod adresem CBC-International Service padły zarzuty cenzurowania tekstów pod naciskiem ambasady ZSSR. Dyrekcja CBC oczywiście zaprzeczyła. Reorganizacja, jak zapewniają, ma charakter próbny, to znaczy iż przyszła forma serwisu międzynarodowego nie została jeszcze ustalona.

B. H.

POLSKIE SŁOWO NA FALACH RADIOWYCH

Do ilu Polaków trafia w Stanach Zjednoczonych słowo drukowane. Nakłady nie przekraczają 20 tysięcy, gazety rozchodzą się przeważnie w promieniu kilkudziesięciu mil, szerszy zasięg mają tylko organy urzędowe większych organizacji.

Bez najmniejszej wątpliwości największy zasięg zdobyło jednak polskie słowo na falach radiowych. Ale i tu zasięg *poszczególnych* stacji nadających programy polskie — muzyka, ogłoszenia, czasem coś więcej — jest ograniczony.

Jest jednak program nadawany nie z jednej stacji, ale z całej sieci — w bieżącym roku aż z 47 stacji — dosłownie od Atlantyku aż do Pacyfiku, tak w Stanach Zjednoczonych jak i w Kanadzie.

Mowa tu o franciszkańskim apostołacie radiowym, noszącym nazwę *GODZINA RÓŻAŃCOWA*. Nazwa nie pokrywa się z treścią, bo na program składa się nie odmawianie Różańca, lecz przede wszystkim *przemówienia* połączone z odpowiedziami na pytania słuchaczy oprawione, jakby w ramki, w śpiewy religijne na początku i na końcu.

Przemówienia razem z resztą programu nagrywane są na kilkudziesięciu taśmach magnetofonowych i rozsyłane do poszczególnych stacji, skąd idą na fale eteru. O szczegółach dowiadują się słuchacze z prasy, z radia i z wiadomości rozsyłanych na wszystkie strony we formie estetycznych kalendarzyków. Z listów dowiaduje się dyrekcja „Godziny Różańcowej” o echem każdego programu.

Wszystko to kosztuje dużo pracy, pomysłowości i — jak zawsze — dolarów. Stacje radiowe pobierają opłaty. Podczas gdy inne przeróżne polskie programy radiowe utrzymują się z ogłoszeń, Godzina Różańcowa zdana jest tylko na dobrowolne datki od słuchaczy. Fakt, że te datki wpływają, świadczy, że program jest mile widziany, a raczej słyszany, i że

McLean, Va, 15 listopada 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem zdumiony wypowiedziami „niepolitycznego” — jak sam siebie określa — publicysty *Kultury* p. Herling-Grudzińskiego, który określa alternatywę chińską jako „megalomańską”, „śmieszna” i „absurdalna”. Nie potrzeba być politykiem, aby rozumieć tak prostą rzecz, że Chiny (niezależnie od tego, czy nam się podobają, czy nie) są od dwudziestu lat *jedynym*, potencjalnym sprzymierzeńcem polskiej idei niepodległościowej („impotencjalnych” sprzymierzeńców nigdy nie brakowało). Rozumieją to dobrze ludzie w Polsce, o czym wiem, bo większość tych ostatnich dwudziestu lat tam spędziłem.

Nierealne wydają się raczej romantyczne internacjonalistyczne mrzonki o „współpracy z opozycją imperium i na obszarze objętym 'doktryną’”. Championami tego rodzaju internacjonalizmu byli w swoim czasie tak praktyczni i pragmatyczni ludzie jak komuniści, ale już pierwsza wojna światowa wykazała jasno, że byli w błędzie, i czym prędzej się z tego wycofali. „Opozycja w imperium” nie jedno ma imię (jeśli w ogóle można ją zlokalizować) i trudniej będzie się jej porozumieć niż Arabom z Żydami. Śmiem dodać, że Polska i inne kraje nie odzyskałyby w 1918 roku niepodległości, gdyby nie wielka wojna, która doprowadziła do załamania się starych imperiów.

Stefan Korboński słusznie domaga się od p. Herlinga-Grudzińskiego wyjaśnienia opinii publicznej, na czym ma polegać „absurdalność” jego chińskiej alternatywy. Wyjaśnienia tego nie ma jednak w replice, zamieszczonej w listopadowym numerze *Kultury*. Zamiast wyjaśnienia p. Herling-Grudziński próbuje oponenta wyszydzić. Nie należy do żadnej z istniejących partii politycznych i nie mam zamiaru należeć. Uważam, że niezależnie od poglądów na sposób odzyskania przez Polskę wolności i niepodległości, wszystkim orientacjom należy się szacunek za samo dążenie do tych niełatwych celów. Trudno mi pojąć, dlaczego p. Herling-Grudziński usiłuje ośmieszyć Stefana Korbońskiego, wieloletniego i zasłużonego działacza politycznego Polski Podziemnej i Polski Emigracyjnej. Ośmieszanie to broń właściwa w walce z wrogiem, ale nie w debacie ze współbojownikami tej samej sprawy, gdzie raczej świadczy o braku tolerancji, tej podstawy wszelkiej demokracji. Nasuwają się tu na pamięć słowa Juliusza Miroszewskiego, że Polska ma demokratyczne aspiracje, ale nie ma demokratów.

W polityce mało jest stuprocentowej pewności, dlatego wyśmiewanie się jest rzeczą niedyplomatyczną. A co, jeśli okaże się, że to oponent miał rację? *Iz kawo smiejoties?* — zapyta wtedy Gogol. Innymi słowy: kto będzie wtedy bardziej śmieszny?

Łączę wyrazy poważania,

Henryk GRYNBERG

Kopenhaga, 10 listopada 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Do omówienia książki A. Ryszkiewicza „Polonica na Zamku w Montresor” przez p. Marię Danilewicz Zielińską w nrze 11/350 *Kultury* zakradły się dwa błędy: 1) Ksawery Korczak-Branicki był nie prawnikiem, a wnukiem Aleksandry Engelhardt — pierworodnej i nieślubnej córki Katarzyny Wielkiej, która wydała ją za Franciszka Ksawerego Branickiego, hetmana w kor. i targowiczanina. 2) Sprawa zakupu obrazu Matejki przedstawiała się zupełnie inaczej; ani Branicki nie obiecywał Matejce zakupienia „Reytana”, ani

Matejko nie odmawiał malowania sceny duszenia cara Pawła. W swym liście dedykacyjnym do Stanisława Tarnowskiego, zamieszczonym w wydanym przez siebie przekładzie hebrajskiej elegii historycznej „Brama Pokuty”, pisze Branicki m.in.:

„... Przed wielu laty, roku nie pamiętam, panna Konstancja Wyleżyńska, siostra pani Loewenthal (Hortensja Lewentalowa była żoną Franciszka Salezego (Salomona) L. warszawskiego księgarza i wydawcy przyp. I.H.), napisała do mnie list...: Jan Matejko wymalował obraz przedstawiający Sejm grodzieński, gdzie figurują dziad pański W. Hetman Koronny Franciszek Xawery Brancki, równie jak dziad po matce Szczęsny Potocki; znajduje się tamże Ks. Marszałek Czartoryski z żoną. Autor obrazu zamierza go posłać na wystawę powszechną do Paryża. Radzę Panu obraz ten nabywszy, albo go zniszczyć, albo też schować.

Odpisałem pocziwiej panie Konstancji, iż kupować obrazu nie chcę, gdyż nie wypada, aby on Montresor ozdabiał; spalić zaś dzieło sztuki uważam za czyn wandalia. Historia jest historią. Każdy pisze i maluje jak mu się spodoba. [...] W kilka dni później przyszedł do mnie generał Władysław Zamoyski, mówiąc mi, żebym poszedł do cesarza Napoleona III, błagać tego monarchę, aby ów obraz nie był na wystawę przypuszczony. [...] Zaśmiawszy się, wręcz mu odmówiłem [...].

Obraz Matejki był jedną z ozdób wystawy. Jeden z bawiących w Paryżu Rosjan, dawny mój znajomy, do niego mnie przyprowadził. Wyznać muszę, że wielce mi ten obraz przypadł do smaku, pomimo niektórych błędów, a mianowicie braku akcji głównej.

Po skończonej wystawie czyli też w jej ciągu, to mniejsza, napisałem, bądź przez pośrednictwo panny Konstancji Wyleżyńskiej bądź wprost do p. Matejki, że znajdując obraz jego znakomitym, życzylibym sobie mieć inny w tymże rodzaju przedstawiający śmierć Pawła, cesarza rosyjskiego. Zapytywałem przy tym o cenę.

Taż samą drogą otrzymałem odpowiedź, że jakkolwiek przykro by było p. Matejce podobny obraz malować, gotów to uczynić za cenę 60.000 zł.r. Jakkolwiek uznaję wysoki talent artysty, cena zdała mi się zbyt wysoka na moją kieszeń, i na tym się układy zerwały”.

Łączę wyrazy wysokiego poważania,

Ignacy HENNER

Londyn, 23 listopada 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Ze wzruszeniem przeczytałam w ostatniej *Kulturze* o losach księdza Władysława Bukowińskiego.

Przed wojną bywał u nas w domu w Łucku. Ogromnego wzrostu, tęgi, o rumianej twarzy i bardzo wesoły. Takiego go zachowałam w pamięci do momentu, gdy spotkałam go znowu już w czasie okupacji niemieckiej w 1941 roku.

Byłam wtedy uczennicą 5-tej klasy szkoły powszechnej. Wracałam ze szkoły ulicą Szewczenki. Naprzeciwko mnie staniał się na nogach olbrzymi szkielet ludzki, który wydał mi się dziwnie znajomy. Gdy podszedł bliżej zatrzymał się i powiedział to, co zwykle miał zwyczaj mawiać: że włosy, jak zwykle, opadają mi na oczy i żebym uważała, bo popsuje mi wzrok. A potem zapytał o moje losy. Dowiedziawszy się, że wojna rozdzieliła mnie z rodzicami i że po rozbięciu sierocińca mam tylko urzędowych opiekunów, dał mi swój adres i zaoferował mi pomoc. Powiedział mi też, że sam cudem ocalał.

Pomagał mi na różne sposoby, szczegółów nie pamiętam, bo byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam, że zawsze mi dawał coś do jedzenia. Utrzymywał ze mną kontakt do lata 1942 to jest do czasu gdy organizacja Czerwonego Krzyża zabrała mnie z Łucka do ówczesnego Generalnego Gubernatorstwa. Nigdy już o nim więcej nie słyszałam, aż do listopada 1976. Zapamiętałam jednak jego dobroć, imię, nazwisko i pokoik przy katedrze.

Z poważaniem,

Alicja MOSKAL

Moers 2 - Kapellen, 14 listopada 1976.

Szanowny Panie Redaktorze,

W dziale „Zachód — Emigracja” listopadowej *Kultury* ukazała się półtorawierszowa wiadomość, że w Warszawie zmarł „płk Rokicki, obrońca Mokotowa w czasie Powstania Warszawskiego”.

Bez zbytniego fatygowania rozumiałej lakoniczności wymienionego działu należało przynajmniej dodać gwoli rzetelności dziennikarskiej informacji i... dla historii, że dobrze ongiś na terenie polskiego Paryża znany płk Rokicki był w latach okupacji komendantem głównym Narodowej Organizacji Wojskowej (NOW), jednego z głównych członków AK, zrzeszającego kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Pseudonimy: „Michał” w NOW i „Karol” w AK.

Zawodowy oficer W.P. płk Rokicki był *eo ipso* jednym z przywódców organizacji podziemnej Stronnictwa Narodowego. Sanacyjni „towarzysze broni” zwalczali płka Rokickiego za to w ich oczach „odstępstwo” zapalczywie — ale to inna, znana historia.

Kulturze natomiast nie przystoi stosowanie parcjalnego choćby ostracyzmu.

Z wyrazami poważania,

Inż.-gorn. Jan A. SZPONDER
b. szef łączności przy krakowskiej
Komendzie Okręgowej NOW.

Monmouth, 18 października 1976.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W październikowym numerze *Kultury* (Nr 10/349) p. Grażyna Nowak poruszyła w „Liście z Londynu” sprawę Kozielska i dwu powstałych tam obrazów Madonny. „List” ten domaga się odpowiedzi.

Kozielski, jedno z miejsc, skąd wywieziono jeńców polskich na likwidację w Katyniu, budzi zrozumiałe zainteresowanie ze względu na szerokie echa w całej prasie polskiej i angielskiej, jakie wywołało niedawne oświadczenie katyńskiego pomnika. Stąd nie dziwi mnie sięgnięcie po ten temat p. Nowak: natomiast zdziwił mnie sposób jego ujęcia.

Pomijam tu część pierwszą jej artykułu, omawiającą rosyjską przeszłość Kozielska i przechodzę od razu do części drugiej, by nie tylko odpowiedzieć na jej pytania, ale i uzupełnić — w czym mogę — tylko wrywkowo zebrane przez p. Nowak dane o powstaniu obrazów Madonny w obozie kozielskim, gdzie w roku 1940 znalazła się grupa jeńców polskich, przewieziona z obozu w Kalwarii na Litwie. Był pomiędzy nimi por. Tadeusz Birecki, działacz katolicki z Wilna, który zorganizował wśród tej grupy Koło Religijno-Rycerskie pod wezwaniem Matki Boskiej Zwycięskiej. Z tego

ostatniego kultu zrodziły się właśnie dwa obrazy o identycznym ujęciu, znane dziś pod nazwą Matki Boskiej Kozielskiej.

Informacje o tym odcinku dziejów Kozielska uzyskała p. Nowak, jak sama podaje, z dwu numerów czasopisma religijnego *Marianum w służbie*. To upoważnia mnie do zabrania głosu i, przede wszystkim, do sprostowania nieścisłości oraz wątpliwości, zawartych w jej artykule. Od przeszło 15 lat jestem redaktorką *Marianum w służbie*, które przejęłam od poprzedniej redaktorki, znanej poetki emigracyjnej, Zofii Bohdanowiczowej, po jej wyjeździe do Kanady. Numery pisma, po które sięgnęła p. Nowak, były opracowane przeze mnie. Znałam osobiście T. Bireckiego, a także wielu innych świadków kozielskich zdarzeń i wiadomości, które tam podałam, pochodzą z pierwszej ręki.

Zacznę od krótkiego przypomnienia historii obu obrazów Matki Boskiej Kozielskiej do czasu póki pozostawały pod opieką Koła Religijno-Rycerskiego „Marianum”.

Pomysłu do projektowanego obrazu Madonny nasunęło członkom Koła znalezienie na ścianie jednej z trzech cerkwi kozielskich, zamienionej na magazyn, freska Matki Boskiej Żyrowickiej. Ponieważ wśród jeńców znajdowało się wówczas dwu artystów-malarzy: M. Siemiradzki i T. Zieliński, Birecki zwrócił się do nich obu o wykonanie obrazu Matki Boskiej, pomyślanego jako łączna kompozycja odkrytego fresku z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej. W taki to sposób Birecki przezornie ubezpieczał się na wypadek, gdyby jeden z artystów nie był w stanie wykonać podjętej tajnie pracy. Udało się jednak obu. Zieliński wyrzeźbił swój obraz na desce z ikonostasu, wynalezionej i przygotowanej dla niego przez gen. Przeździeckiego. Siemiradzki zaś namalował obraz na płótnie farbami, które zdołał przemieścić z pracowni malarskiej, gdzie był zatrudniony.

Dalsze dzieje obrazów rozszedły się z kolejami ich twórców. Przewieźli je z poważnym narażeniem siebie jeńcy z kręgu Marianistów. Za ich też inicjatywą i staraniem obraz Zielińskiego dostał się na ołtarz polowy w Buzułuku, co zapoczątkowało dalsze jego losy, związane odtąd z 2-gim Korpusem (w czasie kampanii włoskiej). Nie mniej, jeszcze w Jerozolimie oba obrazy służyły ściśle organizacji religijnej, dla której powstały. Popularyzowanie Madonny Zielińskiego jako Patronki Armii Polskiej poprzez różne drobne, ale liczne wydawnictwa i rozmaitych rozmiarów obrazki było pokrywane z prywatnej kieszeni członków Koła. Do Anglii obrazy przewieźli również Marianiści, a że rektor ich organizacji, ks. Judycki, został proboszczem w Brompton Oratory, uprosili go, by obraz umieścić w tym kościele. Znajdował się on tam w jednej z bocznych kaplic na prowizorycznym ołtarzyku (kościół był nie nasz, lecz angielskich oratorianów) i wszystkie polskie nabożeństwa, odprawiane w tym kościele, śluby, chrzty, itp. odbywały się przed tym obrazem.

Po śmierci ks. Judyckiego sprawa się skomplikowała i gdy członkowie Koła chcieli dla swoich celów kongregacyjnych obraz z kościoła zabrać, władze kościelne zatrzymały go wyjaśniając, że raz oddany do kultu publicznego obraz przestaje być własnością ofiarodawcy, a staje się własnością kościoła. Od tego więc pory losy rzeźby Zielińskiego oddzieliły się od dziejów organizacji i biegły swoim, niezależnym od niej, torem. Gdy powstał polski kościół św. Andrzeja Boboli, obraz został tam przeniesiony i umieszczony w miejscu, gdzie się dziś znajduje.

Tyle wstępnych informacji. Przystępuję z kolei do meritum sprawy. P. Nowak sformułowała na końcu swego artykułu trzy zasadnicze pytania (odpowiadam na nie bezpośrednio po pytaniach). Oto one:

1. Dlaczego obraz Siemiradzkiego jest tak mało znany, skoro jest również autentyczny jak rzeźba Zielińskiego?

Sprawę różnicy w popularności obu bliźniaczych obrazów MB Koziełskich wyjaśniają dostatecznie ich koleje. Rzeźba Zielińskiego była na tutejszym terenie powszechnie już znana jako Patronka 2-go Korpusu we Włoszech, a jej późniejsze umieszczenie w kościele emigracyjnym, w samym środku Londynu, dopełniło reszty. Natomiast obraz Siemiradzkiego, zamknięty w gronie Koziełskich, którzy się nim opiekowali, zaczął powoli docierać szerzej dopiero przez pielgrzymowanie po ośrodkach emigracyjnych w Anglii i Walii.

Dwa następne pytania, dotyczące obecnego stanu obrazu Zielińskiego i miejsca, gdzie go umieszczono w kościele św. Andrzeja Boboli — pozostawiam bez odpowiedzi, bo jeżeli nawet pewne elementy są mi znane, dotyczą one historii tego obrazu już po jego wyjściu spod opieki Koła Religijno-Rycerskiego i nie ono za nie odpowiada.

Ale poza tymi trzema zasadniczymi pytaniami w tekście „Listu” p. Nowak rozrzucone są jeszcze inne wątpliwości i marginesowe zapytania. Z kolei więc zajmę się nimi.

a) *Dlaczego wśród wielu omówień Madonn Koziełskich w Marianum w służbie brak świadectwa samego Zielińskiego, autora rzeźby?*

Nie ma tam także świadectwa Siemiradzkiego. Wspomnienie Siemiradzkiego drukowałam dwa lata wcześniej w Nr. 2/56, niedługo po jego śmierci. Szkoda, że p. Nowak do niego nie dotarła, powiedziałyby jej wiele i o obozie koziełskim i o człowieku, którego dzieło, jak się wyczuwa, budzi w niej mimo wszystko wątpliwości.

Do Zielińskiego zwracałam się w tym samym czasie co do autorów innych omówień. Otrzymałam jednak zamiast obiektywnej relacji list pełen pretensji i osobistych porachunków z Siemiradzkim. Ponieważ list nie nadawał się do umieszczenia, musiałam z niego zrezygnować.

b) *Czemu artykuły Marianum w służbie tak często wracają do autentyczności obrazu malowanego na płótnie? Po co to, jeśli fakt jest faktem?*

Wyjaśnienie zawiera się częściowo w odpowiedzi na pytanie pierwsze. Madonna Zielińskiego, popularyzowana wśród szerokich rzesz emigracyjnych już od Buzułuku, nie wymagała specjalnej dokumentacji. Natomiast obraz Siemiradzkiego wypłynął stosunkowo późno na terenie Wielkiej Brytanii, trzeba go więc odpowiednio udokumentować. Sama p. Nowak opowiada o zdziwieniu, jakie wzbudziło pojawienie się drugiej Madonny Koziełskiej w czasie perygrynacji obrazu.

c) *Na pytanie: „Któż by myślał, że jency mieli płótno, pędzle i farby” odpowiadałam już na początku, gdzie mówię o powstaniu obu obrazów, a szerzej wyjaśnia to sam Siemiradzki.*

d) *Wreszcie nawet określenie, że obraz był zamówiony, budzi zastrzeżenia p. Nowak: „Czy w tych warunkach można było coś zamawiać?”*

Dlaczego nie można było mówić o zamówieniu, skoro autorzy zostali przez zamawiających Marianistów wynagrodzeni, na ile było to możliwe w warunkach obywatelskich?

Nie trudno wyczuć, że nad każdym z tych pytań unosi się lekka mgiełka nieufności, a nawet podejrzeń. Gdyby jednak p. Nowak przejrzała uważniej numery *Marianum w służbie*, na które się powołuje, znalazłaby odpowiedź w samym tekście. Wydobyłam je w tym liście, bo przydadzą się one dla wyjaśnienia spraw, które jak się okazuje, nie dla wszystkich są jasne. Idzie zaś o rzecz ważną i w tym zgadzam się z p. Nowak. Dlatego też uważałam, że nie wolno mi jej pozostawić pod znakiem nieodmówień i wątpliwości.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

M. TARNAWSKA

Paryż, 8 października 1976.

Drogi Panie Redaktorze!

W ostatnio wydrukowanym fragmencie „Rozważań o literaturze zwanej emigracyjną” p. Marii Danilewicz Zielińskiej (*Kultura* Nr 10/349, str. 130) wkraść się mały błąd: rozejm w Kiwerowej Horce pod Jamem Zapolskim był zawarty 15 stycznia 1582 roku a nie w roku 1580. Na marginesie tej małej pomyłki warto przypomnieć okoliczności, jakie towarzyszyły temu rozejmowi, który został zawarty za pośrednictwem papieża Grzegorza XIII. W telegraficznym skrócie wypadki przedstawiały się następująco: Batory, w wyniku trzeciej zwycięskiej kampanii skierowanej przeciwko Moskwie, znalazł się w roku 1581 pod Pskowem. Iwan Groźny, będąc w trudnej sytuacji, postanowił zwrócić się o pomoc do... Stolicy Apostolskiej, którą po prostu przechytrzył fałszywymi obietnicami. Jedną z *idee fixe* papieża było zorganizowanie ligi antytureckiej; drugą taką ideą była unia kościoła rzymskiego z kościołem greckim. Celem pozyskania dla siebie Grzegorza XIII, Iwan posłużył się bez żadnych skrupułów tymi ideami i zrobił to z ipsis verbis, w przekonaniu, że jednocześnie oczernić Batorego o zawarcie z sułtanem przymierza, które rzekomo ułatwiło Polsce prowadzenie wojny z Moskwą. Car prosił papieża o pośrednictwo w zażegnaniu tej wojny. Wówczas to Grzegorz XIII wysłał jezuitę Antonio Possevino, który z ramienia papieża doprowadził do zawarcia wyżej wymienionego rozejmu. Dla Polski rozejm ten był pozornie korzystny, na krótką tylko metę. W rzeczywistości problemu moskiewskiego nie rozwiązał wtedy, kiedy mógł on być rozwiązany, gdyż była ku temu odpowiednia koniunktura. Był to skutek nie tylko łatawiernej polityki Rzymu, świadczącej o zupełnej nieznajomości Moskwy (mimo doświadczenia, jaka miała już Stolica Apostolska z Iwanem III), ale też i trudności, z jakimi musiał borykać się w Polsce Batory, który — jak to określił nawet rosyjski historyk Karamzin — „był jednym z najbardziej znakomych władców świata i jednym z najbardziej groźnych wrogów Rosji”. W Polsce niestety zawsze już tak bywało i bywa, że wielcy ludzie większą część swojego czasu i energii tracili musząc na pokonywanie przeszkód, stawianych im przez maluczkich rodaków, którzy w tym wypadku potrafią wykazać wyjątkową solidarność.

Misja Possevino jest pod wieloma względami bardzo pouczającym przykładem naiwności Rzymu z jednej strony i z drugiej — bezwzględności i cynizmu Moskwy. Ten obrotny jezuita włoski, obdarzony cechami, które we współczesnym żargonie nazywają się „uzdolnieniem dyplomatycznym”, starał się początkowo przekonać Polaków, że Moskale są dobrymi ludźmi a Iwan Groźny pragnie naprawdę pokoju z Polską i pojednania z Rzymem. Zmienił jednak później zdanie kiedy to, po zawarciu rozejmu, Iwan nie wypełnił żadnej z obietnic danych papieżowi. Podczas jednej z dyskusji, jaką miał Possevino z Iwanem, jezuita starał się wykazać, że kościół rzymski i grecki wywodzą się z tej samej religii i winny więc zjednoczyć się. Car, zamiast podjąć temat i wypowiedzieć swoje zdane, zapytał: „A czemuż to księża katolicycy golą brody, gdy pismo święte tego nie nakazuje”. Pojednanie Moskwy z Rzymem zatrzymało się przeto na poziomie golonych bród księży. Possevino dał wyraz swojemu rozczarowaniu w książce pt. „Moscovia”, wydanej po raz pierwszy w Wilnie w roku 1586 i mającej później, w Europie zachodniej, kilka wydań również w języku łacińskim tak jak to z 1586 r. Książka ta zawiera wiele bardzo trafnych obserwacji odnośnie cech państwa moskiewskiego i ich władców. Nie została ona jednak nigdy przełożona

na żaden język nowożytny, z wyjątkiem włoskiego, z wielką szkodą dla zawartych w niej ciągle aktualnych myśli (o czym Pan Redaktor dawniej sam już wspominał). W przygotowywanej obecnie przeze mnie pracy z dziedziny historii idei społeczno-politycznych poruszam misję Possevino i jej skutki. Z uwagi jednak na charakter tej pracy są to jedynie okruciny tego z czym należałoby zapoznać czytelnika na Zachodzie. Warto zrobić chyba układ w stronę p. Dominika Morawskiego żeby zainteresował Watykan — i nie tylko zresztą Watykan — książką „Moscovia”, która jest namacalnym przykładem, że historia czasem się jednak powtarza...

Trudno mi powstrzymać się od jednego jeszcze spostrzeżenia! Na Zachodzie, przytłaczająca część Polaków pracujących naukowo w tematyce wschodniej, zajmuje się problemami współczesnymi, czyli tym wszystkim co związane jest z socjalizmem, komunizmem i z wszelkiego rodzaju przemianami, jakie dokonują się w bloku sowieckim, czy też jakie chciano by żeby się dokonywały. Na ogół są to tematy najbardziej „chodliwe”, najlepiej widziane, z czym niestety muszą się liczyć zwłaszcza ci, którzy zaczynają pracę naukową. Zbyt mało jednak, zastraszająco mało, jest opracowań tematów historycznych, wśród których — jeśli chodzi o Polskę i Europę Środkowo-Wschodnią — znajduje się masa problemów w krajach zachodnich zupełnie nieznanymi i znajomość których ogromnie ułatwiłaby zrozumienie teraźniejszości. Temu zresztą celowi służyć winna historia. Historia nie zawsze się powtarza, w każdym razie prawie nigdy w tych samych okolicznościach, ale powtarzają się wady i błędy ludzi, co daje zbliżony rezultat. Bez znajomości historii Europy Wschodniej trudno Zachodowi zrozumieć współczesny konflikt z Moskwą. A na nasz polski, wewnętrzny użytek, zwłaszcza w środowiskach emigracyjnych, lepsza znajomość naszych dziejów, ułatwiłaby nam zrozumienie, że to wszystko na co dziś narzekamy, to już dawniej było... z czego jednak nie chcemy wyciągnąć konsekwencji.

Łączę wyrazy szczerego szacunku,

Tadeusz WYRWA

Hamilton, 11 grudnia 1976.

„AKCJA PROPAGANDOWA NA WŁASNYM ODCINKU”

Niemal jedyna celowa akcja na rzecz niepodległości, stojąca do dyspozycji emigracji politycznej i Polonii, to naświetlanie sytuacji panującej w kraju — w prasie państw naszego osiedlenia, oddziaływanie na opinię publiczną społeczeństw, wśród których żyjemy, przedstawianie rzeczywistości Polski obecnej, dementowanie kłamstw reżymu, prostowanie mylnych reportaży dziennikarzy obcych.

Były koncepcje i próby zorganizowania tej akcji na szeroką skalę, jednak bez pozytywnych wyników. Są wyrażane protesty, przesyłane memoriały do czynników oficjalnych, które może w wielu wypadkach bez czytania idą *ad acta*, bo przecież rządy uznają reżym mający władzę w Polsce.

Ukazują się sporadycznie artykuły, czy listy do redakcji pism w niektórych krajach naszego osiedlenia. Trzeba doceniać pracę naszych przedstawicieli w organizacjach zrzeszających emigracje narodów spod supremacji Rosji — memoriały składane w Genewie, czy Helsinkach, udział w Komitecie „Przesłuchania im. Sacharowa”, korygowanie fałszów reżymu w telewizji we Francji czy Anglii, demonstracje które miały miejsce w Anglii, bojkot

Gierka w Stanach Zjednoczonych, audycję o Powstaniu Warszawskim w radiu Canberra, rozgłos i oddźwięk opinii publicznej w związku z odsłonięciem Pomnika Katyńskiego w Londynie...

Jednak rezultaty tych poczynań na przestrzeni 30 lat — jak na wielkość naszej emigracji i ilość ośrodków polskich w świecie zachodnim — nie są zadawalające. Chodzi przede wszystkim o dotarcie do społeczeństw, do zwykłych szarych obywateli, o ukształtowanie ich opinii.

Naszych zorganizowanych skupisk jest w wielu krajach dużo. Na ogół tkwią one w polskich gettach, obchodzą rocznice narodowe, na których są wygłaszane bardzo podniosłe przemówienia, i to jest właściwie wszystko. A mogłyby więcej: w każdej większej miejscowości wychodzi miejscowy dziennik. Czy były próby umieszczenia jakiejś wzmianki w formie krótkiego artykułu, czy listu do redakcji o tym, czy innym wypadku zaistniałym w Kraju? Nie chodzi o rozwlekłe artykuły wykazujące zło strony komunizmu (tego prawdopodobnie nikt czytać nie zechce) — tylko o rejestrację zaistniałych wypadków z właściwym naświetleniem. Tematów nie brak, a należy się spodziewać, że będzie ich więcej, bo prawdopodobnie będzie więcej starć między społeczeństwem, a reżymem.

Ukazują się czasem w prasie obcej wypowiedzi nam przychylnie, jak ostatnio w londyńskim *Times*'ie Bernarda Levina, w lutym, na temat zmian konstytucji PRL, w lecie tegoż autora o Pomniku Katyńskim i o zajęciach grudniowych w roku 1970 w Szczecinie. Publicystów „swoich” prawdopodobnie umieszczą z mniejszymi oporami — należy się starać o przedruk.

W akcji tej współpracować należy z innymi narodowościami spod dominacji Rosji, może one mają większe możliwości wejścia na łamy prasy. Publikować wspólnie pod jednym „sztyldem”, np. Polsko-Ukraińsko-Litewskim itp., w myśl zasady: „my wam pomożemy — pomóżcie nam!”

Wydaje się, że akcja taka, powzięta w całej polskiej diasporze, mogłaby zdziałać dużo, więcej niż dotychczasowe usiłowania organizacji nadrzędnych w poszczególnych krajach.

Jednocześnie kilka uwag o propagandzie naszego dorobku kulturalnego. należy się domagać aby w publicznych bibliotekach znajdowały się książki w językach obcych o naszej tematyce. Tu będzie pomocny wykaz przekładów dzieł pisarzy polskich przebywających poza krajem, opracowany przez Bronisława Przyłuskiego: „Pamiętnik Literacki”, wydany przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie — Londyn 1976 — Polska Fundacja Kulturalna.

Ofiarowywanie miejscowej radiostacji kompletu płyt naszych kompozytorów też spełni swoje zadanie.

H. CZAJKOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

T. Okoszek, USA. — Mimo szeregu nieścisłości i przesady w wielu punktach ma Pan rację. W tych sprawach *Kultura* zajmuje wyraźne stanowisko. Musi Pan jednak wziąć pod uwagę, że nasze możliwości są ograniczone.

Ewa Mieroszevska, USA — przyłącza się do potępienia Gustawa Herling-Grudzińskiego za jego polemikę z St. Korbońskim. List pokrywa się z wyżej umieszczonym listem H. Grynberga.

Andrzej Traubich, Mississauga, Kanada — przyłącza się do licznych potę-

pień G. Herling-Grudzińskiego w związku z jego polemiką z St. Korbońskim. Jest także zwolennikiem stawiania na Chiny, ale w sposób bardziej umiarkowany od St. Korbońskiego.

Jan Narolewski, *Chicago, USA*. — Jest to pierwszy głos uważający Juliusza Mieroszewskiego „za przeciwnego pisarza politycznego”. Przede wszystkim jednak J. Narolewski potępia Mieroszewskiego za „zrzeczenie się Lwowa i Wilna na rzecz Rosji” (!). Trudno dyskutować z ludźmi, którzy nie czytają tekstów, które potępiają. Jest pocieszające, że takie opinie są coraz bardziej odosobnione.

J. B. — Wiersza „Zmowa milczenia” nie zamieścimy. Intencja szlachetna, ale wiersz słaby.

Ilość niezmiernie ważnych materiałów, napływających z Kraju jest tak duża, że przekracza możliwości opublikowania ich wszystkich w miesięczniku. Z tego powodu w Serii „Dokumenty” Biblioteki *Kultury* ukaże się w niedługim czasie książka pt. „Materiały Krajowe”.



W bieżącym roku rozpoczynamy w ramach Biblioteki *Kultury* nową serię pt. „BEZ CENZURY”. Będą się w niej ukazywały książki pisarzy krajowych (niedrukowane lub skonfiskowane) nie pod pseudonimami lecz pod prawdziwymi nazwiskami autorów. Kilka książek z tej serii ukaże się już w pierwszym kwartale bież. roku.

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 270 — WAŁAW SOLSKI

MOJE WSPOMNIENIA

Wspomnienia Wacława Solskiego są niezmiernie interesującym przyczynkiem do najnowszej historii Polski od strony małoznanej. Jest to historia Łodzi sprzed pierwszej wojny światowej, polskiego ruchu rewolucyjno-komunistycznego z okresu przed pierwszą wojną światową do pierwszych lat Niepodległości, i roli Polaków w ruchu bolszewickim etc. Autor był nie tylko obserwatorem, ale czynnym uczestnikiem tych wszystkich wydarzeń (m.in. był korespondentem prasy sowieckiej w czasie rokowań w Rydze). Odgrywał dużą rolę w życiu dziennikarskim politycznym i kulturalnym Związku Socjalistycznego aż do chwili zerwania z ZSSR i ruchem komunistycznym w końcu lat dwudziestych.

Wspomnienia są pisane barwnie i żywo i stanowią doskonałą lekturę nie tylko historyczną, ale i literacką.

Wspomnienia liczące ok. 400 stron, ukażą się w końcu stycznia br.

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1976

Spis autorów

A. J. Ch. — BARANIECKI Józef, B. B., BEO, B. H., BIEŃKOWSKI Władysław, BIEREZIN Jacek, BOROWSKI Tadeusz, BORWICZ Michał, BOSS Sally, BÖLL Heinrich, BREIT Leon, BRODZIŃSKI Bohdan, BRŃSKI M., BRUKSELczyk, BRYLEWSKI Włodzimierz, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BRZOST Marek, BUKOWIŃSKI Władysław, ks., BUKRABA Piotr, BYRSKI Zbigniew. — CHILECKI Andrzej J., CIOŁKOSZ Adam, CZAPSKI J., CZERNIAKOWSKI Z., CZERŃIAWSKI Adam, CZŁOWIEKOWSKI Ignacy J., CZYTELNIK. — DAINAUSKAS J., DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DARGAS Antoni, DŁUŻEWSKI Wojciech, DOBROSTAŃSKI Jerzy, DOLANOWSKI M. I., DOMENACH Jean-Marie, DOWAL Ksawery, DUCH Bronisław, gen., DZIEWICKA Maria. — EMMANUEL Pierre, ESTRYN Anatol, ETKIND Jefim. — FARBISZ Teodor. — GARLIŃSKI Józef, GOMBROWICZ Witold, GÖMÖRI George, GRASS Günther, GROSZKOWSKI Janusz, GRYNBERG Henryk. — HANFF Konstancy Z., HELLER Michał, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt. — ISTNER Filip. — JAKUBOWSKI Józef, JANKOWSKI Jerzy, JANUSZEWSKI W., JASKUŁA Zdzisław, JELEŃSKI Konstanty-Aleksander, JENNE Józef, JĘDRUCH Jacek, J. S. — K. A. J., KANIOWSKI Michał, KARAIBSKI Stefan, KATELBACH Tadeusz, KATZ-HEWETSON Janina, KAWCZAK Andrzej, KISIEL, KLEWIŃSKI J., KOŁAKOWSKI Leszek, KORASZEWSKI Andrzej, KORBOŃSKI St., KORPOWSKI B., KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI J., KOSSOWSKA Stefania, KOTOWICZ Bronisław, KOWALSKA Janina, KOWALSKI Adam, „KRONIKA” (redakcja), KRUCZEK Adam, KRUSZEWSKI Eugeniusz, KRZECZUNOWICZ Kornel, KRZYŻANOWSKI Wojciech, KUBIJOWYCZ Wołodmyr, KULCZYCKI Jerzy, KWARC Seweryn,

KWAŚNY Józef, KWIATKOWSKA Jadwiga, K. Z., — LECHNICKA Teresa, LEDÓCHOWSKI Włodzimierz, LENEMAN Leon, LEWANDOWSKI Józef, LIPIŃSKI Edward, LIPOWSKI Maciej, LITWIN Aleksander. — ŁOBODOWSKI Józef, ŁOKAJ Bronisław, ŁOPATA Bazyle, ŁUCZENCZYK Andrzej. — MADZIARSKI Zdzisław, MAŁACHOWSKI Aleksander, MAURER Jadwiga, M. B., MERKA Zygmunt, MICHAŁOWSKI Zygmunt, MICHNIK Stefan, MIECZKOWSKI Bogdan, MIŁOSZ Czesław, MIRSKI J., MISZCZAK Franciszek, MORAWSKI Dominik, MOŻEJKO Edward, MYTROWYCZ K. — NADEAU Maurice, NASIELSKI Adam, NIEKRASOW Wiktor, NITTMAN Janusz, NORMAN Ewa, NOWAK Grażyna. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OKULICZ Kazimierz, OLFENIUS Pierre, OSADCZUK Bohdan, OSSOWSKI Zygmunt, OSTROWSKA Marta. — PAWLAK Jan, P. EMIGRANT, PERZANOWSKI Lucjan, PIASKOWSKI St., PONIATOWSKI Józef, POPOWSKI Albin, PROKOPOWICZ T., PRZYŁUSKI Bronisław. — REDAKCJA, „REGIONALISTA Z MAZOWSZA”, ROLICZ Z., ROMANOWICZ Kazimierz, ROSOL Tadeusz. — SŁONIMSKI Antoni, SOBIENIAK J., SOJKA Wojciech, ks., SOLECKI Andrzej, STOWARZYSZENIE MARYNARKI WOJENNEJ, STRYJSKI K., SUKIENNICKI Wiktor, SULIK Bolesław, SWIANIEWICZ Stanisław, SZCZEPKOWSKI Janusz, SZENDRYK Aleksander, SZUŁDRZYŃSKI Jan. — ŚMIEJA Florian. — TARNAWSKI Wit., t. d., THOMPSON Ewa, TRĘBICKI Kazimierz, TRYŃKA Tadeusz, TUNGUZ, TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ „KULTURY” W SZWECJI, T. Ż. — ULATOWSKI Jan. — VAUGHAN Michalina. — WAGNER Jan, WAWRZYŃIAK Wiesław, WĄSIK S., WEINTRAUB Wiktor, W. G., WIERNY Jan, WIĘCKOWSKI Michał, WIRPSZA Witold, WOJCIECHOWSKI Adam, WRZEŚNIAK Irena, WYSOCKI Stefan, WYSZOMIRSKA Bożena. — XA. — ZAHORSKI Witold, ZAKRZEWSKI Ryszard A., ZAMOYSKI Stefan, ZARZĄD SPÓŁDZIELNI IM. T. KOŚCIUSZKI W MELBOURNE, ZBYSZEWSKI Wacław Alfred, ZEŁENYJ P., ZXY. — ŻAGIELL E., ŻELEŃSKI Władysław.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

B.B.: *Kronika gospodarcza* (1/340-2/341).
 BRONSKI M.: *Rosyjska podróż de Custine'a* (3/342).
 BRUKSELICZYK: *Widziane z Brukseli* (3/342, 4/343, 6/345, 9/348, 11/350).
 BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Ameryka we wrogim świecie, przeł. z angielskiego Adam Czerniawski* (10/349).
 BYRSKI Zbigniew: *Anatomia kapitulacji* (5/344).
 — *Imperializm sowiecki a przemiany w ruchu komunistycznym* (6/345).
 — *O amerykańskim neo-egalitaryzmie* (1/340-2/341).

— *Wybory prezydenckie w USA* (7/346-8/347).
 CZERNIAWSKI Adam (tłumacz) ob. Brzeziński Zbigniew. *Doktryna Sonnfeldta* (5/344).
Europa Wschodnia „uwolniona” (11/350).
 HELLER MICHAŁ: *III tom „Archipelagu GULag” — Zarysy przyszłości* (6/345).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Radio i amerykańska niewiedza* (5/344).
 KLEWIŃSKI Jerzy: *Kiedy rozum śpi budzą się potwory* (1/340-2/341).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *30-ta rocznica Nowego Ładu w Europie* (5/344).
 LEDÓCHOWSKI Włodzimierz: *Perspektywy afrykańskie* (7/346-8/347).
 LEWANDOWSKI Józef: *Kryteria przynależności narodowej* (5/344).
 ŁOPATA Bazyle: *Epitafium pięciolecia* (12/351).
Meany o amerykańskiej polityce zagranicznej (5/344).
 MERKA Zygmunt: *Kryzys władzy w Polsce* (11/350).
 MORAWSKI D.: *Korespondencja z Rzymu* (1/340-2/341, 3/342, 4/343, 6/345, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).
Najważniejsze wydarzenia 1975 roku (4/343).
 OSTROWSKA Marta: *Kolokwium „1956”* (11/350).
 PERZANOWSKI Lucjan: *Słonie, osły i sprawa polska* (12/351).
 SZUŁDRZYŃSKI Jan: *Afryka: podzielona czy zjednoczona?* (3/342).
 SWIANIEWICZ Stanisław: *Późne refleksje po Kopenhadze* (4/343).
Wydarzenia miesiąca (1/340-2/341, 3/342, 4/343, 5/344, 6/345, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).
Z okazji VII Zjazdu PZPR (1/340-2/341).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

ESTRYN Anatol: *Hajże na Soplecę* (6/345).
 CZAPSKI J.: *Wyrwane strony* (1/340-2/341).
 GOMBROWICZ Witold: *„Przekłete zdrobnienie znowu daje mi się we znaki”* (7/346-8/347).
 — *Przeciw poetom* (7/346-8/347).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/340-2/341, 4/343, 7/346-8/347, 9/348, 10/349).
 JELEŃSKI K. A.: *Tajny ładunek korsarskiego okrętu* (5/344).
 — *Z Józefem Czapskim w Luwrze* (4/343).
 MIŁOSZ Czesław: *List do Gombrowicza* (7/346-8/347).
 — *Ogród nauk* (12/351).
 — *Romantyczność* (4/343).
 — *Strefa chroniona* (9/348).
 SULIK Bolesław: *„...od jadu Żmudzina”* (12/351).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BUKOWIŃSKI Władysław, ks.: *Wspomnienia dla przyjaciół* (11/350).
 ETKIND Jefim: *Notatki niespiskowca. Dygresje o emigracji*, przeł. z rosyjskiego Michał Kaniowski (10/349).
 KANIOWSKI Michał (tłumacz) ob. Etkind Jefim i Niekrasow Wiktor.
 KOWALSKA Janina: *Kopciuszka przemienić w królową* (1/340-2/341).
 KWARC Seweryn: *Kto to zrobił?* (1/340-2/341).
 ŁUCZŃCZYK Andrzej: *Przez puste ulice* (1/340-2/341).
 NIEKRASOW Wiktor: *Sprawa personalna towarzysza A. Ł. Jufy*, przeł. z rosyjskiego Michał Kaniowski (7/346-8/347).
 SOLECKI Andrzej: *Dlaczego nie zostałem czerwcowym warchołem?* (11/350).

Utwory poetyckie

- BOROWSKI Tadeusz: *Ej, Kultura...* (7/346-8/347).
 — *Dwie ojczyzny* (7/346-8/347).
 — *Powroty* (7/346-8/347).
 — *Wyznanie* (7/346-8/347).
 HERLING-GRUZIŃSKI G.: *W ćwierćwiecze śmierci Borowskiego* (7/346-8/347).
 ISTNER Filip: *Apokalipsa Euterpe* (6/345).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Nawołujemy się...* (6/345).
 — *Okno...* (6/345).
 MIŁOSZ Czesław: *Czarodziejska góra* (5/344).
 WYSZOMIRSKA Bożena: *Dwie poziome kreski...* (6/345).
 — *Kwiaty krzyczały...* (6/345).
 ZXY: *Młodym* (3/342).

Co robić?

- BRZOST Marek: *Kilka uwag o programie PPN* (11/350).
 KORASZEWSKI Andrzej: *Spór o socjalizm w Polsce* (11/350).

Sprawy krajowe

- BOSS Sally: *Jankeska na dworze króla Gierka* (12/351).
 BREIT Leo: *O metodzie podwyżki cen... i rządzenia* (9/348).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *„O. Zawada”* (1/340-2/341).
Działalność T-wa Polonia (1/340-2/341).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (5/344, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).

- KARAIBSKI Stefan: *Głos ucieszonego pesymisty* (3/342).
 KISIEL: *Mój głos w dyskusji* (9/348).
 — *Wołanie na puszczy: Proroctwa, pogoda i polemiki* (12/351).
 KOTOWICZ Bronisław: *Po Gomudce Gierka* (10/349).
 KWASNY Józef: *Divide et impera* (12/351).
 K. Z.: *Kto przegrał VII Zjazd Partii?* (3/342).
 LEWANDOWSKI Józef: *Juliusz Wacławek* (1/340-2/341).
 MADZIARSKI Zdzisław: *Konstytucja i totalizm* (3/342).
 MIŁOSZ Czesław: *List do Antoniego Stonimskiego* (3/342).
 OLFENIUS Pierre: *Próba rozbicia „Znaku”* (9/348).
 POPOWSKI Albin: *Wokół represji* (9/348).
Przemówienie Jana Olszewskiego na pogrzebie J. Wołskiego (1/340-2/341).
 SŁONIMSKI Antoni: *L'ordre règne à Varsovie* (3/342).
 SULIK Bolesław: *Robotnicy* (10/349).
 X. A.: *Przestrogi dla wyjeżdżających na kontrakt „PolSERVICE”* (7/346-8/347).

Sąsiedzi

- A. J. Ch.: *Rusyfikacja Polaków w ZSSR* (6/345).
 BEO: *Kronika ukraińska* (7/346-8/347, 11/350).
 BRYLEWSKI Włodzimierz: *Kronika białoruska* (11/350, 12/351).
 CHILECKI Andrzej J.: *Kronika niemiecka* (7/346-8/347).
 — *Nowy model stosunków PRL-NRF* (6/345).
 DAINASKAUS J.: *Zgrzytliwe echa przeszłości* (4/343).
Kronika litewska (3/342).
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (1/340-2/341, 3/342, 4/343, 5/344, 6/345, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).
 MICHNIK Stefan: *Kronika czeska i słowacka* (1/340-2/341, 3/342).
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Konferencja w Harvard* (1/340-2/341).
 MIŁOSZ Czesław: *Dziwna polemika* (4/343).
 MIRSKI J.: *Jeszcze o Białorusi* (9/348).
 NORMAN Ewa: *Państwa Kowalskich podróż po bratnich krajach* (12/351).
 OKULICZ Kazimierz: *Ostatnie słowo oskarżonego* (4/343).
 OSADCZUK Bohdan: *XXV Zjazd* (5/344).
 — *Wieści z Ukrainy* (7/346-8/347).
 PAWLAK Jan: *Wywiad z Amalrikiem* (9/348).
 REDAKCJA: *Komentarz do komentarzy* (1/340-2/341).
 SUKIENNICKI Wiktor: *Białoruskie pokłosie* (1/340-2/341, 5/344).
 — *Russkaja Wilnius w latach 70-tych* (6/345).
 — *W białoruskim Londynie* (10/349).
 WIRPSZA Witold: *Dezinformacja* (6/345).
 ŻAGIELL E.: *Białoruś* (6/345).
 — *Kronika litewska* (1/340-2/341, 5/344, 6/345, 7/346-8/347, 11/350).

Polemiki

- MOŻEJKO Edward: *Uniwersalizm, zaściankowość i Wirpsza* (10/349).
 WIRPSZA Witold: *Partykularyzm czubka kietka* (10/349).
 — *Uniwersalizm i zaściankowość* (7/346-8/347).

Sprawy i troski

- Apel Polskiej Rady Bibliotecznej w Londynie* (9/348).
Apel POSK-u (10/349).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *W londyńskim Klubie „Kultury”* (5/344).
 — *Zebranie londyńskiego Klubu „Kultury”* (7/346-8/347).
 CZAPSKI Józef: *Taki skrawek obcego pola* (11/350).
 DOBROSTANSKI Jerzy: *Lekarze „dipisi” w Australii* (6/345).
 HEYDENKORN Benedykt: *Konferencja „Polonia 75”* (1/340-2/341).
 — *Slawistyka w bibliotekach naukowych Kanady* (9/348).
 — *Struktura organizacyjna Polonii Kanadyjskiej* (6/345).
 JANKOWSKI Jerzy: *Polityzacja Polonii francuskiej* (10/349).
 — *Spotkanie w Waszyngtonie* (1/340-2/341).
 — *Uchodźcy z Europy Wschodniej we Francji* (12/351).
 JĘDRUCH Jacek: *O polskich zjazdach naukowych* (10/349).
 NOWAK Grażyna: *List z Londynu* (5/344, 10/349).
 P. EMIGRANT: *Raptularz londyński* (3/342, 7/346-8/347, 9/348).
Polski Uniwersytet na Obczyźnie (12/351).
 SUKIENICKI Wiktor: *Rapperswilski Feniks* (12/351).
Walne zebranie POSK-u (12/351).

Ci co odeszli

- BYRSKI Zbigniew: *O publicystyce Juliusza Mieroszewskiego* (9/348).
 JELEŃSKI K. A.: *Antoni Stonimski i jego ojczyzna* (10/349).
 OSSOWSKI Zygmunt: *Mieroszewskiemu w hołdzie z Kraju* (9/348).
 REDAKCJA: *Juliusz Mieroszewski* (7/346-8/347).
 WEINTRAUB Wiktor: *Stanisław Kot (1885-1975)* (3/342).
Żegnamy Józefa Wittlina (5/344).

Kronika kulturalna

- BORWICZ Michał: *Losy francuskiego przekładu książki Boya* (6/345).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Kisiel w Londynie* (1/340-2/341).
 CZAPSKI Józef: *Mecenas* (4/343).
40-ty Kongres PWN w Wiedniu (1/340-2/341).

- DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *„Pamiętnik Literacki”* (6/345).
 — *Rozważania o literaturze zwanej „emigracyjną”* (1/340-2/341, 4/343, 5/344, 7/346-8/347, 10/349).
Fundusz dla uczczenia pamięci Josepha Conrada (5/344).
 JAKUBOWSKI Józef: *Apel Księgarni Polskiej w Paryżu* (7/346-8/347).
 JELEŃSKI K. A.: *Pamięci Auberona* (11/350).
 KATELBACH Tadeusz: *Wspomnienie o Lechoni* (5/344).
 KOŁAKOWSKI Leszek: *Na śmierć Marcina Heideggera* (7/346-8/347).
 KWIATKOWSKA Jadwiga: *O „przeoczeniach” w Kraju* (9/348).
Litwin na Broadwayu (7/346-8/347).
Nagroda im. Janiny Ławruk (9/348).
Nagroda im. Janiny ze Starzyckich Ławrukowej (5/344).
Nieznane pisma organizacji kombatanckich (7/346-8/347).
 ODOJEWSKI Włodzimierz: *Malarstwo Hilarego Krzysztofiaka* (6/345).
 PRZYŁUSKI Bronisław: *Kobrzyński — poeta żołnierski* (9/348).
Stypendia Fundacji Guggenheima (5/344).
Stypendia Polonia Technica (5/344).
 WIRPSZA Witold: *Dr h. c. Karl Dedecius* (7/346-8/347).
 — *Nieemożność? Polityczna? Absolutna?* (4/343).
 WYTWYCKYJ Wasyl: *Muzyka i polityka* (7/346-8/347).
 ZAMOYSKI Stefan: *Biblioteka Polska w Londynie* (5/344).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Prof. Kot i ludowcy, których znałem* (5/344).
Życie wydawnicze w polskim Londynie (4/343).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- B. H.: *Reprezentacyjna publikacja* (10/349).
 BRŃSKI M.: *Dyskretny czar totalizmu* (4/343).
 — *Nauka o Polsce współczesnej* (6/345).
 — *Marksizm, Kołakowski i zastrzeżenia* (7/346-8/347).
 — *Nieunikniona małość wydarzeń* (5/344).
 — *Rosja jaka jest* (9/348).
 — *Rozsądny młody człowiek* (12/351).
 — *Sałotka egzystencjalna* (11/350).
 CZERNIAWSKI Adam: *Język filozofią moją* (11/350).
 DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/340-2/341, 7/346-8/347, 11/350).
 — *Książki historyczne* (7/346-8/347).
 — *Książki najgorsze* (9/348).
 — *Manipulacja* (6/345).
 — *Wielka maskarada* (4/343).
 GARLIŃSKI Józef: *„Muza i Kamena”* (6/345).
 GÖMÖRI George: *Nie samym winem...*, przeł. z angielskiego M. B. (4/343).
 GRYNBERG Henryk: *Samokrytyka* (6/345).

- HELLER Michał: „Przepastne wyżyny” (7/346-8/347).
 — Wyprawa po „szczęście o którym piszą w gazetach” (5/344).
 ISTNER Filip: „Droga powrotna” J. Kowalewskiego (1/340-2/341).
 J. S.: *Biblia otwarta* (1/340-2/341).
 KAJ: *Deleuze i Guattari o „Bramach raję”* (4/343).
 — *Pojedynek na cytaty* (4/343).
 — (tłumacz) ob. Nadeau Maurice.
 KATZ-HEWETSON Janina: *Ta zwykłość* (1/340-2/341).
 LEWANDOWSKI Józef: „Stronnictwo Ludowe w latach 1939-1945” (7/346-8/347).
 MAŁACHOWSKI Aleksander: *Rodziewiczówna* (7/346-8/347).
 M. B. (tłumacz) ob. Gömöri George.
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Karuzela reform gospodarczych w krajach komunistycznych* (6/345).
 NADEAU Maurice: *O „testamencie Gombrowicza”, przeł. z francuskiego KAJ* (3/342).
Nadestane nowości wydawnicze (1/340-2/341, 4/343, 5/344, 6/345, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).
 SUKIENNICKI Wiktor: *Ziemska kolonia hybrydów* (1/340-2/341).
 ŚMIEJA Florian: *Klasycy po hiszpańsku* (6/345).
 t. d.: „*Krzyżacy*” po francusku (5/344).
 T. Ż.: *Profesor doktor* (7/346-8/347).
 WIRPSZA Witold: *Odyseja czyli topos ucieczki* (11/350).
 Wynik Konkursu im. gen. W. Stachiewicza (3/342).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Ameryka we wrogim świecie*, przeł. Adam Czerniawski (10/349).
 GÖMÖRI George: *Nie samym winem...*, przeł. M. B. (4/343).

Z języka francuskiego

- NADEAU Maurice: *O „testamencie Gombrowicza”, przeł. KAJ* (3/342).

Z języka rosyjskiego

- ETKIND Jefim: *Notatki niespiskowca. Dygresje o emigracji*, przeł. Michał Kaniowski (10/349).
 NIEKRASOW Wiktor: *Sprawa personalna towarzysza A. Ł. Jufy*, przeł. Michał Kaniowski (7/346-8/347).

Listy do Redakcji

- BARANIECKI Józef (11/350), BRYLEWSKI Włodzimierz (10/349, 11/350), BUKRABA Piotr (4/343, 12/351), CIOŁKOSZ Adam

- (9/348), CZERNIAKOWSKI Z. (1/340-2/341), CZŁOWIEKOWSKI Ignacy J. (4/343), CZYTELNIK (1/340-2/341), DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria (11/350), DARGAS Antoni (12/351), DŁUŻEWSKI Wojciech (12/351), DOLANOWSKI M. I. (12/351), DOWAŁ Ksawery (11/350), DUCH Bronisław (12/351), ESTRYN Anatol (6/345), FARBISZ Teodor (7/346-8/347), GRYNBERG Henryk (3/342), HANFF Konstanty Z. (11/350), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (7/346-8/347, 10/349), JANUSZEWSKI W. (1/340-2/341), JELEŃSKI K. A. (4/343), JENNE Józef (3/342), KATELBACH Tadeusz (10/349), KAWCZAK Andrzej (7/346-8/347), KOŁAKOWSKI Leszek (9/348), KORBOŃSKI Stefan (10/349), KORPOWSKI B. (7/346-8/347), KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI J. (7/346-8/347), KOSOWSKA Stefania (6/345), KOWALSKI Adam (11/350), „KRONIKA” (9/348), KRUSZEWSKI Eugeniusz (6/345), KRZECZUNOWICZ Kornel (7/346-8/347), KRZYŻANOWSKI Wojciech (9/348), KUBIJOWYCZ Wołodymyr (11/350), KULCZYCKI Jerzy (7/346-8/347), LECHNICKA Teresa (1/340-2/341, 9/348), LENEMAN Leon (3/342), LEWANDOWSKI Józef (1/340-2/341, 3/342), LITWIN Aleksander (3/342), LIPOWSKI Maciej (11/350), ŁOBODOWSKI Józef (7/346-8/347), ŁOKAJ Bronisław (11/350), MAURER Jadwiga (7/346-8/347), MICHAŁOWSKI Zygmunt (11/350), MISZCZAK Franciszek (7/346-8/347), MORAWSKI Dominik (5/344), MYTROWYCZ K. (4/343), NASIELSKI Adam (6/345), NITTMAN Janusz (5/344), P. EMIGRANT (6/345), PIASKOWSKI St. (9/348), POINIATOWSKI Józef (6/345), „REGIONALISTA Z MAZOWSZA” (11/350), ROLICZ Z. (3/342), ROMANOWICZ Kazimierz (4/343), ROSOL Tadeusz (3/342), SOBIENIAK J. (1/340-2/341), THOMPSON Ewa (1/340-2/341), SOJKA Wojciech, ks. (4/343), STOWARZYSZENIE MARYNARKI WOJENNEJ (6/345), STRYJSKI K. (4/343), SUKIENNICKI Wiktor (4/343, 5/344, 6/345, 7/346-8/347), SZCZEPKOWSKI Janusz (4/343), SZENDRYK Aleksander (10/349), TARNAWSKI Wit (5/344), TRĘBICKI Kazimierz (4/343), TRYŃKA Tadeusz (3/342), TUNGUZ (1/340-2/341), TWO PRZYJACIÓŁ „KULTURY” W SZWECJI (9/348), ULATOWSKI Jan (3/342), VAUGHAN Michalina (3/342), WAGNER Jan (3/342), WAWRZYŃIAK Wiesław (11/350), W. G. (11/350), WIERNY Jan (1/340-2/341), WIĘCKOWSKI Michał (7/346-8/347), WIRPSZA Witold (4/343), WRZEŚNIAK Irena (7/346-8/347), WYSOCKI Stefan (6/345), ZAHORSKI Witold (4/343, 10/349), ZAKRZEWSKI Ryszard A. (3/342), ZARZĄD SPÓŁDZIELNI IM. T. KOŚCIUSZKI W MELBOURNE (1/340-2/341), ZEŁENYJ P. (4/343).

Dokumenty

- Akt oskarżenia przeciwko Stanisławowi i Kruszyńskiemu* (5/344).
Andrzejewski w niemieckiej telewizji (12/351).
Apel intelektualistów francuskich (11/350).
Apel Komitetu Obrony Robotników (11/350).
Apel Obywatelskiego Komitetu Zbiórki we Francji (12/351).

- BIENKOWSKI Władysław: *Apel do społeczeństwa i władz PRL* (11/350).
 BIENKOWSKI Władysław: *Głos w dyskusji nad wytycznymi KC na VII Zjazd PZPR* (5/344).
 BIENKOWSKI Władysław: *List otwarty w sprawie normalizacji stosunków z ZSSR* (4/343).
 BIEREZIN Jacek: *List do uczestników Międzynarodowego Biennale Poezji* (10/349).
Biuletyn Informacyjny Nr 1 KOR (11/350).
Biuletyn Informacyjny Nr 2 KOR (12/351).
Czarna lista (3/342).
Dalsze relacje (11/350).
Depesza do Podgornego (10/349).
 DOMENACH Jean-Marie, EMMANUEL Pierre, BÖLL Heinrich, GRASS Günter: *W odpowiedzi na List Trzynastu* (10/349).
 DZIEWICKA Maria: *Komentarz do tzw. „Listu 7-miu”* (7/346-8/347).
Emigracja i Polonia a „59-ciu” (3/342).
Episkopat a zmiany Konstytucji (5/344).
Głos solidarności pisarzy polskich na obczyźnie (3/342).
 GROSZKOWSKI Janusz: *List do Sejmu PRL* (7/346-8/347).
 JASKUŁA Zdzisław: *List do Prezesa Zarządu Głównego ZLP* (7/346-8/347).
Komitet Solidarności francuskich intelektualistów (12/351).
Komunikat Nr 1 KOR (11/350).
Komunikat Nr 2 i Nr 3 KOR (12/351).
Konferencja cenzury z redaktorami (7/346-8/347).
Kronika (9/348, 12/351).
 KUNCEWICZ Jerzy: *List do prezesa Gucwy* (5/344).
 KUNCEWICZOWA Maria: *List do St. Stommy* (5/344).
 LIPiŃSKI Edward: *List Otwarty do tow. E. Gierka* (6/345).
List Andrzejewskiego do Marszałka Sejmu (3/342).
List Andrzejewskiego do robotników (9/348).
List Boruckiej-Kuroń do MON-u (9/348).
List Czternastu (9/348).
List Czternastu do Komisji Sejmowej (9/348).
List gen. M. Boruty-Spiechowicza (3/342).
List grupy „Znak” do postów „Neo-Znaku” (7/346-8/347).
List Jedenastu (9/348).
List Kuronia do Berlinguera (9/348).
List Lipińskiego do Marszałka Sejmu (3/342).
List T. Mazowieckiego, A. Święcickiego, J. Turowicza, St. Stommy do Wacława Auleytnera (5/344).
List Morgiewicz do A. Sacharowa (12/351).
List otwarty grupy „Znak” w sprawie zmian Konstytucji (4/343).
List Otwarty Młodzieżowego Komitetu do Spraw KBWE w Hel-sinkach (7/346-8/347).
List Otwarty Neo-„Znaku” do Klubów Inteligencji Katolickiej (6/345).
List 7-miu studentów do Przewodniczącego Rady Państwa (12/351).

- List studentów do Rady Państwa PRL* (7/346-8/347).
List Trzynastu do intelektualistów zachodnich (9/348).
List Wojciechowskiego do Sejmowej Komisji Rolnictwa (9/348).
„Memoriał 25-ciu” (3/342).
Memoriał młodszych pracowników naukowych i studentów KUL-u (3/342).
Memoriał „59-ciu” (1/340-2/341).
„Memoriał 101” (3/342).
Odpowiedź Min. Zdrowia i Opieki Społecznej (7/346-8/347).
Odpowiedź zachodnich intelektualistów (11/350).
Odwołanie Jacka Smykała (7/346-8/347).
Opis akcji represyjnej (11/350).
Oświadczenie KOR (12/351).
Petycja Międzynarodowego Komitetu Robotniczego w Paryżu (12/351).
Pismo robotników Ursusa do naczelnych władz PRL oraz Komen-tarz KOR (12/351).
Program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (7/346-8/347).
Protest studentów przeciw zmianom Konstytucji (9/348).
Przetrzymanie przez milicję członków KOR (12/351).
Relacja dwóch świadków o zajęciach w Radomiu (11/350).
Relacja pracownika Radoskóru (11/350).
Samozbierra (4/343).
Uchwała Środowiska ODiSS (4/343).
Usunięcie Jacka Smykała z PAM-u (5/344).
Włoskie protesty (12/351).
Wniosek KOR do Sejmu PRL w sprawie utworzenia Komisji Poselskiej (12/351).
 WOJCIECHOWSKI Adam: *Dwa listy do prof. dr. H. Jabłońskiego* (5/344).
Wyrok w sprawie St. Kruszyńskiego (10/349).
Wywiad z Tadeuszem Mazowieckim (12/351).
Z przemówienia adw. Wł. Siły-Nowickiego (7/346-8/347).

Różne

- Od Redakcji* (4/343).
Sprostowania M. Borwicza oraz M. Hellera (9/348).
Sprostowania Morawskiego Dominika, Wąsika S., Prokopowicza T. (5/344).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/340-2/341, 3/342, 4/343, 5/344, 6/345, 7/346-8/347, 9/348, 10/349, 11/350, 12/351).

Wydawnictwa książkowe w roku 1976
 « Biblioteka Kultury »

- Tom 262 — Kołakowski Leszek: *Główne nurty marksizmu*, T. I., str. 432.
 Tom 263 — Staliński Tomasz: *Ludzie w akwarium*, str. 148.
 Tom 264 — Sułkowski Witold: *Szkoła zdobywców*, str. 64.
 Tom 265 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 36-ty), str. 240.
 Tom 266 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 37-my), str. 240.
 Tom 267 — Swianiewicz Stanisław: *W cieniu Katynia*, str. 360.
 Tom 268 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 38-my), str. 240.
 Tom 269 — Mieroszewski Juliusz: *Materiały do refleksji i zadumy*, str. 256.

Dla orientacji Czytelników podajemy tytuły głównych artykułów, zamieszczonych w 4-ch *Zeszytach Historycznych* wydanych w 1976 roku:

Zeszyt 35-ty — P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym*; B. Łokaj: *Likwidacja Polskich Sił Zbrojnych 1945-1946*; J. Garliński: *W poszukiwaniu niemieckich tajnych broni*; B. Miedziński: *Moje wspomnienia* (3); J. Jaklicz: *Żołnierz 2-giej Rzeczypospolitej*; R. A. Woytak: *Wywiad z litewskim Wodzem Naczelnym, gen. Stasys'em Raštikis'em wraz z Uwagami K. Okulicza*; D. Desanti: *Polska... początek wszystkiego*.

Zeszyt 36-ty — B. Truchan: *„Burza” pod Wilnem*; M. Pruszyński: *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty*; T. Katelbach: *Moja misja kowieńska*; B. Miedziński: *Wspomnienia* (4).

Zeszyt 37-my — P. Wandycz: *Stany Zjednoczone a Europa Środkowo-Wschodnia w okresie międzywojennym 1921-1939*; Jan Nowak: *Sprawa generała Berlinga*; B. Miedziński: *Moje Wspomnienia* (dokończenie).

Zeszyt 38-my — R. Zambrowski: *Uwagi o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku*; Z. S. Siemaszko: *Brygada Świętokrzyska 1945-1946*; R. Buczek: *Udział Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we francuskim Ruchu Oporu*; W. Sukiennicki: *O oddźwięk w sercu*; P. Wandycz: *MSZ w okresie międzywojennym. Odpowiedź na Ankietę*; B. Szczucki: *Trzydzieści lat w służbie nauki polskiej*; J. Lewandowski: *Dzieje sprzed dwudziestu lat*.

Dalszy ciąg ze strony 2-giej

WPLĄTY NA FUNDUSZ OBRONY ROBOTNIKÓW

Anonimowo z New Haven, Conn. (USA)	F. 125,00
Anonimowo z Paryża	F. 20,00
A. K. Brochwicz Lewiński, Bramhall, Cheshire (Wielka Brytania)	F. 42,00
B. S. Kreuzlingen (Szwajcaria)	F. 90,27
Bezimiennie z Lailly-en-Val (Francja)	F. 100,00
Ryszard Czapkowski, New Britain, Conn. (USA)	F. 25,00
Jan Dąbrowski, Hartford, Conn. (USA)	F. 35,00
H. Dolanowski, Knutange (Francja)	F. 50,00
F. H., Ohio (USA)	F. 49,75
Karol Jabłoński, London Ont. (Kanada)	F. 292,79
Józef Lewandowski (Szwecja)	F. 50,00
A. M., Sztokholm	F. 100,00
Zbigniew Piatek, Maltimore, Md. (USA)	F. 50,00
Antoni Piotrowski, Mölndal (Szwecja) — dar pochodzący ze zbiórki na cel KOR'u wśród Polaków w Göteborgu	F. 1475,00
Jan Woźniak, Londyn	F. 83,75

DZIĘKUJEMY!

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

"POLONIA"

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Londyński korespondent „Kultury”: Bohdan BRODZIŃSKI,
87, Park Hill, London, S.W.4. 9NX. — Telefon: 622 17 14.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1977.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönla-tern-gasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księ-garniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5019 Blvd de Maison-neuve O., Montreal, Que. H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Osetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzie-wanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715. tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Bri-tain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 140; półroczna — F. 75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 267 — STANISŁAW SWIANIEWICZ

W CIENIU KATYNIA

Wspomnienia oficera W.P. jeńca Kozielskiego.

Książka zawiera następujące rozdziały:

Nadciągająca burza. — Mobilizacja. — Od Piotrkowa pod Katyń. — Spod Katynia do Kujbyszewa. — Kujbyszew. — Droga do Teheranu. — Raport o zaginionych oficerach. — Katyń z perspektywy trzydziestolecia. — Dialektyka Katynia. — Czy Chruszczow chciał ogłosić prawdę o Katyniu? — Katyń a sojusz sowiecko-niemiecki. — Rosja a Polska.

Str. 360.

Cena F. 50,00.

TOM 268 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: R. Zambrowskiego — *Uwagi o wojnie polsko-radzieckiej 1920 roku*; Z. S. Siemaszki — *Brygada Świętokrzyska 1945-1946*; R. Buczka — *Udział Polskiej Organizacji Walki o Niepodległość we francuskim Ruchu Oporu*; W. Sukiennickiego — *O oddźwięk w sercu*; P. Wandycza — *MSZ w okresie międzywojennym. Odpowiedź na Ankietę*; B. Szczuckiego — *Trzydzieści lat w służbie nauki polskiej*; J. Lewandowskiego — *Dzieje sprzed dwudziestu lat* oraz obszerny dział WSPOMNIEN, RECENZJE i POLEMIKI.

Str. 240

Cena F. 25,00.

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.